



Karolina Wilczyńska

WĘDROWNE PTAKI


ROK NA KWIATOWEJ


*Cztery przyjaciółki, niezwykłe historie, jeden adres.
Spotkajmy się na Kwiatowej!*



WĘDROWNE PTAKI

Karolina Wilczyńska

WĘDROWNE PTAKI

DOŚĆ DŁUGI PROLOG...

...czyli jak to się wszystko zaczęło

Szafirowy garbus nie był może najlepszym samochodem do przeprowadzki, ale Malwina nie wybrzydzała. Stary kumpel, zwany Czubem od tak dawna, że nikt już nie pamiętał, jak miał naprawdę na imię, dysponował wyłącznie takim środkiem transportu, więc nie było się nad czym zastanawiać. I tak lepsze to niż miejski holender – pomyślała. – Najwyżej obrócimy jeszcze kilka razy. Żeby tylko reszta ekipy nie zawiodła.

Niepotrzebnie się martwiła, bo gdy tylko „żaba” zaparkowała, spod filarów wyszło trzech mężczyzn, na widok których Malwina nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Pani zamawiała ekipę tragarzy? – zapytał dwumetrowy chudzielec w wytartych dżinsach i spranym T-shircie z napisem: „Na Morskie Oko chodzę piechotą”.

– Cześć, Miszka! – Wspięła się na palce, żeby pocałować go w ramach powitania. – Znowu jakiś ekologiczny protest? – Wskazała głową na koszulkę.

– Ty wiesz, jak oni dręczą te konie? Niech się sam baca zaprzęgnie albo ci leniwi turyści ciągną wozy pod górę...

– Dobra, dobra, potem nam opowiesz – przerwał mu Czub, który dołączył do pozostałych. – Teraz bierzcie się za tobołki, bo do wieczora nie zdążymy.

– A ty nie mogłaś portek założyć na ten event? – Długowłose brunet z początkami zakoli i pierwszymi pasemkami siwizny, które zdradzały, że etap zbuntowanego nastolatka powinien mieć już za sobą, z ciekawością pomieszaną z rozbawieniem popatrzył na falbaniastą spódnicę Malwiny.

– Mogłam. Nawet chciałam. Ale kiedy przyszło mi to do głowy, wszystkie ciuchy miałam już w pudełkach. No to zostałam w tym, w czym byłam. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą, to nie ja będę nosić, prawda Seba?

– Niestety prawda. Takie to wasze równouprawnienie. Jak przychodzi co do czego, to facet musi muskuły napinać.

– Dobrze, że są jeszcze prawdziwi faceci! – Malwina roześmiała się i poklepała Sebastiana po plecach. – Tylko może zdejmij tę skórę, bo się spocisz.

– Nigdy jej nie zdejmuję – oświadczył z godnością Sebastian.

– Nie ma to jak kilka trupów na plecach. – Miszka już był gotów do ideologicznej dyskusji.

– Panowie, a może zamiast gadać jak baby, wzięlibyśmy się do konkretnej roboty? – Między zaczynających stroszyć piórka kolegów wszedł milczący dotąd czwarty towarzysz. Bokserka raczej eksponowała niż ukrywała rozbudowany mięsień kapturowy i bicepsy mające z pół metra w obwodzie. Takie argumenty sprawiały, że nie musiał zbyt wiele mówić, bo ludzie zazwyczaj robili to, czego chciał. I tym razem okazał się doskonałym mediatorem.

– Dobra, dobra, nie tak ostro, Gleba! – Seba wycofał się pierwszy. – To co tam mam tachać na garbie?

Czub zdusił niedopałek czubkiem okutego glana i ruchem głowy wskazał na samochód. Towarzystwo karnie ruszyło w stronę garbusa.

– Najpierw wypakujcie. Malwina zostawi wam klucze i pojedzie ze mną po kolejne graty. A wy będziecie w tym czasie wnosić.

– Które piętro?

– Piąte – odpowiedziała Malwina. Jednak widząc, że Miszka nerwowo targa blond czuprynę, postanowiła nie znęcać się nad kolegami. – Ale jest winda – dodała.

Słyszając zbiorowe westchnienie ulgi, już miała na końcu języka złośliwy komentarz na temat męskości i wspomnianych wcześniej mięśni, jednak resztki instynktu samozachowawczego podpowiedziały jej, że lepiej powstrzymać się do czasu, aż ostatni pakunek znajdzie się w nowym mieszkaniu.

Kiedy kilkanaście różnej wielkości pudeł i pudełeczek utworzyło malowniczą stertę tuż przy wejściu na klatkę schodową, odnalazła w dużym filcowym worku służącym jej za torebkę klucze od nowego domu, po czym podała je Glebie. Sama zajęła miejsce w samochodzie i pomachała kolegom zza szyby.

Odjeżdżając, zmierzyła spojrzeniem blok, w którym od dziś miała zamieszkać. Pokój z kuchnią i łazienką nie był szczytem jej marzeń. Co tu kryć – wolałaby przestronną pracownię z przeszklonym dachem, ewentualnie werandę z widokiem na łąkę. W ogóle mieszkanie w dziesięciopiętrowym developerskim bloku uznawała za mało artystyczne. Prawdę mówiąc, było bardzo mieszczzańskie albo lemingowe, albo nie wiadomo jakie, ale z pewnością nie kojarzyło się z bohemą, niezgodą na komercję i z niczym, co grało w duszy Malwiny. Miało jednak jedną zaletę, która rekompensowała, przynajmniej na razie, wszystkie wady – nie przebywali w nim rodzice. Nie, żeby ich nie kochała. Przeciwnie – byli cudowni, choćby dlatego, że dość spokojnie znosili kolejne pomysły córki, a ojciec nawet zbyt często nie wypominał jej ciągłych pożyczek, których nigdy nie oddawała. I wszystko fajnie – myślała Malwina – tylko głupio tak po trzydziestce mieszkać z rodzicami. Niby mogę robić, co chcę, ale kiedy wracam po północy, to czuję się jak nastolatka. To już lepiej tutaj.

„Tutaj” było na razie szarym budynkiem wyglądającym jak zgniecione przez dzieciaka pudełko, wciśniętym pomiędzy trzy wieżowce i trzy czteropiętrowe bloki, postawionym przez developera na miejscu zarośniętego chaszczami skweru, który był ziemią niczyją do czasu, gdy rozeszła się informacja o planowanej budowie. Wtedy,

w listach protestacyjnych mieszkańców okolicznych budynków, stała się „placem zabaw dla naszych pociech”, „planowanym parkingiem”, „skwerem wypoczynkowym”, a nawet „jedną z ostatnich wysp zieleni na betonowym osiedlu”. Te pełne emocji zwroty nie stopiły jednak lodowatych serc urzędników, czego dowodem był „budynek mieszkalno-usługowy przy ulicy Kwiatowej”.

I właśnie to miejsce wybrał ojciec Malwiny jako najbardziej odpowiednie dla ukochanej jedynaczki.

– Jeżeli już musisz się wyprowadzać, to szkoda moich pieniędzy na płacenie komuś za wynajem. – Głos ojca był twardy, a ton nieznoszący sprzeciwu. – Bo, moja panno, doskonale wiem, że będę musiał dokładać do tego interesu. Jak do wszystkich twoich pomysłów. Zdecydowałem więc, że wolę spłacać kredyt za mieszkanie, które kiedyś będzie moją własnością. Taka lokata kapitału, rozumiesz?

„Moja panna” rozumiała doskonale. Znała swojego ojca trzydzieści dwa lata i wiedziała, że jest jego oczkiem w głowie. Chociaż za nic by się do tego nie przyznał. Córka chętnie z tego korzystała, chociaż im była starsza, tym bardziej ta ciągła zależność od ojcowskiego portfela zaczynała ją męczyć. Choćby teraz. Gdybym mogła wybierać – rozmyślała, pakując kolejne paczki i torby na tylne siedzenie garbusa – kupiłabym jakieś stare gospodarstwo pod miastem, a nie czterdzieści metrów kwadratowych w betonowym pudełku. Mogłabym wreszcie zająć się poważnie malowaniem.

– A to może zostawisz u nas? – Matka wskazała na sztalugi, które Malwina poprzedniego wieczora zniosła ze strychu. – Tam chyba nie będziesz miała gdzie ich postawić.

– To resztę zostawię, a je zabiorę – odpowiedziała ostro i natychmiast pożałowała swoich słów. Matka nie odpowiedziała, ale wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że jest jej przykro.

Kurczę, niech już będę na swoim! – Malwina zezłościła się w duchu. – Będę mogła robić, co chcę, mówić, co chcę i ustawiać, co chcę i gdzie chcę. Przecież nie mam już szesnastu lat, do cholery!

Podeszła jednak do matki i przepaszająco pogłaskała kobietę po ramieniu.

– Przepraszam, mamó. Jestem taka zdenerwowana tą przeprowadzką...

Przy czwartym kursie przyszedł czas na pożegnanie. Nie chciała bawić się w ceregiele. Czub pojechał z ostatnimi pakunkami, a ona wyprowadziła na podjazd swój czarny rower. Ojciec był w pracy, najwidoczniej także nie chciał brać udziału we łzawych scenach. Matka stała na schodach, przed wejściem.

– To pa, mamusi! – rzuciła i pomachała kobiecie. – Zadzwoń wieczorem!

– Może wpadniesz jutro na obiad?

– Zobaczą. Dam znać.

Nacisnęła pedały i wyjechała na ulicę. Niby tak, jak każdego dnia, a jednak inaczej. Zostawiała miejsce, które do dziś nazywała domem i jechała do miejsca, które tym

domem miała nazywać. Poczowała wilgoć pod powiekami i zdziwiła się. Czyżbym była taka uczuciowa – pomyślała. – Nie ma co się mazać, przecież nic wielkiego się nie dzieje. Tyle że będę nocować gdzie indziej, co zresztą i tak dość często mi się zdarzało.

Kiedy dojechała na Kwiatową, okazało się, że chłopcy poradzili sobie doskonale. Na chodniku nie widziała żadnej ze swoich paczek. Chyba że im wszystko ukradli – pomyślała z lekkim niepokojem.

W końcu знаła swoich pomocników na tyle długo, żeby wiedzieć, że dziwne historie to ich specjalność. Misza już kilka razy przykuwał się do drzew w ramach akcji ekologów, Glebie zdarzało się zareagować zbyt nerwowo, a Seba nie raz bywał w opałach z powodu kolejnych flirtów i „wielkich miłości” kończących się po tygodniu.

Manewrowała rowerem między kilkoma ciężarówkami z salonów meblowych i pudłami z nazwami firm, które zajmowały się przeprowadzkami. Najwyraźniej inni także postanowili wprowadzić się jak najszybciej.

– A pani gdzie z tym rowerem? – niezbyt grzecznie zaczepił ją człowiek w służbowych ogrodniczkach i koszulce z logo największego sklepu meblowego w mieście.

– Na szczęście nie tam, gdzie pan – odparowała bez namysłu i szybko zajęła miejsce w windzie, zostawiając mężczyznę w hallu. Nacisnęła guzik i otarła czoło skrajem spódnicy. Jak na wrzesień, było naprawdę gorąco.

W mieszkaniu zastała chłopaków raczących się chłodnym piwem. Rozsiedli się wprost na podłodze i wyglądało na to, że czekają na pochwały.

– Jesteście cudni! – Wycalowała każdego z pomocników. – Nie wiem, co bym bez was zrobiła!

Przyjęli jej zachwyty ze spokojem.

– O matko, nie pomyślałam o niczym do jedzenia! Pewnie zgłodnieliście. Moment, dajcie mi pół godziny, zaraz coś zorganizuję. – Próbowwała odnaleźć wśród pudeł to, w którym (chyba) były naczynia i sztuce. – Widziałam, że po drugiej stronie ulicy jest sklep. Już biegnę! Macie ochotę na coś konkretnego?

Mężczyźni wymieniali rozbawione spojrzenia. Wreszcie Misza, przyjazna dusza, ulitował się nad koleżanką.

– Już jedliśmy. Twoja mama przysłała pyszne kanapki. A wałówka dla ciebie jest w kuchni.

Malwina opadła na najbliższe pudło, po czym natychmiast podskoczyła jak oparzona. A jeśli tam właśnie są talerze?

– Zaczynasz szaleć – stwierdził Sebastian. – A gdy kobieta zaczyna szaleć, to znak, że mężczyźni powinni jak najszybciej zniknąć z pola widzenia. Do zobaczenia zatem na parapetówce.

Czub popatrzył na kierujących się do wyjścia kolegów, potem na Malwinę.

– To może ja zostanę?

– Nie ma potrzeby. Sama się musisz najpierw w tym odnaleźć.

Mężczyzna, nie zmieniając wyrazu twarzy, wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Nie mogła stwierdzić, czy jej odmowa w ogóle zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie. Niby byli parą, ale czasami sama Malwina nie mogła się połapać w tej relacji. Zresztą nie próbowała zbyt często się nad tym zastanawiać. Jesteśmy w otwartym związku – mówiła. – Dla nas priorytet to wolność. Szanujemy swoją indywidualność i szczerze wyrażamy potrzeby.

A dziś Malwina chciała być sama, żeby celebrować pierwszą noc w nowym domu. I Czub to uszanował. Nie ma więc nad czym się zastanawiać.



Widok z okna nie powalał na kolana. Skrzyżowanie dwóch ulic, kilka bloków, pomalowany na niebiesko budynek. Jedynie kilka świerków dawało namiastkę zieleni. Będzie się musiała przyzwyczaić. Do tego i do wielu innych rzeczy.

– Gdzie to postawić? – Męski głos wyrwał Różę z zamyślenia. Oderwała wzrok od okna i popatrzyła na szkielet dużego łóżka. Bez słowa wskazała róg pokoju.

Nie miała wielu rzeczy. Zdolność kredytowa nauczycielki języka angielskiego nie pozwalała na szaleństwa, a ze starego mieszkania postanowiła zabrać jedynie swoje osobiste rzeczy i kilka drobiazgów. Nie chciała widzieć niczego, co przypominałoby jej dawne życie. Życie, które się skończyło wraz ze śmiercią mamy.

Mieszkanie sprzedawała razem z całym wyposażeniem. Taki postawiła warunek. Nie dlatego, żeby dostać za nie więcej pieniędzy, bo meble i sprzęty sprzed kilkunastu lat nie miały właściwie żadnej wartości. Po prostu chciała pozbyć się problemu z wyrzucaniem tego wszystkiego. Wystarczająco trudne było już przejście papierów, zdjęć i rzeczy osobistych mamy. Kiedy to robiła, miała wrażenie, że serce zaciska się tak mocno, jakby już nie chciało bić. Miała dość i brakowało jej sił na dalsze zmagania z materialnymi pozostałościami czasu, który minął bezpowrotnie.

Pieniądzy ze sprzedaży mieszkania wystarczyło akurat na to niewielkie lokum w nowym bloku. Może i mogłaby utargować więcej, ale zależało jej na czasie. Każdy wieczór w tamtych ścianach był wypełniony bolesnymi wspomnieniami. Wiedziała też, że nowi właściciele będą musieli zrobić generalny remont. Ale tak naprawdę, to nie umiała walczyć o swoje. Nigdy.

I dlatego na nowe meble i wykończenie kawalerki musiała wziąć kredyt. Niewielki, bo bank to nie instytucja charytatywna, wiadomo. Poza tym Róża nie lubiła mieć długów. Mama zawsze powtarzała, że lepiej biedniej, ale bez zobowiązań. Utkwiło jej to w głowie. Zresztą nawet z dochodami z korepetycji nie mogła pozwolić sobie na żadne szaleństwa.

– Coś jeszcze przesunąć?

– Nie, dziękuję. To wszystko.

Dwóch mężczyzn, którzy przywieźli i skręcili meble, stało w progu pokoju. Wyglądali tak, jakby na coś czekali.

– Czy jestem coś panom winna? – zaniepokoiła się Róża.

– Niby nie. Wniesienie i ustawienie jest w cenie – odpowiedział starszy, zsuwając czapkę z daszkiem na tył głowy i ocierając pot z czoła. – Ale zwyczajowo ludzie coś tam dają za fatygę.

– Oczywiście, rozumiem. – Poczowała wstyd, że nie pomyślała o tym. Do głowy jej nawet nie przyszło, by zlekceważyć sugestię mężczyzny.

Młodszy z pracowników sklepu meblowego rozejrzał się po niewielkim mieszkaniu.

– Całkiem miło tutaj.

– Dziękuję.

– Jak gospodyni miła, to i w domu widać. – Mężczyzna puścił oczko do Róży. Poczowała, że się rumieni. – Tak sama tu pani chce mieszkać? Nie będzie smutno? – Oparł się o futrynę z miną lwa salonowego.

– Nie będę sama. Mam dwa koty.

Czy ja nie potrafię nic mądrego powiedzieć? – Zganiła się w myślach. – Powinnam w błyskotliwy sposób osadzić tego prymitywnego lowelasa, a tymczasem plotę bzdury.

Podowała starszemu banknot dwudziestozłotowy, wciąż czując pieczenie na policzkach. Niechby już poszli!

– Dziękuję panom i do widzenia – wydusiła, nie patrząc na mężczyzn.

– Stara panna z kotami. – Usłyszała jeszcze komentarz młodego, kiedy zamykała drzwi.

– A, chociaż na flaszkę dała – odpowiedział jego towarzysz.

Stara panna z kotami. Doskonale wiedziała, że tak określa ją wiele osób. I chyba mieli rację. Jasne, teraz niby nie było już starych panien. Były singielki. Tyle że singielka to osoba sama z wyboru, pewna siebie, taka, co to ma cel w życiu, stawia na rozwój, karierę. Do tego modnie się ubiera, bywa w klubach, realizuje swoje potrzeby seksualne bez obciążania się bagażem wzajemnych zależności. A do takich Róża z pewnością nie należała. Za to określenie stara panna – jak najbardziej pasowało. Samotna – bo nikt jej nie chce, jedyna droga, jaką chodzi, to ta do pracy, znajomych brak, kluby zna tylko z nazwy, a na samą myśl o seksie czuje się zawstydzona. Taka właśnie była.

Westchnęła głęboko. Nie ma co się użalać – pomyślała. – W końcu wcale nie jest tak źle. Poukładam rzeczy i pojedę po Kapitana i Bosmana. Niech zobaczą swój nowy dom.

Postawiła na minimalizm. Z konieczności, ograniczona niewielkimi finansami, ale i z wyboru. Nie chciała zakamarków, bibelotów, drobiazgów, z których musiałaby co tydzień ścierać kurz, a po jej śmierci i tak wylądowałyby na śmietniku. Największym wydatkiem była ogromna szafa z lustrzanymi drzwiami. Na wymiar, specjalnie zamówiona. Była pierwszą rzeczą, która została zrobiona tylko dla niej i ściśle według

jej wskazówek. Poza tym dzięki szafie pokój wydawał się większy. Kiedy jednak popatrzyła na dwie torby podróżne i kilka reklamówek, w których przywiozła wszystkie swoje ubrania, stwierdziła, że nie będzie miała nawet co w niej schować. Kilka klasycznych zakrętków i spódnic, kilka bluzek, pięć par butów – to wystarczało, żeby odpowiednio wyglądać w pracy. Do tego dwa płaszcze – jeden ciepły, zimowy, a drugi cieńszy, wiosenna kurtka, trochę bielizny. Tak z pewnością nie wygląda garderoba przebojowej singielki, ale dla Róży jest w sam raz. Była jeszcze paczuszka, zrobiona prawie dziesięć lat wcześniej, a w niej ukryte coś, co miało przypominać najpiękniejszy okres życia, a okazało się jednym z najboleśniejszych wspomnień. Za każdym razem, gdy robiła porządki, chciała ją wyrzucić, ale jakoś nigdy nie wprowadziła tego zamiaru w czyn. I tak paczuszka przyjechała z nią i tutaj. I wylądowała na samym końcu najwyższej półki.

Oprócz szafy Róża zafundowała sobie szerokie łóżko. „Prawdziwe małżeńskie łoże” – powiedziała sprzedawczyni w salonie meblowym. Nie protestowała, nie tłumaczyła. Po co ta młodziutka dziewczyna z tlenionymi włosami i odważnym makijażem ma wiedzieć, że zamierza spać w nim sama? Kupiła je tylko dlatego, że miała dosyć wąskiego tapczanika w panińskim pokoju. I pomyślała też, że nareszcie przestanie poszturchiwać w nocy Kapitana i Bosmana. Wszyscy będą się lepiej wysypiać.

Resztę mebli wybrała szybko i bez większego namysłu. Biurko, obrotowe krzesło, dwa proste regały na książki, fotel i niewielki stolik. Na ścianie telewizor, na podłodze wieża. Niczego innego nie potrzebowała, zresztą niewiele więcej zmieściłaby w pokoju. Dojdzie jeszcze drapak dla kotów, może kilka kwiatów, chociaż nie miała do nich ręki. Pewnie powinnam hodować kaktusy, jak przystało na starą pannę. – Uśmiechnęła się do swojego odbicia w drzwiach szafy i pokazała mu język. – Pora się zbierać – zdecydowała. Miała dziś przekazać klucze nowym właścicielom dawnego mieszkania.

Dojście zajęło jej niecałe trzy kwadransy. Miała wprawę, prawie wszędzie chodziła piechotą. Traktowała to jako element zdrowego trybu życia, bo żadnej konkretnej aktywności nie uprawiała. Nie miała serca do sportu, zawsze brakowało jej ducha rywalizacji, nie rozumiała radości ze zwycięstwa. Może dlatego, że nigdy nie wygrała? Tak czy inaczej, nawet jeżeli z nutą zazdrości zerkała na rówieśniczki w obcisłych strojach uprawiające jogging czy jeżdżące na rowerach, sama wybierała spacer.

Reszta rzeczy, które miała zabrać, była już przygotowana. W ostatnim momencie wsunęła jeszcze do torebki zdjęcie matki i ojca.

Kapitana znalazła oczywiście zwiniętego w kłębek na starym fotelu. To jego ulubione miejsce. Nie wyszedł się przywitać, dając tym samym do zrozumienia, że jest obrażony za zbyt długą nieobecność Róży.

– Wstawaj, stary draniu – powiedziała pieszczotliwie do grafitowego kocura. – Przeprowadzamy się.

Natychmiast u jej stóp pojawił się zazdrosny Bosman. Mruczeniem dał znać, że chociaż nie rządzi, to jest już gotowy i także zasługuje na pieszczoty. I otrzymał swoją

porcję.

Usiadła na kanapie i po raz ostatni rozejrzała się po pokoju nazywanym przez matkę salonem. Kolekcja kryształów na półkach, w oknach wymyślnie udrapowane firanki. Na fotelach poduszki w poszewkach haftowanych przez matkę, na stoliku serweta wydziergana szydełkiem. Bezpieczny świat, jaki stworzyła tu, ponad pięćset kilometrów od morza, które zabrało jej męża. Aż dziw, że nie uciekła jeszcze dalej, do Zakopanego albo w Bieszczady. Z jakichś powodów wybrała Kielce. To właśnie tutaj, w dwóch malutkich pokojach i kuchni bez okna, uwiła wygodne gniazdko dla siebie i córki, którą chroniła, jak mogła, przed niebezpiecznym światem.

– Wiem, że się starałaś, mamó – powiedziała, jakby matka mogła ją usłyszeć. – Tylko zapomniałaś, że świat się zmienia.

Może kiedyś nieśmiałe i ciche kobiety cieszyły się powodzeniem. Pewnie tak było, skoro matka Róży została żoną i niedługo potem urodziła córkę. Dzięki temu nie odeszła w samotności, chociaż nagły i rozległy zawał nie dał jej szans na uświadomienie sobie, że umiera.

– A ja, mamó? – zapytała głośno. – Czy wiesz, że teraz już są niemodne takie kobiety jak ty? I jak ja. Jestem kobietą w stylu vintage.

Z tą tylko różnicą, że ty miałaś chociaż dziecko, a ja nie mam nikogo. I znajdą mnie pewnie, kiedy wrzask głodnych kotów nie da spać sąsiadom. – Tego już nie powiedziała głośno, jakby bojąc się, że matka może ją usłyszeć.

Umieściła koty w transporterach i spojrzała na zegarek. Z satysfakcją stwierdziła, że wszystko idzie zgodnie z planem. Zamówiła taksówkę, wsunęła stopy w pantofle na płaskim obcasie, przewiesiła torebkę przez ramię. Dokładnie w tym momencie zadzwieczał dzwonek.

– Dzień dobry – przywitała postawnego mężczyznę i jego żonę. Państwo Kaczmarscy byli punktualni. Już nie mogli się doczekać, kiedy rozpoczną remont. Ich córka, Mariola, miała rodzić pod koniec października i chcieli, żeby pierwszy wnuk wrócił ze szpitala już do własnego domu.

Róża oddała klucze i nie oglądając się ani razu, wyszła przed blok, gdzie już czekała na nią taksówka. Nie obejrzała się także, gdy odjeżdżali. Po co? Wszystko, co chciała, przewiozła już wcześniej.

Do nowego domu, mimo że koty ważyły swoje, weszła po schodach. Wybrała je jako kolejny element treningu, a poza tym nie lubiła windy. Bała się, że może stanąć i uwięzić ją między piętrami. Trzecie piętro to nie tak wysoko – stwierdziła.

W domu najpierw zdjęła żakiet i starannie powiesiła go w szafie. Dopiero potem otworzyła drzwiczki transporterów.

– No, panowie, wychodzić! Witam w naszym domu. Zaczynamy tu nowe życie. Rozgoście się, a ja tymczasem zrobię sobie herbaty.

Kapitan i Bosman nieufnie obchodzili nowe kąty. Nie wyglądali na przekonanych, ale Róża miała nadzieję, że z czasem będzie coraz lepiej. I ta nadzieja dotyczyła nie tylko

kotów.



Liliana nie miała tego dnia już nic do roboty. Objechała wszystkie sklepy, odebrała od dziewczyn tygodniowe raporty i dzisiejszy utarg. Miała przed sobą sobotnie popołudnie i całą niedzielę. Idealnie, żeby bez pośpiechu rozgościć się w nowym mieszkaniu.

Lata doświadczenia w prowadzeniu własnego biznesu nauczyły ją dwóch rzeczy. Po pierwsze: trzeba dobrze wszystko zaplanować. Po drugie: nie przywiązywać się do planu zbyt mocno, bo zawsze zdarzy się coś niespodziewanego. Dzięki przestrzeganiu tych zasad udało się jej w ciągu ostatnich ośmiu lat zrealizować większość z tego, co chciała. W tej większości mieściło się piętnaście sklepów działających pod wspólnym szyldem „Kupujesz tanio” – dziesięć w samych Kielcach, pozostałe w największych miastach województwa. Nie zamierzała na tym poprzestać. Od roku weszła też w outletry i zauważyła, że ta nisza ma perspektywę. Doskonale wiedziała, że w mieście o kilkunastoprocentowym bezrobociu ludzie dokładnie oglądają każdy grosz, ale rozumiała też fakt, że kobiety i dziewczyny zawsze chcą mieć coś nowego. Wysnuła z tych spostrzeżeń prosty wniosek: musi być niedrogo i w miarę modnie. Wniosek okazał się słuszny. I była z tego dumna.

Oczywiście, zgodnie z jej zasadami, wydarzyło się także kilka niespodziewanych rzeczy. Najbardziej niespodziewana była młoda dziewczyna w jej sypialni. Po tym widoku reszta okazała się zgodna z przewidywaniami. Z pozornym spokojem przyjęła mętne wykręty męża, potem przetrwała noc, gdy podczas ciągnących się bez końca bezsennych godzin na przemian waliła pięściami w poduszki i zalewała się łzami w poczuciu bezsilności oraz niesprawiedliwości. A kiedy już zabrakło łez, zauważyła, że nie musi martwić się o obiady i czyste koszule, znosić frustracji męża, któremu, w przeciwieństwie do niej, biznesy szły niespecjalnie dobrze, a w związku z tym ma dużo więcej czasu na realizację nowych planów. Które musiała poczynić w związku ze zmianą okoliczności.

Rozwód dostała szybko, zwłaszcza że nie mieli dzieci. Gorzej było z podziałem majątku. Pluła sobie w brodę, że w swej naiwności nie spisała intercyzy czy czegokolwiek innego. Cóż, wtedy jeszcze nie знаła drugiej zasady i myślała, że nic nie zakłóci jej planu spokojnego wspólnego życia „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Okazało się, że dużo szybciej rozłączyła ich brunetka z delfinem wytatuowanym na pośladku (co zdążyła zauważyć, gdy panienska przebiegła obok niej w kierunku łazienki). Ogólnie nie miała nic do delfinów, ale tamtego wieczora w bezsilnej złości połamała płytę z relaksacyjnym śpiewem tych miłych ssaków. Nie pomogło. Doszła do wniosku, że byle co nie wynagrodzi jej tego upokorzenia. Walczyła więc jak lwica, wynajęła najlepszego adwokata i po dwóch latach mogła z satysfakcją stwierdzić, że

były nie dostał ani grosza ponad to, co mu się prawnie należało. Właściwie musiał się zadowolić sześciolatnim audi i mieszkaniem, które oddała bez żalu, bo i tak nie mogłaby żyć tam, gdzie oni „to” robili. Dodatkową satysfakcją była informacja, że brunetkę nie zadowoliło rozstrzygnięcie sądu i w ramach okazywania tegoż niezadowolenia widywana była ostatnio z kimś zupełnie innym niż były mąż Liliany. O czym doniosły jej koleżanki.

Po uprawomocnieniu się wyroku Liliana najpierw kupiła nową toyotę Rav4 w kolorze starego złota, a potem spokojnie przejrzała oferty developerów. Wybrała budynek na Kwiatowej z kilku powodów. Po pierwsze: blisko centrum, a zarazem w okolicy terenów zielonych. Po drugie: nie jakiś tam pierwszy lepszy blok, ale dziesięciopiętrowy budynek o ciekawej bryle w kształcie łamanego prostopadłościanu. A po trzecie: był w nim wolny lokal na ostatnim piętrze. Nazwała go kameralnym apartamentem. Trzy pokoje, spora łazienka, kuchnia i garderoba, a jako wisienka na torcie – całkiem duży balkon, który można uznać za taras i to z widokiem na dolinę Silnicy. Czegoś takiego szukała. Nie była zwolenniczką wydawania pieniędzy bez potrzeby, a z drugiej strony wiedziała, że jeśli chce uchodzić za odnoszącą sukcesy bizneswoman, powinna móc pochwalić się „kameralnym apartamentem z przytulnym tarasem”. A prawie osiemdziesięciometrowe mieszkanie na Kwiatowej stanowiło doskonały złoty środek.

Nie obeszło się bez nieprzewidzianych wydarzeń, rzecz jasna. Najpierw z powodu jakichś komplikacji prawnych czy technicznych budowę wstrzymano na ponad pół roku. Za każdym razem, kiedy przejeżdżała Nowym Światem i widziała wielką dziurę w ziemi, kiwała głową, bo ta czarna jama była kolejnym potwierdzeniem jej zasad. Jednak po ostatnich doświadczeniach nie zamierzała łatwo się załamywać. Oddała byłemu klucze i przeprowadziła się do wynajętej kawalerki w jednej z kamienic przy głównej ulicy Kielc. Tutaj czekała ją kolejna życiowa niespodzianka, bo wynajmujący, nie dosyć, że mniej więcej w jej wieku, całkiem przystojny i bez obrączki, to jeszcze zaczął okazywać wyraźne zainteresowanie jej osobą.

Liliana podeszła do sprawy spokojnie i stwierdziła, że na fajerwerki uczuciowe to ona sobie już w życiu nie pozwoli. Małżeństwo nie mieści się więc w jej planach, ale partnerski związek może uwzględnić. W końcu miała też spory temperament, z którego była w głębi duszy nawet dumna, a który coraz częściej dawał o sobie znać. Nie chciała, żeby emocje czy chwila słabości popchnęły ją w kolejne nieodpowiedzialne ramiona. Zdecydowała, że Janusz będzie odpowiednim wyborem. Zamieszkali w jego kawalerce przy Sienkiewicza, a dziś wieczorem mieli spędzić pierwszą wspólną noc w jej apartamencie.

Kubuś zaczął popiskiwać, więc Liliana postawiła go na podłodze. York natychmiast rozpoczął energiczne obwąchiwanie wszystkich kątów.

– Tylko pamiętaj, tutaj nie siusiamy – zapowiedziała stanowczo. – Jeśli będziesz niegrzeczny, pani się na ciebie pogniewa!

Kubuś nawet nie zerknął w jej stronę, zajęty próbami wciśnięcia się za nocną szafkę.

Liliana uśmiechnęła się czule. Kochała tego psiaka i rozpieszczała go ponad miarę. Właściwie nigdy nie planowała, że stanie się właścicielką zwierzęcia, ale wiadomo... Kubusia dostała w prezencie od koleżanek. Zrobiła takie babskie spotkanie, gdy ostatecznie zakończyła sprawy rozwodowe, a te wariatki przyniosły jej w koszyku potarganą kuleczkę. A kiedy ta kupka sierści wysunęła różowy języczek i polizała ją, zostawiając mokry ślad na policzku, coś w sercu Liliany zatrzępotało, a fala czułości wywołała wilgoć pod powiekami. I pokochała Kubusia. Jeździł z nią wszędzie, stając się przy okazji powiernikiem najgłębszych sekretów. Teraz jednak zdawał się tak zajęty przeszukiwaniem nowego terenu, że nie nadawał się na partnera do rozmowy.

Kobieta zrzuciła szpilki i westchnęła z ulgą. Usiadła na skórzanej kanapie i zaczęła rozmasowywać palce u stóp.

– Nie mógłbyś, Kubusiu, przynieść pani kapci i zrobić kawy?

Jasne, prawdziwy facet – pomyślała. – Kiedy kobieta o coś prosi – udaje, że nie słyszy. Dobra, sama sobie zrobię, ale za moment. Najpierw chwila wytchnienia.

Była z siebie dumna. Widziała ruch przed budynkiem, pokrzykiwania ludzi wnoszących meble i paczki. Przewidziała to i zaplanowała przeprowadzkę tak, żeby nie uczestniczyć w tym wielkim zamieszaniu.

Przede wszystkim wynajęła dekoratora wnętrz i wspólnie z nim już dawno omówiła każdy szczegół. Odpowiednie ekipy fachowców kolejno wykonywały powierzone im zadania, a Liliana dopisała do swojego grafiku codzienne wizyty na Kwiatowej. Prowadzenie własnego biznesu nauczyło ją, że było sporo prawdy w powiedzeniu: ufaj, ale kontroluj. Gdyby nie patrzyła na ręce pracownikom, nigdy nie osiągnęłaby sukcesu. Podejrzewała, że tak samo jest z budowlańcami. W myśl zasady: pańskie oko konia tuczy, każdego wieczora żądała raportu z postępu prac.

Dzięki dobrej organizacji na dwa dni przed oficjalnym zezwoleniem developera na wprowadzanie się wpuściła do mieszkania panią Tereskę. Nie musiała jej pilnować, bo Tereska od lat sprzątała u niej w mieszkaniu, a czasami także w sklepach, więc wiedziała, że może mieć do tej kobiety zaufanie. Sprzątaczką znała wymagania Liliany, a że była sumienna i dokładna, współpraca układała się dobrze. Wczoraj wieczorem Teresa odniosła klucze i zapewniła, że właścicielka może następnego dnia nawet robić znany z telewizji test białej rękawiczki.

Rzeczywiście, apartament lśnił czystością. W błyszczących blatach i białych drzwiczkach kuchennych szafek można było się przeglądać, a na mahoniowych meblach w salonie nie było nawet jednego pyłku.

Spojrzała na zegarek. Za chwilę powinien pojawić się Janusz z resztą ubrań. Obydwoje lubili punktualność, więc była pewna, że w ciągu pięciu minut usłyszy dzwonek do drzwi. Przeszła do kuchni, gdzie włączyła ekspres i zajrzała do lodówki. Wino było na swoim miejscu, pani Tereska nie zawiodła. Jeszcze rzut oka na sypialnię.

Ogromne łóżko, a na nim pościel w bordowych poszewkach. Jedwabna. Taką chciała

– chłodną i śliską. Nie jakaś tam kora czy bawełna albo trzeszcząca od krochmalu i sztywna po maglowaniu. Od dzieciństwa tego nie znosiła. Teraz właśnie pościel była jedną z jej słabości i nigdy nie żałowała na nią pieniędzy. Tę, w kolorze czerwonego wina, kupiła specjalnie na pierwszą noc w nowym mieszkaniu. Świetnie wyglądała na tle kremowych ścian. Sypialnia była jedynym pokojem, w którym zamiast drewnianych żaluzji w oknach wisiały zasłony, kolorem dobrane do pościeli. Musiała przyznać, że projektantka dobrze zrozumiała, o co jej chodziło. Hasło: buduar. I wszystko jasne. Antyczna toaletka i doskonale komponujące się z nią tremo stojące w rogu pokoju sprytna dziewczyna wynalazła w składzie mebli przywiezionych z zachodniej Europy i jeszcze wytargowała przystępną cenę. Ścianę za łóżkiem wykleiła tapetą w barokowy wzór. Wszystko razem tworzyło naprawdę niezłe nawiązanie do zadanego tematu, a do tego wcale nie trąciło myszką. Tak, w takiej sypialni będzie się czuła jak Dama Kameliowa, ulubiona książkowa bohaterka. Tu, na ogromnym łóżku, w ramionach Janusza, zapomni o rzeczowej bizneswoman, o rozliczeniach, księgowej, utargu i będzie mogła być wulkanem żądy, lwicą, demonem seksu.

Z satysfakcją zatrzymała wzrok na swoim odbiciu. Lustreczko powiedz przecie... – Uśmiechnęła się do siebie. Nie mogła narzekać, naprawdę. Dbała o siebie, odwiedzała kosmetyczkę i fryzjera, nie wychodziła z domu bez makijażu. Na regularne uprawianie sportu nie miała dotąd czasu, ale los i geny dały jej niezłą figurę i dobrą przemianę materii. Janusz natomiast co niedziela wymyślał rowerowe wycieczki albo wypadu na basen czy choćby spacer w podmiejskich lasach. Dzięki temu mogła pochwalić się szczupłymi nogami, dość twardym brzuchem i nie musiała ukrywać żadnych wałeczków tłuszczu.

Dzwonek do drzwi oderwał ją od radosnej kontemplacji własnego wyglądu. Pogładziła śliską powierzchnię kołdry, strzepnęła niewidzialny pyłek z poduszki i opuściła sypialnię.

– Miało być tylko kilka niezbędnych ciuszków. – Janusz, udając obrażonego, wtaszczył do przedpokoju dwie ogromne walizy. – Zobacz, jak ja się spakowałem. – Wskazał na niewielką torbę podróżną, którą zdjął z ramienia.

– Postaram ci się to jakoś wynagrodzić – odparła i roześmiała się na widok tej bagażowej dysproporcji.

– Najpierw musisz mnie napoić, bo czuję, że wypociłem kilka litrów.

– Kawa? Coś zimnego? A może wino? – zapytała. – A później chłodny prysznic.

Janusz zmierzył wzrokiem stojącą przed nim kobietę. Liliana знаła to spojrzenie i poczuła miły dreszczyk wzdłuż kręgosłupa.

– Proponuję inną kolejność. – Mężczyzna nie odrywał od niej wzroku. – Ty idź pod prysznic, a ja otworzę wino i zaraz do ciebie dołączę.

Nie zawiodła się. Wiedział, na co czekała i on chciał tego samego. Powoli zaczęła rozpinać guziki bluzki i z satysfakcją patrzyła na pożądanie w oczach Janusza.

Rozpięła spódnicę i pozwoliła jej opaść na podłogę. Wyszła z niej i powoli, kołysząc biodrami, podążyła w kierunku łazienki. W duchu chwaliła samą siebie za pomysł zastąpienia wanny dużą, dwuosobową kabiną prysznicową. Co prawda planowała, że zaczną od sypialni, ale jak wiadomo...



– Czy ty musisz wyjechać już jutro? Nie mogłeś sobie zrobić kilku dni wolnego?

– Mam ci to tłumaczyć po raz kolejny? – Marcin był wyraźnie zniecierpliwiony. – Budowa stoi rozgrzebana, terminy mnie gonią, bo inwestor wyjątkowo wredny, a wiesz, jak jest z ludźmi – jeśli nie przypilnujesz, to będą piwo pili, zamiast pracować.

– Jasne, a ja mam wierzyć, że stoisz nad nimi przez dwanaście godzin i patrzysz im na ręce. Proszę cię, nie dobijaj mnie! Chociaż raz mógłbyś pomyśleć o mnie. Jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz? Mam sama rozpakowywać wszystko?! – Wioletta usiadła na kanapie, nie zadając sobie nawet trudu, żeby odsunąć przykrywającą ją folię. Ręce oparła na brzuchu, w geście typowym dla każdej ciężarnej kobiety.

To dopiero piąty miesiąc, a ja już wyglądam jak balon – pomyślała. – A do tego jeszcze ten wrześnieowy upał, chyba po to, żeby mnie wykończyć.

– Marcin! Nie widzisz, co on robi?! Zaraz się udławi! – wrzasnęła na widok czteroletniego synka, który siedział na podłodze i ze spokojem pakował sobie do buzi spory kawałek folii bąbelkowej.

Mąż zareagował spokojnie.

– Oskar, nie wolno tego jeść, przecież wiesz – powiedział, nie przerywając przesuwania komody.

– A to strzela w buzi jak te cukierki, co jadłem u babci – odpowiedział malec, zawzięcie żując.

– Nie, ja naprawdę oszaleję! – Wiola podniosła się z kanapy i trzymając rękę na kręgosłupie, podeszła do dziecka. Jednym ruchem wyrwała mu niebezpieczną zabawkę. Mały wykrzywił usta, co stanowiło jednoznaczny zapowiedź dalszych wydarzeń.

– Będzie ryczał – ostrzegł Marcin.

– Co ty powiesz? Naprawdę bystry jesteś! – Nie mogła powstrzymać sarkazmu.

Oskar zaczął płakać.

– A nie mówiłem? – stwierdził z satysfakcją mężczyzna. – No, komoda stoi, można podłączać telewizor. Wieczorem obejrzymy sobie jakąś komedię i zaraz ci się humor poprawi.

– Człowieku! Ty mi mówisz o komedii, a ja jestem na skraju załamania! Jak sobie to wyobrażasz? Ty pojedziesz, a ja mam wszystko rozpakować? W ciąży?! I z czterolatkiem płaczącym się pod nogami?! To horror raczej!

Oskar, widząc brak zainteresowania ze strony dorosłych, wył coraz głośniej.

– Wiolu, w twoim stanie nie powinnaś się tak denerwować. Usiądź, uspokój się, może podać ci coś do picia?

– O tak! Najlepiej pół litra. Czystej. Bez zakąski. Chłopie, czy ty wiesz, co mówisz? Jak mam się nie denerwować?

Po raz kolejny opadła na kanapę. Folia zatrzeszczała nieprzyjemnie. Wioletcie było już wszystko jedno. Normalnie cieszyłaby się z nowego mieszkania. Czekali na to od czterech lat. Każdego wieczora marzyła o tym, jak cudownie będzie wreszcie wyprowadzić się od teściowej, zamieszkać w mieście, na dodatek w miejscu, gdzie w dziesięć minut można dojść do dwóch największych galerii handlowych.

Wszystkie koleżanki już dawno wyjechały z Bodzentyna i zamieszkały w Kielcach. Kiedy odwiedzały rodziców, opowiadały o klubach, wieczornych wypadach do kina albo na kawę. Wiola miała wrażenie, że żyją w jakimś innym świecie – kolorowym, pełnym światła, atrakcyjnym. A ona wciąż tkwiła w małomiasteczkowym zaduchu, gdzie o dwudziestej pierwszej ulicy świeciły pustkami.

Marcin miał być drogą do lepszego życia. Spotkała go, kiedy skończyła osiemnaście lat. Spodobał jej się, ale wyżej niż jego urodę ceniła sprecyzowane plany na przyszłość. Był pięć lat starszy i właśnie zakładał własną firmę. A że w budowlance czuł się jak ryba w wodzie, wierzyła w jego sukces. Faktycznie, nie zawiodła się. Chociaż myślała, że rozwój firmy zajmie mniej czasu. Tymczasem lata mijały, a pieniędzy nie przybywało tak szybko, jak powinno. Albo przynajmniej: jak na to liczyła.

Wiola postanowiła jednak czekać cierpliwie, bo i nie widziała lepszego wyjścia. W miasteczku atrakcyjnych kawalerów nie mieszkało zbyt wielu, a takich, co mieli jakieś ambicje – jeszcze mniej. A ona nie miała zamiaru harować za parę groszy i wyciągać męża z pijalni piwa. Chciała mieć pieniądze.

Nawet się ucieszyła, gdy zaszła w ciążę, bo rodzice coraz częściej wypytywali o ślub. Nic dziwnego. Przy szóstce dzieci każda gęba mniej do wykarmienia to już ulga. Ojczym od zawsze zaglądał do kieliszka, matka też nie przepuszczała okazji, więc dzieciaki wychowywały się same. Ona, jako najstarsza, miała już po dziurki w nosie maluchów i marzyła o ucieczce z domu, gdzie bieda aż piszczała.

Po ślubie zamieszkali z matką Marcina. Miało być na chwilę, a zostali cztery lata. Teściowa wszystko wiedziała lepiej, kręciła nosem na tipsy, krytykowała makijaż, miała pretensje o krótkie spódnice i dekolty. Stara wiedźma! Nic dziwnego, że Wiola każdego wieczora odliczała dni do przeprowadzki.

Ja to mam zawsze pecha! – stwierdziła w myślach, starając się umościć na kanapie tak, żeby chociaż przez chwilę kręgosłup przestał dokuczać. – Akurat teraz ta druga ciąża. I znowu będziemy się gnieździć w ciasnocie. Dwa pokoje na cztery osoby. – Westchnęła i podłożyła rękę pod plecy. – A ja nawet siły nie mam na chodzenie po sklepach. Zresztą, co ja kupię ładnego na taki słoniowy rozmiar...

– Proszę, napij się. – Marcin wyrwał ją z zamyślenia i podał szklanekę z wodą

mineralną. – Czysta. Ale woda. – Roześmiał się i wrócił do rozpakowywania telewizora. Nawet nie zauważyli, że synek, zmęczony wyciem i brakiem reakcji na jego pokaz siły, zamilkł i zmienił taktykę. Korzystając z okazji, urwał spory kawałek styropianu i ze zdobyczą w rączce ukrył się za kanapą.

Wioli było w tym momencie wszystko jedno. Nie wyobrażała sobie, jak doprowadzi dom do porządku. Przenosiła wzrok z jednej paczki na drugą, a ich ilość wydawała się nieskończona. Przez pracę Marcina wszystko musieli robić szybko i jednocześnie. Przewozić meble i pozostałe rzeczy. Nie mogli planować, bo mąż nigdy nie wiedział, czy da radę wrócić w piątek, czy dopiero w sobotę. Zwozili więc fanty po kolei do garażu u teściowej. A wczoraj Marcin wrócił późnym wieczorem i zarządził przeprowadzkę.

Zaangażował dwóch starszych braci, wziął jeden z firmowych samochodów i od świtu kursowali, przewożąc wszystkie graty. A ona, starając się ignorować zrzędenie teściowej i marudzenie Oskara, pakowała ubrania i drobiazgi. Byle jak, bez żadnego przemyślenia, byle upchnąć i zawieźć. Teraz nie miała nawet pojęcia, gdzie są szczoteczki do zębów czy piżama dziecka. A jedyne na co miała ochotę, to położyć się i zasnąć.

– No, to telewizor gotowy – oznajmił triumfalnie Marcin. – Cieszysz się?

– Nie.

Mężczyzna spojrzał na Wiołę badawczo. Zobaczył spoczone włosy lepiące się jej do czoła, spuchnięte kostki i zmęczone oczy. Usiadł obok żony i objął ją ramieniem.

– Wiem, Wioluś, że jesteś zmęczona, naprawdę wiem. Ale musieliśmy się w końcu przeprowadzić. I zobacz, już jesteśmy u siebie. Przecież tego chciałaś, prawda? Oboje chcieliśmy. – Gładził ją po ramieniu. – Nie mogę zostać, bo inwestor przywali mi karę, jeśli nie skończę w terminie. Ale wszystko jutro poustawiam i zostanie ci tylko rozpakowanie ubrań. Zrobisz to sobie powolutku, bez pośpiechu.

Trudno jej było uwierzyć, że da radę, ale z wdzięcznością przyjęła jego troskę. To dobry facet – pomyślała.

Siedzieli przytuleni, słowa były niepotrzebne. Cisza dzwoniła w uszach. Cisza?

– A gdzie jest Oskar? – Wioletta chciała się poderwać, ale brzuch skutecznie przytrzymał ją na kanapie. – Dlaczego jest tak cicho? Co on robi? – głos nabrał histerycznego tonu. – Myślałam, że go pilnujesz!

Marcin, jak to on, zachował niewzruszony spokój. Wstał, rozejrzał się i zlokalizował syna, który w tym właśnie momencie wpychał sobie do nosa spory kawałek styropianu. Tę samą scenę miała okazję zobaczyć Wioletta, której udało się pokonać opór brzucha i stanąć. Dobrze, że podtrzymała się boku kanapy, bo widok sprawił, że nogi jej nagle zmiękły.

– O, Boże! – Tylko na tyle było ją stać. Reszta słów utknęła w gardle niczym piłeczka pingpongowa.

– Synu, chodź do tatusia. – Marcin na szczęście nie wykazywał żadnych objawów zwiotczenia kończyn, mógł więc przejąć inicjatywę. Co też uczynił i wyciągnął

styropian z lewego nozdrza Oskara. – I pokłopotcie. – Wziął dziecko na ręce. – No, synu, większego kawałka się wepchnąć nie dało?

– Dało – odparło równie spokojnie dziecko. – Tam jest. – Wskazał grubiutkim paluszkiem na drugą dziurkę.

– O, Boże! – powtórzyła Wioletta i poczuła, jak pęka jej paznokieć zaciśnięty na oparciu mebla. – Złamałam paznokieć – stwierdziła i zamilkła.

Mężczyzna postawił dziecko na podłodze i podszedł do żony. Odczepił jej rękę od kanapy i poprowadził Wiolę w kierunku drugiego pokoju.

– A ty chodź krok w krok za mną – rzucił w kierunku syna nieznoszącym sprzeciwu tonem. Oskar posłusznie ruszył za rodzicami i przyglądał się z zainteresowaniem, jak tata układa mamę na jego tapczaniku i nakrywa kocem.

– Leż i odpoczywaj. Ja się wszystkim zajmę. – Marcin nie pozwolił żonie na dyskusję. – Nic się nie dzieje. Sam w dzieciństwie wepchnąłem sobie do nosa z pół kilo grochu i nadal żyję. Zawiozę go na pogotowie, a w drodze powrotnej pojedę po mamę. Pomoże ci przez kilka pierwszych dni.

Wiola podskoczyła, jakby ktoś dźgnął ją w pośladek.

– Tylko nie mama! Dam sobie radę. Trochę odpocznę i będzie dobrze.

Marcin uśmiechnął się pod nosem. Dobrze wiedział, co podziała na żonę.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami. – W takim razie zajmij się na razie swoim paznokciem, a jak wrócimy, zaplanujemy jakoś walkę z tym wszystkim. No, synu – zwrócił się do dziecka – jedziemy do pana doktora.

Wyszli z pokoju. Wiola słyszała jeszcze, jak rozmawiają podczas wkładania butów.

– Dziwnie jest w tym nowym domu – stwierdził Oskar.

– Dlaczego?

– Ja mam to białe w nosie, a mama za mnie choruje. Niech mama jedzie do lekarza. Ja się wolę bawić tym białym. Dasz mi to potem jeszcze raz?

Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę – westchnęła Wiola. – A kiedy Marcin wyjedzie, to ja chyba zwariuję.

Jednak stanowczo zdecydowała, że nie powie już ani słowa mężowi. Jeszcze postanowi wprowadzić w czyn swój pomysł. O nie, nie zniesie obecności teściowej nawet przez jeden dzień! Poczowała mocne kopnięcie malucha, jakby i on nie miał ochoty na wizytę babci.

– Mądre dziecko z ciebie. – Pogłaskała się po brzuchu. – Tylko pamiętaj, że styropian i folia bąbelkowa są niejadalne.



Poniedziałek zapowiadał się równie słonecznie jak weekend. Już o siódmej słońce wyglądało zza pobliskich bloków, ogrzewając ptaki, koty i coraz liczniejszych

przechodniów. Malwina obudziła się kilka minut po szóstej, co wprawiło ją w zdumienie. Rzadko wstawała przed dziewiątą, zwłaszcza że późno się kładła. Nocny marek – mówiła matka, leń – twierdził czasami ojciec, ale sama Malwina wołała twierdzić, że jest typem sowy.

Skoro już nie śpię, to może zajrzę do rodziców – postanowiła. – Będę miała dzięki temu spokój na kilka dni.

Dojadła sałatkę z wczorajszej kolacji, popiła mocną kawą, wzięła prysznic i nie zwracając sobie głowy zmywaniem czy ścieleniem (w końcu mieszkam sama i nic nie muszę – stwierdziła), zjechała do podziemnego garażu. Nie miała samochodu, ale ojciec zapobiegliwie wykupił tam miejsce. A skoro już było, stawiała tam swojego czarnego holendra. Teraz z radością i dumą patrzyła na rower przypięty do jakiejś rurki biegnącej wzdłuż ściany. W otoczeniu większych i mniejszych samochodów prezentował się bardzo oryginalnie. Pewnie sąsiedzi mają mnie za jakąś wariatkę – pomyślała. – I dobrze. Niech mają. Nie każdy potrafi wyrwać się z mieszczańskiej mentalności.

Zadowolona z odświeżonego poczucia własnej oryginalności z energią naciskała pedały. Życie jest piękne! Złota polska jesień w pełni, niczego nie muszę, jestem wreszcie wolna i niezależna! – krzyczała w duchu. Z impetem skręciła kierownicą i wyjechała zza rogu.

W ostatniej chwili zobaczyła niewielki kształt wbiegający tuż pod koła. Bardziej odruchowo niż świadomie nacisnęła hamulce, rower gwałtownie się zatrzymał, zapiszczały opony, a Malwina poczuła, że traci równowagę. Zanim zdążyła racjonalnie ocenić sytuację, leżała na chodniku, a w uszach dźwięczał przeraźliwy skowyt.

– Kubuś! Boże drogi, Kubuś! Nic ci się nie stało?! – Usłyszała.

Czyżby to było dziecko? – pomyślała z przerażeniem. – Potrąciłam je?

Odrzuciła na bok rower i rozcierając stłuczone kolano, podniosła się z trotuaru. Wstając, zobaczyła najpierw dość zgrabne nogi w na oko dziesięciocentymetrowych szpilkach, potem ołówkową spódnicę, mocno wcięty w talii żakiet, a na końcu wściekłą kobiecą twarz.

– Wariatka! – wykrzyczały krwistoczerwone usta, a podkreślone mocną kreską błękitne oczy rzucały błyskawice. – Przejechała pani Kubusia!

Malwina powoli dochodziła do siebie. Rozejrzała się, ale nie zauważyła żadnych zwłok, więc z ulgą wypuściła nagromadzone w płucach powietrze.

– Chyba się pani myli... – zaczęła, ale stojąca naprzeciwko kobieta nie dała jej dojść do głosu.

– Jeszcze śmie pani dyskutować?! Co za bezczelność! – Rozglądała się dokoła, a wściekłość powoli ustępowała z nienagannie umalowanej twarzy, zmieniając się w troskę i niepokój. – Biedactwo, chyba jest w szoku. Wyrwał się i pobiegł przed siebie. A jeśli się utopi? – Na powrót spojrzała na rowerzystkę. – Poniesie pani konsekwencje swojej niefrasobliwości, zapewniam panią – stwierdziła stanowczo.

– Ja? – Malwina odzyskała równowagę i pewność siebie. – To pani powinna lepiej pilnować swojego Kubusia. Skoro nie potrafi spokojnie chodzić, trzeba było go lepiej trzymać. Może na smyczy, skoro taki niesforny – zaproponowała złośliwie i aż znieruchomiała ze zdziwienia, słysząc w odpowiedzi:

– Ależ był na smyczy!

Nie zdążyła powiedzieć, co sądzi o matkach, które o siódmej rano nie zapominają o makijażu i szpilkach, a swoje dzieci prowadzą na smyczy, bo rozmówczynie nagle rzuciła się do przodu.

– Kubuś! Jesteś! Co za szczęście!

Malwina obejrzała się i zobaczyła, że w ich kierunku idzie szczupła kobieta z pieskiem na rękach.

– Przepraszam, czy to piesek którejś z pań? – zapytała, czerwieniąc się lekko. Nie doczekała się odpowiedzi, ale radość, z jaką elegancka pani tuliła do piersi wyrwanego jej zwierzaka, zastąpiła wszystkie słowa.

– Siedział obok drzwi na klatkę i bardzo się trząśł. Chyba coś go wystraszyło... – tłumaczyła. – Nie chciałam go tak zostawiać. Miał smycz, więc pomyślałam, że komuś się wyrwał i uciekł...

Elegancka kobieta już opanowała emocje. Postawiła pieska na trawniku i wyciągnęła do wybawczynie yorka rękę.

– Bardzo pani dziękuję. Uratowała pani Kubusia. Jak ma pani na imię?

– Róża. Nie ma za co dziękować. Nic takiego nie zrobiłam. Po prostu było mi go żal...

– Kobieta delikatnie uściśnęła podaną rękę.

– Nie wszyscy przejmują się losem zwierząt. Na przykład tamta pani – wskazała Malwinę – nie myśli nawet o ludziach. Jeździ po chodniku jak szalona i, proszę zobaczyć, jeszcze się śmieje.

Rzeczywiście, Malwina, kiedy zorientowała się, że Kubuś nie jest dzieckiem, a yorkiem z różową kokardką na głowie, dostała ataku śmiechu. Napięte do granic możliwości nerwy i nagły stres znalazły ujście w niepohamowanym chichocie, który bezskutecznie próbowała opanować.

– Naprawdę przepraszam, nie chciałam skrzywdzić... Kubusia. – Podeszła do kobiet i próbowała się wytłumaczyć, ale śmiech nie dodawał wiarygodności jej słowom.

– Nie daruję pani tego – powiedziała lodowatym tonem właścicielka zwierzęcia. – Wzywam policję, a pani – zwróciła się do Róży – będzie świadkiem.

– Ale... ja niczego nie widziałam. – Wizja składania zeznań, a może nawet wezwania do sądu, najwidoczniej przeraziła Różę. – Poza tym spieszę się do pracy... Do widzenia. – Chciała się oddalić, ale kobieta z Kubusiem zastąpiła jej drogę.

– Nazywam się Liliana Jabłońska, mieszkam w tym bloku – wskazała na budynek – na najwyższym piętrze. Zapraszam panią na kawę, chciałabym się odwdziżyć. – Widząc wahanie na twarzy rozmówczynie, dodała szybko: – Proszę nie odmawiać.

Róża, czerwona już po koniuszki włosów, pokiwała tylko głową i ruszyła szybkim

krokiem przed siebie.

– Czekam na panią w piątek wieczorem. Może być? – I nie zawracając sobie głowy potwierdzeniem przez Różę terminu spotkania, znowu zajęła się Malwiną. – Wygląda na to, że się pani upiecze. Ale ostrzegam, że następnym razem poinformuję odpowiednie służby o pani nieodpowiedzialnym zachowaniu.

Odeszła, stukając obcasami.

Co za wstrętna baba! – pomyślała Malwina. – Niezłych mam sąsiadów, nie ma co!

Dopiero teraz mogła spokojnie zająć się sobą i rowerem. Podciągnęła spódnicę, żeby obejrzeć szczypiące kolano. Na szczęście to tylko głębsze zadrapanie. U rodziców czymś przemyje rankę. Obmacała boki i łokieć, ale wyglądało na to, że były tylko stłuczone. Holender też nie odniósł poważniejszych obrażeń, poza lekko wgniecionym przednim błotnikiem.

Zabrała z trawnika swój worek i wsiadła na rower. Niewiele pozostało z porannego animuszu, mimo to na wspomnienie wizji dziecka prowadzonego na smyczy przez wyfiokowaną mamusię, uśmiechnęła się do siebie. Nieodpowiedzialne zachowanie, też mi nowina! – pomyślała. – Od dziecka słyszę to na każdym kroku. Szczególnie od tych, którzy uważają, że kobieta po dwudziestym piątym roku życia powinna nosić szpilki i żakiety. Phi!



W Lewiatanie, największym sklepie na osiedlu, od samego rana panował ruch. Najpierw odwiedzali go poranni klienci, kupujący przede wszystkim pieczywo na śniadanie lub słodkie bułki do pracy, spieszący się i nerwowo przestępujący z nogi na nogę w kolejce do kasy. Później przychodził czas starszych mieszkańców – powoli drepczących emerytów, babć z wnukami – i matek z dziećmi. Ci robili zazwyczaj większe zakupy, dla całych rodzin. Przechodzili wzdłuż półek niespiesznie, mieli czas na oglądanie towarów, a przede wszystkim ich cen. Sklep cieszył się opinią miejsca, gdzie stosunkowo dobre artykuły można było kupić za rozsądną cenę, więc klientów nie brakowało.

– Oskar! – Wioletta w ostatniej chwili odciągnęła syna na bezpieczną odległość od przypominającego wilczura mieszańca, którego na czas zakupów właściciel przywiązał do stojaka na rowery. – Tyle razy ci mówiłam, że nie wolno zbliżać się do nieznanych psów. Mógł cię ugryźć.

– Ale ja go znam. Widziałem rano przez okno, jak szedł na spacer – tłumaczył malec. – I machał ogonem, a babcia mówiła, że jak pies macha ogonem, to znaczy, że mnie lubi.

Wiola westchnęła zrezygnowana. Po raz kolejny babcine mądrości omal nie doprowadziły do nieszczęścia.

– Babci tu nie ma, więc ja decyduję. I raz na zawsze zapamiętaj, że nie wolno ci podchodzić do żadnego psa. Koniec i kropka!

– Jesteś niedobra! – wrzasnął Oskar. – Babcia jest lepsza!

– To cię do niej zawieziemy i zostawimy! – Wiola ledwie panowała nad sobą. Marcin wyjechał poprzedniego wieczora. Przez tę całą przeprowadzkę nie zdążyli zrobić większych zakupów, więc musiała to załatwić sama. A dokładniej z synem. I już wiedziała, że łatwo nie będzie. Wciągnęła Oskara przez szklane drzwi i wzięła duży koszyk na kółkach.

– Ja chcę jechać – oznajmił mały.

– Nie dasz rady, kochanie. To nie supermarket. Tutaj jest mało miejsca, nie poradzisz sobie na zakrętach. – Tłumaczyła, starając się zachować spokój.

– To chcę do supermarketu!

– Pojedziemy w niedzielę, z tatą.

– Chcę teraz! – Chłopiec nie zamierzał ustąpić. Trzymał się kurczowo barierki.

– Proszę cię, nie krzycz. Wiesz przecież, że w sklepie trzeba się grzecznie zachowywać. – Wioletta starała się skłonić dziecko do puszczenia metalowej rurki. Bezskutecznie. Oskar rozpoczął swój koncert.

– Chcę do supermarketu! – wył. – I chcę jeździć wózkiem!

Zablokowali wejście na halę, więc za nimi zaczął się już gromadzić spory tłumek zniecierpliwionych klientów. Wiola była coraz bardziej zdenerwowana, miotła się między wózkiem a synem, czując, że zaczyna ją ścisnąć w mostku, a dziecko w brzuchu poruszyło się niespokojnie.

Jeszcze tego brakuje, żebym tu zemdlała – pomyślała przerażona.

– Wchodzi pani, czy nie? – Mężczyzna najwyraźniej bardzo się spieszył. – Nie widzi pani, że ludzie chcą zakupy zrobić? – Pomachał w jej stronę reklamówką z trzema pustymi butelkami po piwie, dając do zrozumienia, że nie może dłużej czekać.

Oskar nadal wył, a torba na zakupy zaczepiła się o wózek. Pot spływał Wioli po karku.

– Spokojnie, pomogę pani. – Głos, który usłyszała, zabrzmiał jak anielski śpiew. Chociaż należał do kobiety w kwiecistej sukience.

Wioletta stanęła i z wdzięcznością patrzyła, jak nieznajoma spokojnie, nie zwracając uwagi na dziecko, najpierw odczepia torbę, a potem ujmuje samą Wiołę pod ramię, drugą ręką prowadząc wózek.

– A ty możesz tutaj zostać i płakać albo się uspokoić i grzecznie iść za nami – powiedziała do Oskara i pociągnęła jego matkę w kierunku regału z proszkami do prania.

Wiola chciała zaprotestować, ale stanowczy uścisk na przedramieniu sprawił, że nie powiedziała nic. Potulnie poszła z kobietą.

Zrobiły zaledwie kilka kroków, a tuż przy nich pojawił się Oskar.

– Chciałaś mnie zostawić! – wrzasnął z pretensją.

Zamiast matki odpowiedziała mu nieznaną pani:

– Mama nie chciała cię zostawić, ale ja ją zabrałam. Twoja mama źle się czuje, potrzebuje pomocy i spokoju. A ty nie umiałeś się odpowiednio zachować.

– Tata mówił, że mama nie jest chora, tylko ma dzidziusia w brzuchu. – Chłopiec nie dawał za wygraną. – I powiedział, że jestem tak samo ważny jak dzidzius. – Popatrzył na matkę, czekając na potwierdzenie, ale mama znowu się nie odezwała. Za to kobieta, która ją zabrała, kucnęła obok Oskara.

– Tak, jesteś tak samo ważny jak dzidzius. Tata miał rację. A powiedz, czy chciałbyś, żeby ciągle przeszkadzało ci jakieś niegrzeczne dziecko?

– Nie.

– Dzidzius też nie chce. Rozumiesz, prawda? – Widząc, że mały kiwa głową, uśmiechnęła się i dodała: – A dopóki dzidzius nie wyjdzie z brzuszka mamy, ona ma tylko ciebie. I powinienes jej pomagać. Szczególnie kiedy nie ma taty, bo wtedy jesteś jedynym mężczyzną przy mamie. Dasz radę?

Wiola patrzyła, jak nieznaną, niczym wróżka z bajki, dokonuje tego, co jej nie udawało się od lat. W jednej chwili jej nieznośny syn stanął spokojnie i chwycił ją za rękę.

– No, teraz możemy już chyba spokojnie zrobić zakupy. – Kobieta-czarodziejka uśmiechnęła się. – Czuje się pani na siłach?

Razem wyszły ze sklepu i powoli ruszyły w stronę domu.

– Jak pani udało się okiełznać tego mojego diabełka? Jestem pełna podziwu, naprawdę!

– Nie ma o czym mówić. Wychowałam dwoje, więc mam większą praktykę. – Roześmiała się nowa znajoma. – Ale powiem pani, że najważniejsze są jasne zasady i konkretne komunikaty. Dziecko musi wiedzieć, co mu wolno, a czego nie.

– Żeby to było takie proste... – westchnęła Wiola.

– Jest. Trzeba tylko trochę konsekwencji. I radzę pani zacząć już teraz, bo inaczej za parę miesięcy – spojrzała na brzuch towarzyszki – będzie pani miała urwanie głowy.

– Jak dobrze spotkać życzliwą osobę, naprawdę. Nie wiem, jak pani dziękować. Sama pewnie jeszcze odrywałabym go od barierki.

– No, młody człowieku – kobieta zwróciła się do Oskara – dzisiaj poszło doskonale, więc mam dla ciebie nagrodę. – Wyciągnęła z płóciennej torby jabłko. – Tylko najpierw poproś mamę, żeby ci umyła.

– Wolałbym czekoladę – wydał usta Oskar, a Wiola rozpoznała tę minę natychmiast. Była preludium kolejnego pokazu ryków. Tymczasem ich towarzyszka wcale się tym nie przejęła.

– Od czekolady psują się zęby. A od jabłek twardnieją mięśnie – powiedziała spokojnie. – Sam zdecyduj, co jest lepsze dla mężczyzny.

Oskar zamyślił się i trwał w tym stanie aż do wejścia do domu, gdzie nieoczekiwanie zupełnie grzecznie powiedział do matki:

– Umyj mi to jabłko na mięśnie, to jutro pomogę ci nosić zakupy.

Gdybym miała taką teściową, życie byłoby dużo łatwiejsze – pomyślała Wioletta. Niestety, musiała liczyć tylko na siebie.



– Dzień dobry. – Róża weszła do windy i musiała docisnąć się plecami do ściany, bo prawie całą powierzchnię dźwigu zajmowała kobieta z dużym ciężowym brzuchem, kilkuletni chłopiec z plastikową ciężarówką pod pachą, jakiś niebieski pojazd na czterech kołach oraz spora torba, z której wystawały łopatki, grabki i inne dziecięce zabawki. W pierwszej chwili chciała się wycofać, w końcu bez problemu mogła zejść z trzeciego piętra piechotą, ale kobieta z windy, widząc jej wahanie, zachęcająco kiwnęła ręką.

– Niech pani wchodzi, zmieścimy się.

Róża, jak zwykle, uległa, wślizgnęła się i teraz miała nadzieję, że w nowym bloku ściany windy są jeszcze na tyle czyste, że nie ubrudzi białego sweterka. Szła na prywatne lekcje do domu ucznia i zależało jej na schludnym wyglądzie. Starła się nie patrzeć na towarzyszy jazdy. Wbijiała wzrok w tabliczkę pokazującą mijane piętra.

– A mnie prawie ugryzł pies. – Mała rączka nieoczekiwanie pociągnęła za brzeg spódnicy, co zmusiło Różę do spojrzenia na chłopca.

– Oskar, nie zaczepiaj obcych ludzi – skarciła go matka ostrym tonem.

– Pani nie jest obca, jedzie z nami windą – ocenił mały.

Róży zrobiło się żal dzieciaka.

– Nie szkodzi – powiedziała.

– A pani lubi psy? – Oskar nie dawał za wygraną.

– Takie, które nie gryzą. – Róża uśmiechnęła się. Zazdrościła dzieciom tej łatwości nawiązywania kontaktów. Sama jej nie miała. – Ale wolę koty.

– Ja też lubię koty. U babci miałem jednego, a tu nie mam – zasmucił się mały. – A pani też ma kota u babci?

– Nie, mam u siebie w mieszkaniu. Nawet dwa. – Róża z dumą wspomniała o swoich pupilach.

– Naprawdę?! A będę mógł do pani przyjść i zobaczyć?

– Oskar, daj pani spokój! – Dłoń matki ozdobiona długimi tipsami, w których wtopione były malutkie błyszczące kamyki, dotknęła ramienia syna. – Dojechaliśmy. Wyjdź i poczekaj grzecznie, aż to wszystko wyniosę.

– Pomogę pani – zaofiarowała się Róża, choć dziwiła się w duchu, jak można cokolwiek zrobić, mając tak długie paznokcie. Nie czekając na zgodę, chwyciła czterokołowy pojazd i wyniosła przed klatkę.

Mama Oskara wytoczyła się tuż za nią z torbą w ręku, popychając syna przed sobą.

– Dziękuję. Nigdy nie potrafi zdecydować, co chce zabrać. Przyzwyczył się, że ma zabawki pod ręką, na podwórku przed domem i teraz są problemy.

– To mogę do pani przyjść? Do kotków? – Dzieciak wiedział, czego chce i nie odpuszczał.

– Tak, możesz, oczywiście. Ale kiedyś, bo teraz muszę iść. Do widzenia.

– A gdzie pani mieszka? – Mała rączka chwyciła za sweter, zostawiając na nim ślad czegoś lepkiego.

– Na trzecim piętrze – rzuciła Róża i odeszła szybko, zastanawiając się, czy usunie plamę za pomocą wody mineralnej.

– Kochanie, niegrzecznie jest tak wypytywać dorosłych. – Wiola próbowała zachować spokojny ton, jaki słyszała rano u kobiety w sklepie. – Mogą się pogniwać.

– Ta pani się nie gniewa. Jest miła – orzekł Oskar.

Wioletta spojrzała na drobną postać odchodzącej sąsiadki. Może i miła, ale zupełnie bez wyrazu – pomyślała. – Żadnego makijażu, szara spódniczka i biały sweterek. Jak uczennica z katolickiej szkoły.



W środowe popołudnia Róża zawsze miała dobry humor. Wiedziała, że minęła już połowa tygodnia i zaczynała cieszyć się nadchodzącym weekendem. Co prawda w środy miała aż trzech uczniów po południu, ale za to w szkole tylko dwie godziny. Woliała korepetycje niż prowadzenie lekcji, bo podczas prywatnych spotkań przebywała tylko z jednym uczniem, który zazwyczaj był zainteresowany tym, co mówiła, a obecność rodziców za ścianą gwarantowała odpowiednie zachowanie.

Za to każda godzina w klasie była dla niej katuszą. Zastanawiała się, czy kiedy ona chodziła do szkoły, uczniowie byli tacy sami i doszła do wniosku, że nie. Owszem, zawsze znalazło się kilku łobuziaków, ale wizja wezwania rodziców studziła skutecznie ich temperamenty. A teraz? Nawet nie chciała sobie przypominać tego, co musiała znosić. Dwuznaczne komentarze, po których czerwieniły się jej policzki, co skutkowało idiotycznym rechotem, głupie pytania zadawane wyłącznie po to, żeby zepsuć lekcje i wytrącić ją z równowagi. Nie umiała sobie radzić z chamstwem i bezczelnością, nikt nie przygotował jej do mierzenia się z ciemną stroną życia. Matczyne pogadanki o tym, że kultura i dobroć zawsze zwyciężają, można było włożyć między bajki.

Zazdrościła koleżankom, które potrafiły okiełznać gimnazjalistów, chociaż w głębi duszy nie podobało jej się stawianie samych jedynek, ciągłe kartkówki i złośliwe komentarze dotyczące uczniów. Nie tak wyobrażała sobie rolę nauczyciela. Z drugiej strony, jak powiedział jeden z kolegów: to jest wojna – albo my pokonamy ich, albo oni nas. Może i miał rację, tyle że Róża nie nadawała się na żołnierza.

Gdybym tylko mogła zrezygnować z pracy w szkole – myślała każdego ranka. Ale nie mogła. Wiedziała że jest sama i nie sądziła, żeby ten stan się zmienił. Musiała zadbać o emeryturę, bo nie miała nikogo, kto kiedyś się nią zaopiekuje. Dziękowała więc w duszy systemowi za ferie, wakacje i długie weekendy, odmierzając czas od jednych do drugich.

A dzisiaj była środa. Jeszcze dwa dni do końca tygodnia. A w przyszłym aż dwie klasy jadą na wycieczkę, więc odpadną co najmniej cztery godziny w szkolnej sali.

– No, chłopaki, wychodzę. Wrócę dopiero wieczorem, więc pewnie będziecie tęsknić. – Pogłaskała Bosmana, bo Kapitan, jak zwykle, gdy wychodziła, okazywał swoje niezadowolenie i chował się pod łóżko. – Bądźcie grzeczni, to wieczorem dostaniecie coś smacznego.

Spojrzała w lustro i raz jeszcze przyglądała włosy spięte w ciasny kucyk. Sprawdziła, czy ma w torebce wszystkie potrzebne materiały, zajrzała do łazienki, żeby skontrolować kuwety i wyszła, cicho zamykając drzwi.

– Dzień dobry!

Aż podskoczyła, bo gdy wysiadała z windy na parterze, nie spodziewała się nikogo.

– Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć. – Przed sobą miała ucznia z III b, wyrosniętego nastolatka w bluzie z kapturem i dżinsowych rurkach.

– Dzień dobry, Dominiku – odpowiedziała i przeszła obok chłopaka, starając się nie patrzeć mu w oczy. Że też nawet we własnym bloku musiała natknąć się na ucznia! Odetchnęła dopiero, gdy usłyszała, że drzwi windy się zamknęły. Już jej nie widział. Napięcie ustąpiło i dobry humor powrócił.



– Pójdziemy do sklepu i kupimy soczek? – zapytała szybko Wioletta, widząc, że Oskar zrobił sobie przerwę na złapanie oddechu.

Przed chwilą zbieganie z górki zakończyło się upadkiem, co przewidziała, ale nie była w stanie dogonić rozbawionego syna i zapobiec realizacji wykrzychanego radośnie pomysłu. Kiedy dotarła do dziecka, mały siedział na trawie, a wielkie łzy spływały mu po policzkach.

– Boli!

Zdyszana, objuczona torbą z zabawkami, nie miała siły i ochoty na zwyczajowe „a nie mówiłam!”. Jakoś udało się jej kucnąć przy synku i podwinąć nogawkę spodni. Widok zdartej skóry i kilku kropel krwi zmobilizował Oskara do wokalnego oznajmienia światu swojego nieszczęścia, więc kobieta szybko zakryła otarcie chusteczką higieniczną i zaczęła w myślach liczyć do dziesięciu. Ciekawe, kiedy zwariuję – pomyślała.

To był chyba piąty ryk tego dnia. Próbowwała stosować metody polecane

w telewizyjnych programach o wychowywaniu dzieci, ale musiała szczerze przyznać, że nie potrafiła wytrwać w danym postanowieniu. Wrzaski syna albo wzbudzały w niej złość, co jeszcze podkreślało małego, albo pragnienie, żeby jak najszybciej przestał, więc dawała mu to, czego chciał. Chyba nie potrafię być konsekwentna – stwierdziła. – A może w ogóle nie nadaję się na matkę?

Popatrzyła na płaczącego syna, na brzuch, w którym rosło kolejne dziecko i poczuła, że też zaraz się rozpłaczę. Kolejna chusteczka znalazła zastosowanie.

Na widok płaczącej matki Oskarowi ze zdziwienia zabrakło tchu. Wiola, kierując się instynktem, nie przestawała pociągać nosem i zapytała:

– Pójdziemy do sklepu i kupimy soczek?

Mały pokiwał głową. Udało się! Zamilkł i zapomniał o sztuczonym kolanie. Wiola wiedziała, że jeżeli szybko nie dostanie czegoś, co go zajmie, przypomni sobie o przyczynie płaczu i da kolejny koncert. Na szczęście po drugiej stronie ulicy, tuż przy ich bloku, była Żabka.

– Zobacz, widzisz jakie tam jest zwierzątko? – Wskazała na szyld sklepu.

– Żaba – odpowiedział syn. – Kum, kum – dodał i zaczął podskakiwać, szarpiąc przy tym matczyną rękę. Najwyraźniej nic go już nie bolało.

Sklepek był niewielki, na szczęście o tej porze dnia nie zastała tam wielu kupujących. Przy półkach z gotowymi daniami stała jakaś dziewczyna, a młody chłopak właśnie wyjął z lodówki piwo i podszedł do kasy, żeby za nie zapłacić.

– Który soczek chcesz? – zapytała Oskara, wskazując rząderek butelek i kartoników. Miała nadzieję, że dziecko szybko się zdecyduje, bo w sklepie było duszno, a torba z zabawkami ciążyła jej coraz bardziej.

Mały stał i po kolei oglądał kolorowe pudełka. Wioletta wachlowała się chusteczką i marzyła o tym, żeby zdjąć buty i wyciągnąć nogi na kanapie. Nagle poczuła mocne kopnięcie i zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zemdleję. – Pomyślała z przerażeniem i ostatkiem sił chwyciła metalową rurkę regału.

– Proszę pani! Mamie coś się dzieje! – Tym razem Oskar wykazał się bystrością i refleksem, a jego rozdzierający wrzask okazał się atutem.

Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Dziewczyna wybierająca chińskie zupki podtrzymała Wiołę, a sprzedawczyni pobiegła na zaplecze i przyniosła niewielki taboret. Usadziły Wiołę, podały jej butelkę z wodą mineralną i zaczęły wachlować gazetą.

– Może wezwać pogotowie? – Zastanawiała się głośno sprzedawczyni. – To ciężarna...

– Nie trzeba – wyszeptwała Wiola. – Już mi lepiej. To tylko dziecko kopnęło...

Akcja ratunkowa trwała jeszcze kilka minut. Powiew i zimna woda sprawiły, że kobieta szybko dochodziła do siebie.

– Oskar! – Przypomniała sobie o synu.

Dziecko stało bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami.

– Chodź do mamy – poprosiła.

Podszedł powoli i nieśmiało zerknął na twarz matki.

– Nie umrzesz? – zapytał cichutko.

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła i patrząc w ogromne, wystraszone oczy, poczuła, że wybacza mu wszystkie ryki i wrzaski. Przytuliła dziecko i głaskała po głowie.

– Przepraszam za zamieszanie. Narobiłam paniom kłopotu. Ale już wszystko w porządku, zaraz sobie pójdę... – tłumaczyła się nieskładnie. – Pierwszy raz mi się to zdarza. Chyba przez tę duchotę... Już idę. – Próbowwała wstać z taboretu.

– Nigdzie pani sama nie pójdzie. Mowy nie ma! – zaprotestowała stanowczo dziewczyna od zupek.

– Muszę, syn zaraz powinien zjeść obiad – upierała się Wiola. – Mieszkam tu, po drugiej stronie ulicy, dam radę.

– O, doskonale! – Ucieszyła się rozmówczyni. – Ja też tam mieszkam, więc pójdziemy razem. No, młody, chodź do cioci – zawołała Oskara. Podszedł posłusznie, a dziewczyna zdjęła korale i jeden koniec przywiązała dziecku do ręki, a drugi do swojego nadgarstka. – Nie mam doświadczenia z takimi maluchami, a nie chcę, żebyś wpadł pod samochód. – wyjaśniła. – W domu cię rozwiążę. No, bierzemy te toboły i ruszamy! – zarządziła.

Wioletta nie zgodziła się na propozycję sąsiadki, która nalegała, żeby całe towarzystwo poszło do niej.

– Oskar musi zjeść.

– W takim razie ja pójdę do pani – zarządziła towarzyszka. – Nakarmię małego, a pani się położy.

Wiola jakoś nie potrafiła zaprotestować. Myśl o kanapie była silniejsza niż rozsądek. Rzeczywiście nie czuła się najlepiej i zaczynała się obawiać, jak poradzi sobie z rozbrykanym czterolatkiem. Nowa znajoma wydawała się jedynym rozwiązaniem.

Zasnęła, kiedy tylko znalazła się w łóżku. Kiedy się obudziła, w domu panowała cisza. Niepokojąca cisza. Podniosła się gwałtownie i zobaczyła, że kobieta poznana w sklepie siedzi w fotelu i pisze coś na telefonie.

– Już pani wstaje? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: – To dobrze, bo ja muszę lecieć. Mam mały event na mieście.

– Gdzie Oskar?

– Śpi. Chyba też się trochę zestresował. – Roześmiała się kobieta. – Zjadł kotleta z chlebem. To było na wierzchu w lodówce, a nie chciałam się rządzić.

– On nie lubi kotletów. – Wiola się zdziwiła.

– No to dzisiaj lubił. – Dziewczyna wzruszyła ramionami i zerkając w szybkę regału, zmierzwiła palcami rude włosy. – Powiedziałam mu, żeby mnie nie stresował, bo ja się na dzieciach nie znam. A, jak wstanie, będzie chciał namalować mój portret. O ile nie zapomni. Zostawiłam mu kilka pasteli, akurat miałam w torebce. – Wskazała na worek, którego wielkość sugerowała, że może pomieścić dużo więcej niż kilka kredek. – To do zobaczenia! – Okręciła się, szeleszcząc szerokimi rękawami bluzki i znikła

w przedpokoju. Trzaśnięcie drzwiami oznajmiło, że wyszła.

Rany boskie – pomyślała Wioletta. – Wpuściłam obcą kobietę do domu i spałam w najlepsze. Mam nadzieję, że nic nie zginęło!

Wstała i sprawdziła torebkę, a potem szafkę, w której trzymała gotówkę. Wszystko było na miejscu, więc odetchnęła z ulgą. Zmyła talerz i patelnię, startła okruszki z szafki, naląła sobie wody i poszła zajrzeć do pokoju syna. Spał z uśmiechem na twarzy. Kiedy nakrywała go kocem, zapytał przez sen:

– Ciocia Malwina?

– Mama, ciocia już poszła. Śpij, kochanie.

A więc ma na imię Malwina – pomyślała, cicho przyzymkając drzwi dziecięcego pokoju. – Nawet jej nie podziękowałam, tak szybko wyszła.



Wiola starała się wygodnie umościć na przednim siedzeniu. Marcin czekał cierpliwie, żeby zamknąć drzwi. Z tyłu, w foteliku, wiercił się Oskar podekscytowany obietnicą wizyty w bawialni. Znał to miejsce jedynie z opowiadań, bo dotąd rodzice zawsze sami jeździli na zakupy do galerii. Dziś po raz pierwszy miał zobaczyć te wszystkie cuda, o których opowiadały odwiedzające ich czasami dzieci znajomych.

– Przepraszam pana, czy zna się pan na samochodach?

– Zależy o co chodzi...

– Nie świeci mi się lewe przednie światło. Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. A dziś, jak na złość... Zerknie pan?

– Oczywiście. Nie wiem, czy coś poradzę, ale zobaczyć zawsze można. Kochanie, zaraz wracam – zwrócił się do żony i tyle go widziała.

Wioletta nie zauważyła, kto mówi, ale po głosie poznała, że to kobieta. I raczej atrakcyjna, bo Marcin tak skwapliwie rzucił się do pomocy. Że też zawsze coś musi im przeszkodzić! Przecież nie będzie tu siedziała i czekała w nieskończoność. W tej pozycji kręgosłup mi pęknie. – Usprawiedliwiała się sama przed sobą. – Muszę wysiąść.

Prawdę mówiąc, była po prostu ciekawa, jak wygląda nieznajoma, której Marcin bez namysłu pospieszył z pomocą. Wygramoliła się z samochodu i rzuciwszy Oskarowi krótkie:

– Siedź spokojnie, zaraz wracam – ruszyła w stronę, z której dobiegał głos męża.

Nie musiała daleko szukać. Minęła zaledwie kilka samochodów, kiedy natrafiła na najnowszy model „ravki”, przy którym pochylał się Marcin. Obok niego stała kobieta w eleganckim kostiumie i w butach z czerwonymi podeszwami, których nazwy Wiola nie pamiętała, ale wiedziała, że oryginalne są bajecznie drogie. I jakoś nie podejrzewała, żeby ta kobieta mogła mieć na nogach podróbki.

Za to ja jestem od niej ładniejsza. – Wiola pocieszyła się w myślach. – No, oczywiście

nie teraz, nie z tym brzuchem, ale oczy mam większe i bardziej wydatne usta. Gdyby zmyła ten staranny makijaż, byłaby całkiem przeciętna.

– Długo to potrwa? – rzuciła w powietrze. – Oskar już nie może wysiedzieć...

– Jeszcze chwilę. – Marcin podniósł głowę znad przedniej maski samochodu. – To tylko wymiana żarówki, na szczęście w tym modelu obejdziesz się bez mechanika.

– Bardzo panią przepraszam, ale jestem nieco zdesperowana – zwróciła się wreszcie bezpośrednio do Wioli nieznajoma. – Mam dzisiaj kilka spotkań, nie zdążyłabym bez samochodu.

– Oczywiście, rozumiem. – Wiola była zła na siebie, że nie potrafi powiedzieć nic mądrzejszego.

Zapadła męcząca cisza. Wioletta poczuła się zbędna. Stała jeszcze chwilę, udając, że obserwuje męża, ale spod oka zerknęła na nienaganną figurę sąsiadki, którą tamta umiała doskonale podkreślić, opierając się, pozornie niedbale, o bok samochodu. Widać, że jest bogata i pewna siebie – pomyślała. – Kiedyś też taka będę. Niech tylko firma Marcina jeszcze bardziej się rozkręci. I spłacimy kredyt. I urodzę wreszcie to dziecko.

Poczuła, że dłużej tu nie wytrzyma.

– Wracam do samochodu – powiedziała i odwróciła się, starając ominąć wzrokiem kobietę, przez którą poczuła się nagle brzydka i niepotrzebna.

– Zaraz do ciebie dołączę – zapewnił Marcin.

– Do widzenia. Miło było panią poznać – powiedziała właścicielka toyoty.

Wioletta udała, że nie słyszy.

– Kiedy pojedziemy?! – Oskar był gotów do urządzenia awantury. Powstrzymał się tylko dlatego, że nie był pewien, czy to nie przekreśli szansy na wizytę w bawialni.

– Już jedziemy. – Marcin jak duch pojawił się w aucie. Uśmiechnięty i zadowolony. – Sprawa załatwiona.

– Za to nasze sprawy w lesie – odpowiedziała złośliwie.

– Wszystko nadrobimy. – Mężczyzna tryskał humorem, co jeszcze bardziej zirytowało Wiolettę.

– Bola mnie plecy, nie wiem, czy dam radę długo chodzić...

– Ja chcę do bawialni! – Oskar wyczuł, że jego marzenie jest zagrożone.

– Będzie bawialnia, nie martw się. – Ojciec odwrócił się do dziecka. – Mama ma gorszą chwilę. Tak bywa, kiedy kobieta ma dzidziusia w brzuszku.

– Albo kiedy mężczyzna ma w nosie to, co jej obiecał i leci pomagać innej.

Mały wyglądał na zdezorientowanego. Nie rozumiał, co mówi mama. Na szczęście ojciec rzucił wesoło:

– I tak cię kocham! – I pocałował mamę w policzek. A potem zapalił silnik. To oznaczało, że jednak będzie dzisiaj w bawialni. Pociągnął więc tylko nosem i zastygł w oczekiwaniu.



Winda stanęła nagle. Nie wydała wcześniej żadnego ostrzegawczego zgrzytu, nie straciła płynności, żarówki nie zamigotały. Po prostu, zupełnie nieoczekiwanie, zatrzymała się i już. Na dodatek zgasło światło. Zapanowała zupełna cisza i ciemność niczym czarna dziura pochłonęła pasażerki.

– Ja pierniczę! – W tym krótkim stwierdzeniu słyhać było mieszankę strachu i niedowierzania.

– O co chodzi?! – zawtórował drugi głos, dużo bardziej przerażony.

W tym momencie włączyło się awaryjne zasilanie i wewnątrz kabiny rozjaśniło się nieco. Wątkę światła kilku migających pod sufitem lampek wystarczyło, żeby uwięzione w metalowej kapsule kobiety mogły się widzieć.

– Wygląda na to, że utknęliśmy – stwierdziła Malwina.

Liliana nerwowo wyszarpnęła z torebki telefon i spojrzała na wyświetlacz.

– Spóźnię się – stwierdziła. – To skandal! Już ja sobie porozmawiam z tym, kto za to odpowiada. Pożałuje swojej niekompetencji. Do końca życia zapamięta ten dzień! – Ze złością upchnęła komórkę z powrotem do torebki.

– O, w to nie wątpię. – Malwina uśmiechnęła się pod nosem. Sama doskonale pamiętała pierwsze spotkanie z sąsiadką.

Liliana zmierzyła ją lodowatym wzrokiem. Przetarte na kolanach džinsy, płócienna kurtka i bluzka haftowana w kwiecisty wzór stanowiły może ciekawe zestawienie, ale tak dalekie od elegancji i klasy, że ledwo powstrzymała się, żeby nie pokręcić głową z dezaprobatą. Wzruszyła tylko ramionami i odwróciła się w stronę metalowej ściany kabiny.

Żadna kobieta nie puściłaby płazem takiej obrazy. Malwina już nabierała tchu, żeby powiedzieć tej wymuskanej damulce, co o niej myśli i gdzie ma jej taksujące spojrzenia, ale zanim zdążyła otworzyć usta, poczuła dłoń na ramieniu.

– Zastanawiałam się, czy to pani, ale chyba tak. – Brązowe oczy okolone grubą kreską eye-linera i rzęsami niczym lalka Barbie patrzyły na Malwinę z radością i wdzięcznością. – To pani pomogła mi, kiedy zasłabłam w Żabce, prawda? No, zajęła się pani Oskarem i w ogóle... To pani? Mam rację?

– Tak – potwierdziła Malwina. Była nieco zbita z tropu, bo twarz, którą widziała przed sobą, była zupełnie różna od tej, jaką zapamiętała. Jednak pokaźny ciążowy brzuch świadczył o tym, że była to jednak ta sama osoba. – Nie poznałam...

– A, bo wtedy nie byłam „zrobiona”. – Wiola machnęła ręką. – No i nie czułam się najlepiej. Ale poszłam do lekarza, dał mi jakieś witaminy czy coś i jest dużo lepiej. No to wyrwałam się z domu, żeby pobiegać po sklepach. A tu, jak na złość, takie coś. – Wydęła umalowane na perłowy róż wargi.

– No tak... – Malwina nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła na „zrobioną” sąsiadkę

i jej zmysł estetyki cierpiał. Już lepsza ta dama – pomyślała.

Wiola nie dawała za wygraną.

– Ja nawet pani nie podziękowałam – trajkotała, zadowolona, że po wielu dniach obcowania tylko z czteroletnim synem, ma wreszcie okazję porozmawiać z kimś dorosłym. Samotność i brak koleżanek mocno jej doskwierały. – Tak mnie to wszystko wyprowadziło z równowagi, że... A potem chciałam panią znaleźć, ale przecież nie mogłam pukać do każdych drzwi. No, ale los nas jednak znowu zetknął i...

– Nie ma sprawy – przerwała jej Malwina. – Nic wielkiego nie zrobiłam, więc nie mówmy już o tym.

– Jak to: nie mówmy? Oskarek już narysował chyba milion portretów cioci Malwiny. Trzeba przyznać, że nieźle mu to wychodzi. Może ma talent plastyczny, kto wie?

Liliana westchnęła ostentacyjnie. Za chwilę zacznie opowiadać ze szczegółami o swoim genialnym dziecku – pomyślała z niesmakiem. Nie znosiła matek zapatrzonych w swoje pociechy. Nie znosiła również przesadnie wymalowanych kobiet, którym wydawało się, że są seksownymi wampami, a bliżej im było do śmieszności niż do elegancji. A ta tutaj, gadająca jak nakręcona, łączyła najwyraźniej obie te cechy.

Słyszając westchnienie za placami, Malwina z radością postanowiła zrobić na złość tej, do której nie zapałała sympatią.

– Naprawdę lubi rysować? – zwróciła się z udawanym zainteresowaniem do Wioli. – Doskonale. To bardzo miłe i inteligentne dziecko. I takie bystre... – Miała nadzieję, że to wystarczy, żeby spowodować oczekiwaną reakcję matki.

Wioli zrobiło się bardzo miło. Skoro Oskar wydawał się taki inteligentny, to może nie była zupełnie beznadziejną matką? Jej sympatia do Malwiny jeszcze wzrosła. Postanowiła, że musi jakoś zacieśnić tę znajomość. Może zaprosić ją na kawę? Albo jakoś dowiedzieć się, gdzie mieszka?

– To może mógłby pani podarować jeden z tych rysunków? Na pewno bardzo by był zadowolony – zapytała, ciesząc się w duchu, że wpadła na taki sprytny sposób namierzenia mieszkania tej sympatycznej sąsiadki. – I przy okazji oddalibyśmy kredki, które mu pani pożyczyła.

Malwina w popłochu zastanawiała się, jak wybrnąć z tej sytuacji. W sumie nie miała nic przeciwko maluchowi, bo naprawdę rezolutne z niego dziecko, ale też sama nie wiedziała, czy odpowiadała jej bliższa znajomość z jego matką. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że są z zupełnie innej bajki.

Z pomocą przyszedł dzwonek telefonu dobiegający z czerwonej torebki z logo Michaela Kors'a. Liliana odebrała.

– Nie uwierzysz, ale siedzę zatrzaśnięta w windzie – powiedziała po wysłuchaniu kilku zdań dzwoniącego. – A skąd ja mogę wiedzieć jak długo? Oczywiście że się postaram. Jeśli tylko uda mi się stąd wydostać o rozsądnej porze. Tak, wiem, że miałyśmy to omówić, ale co poradzę... – Była coraz bardziej rozdrażniona. – Dobrze, oczywiście. Najwyżej ustalcie beze mnie. Pa! – Dotknęła czerwonej słuchawki

i spojrzała na towarzyszące jej kobiety. – Chyba powinniśmy coś zrobić, moje panie? Jakiś alarm musi tutaj być. Proszę sprawdzić – zwróciła się do milczącej dotychczas drobnej blondynki stojącej obok tablicy z przyciskami.

Róża zrozumiała, że mówi do niej. Chciała spełnić prośbę, ale poczuła, że kręci jej się w głowie, więc zamiast w stronę tablicy, skierowała rękę na błyszczącą poręcz i zacisnęła dłoń na chłodnym metalu.

– Przepraszam... – wyszeptała, wbijając wzrok w podłogę. – Ale...

Liliana nie pozwoliła jej dokończyć. Odsunęła ją stanowczym gestem i wcisnęła przycisk alarmowy. Zamigotał, ale nic się nie działo. Powtórzyła czynność, jednak skutek był taki sam.

– No i nic – skomentowała Malwina.

– Naprawdę, bardzo odkrywczе stwierdzenie – ironicznie odpowiedziała Liliana. – I bardzo pomocne.

– A co tu można zrobić? – Wiola poczuła, że kłótnia wisi na włosku. Postanowiła stanąć po stronie tej, którą polubiła. – Nic właśnie. Musimy czekać.

– Ale na co? – zapytała Liliana. Takie zachowanie było zupełnie nie w jej stylu. Czekać bez celu?

– Halo! Jest tam ktoś?! – zawołała. – Winda się zacięła! Proszę wezwać pomoc! – Uderzyła kilka razy w drzwi kabiny. – Halo! Ludzie!

Echo jej głosu znikło w głębinach szybu, ale odpowiedzi nie było.

Zrozumiały, że nie pozostało im nic innego, jak czekać. Na co, na kogo, jak długo? Nie wiadomo.

Kolejny kwadrans spędziły w milczeniu, każda pogrążona we własnych myślach. Ciszę przerywały tylko od czasu do czasu westchnienia, za pomocą których Liliana wyrażała swoje zniecierpliwienie i rozdrażnienie.

Róża coraz mocniej zaciskała dłoń na metalowej barierce. Każda minuta wydawała się wiecznością, serce biło coraz szybciej i poczuła spływającą po szyi strużkę potu. Zaschło jej w ustach, w głowie pulsowało. Starła się skoncentrować na dyskretnym obserwowaniu swoich towarzyszek w lustrzanych ścianach kabiny, ale obraz chwilami tracił ostrość. Niech ruszy – myślała. – Niech nas ktoś uwolni... błagam...

Malwina podeszła do sytuacji spokojnie. Po prostu wyciągnęła z worka chustkę, którą zabrała w obawie przed chłodem wieczoru, rozłożyła ją na podłodze windy i usiadła w kącie. Z kieszeni kurtki wyjęła batonik i zaczęła go zjadać.

Wiola poczuła, jak do ust napływa jej ślina. Nogi już zaczynały ją boleć i chyba puchły, bo czuła, że kozaczki na obcasie coraz bardziej cisną. Zdjęła je więc i postawiła obok. Kucnęła, starając się obciągnąć krótką sukienkę opinającą się na brzuchu i złączyć uda, co w jej stanie nie było proste. Nie planowała, że będzie przyjmować taką pozycję, nastawiała się na chodzenie, no i chciała jak najlepiej wyglądać. Ale cóż, nie miała wyjścia. Tak było trochę lżej. Westchnęła z ulgą i pożądlwym wzrokiem zerkała na jedzącą. Chyba to będzie dziewczynka – pomyślała,

odruchowo głaszcząc brzuch. – Przy Oskarże miałam ochotę na ogórki kiszone, a teraz... ten batonik, jejku...

– Chce pani kawałek? – Malwina zauważyła spojrzenie ciężarnej i odłamała część wafelka.

– Chętnie. – Wiola nie znalazła w sobie dość silnej woli, żeby odmówić.

Liliana stała i patrzyła na zajadające słodkości kobiety. Swoim zwyczajem szybko przeanalizowała sytuację. Na spotkanie nie zdążę, czyli plan A można uznać za niebyły – stwierdziła. – Jestem skazana na to metalowe pudełko i to nie wiadomo jak długo. Skoro więc i tak po wyjściu wrócę do domu, nie ma sensu męczyć się na jedenastocentymetrowych obcasach.

W ramach planu B buty wylądowały w kącie windy, a kobieta podciągnęła ołówkową spódnicę i usiadła, starając się mieć jak najmniejszy kontakt z podłogą.

Malwinie zrobiło się żal tej idealnej kobiety. Rozciągnęła swoją chustkę i zrobiła zapraszający gest.

– Niech pani siada na tym. Szkoda garsonki, a ta szmatka przeżyła już gorsze rzeczy.

– Dziękuję – powiedziała Liliana, nie wiedząc, czy potraktować ten komentarz jako złośliwość, czy jako przyjacielski gest. Wybrała drugą opcję, zwłaszcza że spódnica była naprawdę droga.

– A pończochy zarąbiste! – Wiola z uznaniem spojrzała na wystający spod podciągniętego materiału fragment koronki. – Też raczej nie z bazarów, prawda?

– Raczej nie. – Liliana uśmiechnęła się lekko, bo chociaż bezpośredniość kobiety nieco ją drażniła, to szczerzy zachwyt mile połechtał kobiecą próżność.

– Ja to chyba nie umiałabym czegoś takiego nosić – stwierdziła szczerze Malwina. – Bałabym się, że mi opadnie. No ale wygląda nieźle, trzeba przyznać.

– A tam, spadnie! Nic z tych rzeczy – zaprzeczyła Wiola. – Kwestia przyzwyczajenia.

– I dobrze dobranego rozmiaru – dodała Liliana.

– Może kiedyś się przekonam. – Malwina zwinęła paperek po batoniku i schowała go do kieszeni dzinsów. – A na razie pozostanę przy rajstopach.

– Ja raczej też. Bo słonie w pończochach to raczej seksownie nie wyglądają. – Wiola poklepała się po brzuchu. – A pani? Rajstopy czy pończochy? – zwróciła się do milczącej Róży. Spojrzała w górę na stojącą kobietę i ciekawość w jednej chwili zmieniła się w troskę. – Dobrze się pani czuje?

– Niezbyt. Trochę mi duszno... – Róża starała się oddychać głęboko, ale miała wrażenie, że płuca dostają ciągle zbyt mało powietrza. Oto spełniał się najczarniejszy scenariusz z jej wyobrażeń – jest uwięziona w windzie, zaczyna brakować tlenu... Teraz są dwa wyjścia – pomyślała. – Albo się tu udusimy, albo kabina spadnie i roztrzaskamy się gdzieś na dnie szybu, wśród worków ze śmieciami. To chyba jeszcze gorsze niż śmierć w samotności i miauczenie wygłodniałych kotów...

Wiola podniosła się z wysiłkiem i wyciągnęła rękę w kierunku Róży.

– Niech pani rozepnie ten sweter – poradziła – i chociaż ze dwa guziki bluzki pod szyją. No i lepiej jednak usiąść, a głowę wsadzić między nogi. Tak mi lekarka powiedziała... Rany boskie! Ona mdleje! – Próbowwała podtrzymać Różę, ale ciężar bezwładnego ciała okazał się większy, niż myślała. Malwina i Liliana rzuciły się na pomoc, a w tym samym momencie światła zgasły całkowicie, uniemożliwiając jakąkolwiek akcję ratunkową. Na szczęście ciemność trwała zaledwie kilka sekund, po czym lampy rozbłysły jasnym światłem, a kabina z lekkim szarpnięciem ruszyła. Kobiety chwyciły się poręczy, żeby utrzymać równowagę. Winda znowu lekko szarpnęła i zatrzymała się.

Zastygły w oczekiwaniu. Trzy głośne westchnienia ulgi zabrzmiały jednocześnie, gdy stalowe drzwi rozsunęły się, ukazując korytarz.

– Wyciągnijmy ją! – Liliana pierwsza wróciła do rzeczywistości. – Pani lepiej niech się nie nadwyręża – rzuciła ostro w stronę Wioli. – Jeszcze nam tu drugiej zemdlonej potrzeba!

– To co ja mam robić? – Wiola była zdezorientowana, ale karnie wycofała się w głąb korytarza.

– Proszę sprawdzić, które to piętro.

Chwyciła Różę pod pachami, jednocześnie ruchem głowy wskazując Malwinie nogi omdlałej współpasażerki. Wyniosły kobietę, która powoli wracała do przytomności. Posadziły ją na pierwszym stopniu schodów, podtrzymując z obu stron.

– To piąte – oznajmiła Wiola.

– No to jesteśmy u mnie. – Malwina się ucieszyła. – Zatem zapraszam w moje skromne progi. – Widząc wahanie na twarzy Liliany, rozłożyła ręce. – Też nie szaleję ze szczęścia, ale nie da rady inaczej. Sama jej nie wniosę. A pani – zwróciła się do Wioli – może pozbiera nasze rzeczy z windy, zanim zamknie paszczę i zawiezie je nie wiadomo dokąd. O moją chustkę to bym się nie martwiła, bo nikt jej nie tknie, ale pań buty i torebki mogą być łakomym kąskiem.

Liliana, choć niechętnie, musiała przyznać rację sąsiadce. Najwyraźniej pod tą szopą rudych włosów kryje się jednak odrobina rozsądku – stwierdziła. Sama zupełnie zapomniała o torebce, w której były przecież klucze do mieszkania, dokumenty, karty kredytowe. – Gdyby nie jej zimna krew, mogłabym mieć sporo kłopotów.

Wprowadziły przytomną już, ale nadal zdezorientowaną Różę do mieszkania i ułożyły na materacu, który najwyraźniej służył lokatorce za łóżko. Liliany wcale to nie zdziwiło, bo doskonale pasowało do obrazu sąsiadki. Tak samo jak rozrzucone w nieładzie ubrania, biurko zawalone papierami i rulonami brystolu i sztalugi stojące w kącie. Czyli artystka – oceniła. – To wiele wyjaśnia.

Miała mieszane uczucia do takich osób. Z jednej strony starała się zrozumieć, co to znaczy „artystyczna dusza”, ale z drugiej nie była w stanie pojąć, jak można żyć w ciągłym chaosie i bez żadnego planu. No ale teraz przynajmniej miała więcej zrozumienia dla dziwnych ubrań i biżuterii nowej sąsiadki.

Za to Wiola wydawała się zachwycona.

– Maluje pani? – Bez skrępowania podeszła do biurka i przyglądała się z ciekawością leżącym na nim szkicom. – Zazdroszczę. Ja nie mam za grosz talentu plastycznego.

To widać – stwierdziła w myślach Malwina, patrząc z lekkim rozbawieniem na neonowe kolory paznokci i błyszczącą sukienkę Wioli.

– Trochę maluję, ale ostatnio bardziej pochłania mnie fotografia – odpowiedziała. – Może przejdziemy do kuchni – zaproponowała. – Bo tutaj nawet nie ma za bardzo na czym usiąść. Chyba zapomniałam o opcji dla gości – stwierdziła z rozbijającą szczerością. – Ale za to w kuchni mam stół i aż cztery krzesła. I chyba nawet cztery kubki.

– W sumie, to ja się spieszę... – Liliana nie była przekonana, czy ma ochotę na zacieśnianie sąsiedzkich więzi.

– Po tych wszystkich przeżyciach należy nam się chyba chwila wytchnienia? Mała kawa i rozejdziemy się do swoich zajęć, co?

– Ja chętnie, ale raczej herbatę. – Wiola z przyjemnością przyjęła propozycję Malwiny. – Do galerii już nie mam siły iść, a do domu wcale mi się wracać nie chce – wyznała. – Cały tydzień próbuję zapanować nad tym małym diabłątkiem, niech się z nim ojciec chociaż chwilę pomęczy.

Liliana spojrzała na zegarek i stwierdziła, że na spotkanie i tak już nie zdąży. Janusz wyjechał odwiedzić dzieci, a powrót zapowiedział na niedzielny wieczór, więc... Nie miała nic do stracenia. Mogła wypić tę kawę, przecież w każdej chwili wystarczy wyjść. Czuła się też trochę odpowiedzialna za leżącą w pokoju kobietę, a gdzieś w głębi serca nie ufała ani tej artystce, ani ciężarnej z wieczorowym makijażem. Poza tym natychmiast rozpoznała w niepozornej sąsiadce tę, która uratowała Kubusia, więc miała wobec niej dług wdzięczności.

Przeszła do kuchni, gdzie, ku jej zdziwieniu, panował porządek.

Malwina chyba odczytała jej spojrzenie, bo uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Rzadko gotuję, chyba że wodę na herbatę. Może dlatego nie ma tutaj jeszcze zbyt wielu moich śladów. – Podeszła do jednej z szafek i otworzyła drzwiczki. – O, proszę, kubki są. – Wyciągnęła naczynia na blat. – Proszę, niech panie siadają. I wymyślają jakiś temat do rozmowy, bo już chyba się dość namilczałyśmy w tej windzie, prawda?

Oprócz kubków Malwina znalazła także wino. Co prawda okazało się, że kieliszków nie posiada, ale były przecież kubki. Wiola nie piła, ale i bez alkoholu udzielił jej się nastrój pozostałych kobiet.

Kiedy Róża poczuła się lepiej i gdy, prowadzona odgłosami rozmowy i wybuchami śmiechu, stanęła w drzwiach kuchni, zobaczyła trzy głowy pochylone nad monitorem laptopa, na którym z daleka widoczna była modelka w ślubnej sukni.

– Przepraszam – zaczęła cicho, ale żadna z kobiet nie zareagowała, więc powtórzyła głośniej: – Chciałam przeprosić za kłopot.

– O, nareszcie! – Malwina podeszła do niej z uśmiechem. – Zaglądałyśmy co chwilę

do pokoju, ale chyba zasnęłaś. No to cię nie budziłyśmy. Ale skoro już wstałaś, to pora na kieliszek wina. Wiesz, na wzmocnienie. – Mrugnęła okiem i parsknęła śmiechem.

– Dziękuję, ale muszę iść. – Pokręciła przecząco głową.

– O, tak łatwo nie będzie. – Gospodyni nie dawała za wygraną. – My się tu już zdążyłyśmy poznać, pozostałaś tylko ty – sprawczyni całego zamieszania. Jak masz na imię, sąsiadko? A nie, czy my się już nie spotkałyśmy?

Róża przez chwilę wahała się. Nie potrafiła tak szybko zawierać znajomości, zresztą nie lubiła tego. Patrzyła na wyczekujące twarze trzech kobiet i zastanawiała się, jak to możliwe, że potrafią być tak bezpośrednie. Wyglądały przy tym kuchennym stole, jakby znały się od dawna. Ja tutaj nie pasuję – pomyślała. – O czym będę z nimi rozmawiać?

– No, dawaj! – popędzała Malwina. – Już pamiętam! Róża, prawda? Siadaj szybciotko. Wybieramy najbardziej obciachową suknię ślubną, a zdania są podzielone, więc przyda się twój głos...

– Nie lubię sukien ślubnych – wydusiła Róża i zeszywniała.

– A kto lubi? – zapytała Liliana, podnosząc kieliszek. – To jest nas już dwie.

– A ja lubię – zachichotała Wiola. – Najbardziej takie z falbanami i tiulem.

– Tylko nie z tiulem – zaprotestowała stanowczo Malwina. – Sama widzisz – zwróciła się do Róży. – Bez ciebie się nie obejdzie.

Ta jednak miała zupełnie inne zdanie na ten temat. Bez słowa odwróciła się i poszła w stronę drzwi. Chciała jak najszybciej znaleźć się w swoim łóżku i poczuć ciepło kocich futerek. Pozostałe kobiety zamilkły.

A jeśli robię błąd? – zawahała się Róża. – Co, jeżeli to moja szansa? – Matka zawsze powtarzała, że w życiu wszystko ma jakiś sens. Może i to omdlenie w windzie nie było bezcelowe? Miała niewielu znajomych, a te kobiety wyglądały całkiem sympatycznie. – Nie, znowu wyjdę na idiotkę – stwierdziła. Jednak coś, jakieś delikatne drżenie serca, powstrzymało ją przed ucieczką. – Raz kozie śmierć! – pomyślała i odwróciła się w kierunku stołu.

– Tak, mam na imię Róża.

Tak właśnie, pewnego jesiennego popołudnia, zaczęła się przyjaźń czterech kobiet – z pozoru różnych i zupełnie inaczej patrzących na świat. Gdyby nie awaria windy, zapewne nigdy nie spotkałyby się na dłużej i nie zbliżyły. A jednak los lubi płatać figle i połączył ścieżki Malwiny, Liliany, Wioletty i Róży. Cóż, widocznie tak musiało być, bo nic w życiu nie zdarza się przypadkiem i wszystko dzieje się w jakimś celu. Co z tego wyniknie? Jesteś ciekawa? Zapraszam więc do bloku przy Kwiatowej, gdzie mieszkają bohaterki tej opowieści.

Odwiedź każdą z nich, rozsiądź się wygodnie i wysłuchaj, co mają ci do powiedzenia. Mam nadzieję, że polubisz je wszystkie. Jestem pewna, że one z przyjemnością przyjmą Cię do swojego grona. Bo przecież my, kobiety, nawet jeśli

nie zawsze się zgadzamy, nawet jeżeli czasami zdarza nam się pokłócić, to w gruncie rzeczy mamy wspólne cele i marzenia. A w trudnych chwilach, w momentach słabości, dobrze jest móc liczyć na wsparcie przyjaciółek, prawda? Jeżeli się z tym zgadzasz i wierzysz w moc kobiecej przyjaźni, to doskonale trafiłaś.

Witaj na Kwiatowej!

Autorka

CZEŚĆ PIERWSZA

Malwina

Powiem ci, że zupełnie się nie spodziewałam. Wcale, a wcale. Przez myśl by mi nawet nie przeszło, że mogę spędzić kilka godzin z tą wysztywnioną damą. Wiesz, tą od Kubusia na smyczy. Czy ty sobie wyobrażasz wychodzenie z psem na spacer w szpilkach? No nie wyobrażasz, wiem. Bo to trudno ogarnąć, naprawdę! Swoją drogą, to ciekawe, czy ona ma jakieś buty bez wysokich obcasów? No, nieważne zresztą. O czym to ja mówiłam? A, że spędziłam z nią wieczór. Fakt, przez przypadek, ale w sumie nie żałuję.

Z tą windą to masakra. Myślałam, że w nowoczesnym budynku takie rzeczy się nie zdarzają. W starych wieżowcach sprzed czterdziestu lat to może, ale nie tutaj. Okazuje się, że jednak wszystko jest możliwe. Ja tam się nie boję, ale Róża to wywinęła niezły numer z tym zemdleniem. Stała taka cicha, nie odezwała się słowem i fik! No i wylądowałyśmy u mnie, bo było najbliżej. A u mnie to wiesz, artystyczny nieład. Nie, żebym się wstydziła, znasz mnie przecież. Zresztą nie mam czasu na takie historie. Ostatnio sporo szkicuję i nie mam głowy do ścierania kurzu i ścielenia łóżka. No bo po co ścielić, jak wieczorem znowu się będę kładła? Zawsze się o to z mamą kłóciłam. A teraz wreszcie mogę robić, co chcę. Jestem na swoim. Poza tym nie mogłam przecież przewidzieć, że będę gościć kogoś, kto ma garsonkę droższą niż wszystkie moje ciuchy razem wzięte.

Na szczęście wcale mnie to nie stresuje. Moje mieszkanie, moje nieporządki. Ale żebyś widziała jej minę, jak zobaczyła, że nie ma krzesel! I to spojrzenie, jakby się bała, że się ubrudzi od samego stania wśród bałaganu. Ale w windzie to usiadła na mojej chustce i nie wybrzydzała. W sumie, to właśnie wtedy pomyślałam, że jest w niej jednak coś normalnego, ludzkiego. Bo kiedy podciągnęła spódnice i zdjęła buty, to nawet zaczęła mówić bardziej do rzeczy. A po dwóch kubkach wina to znormalniała jeszcze bardziej. Nawet sama zaproponowała przejście na „ty”. I okazało się, że imię ma takie dumne jak ona – Liliana. Nie Lilka, podkreślała to ze trzy razy, Liliana. Nie musiała tego mówić, nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby się do niej zdrobniale zwrócić. Nie pasowałyby absolutnie.

Ale wracając do spotkania – jak się dobrze zastanowić, to dawno się tak nie uśmieiałam. Gadałyśmy jak nakręcone. I to nie o sztuce czy fotografii, ale wyobraż

sobie, że o sukniach ślubnych, bieliźnie i pończochach. Uwierzysz? Ja i pończochy! Zresztą białej sukni z welonem też raczej w życiu nie przewiduję. Mało jest bardziej mieszczańskich rzeczy niż coś takiego. Serio! Na szczęście teraz wesele i mąż nie stanowią o wartości kobiety. I dobrze, bo ja się do tego nie nadaję. Za bardzo cenię sobie wolność. Zresztą Liliana jest podobnego zdania. Za to Wiola widzi to zupełnie inaczej.

Wiola? A, bo jeszcze ci o niej nie mówiłam. To ta czwarta. Właściwie Wioletta, przez dwa „t”. Powiem ci, że świetnie to do niej pasuje. Takie zadęcie na niezwykłość i wyróżnienie się. Wiele robi, żeby było ją widać. Błyszczą dziewczyna maksymalnie. Dosłownie. Te cekiny, połyskujące nitki, złote klamerki, cyrkonie z blaskiem brylantów – znasz ten typ? Nie sposób przejść obok obojętnie. Tylko ja się pytam: po co? Widziałam ją przecież bez makijażu, w zwyczajnej luźnej sukience i wyglądała o niebo lepiej. Jasne, że jej tego nie powiedziałam. W sumie ma prawo. Zawsze twierdziłam, że każdy może wyglądać, jak chce. Tylko wiesz, strojem wyrażasz siebie, swoją osobowość, prawda? A Wiola przy bliższym poznaniu wcale mi nie pasuje do tych kozaków za kolano i sztucznych rzęs. A już jak mówi o tym swoim synku, bo ma takiego czterolatka z niewyczerpanym zasobem energii, albo kiedy odruchowo dotyka ciężowego brzucha, to staje się zupełnie inna. Jakaś taka, nie wiem, miękka czy jak to nazwać... Aż mi się cieplej na sercu robi. Chociaż ja tam wielką fanką dzieci nie jestem. Ale jak się patrzy na taką matczyną miłość w oczach, to nie ma siły, żeby nie ruszyło. Tylko z drugiej strony jakbym miała przez cały dzień zajmować się wyłącznie dzieckiem, to chyba bym ześwirowała. Gdzie czas dla siebie? A samorealizacja, jakaś praca twórcza, rozwój? Dramat, mówię ci! Tylko plastikowe zabawki, obiady i ciągle w gotowości. Ja się do takich wyzwaniań stanowczo nie nadaję. A już jakby mnie maluch ściągał z łóżka o szóstej rano, to naprawdę nie wiem... No, ale jak ktoś lubi, to proszę bardzo. Nic nie mówię.

W ogóle po tym wieczorze to doszłam do wniosku, że aż dziwne, jak ludzie mogą być różni. Ale to potwierdza moją teorię, że jeśli się chce, to zawsze można się dogadać. Nawet jeżeli każdy ma inne zdanie, to i tak da radę znaleźć wspólny punkt widzenia. Wystarczy trochę tolerancji. To spotkanie było najlepszym przykładem. I właśnie ta rozmowa o sukniach ślubnych. Ja byłam na „nie”, ale warunkowo dopuszczałam „tak”, z zastrzeżeniem, że jeśli już, to skromność, prostota i klasyka. Liliana toleruje, ale w mojej opcji – minimalizm i elegancja. Za to Wiola okazała się fanką koronek, tiuli i falbanek, co mnie nawet nie zdziwiło. Dla odmiany Róża wcale o tym rozmawiać nie chciała, chociaż z pozoru wygląda tak, jakby wyjście za mąż było celem jej życia, a ona sama stanowiła idealny materiał na żonę – cicha, spokojna, nieśmiała – marzenie każdego szowinistycznego macho. Dobra, muszę przyznać, że kawałek pazura pokazała i był moment, że chciała wyjść. Ostatecznie została i nawet skusiła się na wino. Jak się trochę rozluźniła, to niespodziewanie rzuciła kilka dowcipnych uwag. A kiedy się lekko uśmiechnie, to wygląda naprawdę sympatycznie. Gdybym

miała ją namalować, to użyłabym delikatnych pastelów, dała mnóstwo światła i nieostre kontury, bo taka jest eteryczna i krucha, trochę nierzeczywista, jakby żyła oddzielona od świata jakąś mgiełką, prawie rozpływa się w powietrzu. Właśnie taka, co mdleje i trzeba się nią zaopiekować, utulić, traktować delikatnie jak figurkę z porcelany. U moich rodziców na kredensie stoi pasterka, mama zabraniała jej dotykać, tylko co kilka dni delikatnie wycierała ją z kurzu mięciutką ściereczką. I ona, Róża, jest taka sama – trzeba ostrożnie, żeby nie uszkodzić. Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby chcieć skrzywdzić taką osobę. Tak jak mówiłam – do niej najbardziej pasowałaby ślubna suknia, wyglądałaby jak królewna z bajki Disneya. Tyle że to nie moja bajka, za mało energii. Co nie znaczy, że nie mogę się zachwycić, tak estetycznie, rozumiesz?

A, i te suknie, znowu odbiegłam od tematu. Chociaż w sumie mogłoby być cokolwiek innego. Chodzi mi o to, że rozmawiałyśmy tak długo, każda miała inne zdanie, nawet chwilami się spierałyśmy, i chociaż żadna nie ustąpiła, to rozstałyśmy się w najlepszej zgodzie. Teraz, jak ci to wszystko opowiadam, to sama się zastanawiam, co ja o tym wszystkim myślę. Fakt, wieczór był miły, poznałam nowych ludzi, a wiesz, że to lubię. Czy jeszcze się z nimi spotkam? Czy ja wiem... Wiadomo, wpadniemy na siebie, bo mieszkamy w jednym bloku, więc to naturalne. Ale kolejny wieczór? Wątpię. Tak z ręką na sercu, to ci się przyznam, że gdyby mi ktoś powiedział tydzień temu, że spędzę z nimi tyle czasu, to roześmiałabym się mu w twarz. Przecież to jakieś inne światy. Pewnie, można chwilę pogadać, ale na dłuższą metę to ja się nie nadaję ani do rozmów o drogich torebkach i biznesie, ani do słuchania opowieści o dzieciach, ani do opieki nad mimozami, więc pewnie i tak nic by z tego nie było. Zawsze mnie zresztą drażniły takie babskie spędy. Do tego trzeba mieć naprawdę jakieś wspólne tematy, czy chociaż wspólnych znajomych. Czyli raczej tego nie widzę.

Tak czy inaczej fajnie było poznać sąsiadki. Będzie do kogo pójść, żeby pożyczyć szklankę cukru, chociaż delikatesy mamy na dole i otwarte są nawet w niedzielę. To do czego teraz są potrzebne sąsiadki? Do niczego chyba. Żeby powiedzieć „dzień dobry”? Sama nie wiem... To była po prostu ciekawa sytuacja, którą, jako osoba otwarta na świat, przyjąłabym i pewnie coś tam z tego mam. Kolejne doświadczenie i tak dalej, wiesz, o czym mówię? No i może jeszcze pomyślę o czymś do siedzenia. Nie śmieję się, bardzo cię proszę, nie widzę w tym nic zabawnego. I nawet niech ci przez myśl nie przejdzie pomysł, że będę regularnie sprzątać. To nie w moim stylu. Poza tym takie wypadki nie zdarzają się codziennie i nie przewiduję kolejnych odwiedzin. To po co krzesła? Przydadzą się do wieszania ubrań, na przykład. Może to zresztą nie będą krzesła, tylko fotele? Zobaczymy. W końcu jestem wolna, niezależna i mogę robić, co chcę.



Otworzyłam Czubowi drzwi i nawet nie czekałam, aż wejdzie. Po co? Od razu poszłam nastawić wodę na kawę. Wiedziałam, że będzie chciał wielki kubek tej smoły z dużą ilością cukru, którą tak uwielbiał. A drogę do kuchni znał. Z nim przynajmniej nie trzeba bawić się w żadne ceregiele. Normalny człowiek, stary kumpel. Znamy się już z piętnaście lat albo i dłużej, wie o mnie więcej niż jakakolwiek koleżanka. W drugą stronę też to działa.

Jeszcze nie zdążyłam nasypać kawy do kubka, kiedy stukanie ciężkich butów dało mi sygnał, że już jest.

– Mógłbyś jednak ściągnąć te buciory. Trochę szkoda parkietu, nie uważasz? – upomniałam go, bo naprawdę podobają mi się lakierowane deski na podłodze. Tata kręcił nosem, bo tanie nie były, ale go uprosiłam, więc nie miałam ochoty, żeby glany Czuba zniszczyły podłogę i moje stosunki z ojcem.

– Czy ty się czasem nie stajesz lemingiem? – Czub spojrzał na mnie, śmiesznie marszcząc brwi. – To mieszkanie, a teraz znowu parkiet. Jeszcze chwila, a powiesz, że wyjeżdżasz na wczasy all inclusive...

– No raczej nie. Chociaż jak mi zafundujesz, to mogę pomoczyć nogi w jakimś śródziemnomorskim basenie – odgryzłam się, bo przecież oboje wiemy, że Czub nie śmierdzi groszem. Mogłabym powiedzieć, że pieniądze się go nie trzymają, ale żeby się nie trzymały, to najpierw muszą być. U niego takie sytuacje rzadko miały miejsce. Jakoś sobie radził, łapał fuchy tu i tam, ale stała praca nie była w jego stylu. Zresztą nie potrafiłam go sobie wyobrazić w koszuli i sweterku maszerującego rano do biura. Był wolnym ptakiem i za to właśnie go lubiłam.

Wsypałam do kawy siedem czy osiem łyżeczek cukru i postawiłam kubek przed Czubem. Pokiwał głową z uznaniem.

– Nikt mi jeszcze nie zrobił lepszej.

– Lata praktyki. – Roześmiałam się. – W sumie to jedna z niewielu rzeczy, jakie potrafię w kuchni.

– Za to dla mnie najważniejsza.

Tak właśnie jest z Czubem – zero problemów. Mogę nie gotować, nie sprzątać, a jego to nie rusza. Nie wymaga od kobiet, żeby były kucharkami i sprzątaczkami. Rozumie, że nie mam do tego głowy. Taki właśnie powinien być każdy facet i wtedy z pewnością byłoby mniej nieudanych związków.

No, no, no, nawet o tym nie myśl. Nie jesteśmy parą. To znaczy, może jesteśmy, ale na pewno nie typową. Owszem, lubimy ze sobą być, często i dużo gadamy, rozumiemy się. Po prostu jesteśmy podobni. Można by powiedzieć, że to przyjaźń, gdyby nie to, że zdarzyło nam się... wiesz co. Zresztą, czego tu się wstydzić. W końcu nie jestem jakąś pruderyjną średniowieczną cnotką. No więc zdarzyło nam się uprawiać seks. Wiele razy się zdarzyło. I w tej sferze też jesteśmy podobni, mamy te same fantazje, więc bywa nieźle. OK, bardzo dobrze. Ale czy to od razu oznacza, że jesteśmy w związku? Związek to zobowiązanie, zmuszanie się do kompromisów, ograniczanie swoich

potrzeb. Między nami tego nie ma. Ustaliliśmy to w szczerzej rozmowie i mamy spokój. Zero zazdrości, żadnych pretensji, brak oczekiwań i żądań. To o wiele lepsze, a ja naprawdę nie muszę mówić, że mam chłopaka czy narzeczonego. Nie myślę, żeby to określało w jakikolwiek sposób moją wartość jako kobiety czy człowieka. Teraz już wiesz, jak to wygląda.

Usiadłam po drugiej stronie stołu i spojrzałam na Czuba. Wystarczył rzut oka, żebym wiedziała, że coś jest nie tak. Kto inny nie poznałby, bo on doskonale potrafi ukrywać emocje, ale dla mnie każde drgnięcie szczęki, lekkie zmarszczenie czoła czy ledwo dostrzegalne zaciśnięcie palców na kubku to wyraźne sygnały.

– Co jest? – zapytałam wprost, bo oboje cenimy sobie szczerłość i bezpośredniość.

Chwilę milczał, ale nie nalegałam. Wiedziałam, że i tak w końcu powie, co go męczy. I nie myliłam się.

– Muszę się wyprowadzić. I to jak najszybciej – odpowiedział krótko i treściwie.

– Jak najszybciej, to znaczy do kiedy?

– Do dzisiaj.

– Co?

– Właśnie to. – Wzruszył ramionami.

Mogłam wiele zrozumieć, ale wyrzucić kogoś z mieszkania tak nagle, to zwykłe świństwo. Powiedziałam o tym Czubowi.

– Przecież musi dać ci czas na znalezienie czegoś innego – przekonywałam.

– Dał mi. Miesiąc.

– No to dlaczego mówisz, że dziś?

– Bo właśnie dzisiaj ten miesiąc minął.

– I niczego nie znalazłeś? Bez przesady... – Co jak co, ale w tym mieście bez problemu można znaleźć pokój do wynajęcia.

– Nie szukałem.

Zamilkłam. Musiałam pomyśleć i zrozumieć, o co w tym chodzi. Nie zajęło mi to wiele czasu.

– Nie masz kasy?

Nawet nie czekałam na odpowiedź. Wiadomo, że nie ma. I pewnie na horyzoncie żadnej pracy na razie. Na rodziców liczyć nie może, ale to osobna historia, kiedyś ci powiem. Tak czy inaczej, Czuba miał zostać bez dachu nad głową. To co ja miałam zrobić? Pozwolić, żeby spał na dworcu albo łąził całą noc po ulicach? Ty pozwoliłabyś na moim miejscu? Sama widzisz!

– Jak będziesz wracał, to kup chleb. – Położyłam na stole dychę. – I coś do niego.

Podniósł wzrok znad kubka i popatrzył na mnie uważnie. Przez chwilę walczyliśmy na spojrzenia. Zawsze byłam w tym dobra, więc nawet nie mrugnęłam. A on w końcu wstał i bez słowa wyszedł.

Wrócił chyba za dwie godziny. Miał ze sobą duży zielony worek i sportową torbę. A, i jeszcze ten chleb, a do niego masło i dżem truskawkowy. Buty karnie ustawił tuż

przy drzwiach.

– Innego nie było? – Wskazałam głową na słoik. Przecież dobrze wie, że nie lubię truskawkowego.

– Ten mieli w promocji – wyjaśnił.

– Skoro tak, to niech będzie. To co? Zjemy powitalną kolację?

I w ten właśnie sposób Czub zamieszkał u mnie. Nie przeszkadza mi jego obecność, zresztą i tak wychodzi rano, a wraca wieczorem. Gdzie chodzi? Nie pytam. Jeśli będzie chciał, to sam powie. On też nie wnika w to, co robię.

Tylko pierwszego poranka dziwnie się poczułam. Obudziłam się, a on leżał obok. Niby gdzie miał leżeć, skoro mam jedno łóżko, prawda? Tak, ale Czub nigdy nie zostawał na noc. Zawsze wychodził. Inni tym bardziej. To był pierwszy raz, kiedy obudziłam się obok mężczyzny. I pierwszy, kiedy widziałam go śpiącego. Wydawał się taki bezbronny, zupełnie inny niż zawsze. Spokojny, rozluźniony. W sekrecie ci powiem, że dopiero teraz zauważyłam, że przerzedziły mu się włosy na czubku głowy. Trochę mnie to rozbawiło, ale i rozculiło jakoś. A potem pomyślałam, że przecież już nie mamy po dwadzieścia lat. Nieważne! W każdym razie Czub jest na razie u mnie.



Dzisiaj na Dolinach było naprawdę przepięknie! No tak, ty nie wiesz, o czym mówię. Doliny to taka kielecka nazwa zielonych terenów wzdłuż Silnicy, naszej rzeki. Duża to ona nie jest, ta rzeka, ale za to krąży o niej legenda. Podobno woda z niej uratowała księcia od śmierci, taką miała uzdrawiającą moc. I stąd nazwa– Silnica, czyli dodająca sił. Teraz to nie radziłabym nawet palca do niej wsadzać, o picciu nie wspomnę. Chociaż i tak jest już lepiej, bo był czas, że przypominała jeden wielki ściek. Na szczęście przyszła moda na eko i dbanie o środowisko, co ja zresztą zawsze popierałam, i nasza rzeka jest już znacznie czystsza. W każdym razie kaczkom nie szkodzi, a nawet bardzo odpowiada, bo okupują brzegi całymi stadami. Pewnie też dlatego, że są bez przerwy i opamiętania dokarmiane przez staruszków czy rodziców z dziećmi.

Żebyś wiedziała, ile ja się natłumaczyłam ludziom, że nie powinno się ptaków karmić chlebem. Szkoda gadać, serio! Jak grochem o ścianę. Zresztą: co? Każdemu przecież nie zrobię wykładu. Brak świadomości o podstawowych sprawach często jest naprawdę nie do opisania. Strasznie mnie to denerwuje, strasznie, strasznie. A ciebie nie?

Dobra, ale znowu odbiegłam od tematu. Zaczęłam o tym, że pięknie na Dolinach, tak? Tak. Jak będziesz miała okazję, to musisz się tam wybrać. Właściwie przecinają całe miasto, z północy na południe. Możesz zacząć spacer od zalewu przy ulicy Klonowej, przejść przez samo centrum i naszą „Sienkiewkę”, a na koniec dojść aż do

Kadzielni. A po drodze sama zieleń, drzewa, kwiaty, park ze stawem i łabędziami. Niewiele miast coś takiego ma, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Zawsze jest tam przyjemnie, o każdej porze roku, ale jesienią chyba najpiękniej. Te kolory! Cała paleta żółci, brązów, czerwieni, pomarańcza... Oczu nie można oderwać. Przynajmniej ja nie mogę. Chodzę tam, kiedy tylko mogę. Tydzień temu też poszłam. Pogoda była śliczna, ciepło jak latem, chociaż w powietrzu już czuć te specyficzne lekko chłodne powiewy, które przypominają, że zbliża się mniej przyjemny czas. Tak właśnie sobie myślałam, idąc alejką i kopiąc od czasu do czasu pierwsze opadłe liście. I jeszcze myślałam, że mogłam wziąć aparat, bo zdjęcia byłyby po prostu bajeczne.

Najpierw zobaczyłam Różę. Tę, która wtedy w windzie zemdląła. Szła od strony centrum, miała beżowy płaszczyk i baleriny w tym samym kolorze. Z daleka nie poznałam, ale kiedy się zbliżyła, to już nie miałam wątpliwości. Uśmiechnęłam się, ona też, tak ledwo, ledwo, ale jednak. I pewnie minęłybyśmy się bez słowa, gdyby nie to, że akurat mocniej zaświeciło słońce, a ona weszła w te świetliste plamy na alejce, które utworzyły promienie przedzierające się przez liście. Mówię ci, coś niesamowitego! Mega! Wyglądała jak jakaś wróżka albo inna bajkowa istota. Czy ty uwierzysz, że ona ma tak jasną cerę, że prawie przezroczystą. Ale nie całkiem białą, tylko taką delikatnie brzoskwińową. Zatkąło mnie z wrażenia. Na szczęście tylko na chwilę.

– Cześć, pamiętasz mnie? – zagadnęłam, bo jakoś trzeba było zacząć. Pokiwała głową, więc od razu przystąpiłam do rzeczy. – Czy ty wiesz, jak ślicznie wyglądasz? Jestem pod ogromnym wrażeniem! Podobasz mi się jak mało kto!

A ona, czy ty to sobie wyobrażasz, zaczerwieniła się. I spojrzała tak, jakbym powiedziała coś dziwnego. Może pomyślała, że ją podrywam, czy ja wiem? Na wszelki wypadek natychmiast wyjaśniłam:

– Miałam na myśli, że podobasz mi się jako modelka. Bardzo chciałabym ci zrobić kilka fotek. Właśnie tutaj, wśród drzew. Chyba nie będzie problemu? Skoczyłabym po aparat, za pięć minut wrócę i popstrykam.

– Ale ja nie mam czasu – skwitowała i pokręciła głową odmownie.

– Nie trzeba więcej niż pół godziny. Zresztą słońce zaraz się przesunie i nie będzie warunków. Daj się namówić – prosiłam. – Obiecuję ci odbitki w prezencie.

– Raczej nie. – Zacisnęła usta w wąską kreskę. Niby taka nieśmiała, ale uparta jak osioł. Tyle że ja też nie lubię odpuszczać, a że sprawa wydała mi się warta zachodu i już w myślach widziałam te ujęcia, grę światła i cieni, jesienne barwy... Szukałam w myślach kolejnych argumentów, żeby ją przekonać, kiedy usłyszałam dzwonek telefonu. Mojego telefonu. Nie odebrałam, bo uznałam, że szkoda czasu i powinnam kuć żelazo, póki gorące. Ale telefon znowu zadzwonił.

Zakląłam w myślach i posłałam dzwoniącego do diabła. Najwyraźniej jednak nie chciał tam iść, wolał dzwonić. Po raz trzeci.

– Nie odchodź – rzuciłam do Róży i zaczęłam grzebać w torebce. Wreszcie namacałam komórkę i wyciągnęłam ją na powierzchnię z całego tego bałaganu. Jak to

w torebce, co ci będę mówić, każda kobieta to wie. No więc patrzę, a tam moja matka dzwoni. Wkurzyłam się, nie powiem, bo tyle razy jej mówiłam, że jak nie odbieram, to znaczy, że nie mogę. A jak będę mogła, to oddzwonię. Na dodatek patrzę, a Róża najwyraźniej ma zamiar skorzystać z okazji i uciec.

– Moment. – Powstrzymałam ją ruchem ręki. – Dwa słowa i wrócimy do rozmowy.

Przeciagnałam palcem po ekranie i zaczęłam, zanim jeszcze przyłożyłam słuchawkę do ucha:

– Mamo, nie mogę teraz...

Tego, co usłyszałam po drugiej stronie, nie zapomnę do końca życia. Na początku coś jakby jęk połączony ze szlochem, niczym z horroru, nie poznałam głosu własnej matki. A potem nagła cisza, ułamki sekund bez żadnego dźwięku, a to rozbrzmiało mi w uszach z jeszcze większą siłą niż ten wcześniejszy odgłos. Na koniec jedno, ledwie słyszalne, ale wreszcie wypowiedziane w ludzkim języku zdanie:

– Tata miał zawał...

– Jak to: zawał?! – chyba krzyknęłam, bo zarejestrowałam, że Róża zatrzymała się i odwróciła głowę, a w jej spojrzeniu było przerażenie. Ale nie miałam teraz dla niej czasu. – Mamo, gdzie on jest? Mamo! Powiedz coś!

– Zabrali go do szpitala. – Wreszcie doczekałam się odpowiedzi. – Karetka.

– Do którego? Wiesz?

– Tak, na Czarnów – ledwie ją słyszałam i wystraszyłam się, że za chwilę i ona dostanie jakiegoś ataku serca.

– Już jadę do ciebie. Czekaj na mnie, pojedziemy do szpitala razem. Słyszysz mnie? Mamo!

– Tak – powiedziała i rozłączyła się.

Natychmiast wybrałam numer i zamówiłam taksówkę na Nowy Świat. Siedem minut. Najdłuższe siedem minut w moim dotychczasowym życiu.

– Mogę ci jakoś pomóc? – Usłyszałam głos tuż obok i drgnęłam, bo w tej chwili byłam chyba w jakimś innym świecie. To Róża, patrzyła na mnie z troską i czekała na odpowiedź. A w czym ona mogła mi pomóc? Ta panna delikatna.

– Nie trzeba – prychnęłam, bo na rozmowę ani na żadne pocieszenia nie miałam czasu. – Muszę lecieć.

Nie zamierzałam się jej tłumaczyć. Myślałam już tylko o ojcu, matce i o tym, żeby taksówka przyjechała jak najszybciej.

Biegając do ulicy, wybrałam numer mamy. Nie odbierała. Ani za pierwszym razem, ani za drugim, ani za każdym kolejnym w trakcie tych cholernych minut oczekiwania. Czy ty wiesz, co ja czułam? Tego się nie da opowiedzieć. Nawet teraz nie bardzo mogę. Nie wiem jak, i znowu chce mi się płakać. Dasz mi chwilę? Zrobię sobie herbaty, trochę się uspokoję. Dzięki, wiedziałam, że zrozumiesz.



Chcesz wiedzieć, co było dalej? Jasne, wszystko ci opowiem, chociaż, co tu kryć, łatwo nie będzie. Bo i wtedy nie było.

Mama czekała na mnie przed domem. Stała przy furtce i miała na sobie kuchenny fartuch. Ona, która tak zawsze dbała, żeby odpowiednio wyglądać. Ileż razy słyszałam od niej uwagi dotyczące moich ciuchów, komentarze na temat tego, czego nie wypada zakładać kobiecie po trzydziestce. A teraz nawet o tym nie pomyślała. Ciekawe, co miało być na obiad? – Taka myśl przyszła mi do głowy. Głupie, nie? Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie w tamtej chwili.

W każdym razie wpakowałam ją do taksówki, podałam adres szpitala i w czasie jazdy ściągnęłam z niej ten fartuch.

– Co powiedzieli? – zapytałam

– Że to zawał. – Mama spojrzała na mnie, a w jej oczach zobaczyłam coś jakby niedowierzanie. – On przyszedł z pracy, normalnie rozmawiał ze mną, opowiadał, jak zawsze. Usiadł do stołu, podałam zupę, więc sięgnął po łyżkę i... – przerwała, pokręciła głową i odwróciła twarz w stronę okna. – Powiedział: „Marysiu...” i zsunął się z krzesła. Nie wiedziałam, co robić, jak go ratować. Nie umiałam. Zadzwoiłam na pogotowie i czekałam na nich. A on tam leżał. Zupełnie się nie ruszał. – Nagle znowu spojrzała na mnie. – A przecież nawet ręce umył przed jedzeniem – powiedziała to z taką pretensją, jakby czuła się przez ojca oszukana. Bo przecież ktoś, kto normalnie wraca z pracy, myje ręce i siada do obiadu, nie może nagle osunąć się bez przytomności pod stół.

– Tak się nie robi – dodała z przekonaniem. I zaczęła płakać.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Dziwne to było, zupełnie nowe i nieoczekiwane. W ogóle nie mogłam tego wszystkiego ogarnąć. Nie byłam w stanie myśleć. Po prostu głaskałam mamę po rękę, nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Gdzie konkretnie podjechać? – zapytał taksówkarz. – Pod SOR?

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– A co się stało? Wypadek? Wylew? Zawał?

– Zawał – potwierdziłam.

– To pod ratunkowy na kardiologię – zdecydował kierowca. Widocznie nie pierwszy raz zdarzyła mu się taka sytuacja. Przynajmniej on wiedział, co robić, bo ja nie miałam pojęcia.

Wysiadłyśmy przed szklanymi drzwiami. Kompletnie dezorientowane. Mama stała i mrugała, jakby zdziwiona tym, gdzie jest. Dlaczego nie wie, gdzie iść? Zawsze wiedziała. Nie spieszy się do taty? Przecież powinniśmy jak najszybciej dowiedzieć się, co z nim.

Dźwięk syreny kolejnej nadjeżdżającej karetki trochę mnie otrzeźwił. Zrozumiałam,

że ja muszę zdecydować. Pociągnęłam mamę za rękaw i weszliśmy do środka.

Szeroki korytarz prowadził do kolejnych drzwi. Tym razem zamkniętych. Kardiologiczny Oddział Ratunkowy. Ratunkowy, rozumiesz? I tam był mój tata.

W jakiejś bezsilnej złości szarpnęłam za klamkę kilka razy, chociaż wiedziałam, że drzwi się nie otworzą.

– Proszę się odsunąć! – Usłyszałam za plecami i odruchowo zrobiłam kilka kroków w bok.

Ratownik medyczny szybko wbił kod i rozchylił na całą szerokość obie części szklanej tafli. Kolejnych dwóch mężczyzn w czerwonych uniformach właśnie dobiegło, pchając nosze, na których leżała kobieta. Miała otwarte oczy, ale sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Ten pozorny spokój, który z niej emanował, i brak zainteresowania otoczeniem zupełnie nie pasowały do pośpiechu ratowników.

Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Otrzymałyśmy jedyną szansę i trzeba było z niej skorzystać. Chwyciłam mamę pod ramię i szybko, zanim drzwi się zamknęły, weszliśmy na oddział. Nikt nie zwrócił nam uwagi. Mieli ważniejsze rzeczy do roboty, niż zajmowanie się niesubordynowanymi rodzinami chorych. Na to właśnie liczyłam.

Usadziłam mamę na krzeselku w końcu korytarza. Nie protestowała, zresztą w ogóle nic nie mówiła.

– Poszukam taty – powiedziałam. Tylko pokiwała głową.

Szłam wzdłuż korytarza, mijałam kolejne białe drzwi, ale bałam się którekolwiek otworzyć. Nie chciałam zwracać niczyjej uwagi, obawiałam się, że nas stąd wyrzucą, zanim zobaczę ojca. Musiałam go widzieć, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Gdyby ktoś wtedy próbował mnie wyprosić, chyba dostałabym hysterii.

No ale przecież musiałam w końcu zrobić coś konkretnego. Na szczęście los przyszedł mi z pomocą. Z sali na drugim końcu korytarza wybiegła pielęgniarka ze stojaczkiem pełnym probówek. Tak się spieszyła, że chyba nawet mnie nie zauważyła. Na dodatek nie zamknęła za sobą drzwi.

Tak, dobrze się domyślasz, to były właśnie te drzwi. Te, których szukałam. Jednak nie to chciałam za nimi zobaczyć.

Może byłam naiwna, ale sądziłam, że skoro tata jest już w szpitalu, to na pewno czuje się lepiej. Nie no, nie sądziłam, że będzie siedział na łóżku w pełni sił i uśmiechnie się na mój widok, ale... OK, dobra, skłamałam. Gdzieś w głębi duszy na to właśnie liczyłam. Chciałam zobaczyć go takiego, jak zawsze – pełnego energii, może trochę poważnego, ale z tą odrobiną radości, którą miał zawsze w oczach na mój widok, nawet jeżeli robiłam coś, co uważał za nierozsądne. Przyszłam tam znaleźć mojego silnego ojca, może w szpitalnej piżamie, ale to miała być jedyna różnica.

Znalazłam zupełnie kogoś innego. W pierwszym momencie nawet zastanawiałam się, czy to na pewno on. Może chciałam, żeby to była pomyłka?

Stałam jakieś dwa kroki od progu sali i przyglądałam się postaci leżącej na łóżku.

Bladość twarzy była tak ogromna, że gdyby nie broda, to zlewałaby się w jedną plamę z kolorem pościeli. Jakiś lekarz właśnie odsunął kołdrę i zobaczyłam, że do klatki piersiowej taty przyłączone są elektrody, a biegnące od nich przewody znikają w pudełkach urządzeń ustawionych obok łóżka. Patrzyłam i nie mogłam uwierzyć. Mój tata tak nie wyglądał! Co się z nim stało? Lekarze pomagali jakiemuś staremu człowiekowi. Pomarszczona skóra, siwiejące włosy między elektrodami, zapadnięta klatka piersiowa – to wszystko było zupełnie obce. Przecież dobrze znałam tatę, doskonale pamiętałam, jak szaleliśmy w morzu, jak wynosił mnie z wody na brzeg. Miał muskularne i silne ramiona, a czarne włosy na rękach łaskotały mnie w nos. Zaraz, zaraz, ale miałam wtedy chyba z siedem lat...

Tak, wiem co powiesz. Że ludzie się starzeją. Jasne, przecież wiem, nie jestem nienormalna. Tylko że wiedzieć to jedno, a zobaczyć to drugie. Bo ja naprawdę nie zauważyłam tych zmian. W ogóle ich nie dostrzegłam. Dopiero tam, w tym szpitalu, dopiero w tej scenerii niczym z filmów s.f., wśród pikania aparatury, stanowczych poleceń lekarzy, migających diod i zimnego światła świetlówek, dopiero wtedy dotarło do mnie, że tata się zmienił.

Stałam i patrzyłam na to, jakbym oglądała film. Przestałam czuć cokolwiek, byłam poza tym wszystkim. Znieruchomiała, pozbawiona zdolności jakiegokolwiek działania. Oglądałam rozgrywającą się w sali scenę i niby rozumiałam, że ten pośpiech, szybkie i stanowcze polecenia wydawane półgłosem przez lekarza, to wszystko nie wróży niczego dobrego, ale cała sytuacja była zupełnie odrealniona. Nie mogłam w żaden sposób przyjąć do wiadomości, że dzieje się naprawdę. I że pacjentem jest tata.

W pewnej chwili jedna z pielęgniarek przyniosła parawan i rozstawiła go w taki sposób, że przestałam widzieć cokolwiek. Tylko niewyraźne cienie na białym materiale, jak w japońskim teatrze. Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyłam pytanie na głos.

Pielęgniarka, która zajmowała się innym pacjentem, odwróciła się w moim kierunku. Podeszła do drzwi i powiedziała stanowczo:

– Tutaj nie wolno wchodzić.

– Tak, ale muszę wiedzieć, co z moim tatą. To znaczy z tym... pacjentem... tam – wydukałam i wskazałam głową na parawan.

– Informacji udziela tylko lekarz. Proszę opuścić oddział. – Chwyciła mnie za łokieć i zaczęła prowadzić w stronę wyjścia.

– Proszę mnie nie wyrzucać. – Byłam na granicy hysterii. – Nie będę przeszkadzać. Chcę tylko być tutaj, za drzwiami.

– W niczym pani nie pomoże – tłumaczyła.

– Proszę... – Stałam i spojrzałam w oczy pielęgniarce. Miała doskonale zrobione kreski na powiekach. Idealnie wręcz. Nie wiem, dlaczego to zauważyłam, ale pomyślałam, że jeżeli potrafi być tak dokładna i skrupulatna, to z pewnością dba też o pacjentów. Tak, to właśnie wtedy przyszło mi do głowy. Ja wiem, że może to

nielogiczne, ale cóż poradzę...

Zamyśliłam się? Przepraszam. Jeszcze trudno mi zebrać myśli. A, już wiem, na czym skończyłam. Na pielęgniarce. Coś ją chyba musiało poruszyć, bo odpuściła. Bez słowa wróciła do swoich obowiązków. A ja stałam pod ścianą, naprzeciwko białych drzwi i czekałam. Jak długo? Nie wiem. Czas przestał istnieć. Nie miał znaczenia. Pośród szpitalnych ścian, w ciszy korytarza, człowiek znajdował się w innym wymiarze, zawieszony gdzieś między światem rzeczywistym a wiecznością. Nie było żadnego punktu odniesienia, niczego, co mogłoby zająć myśli. Tutaj istotą okazało się czekanie. Samo w sobie. Czekałam więc.

Od czasu do czasu otwierały się drzwi, ktoś wybiegał lub wbiegał, wybijając białymi drewniakami rytm na błyszczącej posadzce. Wtedy starałam się wtopić w ścianę, stać niewidzialna, nie przyciągać uwagi. Żeby tylko nikt nie kazał mi stamtąd odejść. Udawało się.

W tych krótkich chwilach, między otwarciem a zamknięciem drzwi, usiłowałam cokolwiek zobaczyć. W miejscu, gdzie łączyły się stelaże dwóch części parawanu, była pusta przestrzeń i w niej dostrzegłam dłoń ojca leżącą na kołdrze. W jej wierzch wbito wenflon, do którego wetknięto plastikową rurkę. Koncentrowałam się na tym fragmencie obrazu, na jedynym kawałku mojego ojca, który mogłam zobaczyć. Ze wszystkich sił pragnęłam, żeby dłoń się poruszyła, żeby drgnął chociaż jeden palec. Wiedziałabym wtedy, że tata jest prawdziwy. Że żyje.

Czy wiesz, że nawet teraz, kiedy zamknę oczy, to widzę tę jego rękę. Mogłabym ją namalować ze szczegółami, z każdą żyłą, najdrobniejszą plamką, pamiętam nawet zadartą skórę przy środkowym palcu. I zaschniętą plamkę krwi na plastrze podtrzymującym igłę. Tak, wszystko pamiętam. Chociaż to wspomnienie bardzo boli. Ale nie chciałabym zapomnieć. Mimo wszystko.

Mówi się, że wiara czyni cuda. To nieprawda. Bo gdyby tak było, ręka taty poruszyłaby się. Ja w to wierzyłam. Cała byłam jedną wielką wiarą. I nadzieją. I co z tego? Jak myślisz? Nie musisz odpowiadać. Sama ci powiem.

To z tego, że drzwi otworzyły się po raz kolejny, ale tym razem z sali wyszedł lekarz. Nawet mnie nie pytał, jak wyglądał. Pamiętam tylko, że poczułam jego zmęczenie. A może i swoje własne? Nie wiem. W każdym razie zobaczyłam w jego oczach rezygnację. Nie tego się spodziewałam.

– Czy z tatą lepiej? – zapytałam, chociaż chyba już wtedy czułam, co się stało.

– Pani jest córką? – Chciał się upewnić albo może jakoś odwlec ten moment, trudno powiedzieć.

– Tak.

– Bardzo mi przykro... – zawiesił głos, bo przecież nie musiał dalej mówić. Wiadomo, co oznaczają te słowa. Ale ja nie chciałam tego usłyszeć, nie godziłam się na to, nie, nie i jeszcze raz nie!

– Nie rozumiem. – Pokręciłam głową i czekałam. Może to nieprawda, może się

pomylił albo teraz zmieni zdanie i powie, że wszystko jest na dobrej drodze. Tak przecież powinno być. Tam był mój silny tata.

– Nie udało nam się uratować pani ojca. To był bardzo rozległy zawał. Robiliśmy, co w naszej mocy, ale... – Popatrzył na mnie ze smutkiem, westchnął i wypowiedział to, co nigdy nie powinno wybrzmieć. – Pacjent zmarł. Pani ojciec nie żyje.

Odwróciłam się na pięcie i skierowałam do wyjścia. Właściwie zrozumiałam tylko tyle, że czekanie się skończyło i mogę odejść.

Wtedy zobaczyłam siedzącą na krzeselku mamę. Czy wiesz, że ja zupełnie o niej zapomniałam? Nie pomyślałam o własnej matce przez cały ten czas. A ona była tam, gdzie ją zostawiłam.

Podeszłam i nasze spojrzenia się spotkały. Przez chwilę poczułam ulgę. Teraz mama mnie przytuli, powie, że będzie dobrze, że wszystkim się zajmie. Jak zawsze. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że już nic nie będzie jak zawsze.

– Co z nim? – zapytała. – Kiedy go wypiszą?

– Lekarz powiedział, że tata nie żyje – odpowiedziałam. Mogłam to mówić, bo przecież wcale nie czułam, że to prawda. Taki paradoks, wiesz. Nie czujesz bólu, bo nie wierzysz, więc słowa nic nie znaczą.

– I co my teraz zrobimy? – zapytała mama.

Ja miałam to wiedzieć? Ona pytała mnie? Czy świat wywrócił się do góry nogami? To matka powinna decydować, a nie dziecko. A ja byłam przecież dzieckiem. I czułam się bezradna.

Usiadłam na krzeselku obok. Nic więcej nie potrafiłam w tamtej chwili zrobić.

Masz ochotę na jeszcze jedną herbatę? Nie chcesz mi przerywać? Cóż, tyle że ja już nie bardzo mam o czym opowiadać. Sama pomyśl, co tu można dodać? Przecież to już koniec. I to dosłownie. Koniec życia, czy może być coś bardziej ostatecznego? Był człowiek i już go nie ma. Niby wiadomo, że każdy kiedyś odejdzie, ale co innego wiedzieć, a co innego, kiedy to się naprawdę stanie. Zupełnie co innego.

Już nigdy nie zobaczę mojego taty. Rozumiesz? Tak? No to ci zazdroszczę, bo ja nadal nie rozumiem. Wydaje mi się to zupełnie absurdalne, tak bardzo niemożliwe, że czasami powtarzam to sobie głośno, stojąc przed lustrem, a i tak prawda do mnie nie dociera. Mogę dopuścić myśl, że wyjechał, że długo go nie zobaczę. Ale że już nigdy? Tak się nie robi – jak powiedziała moja mama. I w tym jednym gotowa jestem przyznać jej rację.



Kiedy stanęłam przed szpitalem, okazało się, że jest już wieczór. Wyszłam spod betonowego zadaszenia chroniącego pacjentów wnoszonych z karettek. Przed sobą widziałam cały kompleks szpitalnych budynków. Każdy liczył po kilka pięter, na

każdym piętrze były sale, a w nich leżeli ludzie. Wśród nich tacy, którzy odliczali już dni do wyjścia, ale i tacy, którzy mieli umrzeć. Jak mój tata. Pewnie w tej samej chwili wiele córek niepokoiło się o zdrowie swoich ojców, ale mnie wydawało się, ba, byłam pewna, że to właśnie mi przytrafiło się coś najgorszego. I że nikt na całym świecie nie może być bardziej zrozpaczony niż ja.

Mamę zostawiłam na kolejnym krzesełku, tym razem w innej części budynku. Powiedziałam, że muszę wyjść na zewnątrz, żeby zamówić taksówkę, bo nie mam zasięgu. Ale to nie była prawda. Po prostu nie mogłam znieść jej towarzystwa. Nie mogłam patrzeć na tę bezradność i zagubienie, bo czułam się tak, jakbym widziała siebie. Gdybym jeszcze chwilę z nią posiedziała, to chyba nie potrafiłabym już wstać. A ktoś przecież musiał, prawda?

Czy kiedyś byłaś w takiej sytuacji? Ja nigdy wcześniej. Pamiętam, że gdy miałam trzynaście lat, zmarła babcia, mama mojego ojca. Ale wtedy wszystkim zajęli się rodzice, to oczywiste. Pojechałam na pogrzeb i tyle. Nawet nie płakałam, bo babcię widywałam rzadko i prawdę mówiąc, nie odczułam specjalnie jej braku. Nigdy więcej nie miałam kontaktu ze śmiercią, taką prawdziwą, realną i namacalną. Dziś przyszła i śmiejąc się w nos białym i niebieskim fartuchom, pokazując środkowy palec najnowszej aparaturze, zabrała mi ojca.

Popatrzyłam w niebo. Migotały na nim tysiące gwiazd. Zadrżałam, bo dosięgnął mnie wieczorny chłód. Chyba zaczynałam na nowo coś czuć. Rozejrzałam się – między budynkami chodzili ludzie, jakaś kobieta tuż za ogrodzeniem spacerowała z psem, słyszałam jeżdżące Grunwaldzką samochody. Straciłam jedną z najbliższych osób, a świata nic to nie obeszło. Nic a nic. A przecież powinien zadrzeć w posadach albo zamilknąć w obliczu tej grozy chociaż na chwilę. Tymczasem nic, kompletnie. Nie mogłam tego pojąć.

Wreszcie sięgnęłam po komórkę.

Czub odebrał dopiero po czwartym sygnale, kiedy już chciałam się rozłączyć.

– Co jest? – zapytał.

– Mój tata zmarł.

– Jak to: zmarł?

– A jak się umiera? Normalnie chyba. Nie żyje, nie ma go, nie istnieje, nie mówi, nie czuje, nie oddycha. Jeszcze jakieś szczegóły chcesz znać?

– Ej, spokojnie!

– Spokojnie?! Czy ty słyszysz, co ja powiedziałam?! I mówisz mi, że mam być spokojna?! – Gdyby stał przede mną, chyba wydrapałabym mu oczy.

– Gdzie teraz jesteś? – Czub sprawiał wrażenie, jakby wcale nie obeszły go moje krzyki.

– A gdzie mam być? Pod szpitalem jestem.

– Którym? Mów, zaraz przyjadę.

– Nie przyjeżdżaj – powiedziałam i rozłączyłam się.

Telefon zadzwonił po kilku sekundach, ale nie odebrałam. Kolejnego też nie. Trzeciego nie było. I dobrze, bo nie chciałam już z nim gadać. Nie potrzebowałam go. Gdyby przyjechał, to miałabym jeszcze jego na głowie. A i bez tego nie wiedziałam, co robić. Nie chciałam jeszcze Czuba.

No dobra, chciałam. Nawet bardzo. Miałam nadzieję, że się domyśli i jednak przyjedzie. Wędrując potem szpitalnym korytarzem, dowiadując się, jakie formalności muszę załatwić następnego dnia, cały czas zerkałam, czy nie zobaczę gdzieś na horyzoncie wysokiej sylwetki i rozjaśnionych na biało włosów. A już najbardziej chciałam wtedy, kiedy pielęgniarka wręczyła mi niebieski worek, w którym było ubranie taty. I jego buty. Czy ty wiesz, co to za uczucie, kiedy widzi się buty, w których ich właściciel nigdy już nie będzie chodził? Buty bez stóp, bez nóg. Takie opuszczone, pozbawione sensu, bezużyteczne. Ty wiesz, co to za widok? Niczego gorszego w życiu nie widziałam. I patrząc na te buty, miękkie, zamszowe, w kolorze ciepłego brązu, też zapragnęłam umrzeć. Zniknąć, zapaść się pod ziemię, przestać istnieć. Chociaż na chwilę, aż minie ten ból.

Ale Czub nie przyszedł. Nie mam pretensji, przecież sama powiedziałam, żeby nie przyjeżdżał. No i nie raz ustalaliśmy, że jedno drugiemu nie będzie się narzucać. Jesteśmy dorośli, umiemy sobie radzić i wyrażać swoje potrzeby. Zapytał, odpowiedziałam, a on się dostosował. Tylko powiedz mi, dlaczego, do cholery, nie potrafił się domyślić, że w takich chwilach człowiek mówi różne rzeczy, nie zawsze prawdziwe i z sensem. No ale OK, jak mówiłam, nie mam pretensji.

Zabrałam ten worek, matkę wzięłam pod rękę i poszłyśmy do domu. Piechotą. Nie protestowała. Było mi zimno, ale przynajmniej coś czułam, a to dawało mi sygnał, że ja, w przeciwieństwie do ojca, nadal żyję.

– A portfel oddali? – zapytała nagle mama, zatrzymując się gwałtownie na środku chodnika.

– Nie wiem, pewnie oddali. – Wzruszyłam ramionami.

– Sprawdź – zażądała.

– W domu sprawdzę.

– Teraz sprawdź! – podniosła głos, a przechodzący obok mężczyzna spojrzał na nas z zainteresowaniem.

– Mam grzebać w tym worku tutaj, przy przystanku?

– Tak – była nieugięta.

Co miałam robić? Położyłam niebieską folię na chodniku i rozwiązałam węzeł.

– Zawsze nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki – instruowała matka. Jakbym sama nie wiedziała. Ale nie odezwałam się, nie chciałam awantury. Nie tam i nie w tamtej chwili.

Znalazłam w końcu portfel i podałam matce, dziwiąc się w duchu, że akurat teraz najważniejsze są pieniądze. Tymczasem ona odgięła wewnętrzną zakładkę i wyciągnęła zza plastikowej przegródki fotografię.

– Zobacz, to my. Nasze ślubne zdjęcie. – Podetknęła mi pod nos czarno-biały obrazek.
– Zawsze je nosił przy sobie. Każdego dnia, przez tyle lat.

Odebrałam od niej portfel, na nowo zawiązałam pakunek i poszłyśmy dalej. Mama co chwilę zerkała na fotografię. W pewnym momencie dostrzegłam kątem oka kroplę, która spadła wprost na utrwaloną na kliszy uśmiechniętą twarz taty. Mama płakała.

Ja nie mogłam sobie na to pozwolić. Rozumiesz, prawda?



Noc spędziłam u mamy. Jeszcze niedawno to był mój dom, a tej nocy czułam się w nim zupełnie obco. Niby wszystko było takie samo, nawet mój pokój, ale ta przejmująca cisza... Dźwięczała w uszach i przerywało ją tylko bicie zegara w salonie. Słyszałam każde, aż do drugiej w nocy. A potem już nic. Leżałam i gapiłam się w sufit. Nie pamiętam, żebym o czymkolwiek myślała, raczej miałam w głowie zupełną pustkę.

Kiedy tylko wróciłyśmy, mama poszła się położyć. Nawet nie zajrzała do kuchni. Dotarłam tam ja, wyrzuciłam wszystko, co zostawiła na blatach. Dopiero na końcu zabrałam ze stołu talerz z wystygłą zupą. To była pomidorowa. Wiem, że to bez znaczenia, ale tego też nigdy nie zapomnę. Tak jak łyżki leżącej pod stołem. I tego odsuniętego krzesła. Dostawiłam je do stołu i rozplakałam się. Ryczałam jak głupia, powiem ci, że w życiu tak się nie rozkleiłam. I nie było nikogo, kto by mnie pocieszył. Zresztą i tak to chyba nie byłoby możliwe. Stałam więc, zaciskałam dłonie na oparciu krzesła, a łzy płynęły i płynęły. Aż wreszcie wypłakałam chyba wszystkie. Nawet się ucieszyłam, bo co prawda wcale nie było mi lżej, ale wiedziałam, że następnego dnia muszę załatwić wiele spraw i wolałam, żeby nikt nie widział, że nie daję rady.

Nie wiem, czy zasnąłam chociaż na chwilę, czy tylko leżałam pogrążona w jakimś dziwnym letargu, ale wróciłam do rzeczywistości, gdy usłyszałam, że mama idzie na dół. Odczekałam chwilę, ale kroki umilkły i nie słyszałam żadnych innych odgłosów, więc postanowiłam sprawdzić, co się dzieje. Znalazłam mamę stojącą przed zegarem.

– Stań! – powiedziała.

Nie musiała mówić więcej. Obie doskonale wiedziałyśmy, o co chodzi. Zawsze po kolacji tata go nakręcał. To był jego rytuał. Nie zapomniał o tym nigdy. A tego dnia... no właśnie, nie mógł tego zrobić.

Było w tym coś symbolicznego. Jakby razem z odejściem taty zatrzymał się czas. Zerknęłam na mamę. Chyba poczuła mój wzrok, bo odwróciła głowę i po raz pierwszy od tej strasznej chwili w szpitalu popatrzyłyśmy sobie w oczy. W jej spojrzeniu było tyle smutku, że robiłam to, co poczułam, że zrobić powinnam. Przytuliłam mamę. I stałyśmy tak na środku salonu, przed starym ściennym zegarem, a moja matka znowu płakała. Ja nie, mówiłam ci, coś się we mnie zablokowało, nie mogłam. I chociaż byłam tak blisko mamy, czułam jej ciepło, to w tamtej chwili ogarnęła mnie

przytłaczająca samotność.

Potem zrobiłam herbatę i siedziałyśmy aż do rana. Chciałam pogadać o tym wszystkim, co muszę jutro załatwić, ale mama sprawiała wrażenie mało zainteresowanej. Właściwie na każde moje pytanie odpowiadała:

– Zrób, jak uważasz.

A ja uważałam jedynie, że to wszystko nie powinno się zdarzyć. Tyle że tego nie mogłam jej powiedzieć. Widziałam, że co prawda kiwa głową, ale tak naprawdę nie byłam pewna, czy dociera do niej to, o czym mówię. W końcu zdecydowałam, że ta rozmowa nie ma sensu. Po prostu zostałam z tym sama.

– Pewnie jesteś zmęczona, mamo – powiedziałam. – Może się połóżysz? Powinnaś odpocząć, przespać się...

– Masz rację. Powinnam się przespać. To dobry pomysł.

Nawet mi ulżyło, bo już naprawdę nie wiedziałam, co z nią robić. O czym rozmawiać. Obie unikałyśmy mówienia o tacie, ale to nie było łatwe. Kiedy pytałam ją o zdanie, mówiłam „pogrzeb”, „pożegnanie”, tak jakby chodziło o kogoś obcego. A przecież pod tym wszystkim kryła się śmierć najbliższej nam obu osoby.

Teraz się zastanawiam, co powinnyśmy wtedy robić. Razem rozpaczać? Wspominać go? Pojęcia nie mam. Chyba obie chciałyśmy jakoś odsunąć od siebie fakty. Każda próbowała po swojemu zaczarować rzeczywistość, udawać, że najgorsze się nie stało, że nie zostawił nas, nie odszedł na zawsze. Bo obie nie wyobrażamy sobie bez niego życia.

Dobra, nie ma co rozważać. Tak po prostu było. Nie odnalazłyśmy wtedy siebie nawzajem, nie spotkałyśmy się. Może trzeba czasu? Jak myślisz?

Jasne, możesz powiedzieć, że powinnam ją zrozumieć, bo straciła męża. A ja to niby co? Przecież też cierpię. I co by nie mówić, przecież jestem jej dzieckiem. No to niby nie ma dla niej żadnego znaczenia? Daj spokój, nawet nie próbuj mi niczego tłumaczyć. Nie mam na razie siły i ochoty na żadne rozważania. Ledwie się trzymam, sporo ciężkich chwil przede mną, a jeszcze muszę zaopiekować się matką. Chociaż prawdę mówiąc, to ona się sama sobą opiekuje bardzo skutecznie. Jak? Już ci mówię.

Następnego dnia musiałam zmierzyć się z rzeczywistością. Nigdy nie lubiłam urzędów, tych wszystkich papierków i formalności. Nie mam do tego głowy, zawsze o czymś zapomnę, przegapię termin, czegoś nie dostarczę. Irytuje mnie skostniałość systemu, wkurzają urzędnicze formułki i ta sztuczna powaga. Zwykle naszymi sprawami zajmował się... no właśnie, tata. On potrafił załatwić wszystko. Pilnował dokumentów, papiery miał dokładnie poukładane, wiedział, gdzie iść i z kim rozmawiać, jaką pieczętkę uzyskać. Na dodatek potrafił być czarujący i nie widziałam kobiety, która odmówiłaby mu pomocy. Nawet najbardziej nadąsane urzędniczki wymiękały. Gdyby był, wszystko poszłoby gładko, ale... nie było go.

Ty sobie chyba sprawy nie zdajesz, co trzeba zrobić, żeby zorganizować pogrzeb. Najpierw krążyłam po szpitalu, by zdobyć papierek zaświadczający, że tata umarł.

Bez tego nie można uzyskać aktu zgonu. Papierek wydaje pani w administracji szpitala, ale nie da go bez dokumentów oddziału, a te nie dotarły. No to na oddział po dokumenty i znowu do pani, która miała minę, jakby robiła mi łaskę. Zaciskałam zęby, bo chciałam jak najszybciej wyjść z budynku, którego już do końca życia będę nienawidzić i od którego chciałam być jak najdalej.

Szpital był pierwszym etapem. Potem Urząd Miasta. Tam oddałam wszystkie papierki ze szpitala i młoda dziewczyna, muszę przyznać, że szybko i bez zbędnych pytań, załatwiła resztę. Patrzyłam, jak drukarka ze zgrzytem wypluwa to, po co tutaj przyszłam. Akt zgonu. A potem jak urzędniczka jednym ruchem odcina róg dowodu osobistego taty. Koniec, dla systemu przestał istnieć. Ciach, i po sprawie. Nie ma człowieka. Uwierz, w tamtej chwili cieszyłam się, że nie mogę już płakać.

– Z tym proszę do zakładu pogrzebowego. – Dziewczyna podała mi akt zgonu. – To wszystko.

Wzięłam dokument w dwa palce i wyszłam. Nie pamiętam nawet, czy się pożegnałam. To wszystko? Tylko tyle? To jakaś paranoja! Jak ona może? Ciekawe ile razy dziennie nożyczki w jej rękach niszczą dowody osobiste i ile razy mówi komuś sucho:

– To wszystko.

A przecież to nieprawda. Nie tak łatwo. Jest jeszcze żal, ból, smutek, rozpacz. Są łyzy, nieprzespane noce, samotność i pustka. Chyba się ze mną zgodzisz?

Wybrałam największy zakład pogrzebowy w Kielcach. Dlaczego? Po prostu tylko ten znałam. Jakoś wcześniej nie interesowały mnie sprawy pogrzebów. Nie mam pojęcia, czy gdzie indziej jest podobnie, ale muszę przyznać, że naprawdę dobrze się mną zajęto. Może to nie jest odpowiednie słowo, ale inaczej nie umiem tego określić. Wreszcie, chociaż przez chwilę, ktoś zdjął ze mnie trochę tego ciężaru i pomógł w podjęciu decyzji.

Kiedy wyszłam na ulicę, poczułam, że kręci mi się w głowie. Wieńce, muzyka, wybór trumny, ogłoszenie w gazecie, miejsce na cmentarzu. Przed chwilą zajmowałam się tym wszystkim, ale nadal wydawało mi się, że biorę udział w jakiejś inscenizacji, że mnie to bezpośrednio nie dotyczy.

Szłam powoli Radiową, pustą o tej porze roku. Zwykle można było spotkać tutaj studentów, bo tuż obok mieści się przecież Wydział Medycyny i Nauk Medycznych naszego uniwersytetu. Na szczęście rok akademicki zaczynał się dopiero za tydzień, więc udało mi się na nikogo nie wpaść. Bo powiem ci, że szłam zupełnie bezmyślnie. Dopiero głośny klakson uświadomił mi, że bez zastanowienia weszłam na ulicę. Kierowca nissana popukał się w czoło. Pewnie wziął mnie za wariatkę, ale w tamtej chwili mój stan psychiczny był taki, że chyba nie minął się zbyt z prawdą.

Nie spieszyłam się do domu, bo nie miałam do czego. Musiałam po drodze zajrzeć do mamy. Miałam nadzieję, że jakoś się pozbierała i pomoże mi w tym, co jeszcze pozostało. Trzeba było przygotować ubranie dla taty i zawiadomić rodzinę o pogrzebie.

Mama spała. Zrobiłam więc sobie herbaty i zjadłam jogurt, który znalazłam w lodówce. Nie, żebym była głodna, z rozsądku po prostu. Doszłam do wniosku, że niedobrze byłoby, gdybym zasłała, czy coś. A kiedy pomyślałam, że mogłabym wylądować w szpitalu, w tym szpitalu... wiesz... to aż przeszedł mnie dreszcz.

Mama nadal nie wstawała, więc poszłam ją obudzić. Spała przytulona do poduszki ojca, a na nocnej szafce leżały jakieś tabletki. Potrząsnęłam ją za ramię, może trochę za mocno, ale wystraszył mnie widok leków. Na szczęście otworzyła oczy. Niewiele to jednak zmieniło. Co prawda poszła na dół, ale nadal nie była zbyt zainteresowana rzeczywistością. Wszystkiemu potakiwała, na wszystko się zgadzała, jednak nie chciała czy nie potrafiła o niczym sama zdecydować. Ożywiła się tylko, gdy powiedziałam o ubraniu. Podreptała do garderoby i w ciągu kilku minut skompletowała strój.

– Ojciec nie miał dobrego gustu. Nie potrafił sam kupować ubrań – powiedziała. – Zawsze ja się tym zajmowałam. Chciałam, żeby dobrze wyglądał. To – wskazała na wieszak, który zaczepiła na drzwiach od salonu – będzie najbardziej odpowiednie. Eleganckie i z klasą.

Czy ty słyszysz? Mówiła tak, jakby szykowała mu ubranie na wyjście do teatru albo na koncert w filharmonii. Zamurowało mnie po prostu.

A ona strzepnęła jeszcze niewidzialny pyłek z kłapy marynarki i powiedziała:

– Jestem zmęczona. Wezmę tabletkę i pójdę spać.

Przytaknęłam, bo co miałam zrobić.

No i tak jest do tej pory. Kiedy tylko trzeba coś zrobić albo o czymś zdecydować – bierze tabletkę i śpi. Dlatego mówiłam, że doskonale się sobą zaopiekowała. Myślisz, że powinnam coś z tym zrobić? Może i tak, ale na razie nie dam rady. Szczerze mówiąc, to chwilami jej zazdroszczę. Sama chętnie wzięłabym coś, co pozwoliłoby mi zapomnieć. Bo czuję się tak, jakbym straciła za jednym zamachem obydwój rodziców. To nie jest miłe, zapewniam cię. Zostałam z tym wszystkim sama. Gdybym mogła, schowałabym się w szafie i płakała bez końca. Zawsze tak robiłam, gdy było mi źle. Tylko że wtedy znajdował mnie tata, wyciągał z tej czarnej dziury i zabierał do ogrodu albo na lody. A mama robiła kakao i podtykała kilka biszkoptów. A teraz nie ma nikogo, kto by mnie z tej szafy wyciągnął i podał kubek pełen czekoladowej słodyczy. To po co miałabym tam wchodzić? I tak niczego to nie zmieni. Co najwyżej skończyłoby się tym, że młoda urzędniczka o jeden raz więcej sięgnęłaby po nożyczki. To wszystko.



Pytasz o pogrzeb. Nie wiem, co miałabym ci odpowiedzieć. Chyba naprawdę jestem jakaś inna, bo kiedy podeszła do mnie jedna z ciotek i powiedziała: „Było naprawdę

pięknie. Możesz być z siebie dumna”, to naprawdę w pierwszej chwili nie wiedziałam, o czym mówi. Uwierzysz, że właśnie o pogrzebie?! Było pięknie, słyszysz? Okazuje się, że takie uroczystości też się ocenia. A może jest nawet jakiś ranking w rodzinie? Bo dowiedziałam się, że było więcej ludzi niż u kogoś tam, strojniesz wieńce niż u kuzynki z Mazur i lepsza obsługa niż w stolicy. Pewnie coś było gorsze, ale o tym zapewne nie usłyszę, bo to powiedzą innym, podczas kolejnego pogrzebu. O tym wszystkim dowiedziałam się podczas obiadu. To znaczy stypy. Co za słowo! No nic, naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. Dobrze, że już minęło.

Za to chciałam się cię poradzić w innej sprawie. Tylko żebyś dobrze zrozumiała, muszę wrócić jeszcze do tych dni przed pogrzebem. Mówiłam ci o ubraniu dla taty? A, tak, mówiłam. Przepraszam, ale wszystko mi się miesza. Już nie wiem, czy to z nerwów, czy po prostu nie mogę się skoncentrować na prozaicznych sprawach. Zawsze miałam z tym problem. W każdym razie o ubraniu było, OK.

Potem musiałam jeszcze zawiadomić rodzinę. Przyznam, że miałam z tym niezłą zagwozdkę. Niby wiedziałam, że są ciotki, wujkowie, kuzyni bliźsi i dalsi, ale jakoś mnie to nigdy bardziej nie zajmowało. Odkąd zaczęłam mieć własne zdanie w sprawach ubrań, mama odmówiła zabierania mnie na rodzinne imieniny, urodziny i rocznice. Nie wiem, czy sądziła, że to będzie dla mnie jakaś kara, ale jeśli tak, to się myliła. Siedzenie przy stole i odpowiadanie na nudne pytania w stylu „co tam w szkole?” nie było dla mnie żadną atrakcją. Nastolatki mają lepsze zajęcia, prawda? Nieważne zresztą. Chodzi mi o to, że z czasem straciłam kontakt ze starszą częścią rodziny, a moje pokolenie też jakoś nie pałało chęcią do spotkań. Wiadomo, każdy ma swoje życie, część wyjechała do innych miast, niektórzy nawet za granicę. Coś tam wiedziałam, słyszałam przecież, jak rodzice rozmawiali, więc orientowałam się w najważniejszych wydarzeniach. Ale sama kontaktów nie utrzymywałam właściwie z nikim. No, czasami spotykałam młodsze pokolenie kuzynów – a to w jakiejś knajpie, a to po prostu na ulicy – pogadaliśmy chwilę, tak pobieżnie, szybko i tyle. Nie miałam nawet ich numerów telefonów.

Po co o tym mówię? Bo chcę ci wytłumaczyć, dlaczego zajrzałam do szafki mamy. A konkretnie do szuflady. Normalnie nie zrobiłabym tego, bo jedną z zasad w naszym domu, zawsze i bezwzględnie przestrzeganą, był szacunek dla prywatności. Rodzice nigdy nie przeszukiwali moich rzeczy, nie czytali mojego pamiętnika czy listów i pojąć nie mogłam, że inni tak się zachowują. Wiele moich koleżanek miało taki problem. Ja nigdy. Choćbym nie wiem co robiła, wiedziałam, że ani mama, ani tata pewnych granic nie przekroczą. Oczywiście działało to także w drugą stronę i chociaż czasami byłam ciekawa, co rodzice ukrywają w nocnych szafkach czy biurku, nigdy tam nie zaglądałam. Byli w porządku, to i ja byłam.

Teraz nie miałam wyjścia. Musiałam znaleźć stary notes w brązowej okładce. Wiedziałam, że mama ma w nim zapisane wszystkie numery. W tym samym od lat, mocno już zniszczonym, z pożółkłymi kartkami. Dopisywała kolejne adresy i kontakty,

ale starych nie wymazywała. Na wszelki wypadek – mówiła. Teraz mogłam jej za to podziękować. Przynajmniej wiedziałam, gdzie mam szukać i że znajdę to, czego potrzebuję.

I rzeczywiście. Odetchnęłam z ulgą już po przekartkowaniu zeszytiku. Było wszystko, wyraźnie zapisane równym pismem mamy. A powiem ci, że pisze pięknie. Może to po niej mam zdolności artystyczne? Nieważne.

W każdym razie zadzwoniłam do wszystkich. Wysłuchałam kondolencji, opowiedziałam każdemu z osobna, co się stało, przyjąłam do wiadomości, że jestem biedactwem i sierotką, że muszę być dzielna i już nie pamiętam czego jeszcze. Jednak nie w tym rzecz. Otóż na ostatniej stronie, małymi literkami, mama zapisała jeszcze jeden numer. Opatrzony tylko imieniem. Jola i rząd cyfr. Nic więcej.

Z początku nie wiedziałam, kto to może być. Koleżanka? Daleka kuzynka? Dawna znajoma? Coś mi w głowie świtało, więc próbowałam przypisać to imię do konkretnej sytuacji lub rozmowy. Wreszcie skojarzyłam. Tak ma na imię siostra mamy.

Dziwisz się, że nie wiedziałam od razu? Widzisz, to nie takie proste. O cioci Joli właściwie się nie mówiło. Kilka razy, dawno temu, mamie zdarzyło się coś wspomnieć przy okazji opowieści z własnego dzieciństwa. Byłam ciekawa, pytałam o tę nieznaną ciocię, ale słyszałam tylko:

– Jola wyjechała i nie utrzymujemy kontaktu.

Dziecko nie wnika. Przyjmuje to, co słyszy i nie zastanawia się. Tak było ze mną. Przestałam pytać, Jola przestała istnieć. A teraz wróciła, była w tej małej notatce na samym końcu starego notesu.

Zastanawiałam się przez chwilę, ale doszłam do wniosku, że śmierć ojca to chyba ważna sprawa. Może ciocia Jola chciałaby wiedzieć, że jej siostra została wdową? Nawet jeżeli się nie kontaktują, to przecież są najbliższą rodziną. Skoro mama miała jej numer, to chyba przewidywała, że może być kiedyś potrzebny? Pomyślałam: a w sumie co mi szkodzi, zadzwonię i poinformuję. Numer był stacjonarny, więc nawet nie mogłam mieć pewności, czy nadal należy do ciotki, ale postanowiłam spróbować.

No i teraz największa bomba. Okazało się, że telefon jest aktualny, ciocia Jola odebrała osobiście i w milczeniu wysłuchiwała tego, co powiedziałam.

– Janusz nie żyje? – zapytała, jakby chciała się upewnić, a w jej głosie usłyszałam lekkie drżenie.

– Tak, właśnie o tym mówię, ciociu.

– Kiedy pogrzeb?

– Pojutrze, o dwunastej trzydzieści. A po uroczystości oczywiście zapraszam na rodzinny obiad – słowo „stypa” nie przechodziło mi przez gardło. – Chciałybyśmy pożegnać tatę w gronie najbliższych – wyrecytowałam gładkie zdanie, które powtórzyłam już wcześniej kilkanaście razy.

– Mama wie, że dzwonisz? – zapytała ciotka.

– Mama nie jest w najlepszej formie, więc ja zajęłam się przygotowaniem...

– Czyli nie wie – przerwała. – To nawet lepiej. Dla wszystkich.

– Ale mama na pewno...

– Nie przyjadę – znowu nie dała mi dokończyć. – Ale dziękuję za informację. Do widzenia.

W słuchawce zabrzmiał sygnał. Słuchałam przez chwilę jednostajnego buczenia, byłam zupełnie zaskoczona przebiegiem rozmowy. Ty nie byłabyś? Przecież to nie jest chyba normalne, że siostra w takiej chwili nie chce być przy siostrze. O co w tym chodzi? Dlaczego tak stanowczo odmówiła przyjazdu?

A już najdziwniejsze było to, że jednak przyjechała. To znaczy, pewności nie mam, ale tak mi się wydaje. Niewiele pamiętam z pogrzebu, nie miałam siły ani ochoty na rozglądanie się, ale tę kobietę zauważyłam, bo stała zupełnie z boku, z dala od innych żałobników. A potem nie podeszła do nas, tylko znikła. Mamy nie było sensu pytać, bo wzięła tyle leków na uspokojenie, że ledwie kojarzyła, gdzie jest. Musiałam ją podtrzymywać i prowadzić. Ale myślę sobie, że to nie mógł być nikt inny, tylko ciocia Jola.

Czy ty coś z tego rozumiesz? Bo ja nie.



Nie wiem, czy to wypada tak mówić, bo wiesz, że u mnie z konwenansami różnie bywa, ale powiem ci, że wczoraj spędziłam bardzo miły wieczór. Ale po kolei.

Najpierw, kiedy po południu wracałam od mamy, spotkałam w garażu Lilianę, tę od pieska Kubusia. Tym razem zwierzątko nie było, za to ona, jak zwykle, nieskazitelna, jakby właśnie wyszła z sesji zdjęciowej do magazynu dla bizneswomen. Jak ona to robi, że nic jej się nie gniece, a włosy leżą gładko i posłusznie? Ja ciągle coś rozdzieram, zaciągam, plamię. Może to dlatego, że Liliana ma wszystkie ciuchy tak obcisłe, że leżą jak druga skóra? Bałabym się schylić w takiej spódnicy, żeby nie puściły szwy. Nic dziwnego, że zawsze wyprostowana chodzi. W sumie to jednak wolę swoje szerokie swetry i indyjskie spódnice, przynajmniej czuję się na luzie.

W każdym razie wpadłyśmy na siebie przy wejściu. Nie wiem, dlaczego nasze spotkania zawsze zaczynają się od tego, że ją potrącam. Bo oczywiście szłam zamyślona i wpadłam prosto na nią. Czekałam na ostrą reprimendę, ale Liliana spojrzała na mnie uważnie i zapytała:

– Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku.

I pewnie rozstałybyśmy się, gdyby w tym momencie coś we mnie nie pękło. Poczułam jakiś ucisk w klatce piersiowej, taki ból, jakbym miała już nigdy więcej nie nabrać powietrza. Dlaczego kłamałam? Mówiłam, że jest dobrze, a przecież nie było. Przeciwnie – było bardzo nie w porządku. Strasznie, beznadziejnie.

Tylko co ta damulka może wiedzieć o ludzkim cierpieniu? No to może powinna się dowiedzieć.

– Dobra, jak pytasz, to ci powiem. – Zatrzymałam ją, zanim zdążyła mnie wyminąć.
– Właśnie nie wszystko w porządku. I stało się.

Liliana zachowała kamienną twarz. To mnie rozzłościło, zresztą nerwy mam chyba już nieźle zszargane po tych wszystkich przejściach. W każdym razie tak się wkurzyłam, widząc, że nic jej nie rusza, że wypaliłam prosto w tę idealnie gładką twarz:

– Ojciec mi umarł, wczoraj był pogrzeb, jestem z tym wszystkim sama i nie wiem, jak to ogarnę. Czuję się beznadziejnie, a nawet płakać nie mogę. To się stało. Ani mniej, ani więcej.

A potem ominęłam ją dwoma krokami i poszłam, dziękując w myślach samej sobie, że jednak nie noszę wążutkich sukienek. Nawet się nie odwróciłam, bo absolutnie mnie nie interesowała jej reakcja. Uważasz, że byłam niegrzeczna? Nawet jeśli tak, to nic mnie to nie obchodzi. Dlaczego mam się przejmować tym, co sądzą o mnie ludzie, skoro mną nikt się nie przejmuje? Tak sobie pomyślałam wtedy. Chociaż teraz już mam trochę inne zdanie na ten temat. Zaraz ci powiem dlaczego.

Wróciłam do mieszkania. Czuba oczywiście nie było, ale nawet ucieszyłam się z tego powodu, bo nie chciało mi się z nikim rozmawiać. O tym, o czym bym potrzebowała pogadać, jeszcze nie potrafiłam mówić, a inne rzeczy w ogóle mnie nie interesowały. Posiedziałam trochę w kuchni nad kubkiem kawy, ale jakoś nawet nie miałam ochoty się napić. Wystygła całkiem i wylałam ją do zlewu. Potem, żeby zająć się czymkolwiek, zabrałam się za pranie. Kilka bluzek, dwie spódnice, trochę bielizny. I czarna sukienka, w której byłam na pogrzebie. Tylko po co miałabym ją prać? Wiedziałam, że nigdy więcej jej nie włożę, bo już zawsze będzie mi przypominała, że tata odszedł. W jakiejś bezsilnej złości sięgnęłam po nożyczki i zaczęłam ciąć materiał. Bez namysłu, zastanowienia, po prostu, żeby ją unicestwić, żeby przestała istnieć. Jakby to mogło coś zmienić. Nie mogło, ale przynajmniej jakoś pomagało, bo miałam wreszcie coś, na czym bezkarnie wyładowywałam swoją złość. No to siedziałam na materacu i cięłam.

Z początku zupełnie zignorowałam dzwonek do drzwi. Czuba miał przecież klucze, a nikogo innego widzieć nie chciałam. Poza tym kto niby miałby mnie odwiedzić? Listonosz? Akwizytor? Kolejne dzwonki nie spowodowały u mnie zmiany decyzji. Dopiero stanowcze i głośne pukanie sprawiło, że postanowiłam otworzyć i posłać tego, kto stoi za drzwiami, do wszystkich diabłów.

– Wiedziałam, że jesteś, tylko nie chcesz otworzyć. – Wiolka od razu zaczęła gadać, nawet nie zdążyłam otworzyć ust.

– Oj, co ty robisz? – jęknęła w tym samym momencie Róża.

– A nie mówiłam – powiedziała z satysfakcją Liliana. – Widzicie, że miałam rację.

Nie pytając mnie o zgodę i nie czekając na zaproszenie, weszły do środka. Nawet nie

zdążyłam zaprotestować.

Liliana stanowczym ruchem wyjęła mi z rąk nożyczki i strzępy materiału, a potem zaprowadziła do kuchni i posadziła przy stole. Po kilku minutach stał przede mną talerz z leniwymi polanymi masłem i posypanymi cukrem.

– To akurat miałam. Oskar uwielbia, więc często robię – wyjaśniła Wiola. – Pewnie nie jadłaś nic porządnego.

– Jadłam pizzę. – Próbowałam się sprzeciwić, ale zupełnie niespodziewanie poczułam, że ślina napływa mi do ust. Byłam głodna. Po raz pierwszy od tamtego dnia, kiedy... no wiesz.

– Dobra, dobra. – Wiola nie dała się zwieść. – Pewnie dawno i nieprawda. A domowe to zawsze domowe. Bierz widelec i wsuwaj. Niczym się nie martw, my zajmiemy się resztą.

Jaką resztą? – pomyślałam, ale nie miałam siły protestować. Niech robią, co chcą.

I powiem ci, że zrobiły. Zanim zdążyłam pod czujnym okiem Wioli zjeść wszystko, co mi nałożyła, Róża zajęła się mieszkaniami. Cichutko, bez słowa, niczym mrówka, zmywała talerz za talerzem, ścierała blaty, a potem znikła w pokoju. Odezwała się tylko raz.

– Co to jest, tam w łazience, w miednicy?

– Pranie. – Wzruszyłam ramionami. – Zamoczyłam i zapomniałam.

– Wszystko razem zamoczyłaś? Kolory z białym?

Nie odpowiedziałam, bo niby co miałam mówić. Róża westchnęła i wycofała się w głąb mieszkania.

Liliana przez cały ten czas siedziała w milczeniu. Spokojnie i z wyraźnym zadowoleniem przyglądała się działaniom pozostałych sąsiadek. Zerkając na nią znad talerza, pomyślałam, że naprawdę doskonale się nadaje na szefa.

Jasne, przecież zdawałam sobie sprawę, że to ona zorganizowała tę sąsiedzką ekipę. Bo kto inny? Że też jej się chciało! Podejrzewałabyś? Bo ja nie. A jednak.

Kiedy już zjadłam, sprawczyni całego zamieszania przyniosła z przedpokoju reklamówkę i wyciągnęła z niej paczkę z ptysiami.

– Alkoholu nie brałam, bo zawsze uważałam, że nie pomaga na smutki. Dużo lepsze są słodczyce – powiedziała. – Przynajmniej mnie pomagają.

– To ty coś w ogóle jadasz? – palnęła bez zastanowienia Wiola. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, po raz pierwszy od... no właśnie. A byłam przekonana, że już nic mnie nie rozbawi.

– Wyobraź sobie, że jadam. – O dziwo, Liliana wcale nie wyglądała na urażoną. W ogóle była jakaś inna. W wersji domowej stawała się bardziej do przyjęcia – luźna sukienka z dresowego materiału i miękkie balerinki sprawiały, że już nie przypominała „żelaznej lady”. Jakby zmiana stroju powodowała też zmianę charakteru.

Wyłożyła ciastka na talerzyki, a Wiola zaparzyła herbatę. Mimo sporego już brzucha

poruszała się dość zwawo. Widać służyły jej te witaminy, o których kiedyś mówiła.

– Cukru nie ma? – zapytała.

– Pewnie się skończył – stwierdziłam. – Nie mam ostatnio głowy do zakupów, wybacz.

– Jasne, rozumiem. – Nie była z tych nadwrażliwych, które się o wszystko obrażają. – Skoczę do siebie i zaraz przyniosę. Bo nie wiem jak wy, ale ja bez cukru nie wypiję.

Jakbyś mnie zapytała, o czym rozmawialiśmy, to powiem ci, że nie wiem. Pewnie, trochę o tacie. Dziewczyny nie pytały, ale sama jakoś tak zaczęłam. I powiem ci, że jakbyś mi się zrobiło. Bo wiesz, byłam tym zaskoczona, ale miałam wrażenie, że one mnie rozumieją.

Róża mało mówiła, ale widziałam w jej spojrzeniu, że jest przejęta sytuacją. Nigdy nie byłam specjalnie wylewna i zwykle drażniły mnie takie kobiece czułości, ale nie zaprotestowałam, kiedy Wiola podeszła i przytuliła mnie. To było miłe – poczuć ciepło drugiego człowieka, móc się wtulić w ten jej brzuch. Aż mi łzy w oczach stanęły, serio!

Liliana na koniec, jak przystało na szefową, podsumowała całą wizytę.

– Malwina, ja się nie chcę wymądrzać ani udzielać ci rad. Chociaż coś tam o życiu wiem. Powiem ci tylko tyle: są takie sytuacje, kiedy wydaje nam się, że wszystko straciło sens. Ale to nieprawda. Zawsze jest jakieś wyjście, jakaś przyszłość. A ból mija, to tylko kwestia czasu. Wiem, że mi teraz nie uwierzysz i ja się nawet nie dziwię. Poczekam. Kiedyś przyznasz mi rację. Jak już swoje odcierpisz. Bo bez tego się nie da, niestety. Ale chciałabym, żebyś wiedziała jedno – nie jesteś sama. Nie wiem, jak tam u ciebie jest, nie wypytuję, ale jakby co, to masz nas. I gdybyś czegoś potrzebowała, to nie wydzieraj się w garażu, tylko powiedz normalnie. Bo ja bardzo nie lubię, jak ktoś na mnie krzyczy. Wybaczyłam ci tylko dlatego, że uratowałaś moje karty kredytowe. Wtedy, w windzie.

No i jak miałam się nie uśmiechać? No jak? Nie dało się.

Nawet kiedy już poszły, pozostało po nich nie tylko posprzątane mieszkanie, dwa ptysie i pełna cukierniczka, ale coś jeszcze. Nie wiedziałam dokładnie co, ale chyba jakaś dobra energia w powietrzu, dzięki której tego wieczora udało mi się dosyć szybko zasnąć i przespać całą noc.



Naprawdę nie wiem, co ja mam zrobić z mamą. Już mi ręce opadają. Poczekaj, ale najpierw usiądź wygodnie. Herbaty chcesz? Zwykła czy owocowa? Zdziwiona? Dla mnie to też nowość, ale po ostatniej wizycie dziewczyn poszłam do sklepu i kupiłam trochę rzeczy. Kilka paczek ciastek, czekoladę, dwa rodzaje herbaty. Pomyślałam, że gdyby któraś jeszcze zajrzała, to w końcu wypada czymś poczęstować. Nigdy wcześniej nie zwracałam uwagi na takie rzeczy, przecież wiesz, że moi znajomi to sami wezmą,

jak coś jest, a jak nie ma, to też nie robią problemu. No ale z dziewczynami jest inaczej. Zresztą głupio tak – one obiad, ciastka, a ja nic? I tak oto masz wybór.

Pytasz, co z tą mamą. Właśnie. Właściwie to nie wiem, co się dzieje. Bo dobrze, rozumiem, była w szoku, niech będzie. Ale przecież minęły dwa tygodnie. Ja nie mówię, że ma zapomnieć o tacie, ale przecież musimy jakoś nasze życie ogarnąć. A ona zachowuje się, jakby jej było wszystko jedno.

Czy nadal bierze tabletki? Nie jestem z nią cały czas, więc pewności nie mam, ale mówi, że tylko na noc, kiedy nie może zasnąć. Ale co z tego, że rano wstaje, jak cały dzień chodzi po domu i nic z tego nie wynika. Nie powiem, sprząta, na przykład wczoraj odkurzała i ścierała kurz z mebli. Ale nie gotuje. Powiedziała, że nie ma dla kogo, a dla samej siebie to jej się nie chce. No to co mam robić? Muszę biegać tam codziennie i pilnować, żeby coś zjadła.

Problem w tym, że ja nie umiem gotować. Na razie kupuję jedzenie po drodze, w tej pierogarni na Wspólnej. Uwielbiam pierogi, tam są naprawdę pyszne, ale ile można! Znam już chyba wszystkie smaki. Mama też już zaczyna kręcić nosem, że ciągle to samo. Ale do kuchni nie zajrzy.

Już naprawdę tracę cierpliwość, bo nie wiem, jak z nią rozmawiać. Nie potrafię jej nakłonić do niczego. Proponowałam spacer, wspólne zakupy, kino, teatr, nawet żebyśmy razem ugotowały. Mowy nie ma. W tej desperacji wpadłam na pomysł, żeby jeszcze raz zadzwonić do cioci Joli. W końcu, skoro jednak zdecydowała się przyjechać na pogrzeb taty, to może jednak byłaby szansa, żeby się jakoś dogadały, odnowiły kontakty. Może siostra nakłoniłaby ją do normalnego życia. A jak ty uważasz? To dobry pomysł? Tak? No to od razu muszę cię wyprowadzić z błędu. Już sprawdziłam. I pomysł sam w sobie może nie był do niczego, ale nie przekonam się, jaki byłby skutek.

Zadzwoiłam wieczorem, bo pomyślałam, że wtedy na pewno zastanę ją w domu i będzie miała więcej czasu na rozmowę. Owszem, była, ale rozmowa trwała krócej, niż się spodziewałam.

– Ciociu, ja już nie wiem, co robić. Mama nie może się pozbierać, nie słucha moich tłumaczeń... – Po krótkim przedstawieniu sytuacji zaczęłam zmierzać do sedna problemu.

– Zawsze taka była. Zupełnie nieodporna na życiowe trudności. Nie mówisz mi niczego nowego.

– To tym bardziej ciocia zrozumie moją prośbę! – Ucieszyłam się, bo sądziłam, że teraz już pójdzie gładko. – Bo widzi ciocia, tak nie może być. Przecież nie dam rady ze wszystkim sama. Liczyłam, że mama w końcu mi pomoże.

– Ja bym na twoim miejscu nie miała takiej nadziei. – Ciotka najwyraźniej nie należała do osób, które chcą być miłe.

– No właśnie – westchnęłam. – Tylko że coś trzeba zrobić. Może ciocia by przyjechała, została na kilka dni. Dom jest duży, nie będzie żadnego problemu. Pogadałybyście

i może inaczej potraktowałyby słowa siostry niż córki.

– Malwino – głos ciotki był zimny i stanowczy – to niemożliwe. Nie utrzymuję kontaktu z twoją matką od wielu lat i nie zamierzam tego zmieniać. Mam podstawy, żeby sądzić, że ona jest podobnego zdania. Moja obecność z pewnością nie pomogłaby jej. Zresztą to i tak nie ma znaczenia, bo nie przyjadę. Ani teraz, ani nigdy.

– Ale dlaczego? – Nie mogłam tego zrozumieć. Nawet nie chciałam. Założyłam z góry, że ciotka przyjedzie i mnie odciąży. W końcu rodzina to też obowiązki, a w trudnych chwilach trzeba schować urazy do kieszeni i wspierać się wzajemnie. Mam rację? Właśnie. Ale ciotka najwyraźniej jest innego zdania.

– Nie zamierzam ci się tłumaczyć, a skoro nie znasz powodu, to najwyraźniej twoja matka też tego nie zrobiła. Niech więc tak pozostanie. I bardzo cię proszę, żebyś więcej do mnie nie dzwoniła. Jesteś ich dzieckiem, więc się tym zajmij. Dobranoc.

Co ty na to? Nieźle, prawda? Jaka sympatyczna i kochająca siostra. Dramat po prostu. I sama widzisz, że z pomysłu nici.

A wczoraj spotkałam Wiolę w delikatesach. Ten jej mały to naprawdę łobuziak, ale lubię go. Na mój widok ucieszył się tak szczerze, że aż mi się ciepło na sercu zrobiło.

– Ciocia Malwina! – krzyknął z drugiego końca sklepu, aż się ludzie zaczęli oglądać. Wiola próbowała go jakoś spacyfikować, ale nie dała rady. Tłumaczyłam jej, że to naprawdę dla mnie nie problem i żeby się nie przejmowała.

– Ciociu, narysujesz mi pieska? Bo mama powiedziała, że nie kupi, to ja bym chciał chociaż mieć na rysunku. Tylko żeby był taki rudy i kudłaty jak ty! Dobrze?

– Oskar, uspokój się! – strofowała go matka. Może myślała, że mam jakiś kompleks na punkcie tej mojej niesfornej czupryny czy jej koloru. No to jej wyjaśniłam, że jestem z niej dumna i nie ma sprawy.

A, ja ci o dzieciaku, a miałam przecież o czym innym. No więc wracałyśmy razem z tego sklepu i po drodze opowiedziałam jej o mamie, tak jak tobie teraz. I wiesz, co mi doradziła? Żeby oddała mamę do szpitala. W tym sensie, że może coś jej się stało w związku ze śmiercią taty. Oj, co będę owijać w bawełnę, wprost powiem. Wiola uważa, że mamę powinien zobaczyć psychiatra. Że może to jakaś depresja, czy coś podobnego. No i że w szpitalu odpowiednio się nią zajmą, a ja się uspokoję, nie będę kursować między dwoma domami i wreszcie znajdę czas na zajęcie się wszystkimi sprawami, które do tej pory należały do taty.

Myślisz, że to dobry pomysł? No niby tak, ale jakoś mi głupio oddawać matkę do psychiatryka tylko dlatego, że nie chce jej się gotować. Mnie też się nie chce. Wiem, że była inna, ale może potrzebuje więcej czasu, żeby dojść do siebie? No i jak miałabym jej to powiedzieć? Przez usta mi nie przejdzie taka propozycja. A z drugiej strony może rzeczywiście gdyby pogadała z lekarzem, dostała coś innego niż tabletki nasenne, może wtedy poczułaby się lepiej. Sama już nie wiem... Tata wiedziałby, co zrobić. Zawsze wiedział.



No i stało się. Nawet nie wiem, jak ci o tym powiedzieć. Jasne, pamiętam, zawsze twierdziłam, że najlepiej mówić wprost i bez niedomówień. Jaka ja głupia byłam! Mówisz, że tak sądziłam jeszcze miesiąc temu? No to w połowie września jeszcze byłam głupia. Pojęcia nie miałam, że są takie sprawy, o których ciężko w ogóle mówić, a co dopiero tak prosto z mostu. Nawet słowa czasami trudno znaleźć. Tak, oczywiście, możesz się cieszyć. Twoje na wierzchu. Jeszcze dodaj: „a nie mówiłam”. Nie żałuj sobie. Wiem, wszyscy są mądrzy, rozsądni, przewidujący, a ja roztrzepana i nieodpowiedzialna. Czy to moja wina? Taka jestem i co mam na to poradzić? Ale proszę bardzo, możesz sobie poużywać i nacieszyć się moją porażką. Nasłuchałam się już dzisiaj od lekarza, więc kolejna porcja krytyki niewiele pogorszy sprawę.

Od jakiego lekarza? Normalnego. To znaczy nienormalnego. Boże, co ja plotę! Od psychiatry, to miałam na myśli. Czy byłam u niego? Nie, skąd, sam wpadł na kawę. No proszę cię, zastanów się! Byłam, ale nie, że tak powiem, ze sobą. Nieskładnie gadam? Też nie mogłabyś zebrać myśli, gdybyś była na moim miejscu. Dobra, postaram się skoncentrować. Moment, już ci wszystko opowiadam po kolei.

Jak każdego dnia poszłam około południa do mamy. Wcześniej byłam w banku i u prawnika, bo przecież trzeba coś zrobić z firmą ojca. Nie mam bladego pojęcia, co on tak naprawdę robił. Firma budowlana, tyle wiem i jakieś zlecenia, kontrakty, budowy. Przecież to dla mnie czarna magia. Włączyłam kilka dni temu telefon ojca, a tam normalnie setki telefonów i SMS-ów od klientów i dostawców. Jeszcze mi się nie udało wszystkich obdzwonić. Mówię o śmierci taty, przepraszam i obiecuję, że już niedługo wszystko wróci do normy. Tylko że kłamię przecież. Bo niby jak? Kto się tym zajmie? Przecież nie ja i nie matka, prawda? Boję się, że zaraz ludzie zaczną się zgłaszać po jakieś pieniądze. No i że za chwilę nie będziemy miały z mamą z czego żyć. Masakra jakaś! Głowa mi pęka od tego wszystkiego i przerobiłam już kilka takich momentów, że byłam autentycznie wściekła na ojca. Jak on mógł nas tak zostawić? Dobra, wiem. To irracjonalne, ale serio jestem wkurzona. Nie miałam pojęcia, że aż tyle tego wszystkiego jest. Ciągłe przychodzą jakieś rachunki, faktury, mail pęka od rozliczeń, próśb o kalkulacje, projektów do zatwierdzenia. Czuję się, jakbym czytała chińskie znaczki, nie rozumiem ani słowa. Jak on sobie z tym wszystkim radził? Pojęcia nie mam. Mnie to przerasta.

Dzisiaj prawnik znowu zrobił mi listę dokumentów, które muszę skompletować. Przypięłam tę kartkę na lodówce i udaję, że jej nie widzę. Ale i tak wiem, że tam jest. Ale do rzeczy, bo co cię w sumie obchodzi firma mojego ojca. Też się przecież na tym nie znasz.

To jeszcze raz. Poszłam do mamy. Co prawda padało, ale nie spieszyłam się. Lubię moknąć, nigdy mi to nie przeszkadzało. Jest coś uspokajającego w równomiernym

padaniu kropel i w szumie strużek wody. A świat staje się taki rozmyty, mniej oczywisty, bez konturów i ostrych krawędzi. Lubię i już.

Mokłam więc sobie, idąc Dolinami, potem nadrobiłam trochę drogi i skręciłam do parku, żeby popatrzeć na zmoknięte gołębie i kaczki nad stawem. Nawet weszłam w dwie czy trzy kałuże, dobrze mi to zrobiło. Poczułam się jak mała dziewczynka, która nie ma żadnych problemów. Przemokły mi buty, ale nie przejęłam się za bardzo, bo dom rodziców na Spacerowej miałam już właściwie po drugiej stronie ulicy.

No i los znowu postanowił zagrać mi na nosie. Kara za to, że śmiałam poczuć się beztrosko, spotkała mnie natychmiast. Objawiła się w postaci sąsiadki, która wybiegła ze swojego domu, gdy tylko pojawiłam się przy furtce. Musiała tkwić przy oknie, co zresztą mnie nie zdziwiło, bo właściwie nic innego nie robiła, tylko obserwowała, co się dzieje u sąsiadów. Nie raz donosiła ojcu, kto mnie odprowadzał i z kim się całowałam na pożegnanie. I chyba się domyślasz, że nigdy nie powiedziała niczego dobrego o tych chłopakach. Taki typ.

Podbiegła do mnie, a minę miała jak kot, co złapał mysz. Od razu wiedziałam, że nie powie nic przyjemnego.

– Mamę zabrało pogotowie – oznajmiła. – Co za nieszczęście! Dopiero tata, a teraz...
– Słabo jej szło udawanie współczucia, ale nie w głowie mi było uświadamianie jej tego.

– Co się stało?

– Nie wiem dokładnie, bo nie chcieli ze mną rozmawiać.

– A kto wezwał karetkę?

– Ja wezwałam. Zobaczyłam przez okno, że twoja mama chodzi po ogrodzie. Wyglądała, jakby czegoś szukała, jakoś tak dziwnie, sama nie wiem... I kurtki nie miała, a przecież pada. To wyszłam, podeszłam do ogrodzenia i wołam ją. Usłyszała, zaczęła iść w moją stronę i nagle upadła. Coś niesamowitego! Jakby jej ktoś odłączył zasilanie. Sekunda i leży! – Była bardzo podekscytowana, więc mogłam mieć pewność, że jutro dowiedzą się o tym wszyscy jej znajomi i cała okolica.

– Dobrze, nieważne. – Nie miałam zamiaru tolerować tej plotkary. – Gdzie ją zabrali?

– Chyba na SOR, bo gdzie niby? Na sygnale pojechali...

Nie słuchałam jej dalej. Ruszyłam prawie biegiem. Na szczęście na stacji Orlenu przy rondzie Giedroycia złapałam taksówkę. Byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam wymówić nazwy szpitala. Broda mi latała, zęby szczękały. Nawet nie chciałam myśleć, że mama mogłaby też...

Na SOR-ze była taka kolejka, że czekałabym chyba z godzinę. Ale nie miałam zamiaru zwracać na nic uwagi. Zupełnie zignorowałam burczenia czekających, machnęłam ręką na pyskującą kobietę i straciłam męską dłoń, próbującą mnie zatrzymać.

– Gdzie jest moja matka? – zapytałam pielęgniarkę siedzącą przed monitorem.

– Proszę poczekać na swoją kolej – powiedziała, nawet nie podnosząc na mnie

wzroku. – Teraz jestem zajęta.

Wsadziłam dłoń między monitor a jej twarz. Musiała oderwać wzrok od formularza. Popatrzyła i chyba wyglądałam na bliską furii, bo pokręciła głową.

– O co chodzi?

– Przywieziono tu moją mamę. Chcę wiedzieć, co się z nią stało.

– Nazwisko... imię... PESEL...

Podawałam dane, ale czułam, że długo już nie wytrzymam. Na szczęście wreszcie usłyszałam:

– Nie ma jej u nas. Została przewieziona do innej placówki.

– Jakiej?

– Na Kusocińskiego – ściszyła głos, jakby mówiła coś wstydliviego.

Dla mnie to było bez znaczenia. Niechby nawet zawieźli ją do cyrku, a nie tylko na oddział psychiatryczny, byle tylko żyła.

I znowu taksówka. I kolejna rejestracja, seria pytań, podpisywanie jakichś papierków. A potem nareszcie rozmowa z lekarzem.

Był niewiele starszy ode mnie, ale miał minę, jakby zjadł wszystkie rozumy. Wskazał mi krzesło stojące przed biurkiem, sam zajął drugie. I milczał.

– Czy wreszcie dowiem się czegoś? – Nie wytrzymałam w końcu. – Powie mi pan doktor, co się stało?

– Miałem nadzieję, że to pani mi powie.

– Nie rozumiem...

– Pogotowie przywiozło tu pani mamę w stanie silnego zatrucia lekami, nieprzytomną. Z wywiadu wynika, że była sama w domu. Podobno niecałe trzy tygodnie temu pochowała męża. Tyle wiem, ale nie wiem dlaczego.

– Co: dlaczego?

– Dlaczego po takich przejściach była zostawiona sama. W pierwszej chwili sądziłem, że może nie ma żadnej rodziny, ale oto siedzi przede mną jej córka, więc moja teoria upadła. Zatem powtarzam pytanie: dlaczego?

– To nie pańska sprawa – odpowiedziałam oschle. Ten człowiek oskarżał mnie o zaniedbywanie własnej matki i sugerował, że to, co się stało, to moja wina. Nie miałam zamiaru mu się tłumaczyć ani dać poznać, jak bardzo zabolęła mnie jego niesprawiedliwa ocena.

– Jasne, że nie moja. Bo nie moja matka. Zapytałem z zawodowej ciekawości, która, jak widzę, nie zostanie zaspokojona. – Psychiatra wzruszył ramionami. – W takim razie powiem o tym, co jest moją sprawą. Zrobiliśmy pani matce płukanie żołądka, jednak wyniki wskazują na to, że zażywała duże ilości leków już od jakiegoś czasu. Na szczęście wróciła już do przytomności, jest z nią kontakt, choć jeszcze jest nieco splątana. Podamy jej co trzeba, wzmocnimy i porozmawiamy. Jeśli wszystko będzie w porządku, za kilka dni wyjdzie do domu. Z bezwzględny zaleceniem stałej opieki. – Popatrzył mi prosto w oczy. – Rozumie pani? Nie powinna zostawać sama, trzeba mieć

ją ciągle pod kontrolą. Przechodzi bardzo trudne chwile.

– A ja nie przechodzę?! Tak pan doktor sądzi?! Nie skojarzył pan w swojej medycznej mądrości, że ten mąż, którego matka pochowała, był jednocześnie moim ojcem?!

Nawet ci nie powiem, co było dalej, bo nie pamiętam. To znaczy trochę tak. Poderwałam się z krzesła i stanęłam nad nim w nadziei, że się przestraszy. Wydierałam się na niego tak długo, aż wszystko wykrzyczałam. To, co powiedziałam tobie i chyba jeszcze więcej. Wydaje mi się, że ktoś zaglądał do gabinetu, bo lekarz w pewnej chwili pokazał gestem, że wszystko w porządku. Poza tym nie poruszał się wcale i nic nie mówił. A ja się wydierałam, aż zabrakło mi sił. Opadłam znowu na krzesło i zastanawiałam się, czy dam radę w ogóle z niego wstać.

– Niech pani wraca do domu i doprowadzi się do porządku. Jest pani potrzebna mamie. Mogę obiecać, że zatrzymam ją tutaj przez dwa tygodnie, ale pani w zamian da mi słowo, że wykorzysta ten czas na załatwienie najpilniejszych spraw i zorganizowanie życia tak, żeby zapewnić mamie opiekę. Wchodzi pani w to?

– A jeśli nie dam rady?

– Niech się pani przestanie uważać nad sobą. Potrafiła pani zrobić scenę w szpitalu psychiatrycznym, nie bojąc się, że może pani stąd nie wyjść, a sądzi pani, że nie da rady kilku urzędom? Może już dosyć tego czekania, aż ktoś za panią wszystko załatwi? Taty nie ma, mama nie może. Teraz czas na panią. Bez mazgajstwa. Do widzenia.

I zostawił mnie samą w tym gabinecie. Posiedziałam jeszcze chwilę i wyszłam. Nie zajrzałam do mamy, nie mogłabym z nią rozmawiać.

Sama widzisz, że już mam dość na dzisiaj. Nic gorszego mnie nie spotka. Martwisz się? Nie ma powodu, w końcu psychiatra uznał, że mogę sama być, prawda? A tak serio, to nic głupiego nie zrobię. Muszę tylko pomyśleć, co dalej. Mam dwa tygodnie. Dużo to czy mało? Też nie wiem.

Tak, lepiej będzie, jak pójdiesz. Potrzebuję chwili samotności, a Czub pewnie niedługo wróci. Jasne, że w razie czego się mną zaopiekuje. Tak, interesuje się mną, ale ja się nie zwierzam za bardzo. Przecież wiesz, jaki to układ. Oczywiście, tobie wszystko będę opowiadać, nie martw się. Bez mazgajstwa, jak powiedział pan doktor. Naprawdę zabawny z niego gość.



Jakoś się trzymam, chociaż w gruncie rzeczy słabo to wygląda. Niewiele udało mi się załatwić przez tych kilka dni. Na dodatek niezbyt dobrze się czuję. Prawie codziennie boli mnie głowa, nie mam siły rano zwlec się z łóżka.

Czub mi proponował, żebym z nim biegała. Nawet nie wiedziałam, że on uprawia jogging. I to co rano. Wyśmiałam go, bo czy ty sobie wyobrażasz mnie w takim stroju

do biegania, najpewniej w neonowych kolorach, truchtającą o świcie wzdłuż Silnicy?
No właśnie.

– A twoja sąsiadka biega – odpowiedział mi. – I wcale nie w neonowym, tylko w czarnym.

– Pewnie dlatego, że czarny wyszczupła – nie mogłam powstrzymać złośliwości. – A która to taka zwolenniczka zdrowego stylu życia?

– Ta z apartamentu na górze. I jej niepotrzebne wyszczuplanie.

– Mnie też nie. – Wiedziałam, że chce mnie wkurzyć. Zawsze narzekałam, że mam za dużo tu i tam. Ale trafił jak kulą w płot, bo odkąd odszedł tata, schudłam prawie siedem kilogramów.

– Czy ja mówię, że potrzebne? To ty zawsze narzekałaś. Miałam na myśli raczej zdrowie. I energii miałabyś więcej.

– Mam bardzo dużo energii. Cały dzień zapierdalałam od drzwi do drzwi, między urzędami a szpitalem. To się nie liczy? Te kilometry są nieważne? – Tak, nie przebierałam w słowach, bo mi podniósł ciśnienie. Ale z nim nie da się pokłócić. Taka siła spokoju.

– Nie, to nie. Tylko zapytałam. Luz, Malwina, bez napinki.

No i dobrze, bo napinki to ja mam dość poza domem i we własnym mieszkaniu chciałabym mieć spokój. Na szczęście Czub to rozumie. I dobrze.

Tak, jak ci mówiłam, krążę między urzędami, tonę w papierach. Niby całe dnie coś robię, ale końca nie widać. I efektów żadnych. Nic do przodu, jakbym dreptała w miejscu. A czas płynie.

Co u mamy? Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Odwiedzam ją, nawet cieszy się na mój widok, od czasu do czasu pyta, co w domu, przypomina mi o podlewaniu kwiatów. Zawsze miała na ich punkcie bzika, nie mówiłam ci? Pełne parapety, kwietniki w każdym pokoju, kwiaty stojące, wiszące, kwitnące. I ciągle jakiś nie chciał rosnąć albo mu listki usychały, albo właśnie zakwitł, albo nie kwitł. Nawet z nimi rozmawiała. Szczególnie z tymi w ogrodzie. O, masz! Dobrze, że już jesień, bo pewnie jeszcze zmusiłaby mnie do grzebania w ziemi. A mnie to ani nie bawi, ani nie cieszy. Nuda. Te w domu to podleję i tyle. Udaję, że się stosuję do jej instrukcji, bo jeden powinien mieć mokro, a drugi nie za bardzo, a jeszcze kolejny trzeba podlać do podstawki, innemu zraszać liścia, za to jakimuś tam absolutnie nie. Szału można dostać! Kto by to spamiętał? Ty pamiętasz? No to gratuluję, bo dla mnie to poza zasięgiem.

Najgorsze jest to, że mama o te kwiatki bez przerwy wypytuje, a ani razu nie zainteresowała się tym, jak ja sobie radzę. Opowiadam jej trochę o tych wszystkich sprawach, bo czasami potrzebuję od niej upoważnienia albo podpisu. Robi, o co proszę, ale nie pyta dlaczego i po co. Przykro mi czasem, bo ja się zarzynam, ledwie już nogami powłóczę, a ona ma to chyba w nosie. Ale cóż, to moja mama, nie zostawię jej przecież.

Najgorsze, że dwa dni temu niechcący wygadałam się, że dzwoniłam do ciotki Joli. Jakoś tak wyszło w rozmowie, bo wiesz, zastanawiałam się nad opiekunką dla mamy. To znaczy może bardziej nad gosposią, która przysłaby ugotować, pomóc w sprzątaniu, przypilnować. Chciałam sprawdzić, co powiedziałyby na to mama i palnęłam głupotę.

– Myślę, że to byłoby dobre wyjście. Miałybyś pomoc w tym, na co nie masz ochoty i towarzystwo. Bo wiesz, że ja całe dni jestem zajęta i pewnie jeszcze jakiś czas tak będzie. – Chciałam ją jakoś przekonać.

– Nie wiem... Obca osoba w domu... – Mama pokręciła głową. – Nigdy nie wiadomo, kogo się pod swój dach wpuści.

– Zawsze można sprawdzić referencje. Pewnie, że lepszy byłby ktoś z rodziny, ale wiesz, że większość już sama wymaga opieki, a skoro ciocia Jola nie chce przyjechać, to nie widzę innego wyjścia jak...

– Jola? – Matka wyprostowała się nagle, jakby zeszywniał jej kark. – Odzywała się?

– Nie, ja do niej zadzwoniłam. – Przyznałam się, bo nie było sensu kłamać. – Znalazłam numer w twoim notesie i pomyślałam, że powinnam ją zawiadomić o śmierci taty, więc...

– Jak mogłaś?! – przerwała mi. – Kto cię upoważnił do takich rzeczy?

– Sama się upoważniłam, bo może nie pamiętasz, ale ciebie nic nie interesowało. – Moja odpowiedź zabrzmiała ostro i mało grzecznie, ale byłam zła, że po tym wszystkim ma do mnie jeszcze jakieś pretensje.

– Absolutnie sobie nie życzę, żebyś przekazywała jej jakiegokolwiek informacje o mnie. Czy słyszysz?! Absolutnie!

Mówię ci, wpadła w jakąś histerię. Pacjentka, która jest z mamą na sali, od razu pobiegła po pielęgniarkę, a ta wyprosiła mnie na korytarz.

– Absolutnie sobie nie życzę! – słyszałam, odchodząc.

– Nawet jakbyś sobie życzyła, to ona i tak nie chce cię widzieć – wyszeptałam, chociaż nie mogła tego usłyszeć. – Ja na razie też.

Nie poszłam do niej jeszcze. Trudno mi się przemóc. I chyba trochę się boję. Coraz bardziej mam wrażenie, że ta osoba, która tam jest, to nie moja matka. Tamta, którą znam, była uśmiechnięta, miła, miała czas i ochotę na rozmowę ze mną i chociaż denerwowała mnie trochę swoją opiekuńczością, domowymi obiadami i wydzwanianiem, gdy spóźniałam się więcej niż kwadrans, to przynajmniej wiedziałam, że jej na mnie zależy i że mogę na nią liczyć. A teraz już nie jestem tego pewna.



Do tej pory wydawało mi się, że lubię niespodzianki. Pewnie dlatego, że to, co mnie

zaskakiwało, zawsze było miłe. Niespodzianka kojarzyła mi się z radością, szczęściem, miłym zrządzeniem losu. Pomyśleć, że w ciągu miesiąca tak bardzo się to zmieniło. Nie chcę żadnych nieoczekiwanych wydarzeń, mam ich tak dosyć, że kiedy zobaczyłam kopertę wetkniętą w drzwi – poczułam lęk tak silny, że aż wstrzymałam oddech. Nie spodziewałam się dobrych wieści, a złych nie chciałam już przyjmować. Obracałam w palcach papier w kolorze écru i w pierwszym odruchu chciałam się tego po prostu pozbyć. Podrzeć, spalić, sprawić, żeby nie istniało. Ale wiedziałam, że to niczego nie zmieni, tak jak wykasowanie e-maila z przypomnieniem o zapłacie nie sprawiało, że dług przestawał istnieć.

Weszłam do domu, przysiadłam na szafce w przedpokoju i rozerwałam kopertę. Ręce mi drżały, kiedy rozkładałam karteczkę, która była w środku. Westchnęłam i spojrzałam na treść. *Zapraszam na zebranie sąsiadek dziś o 19.00 na ostatnim piętrze. Obecność obowiązkowa. Pozdrawiam. Liliana.* Przeczytałam wiadomość jeszcze raz i nie wiedziałam, czy mam się śmiać czy rozplakać. W jakim stanie muszą być moje nerwy, sama powiedz, skoro na informację w sumie miłą mam ochotę zareagować łzami?

Nie zamierzałam tam iść. Nie miałam ochoty na spotkania towarzyskie. Czułam zmęczenie, ledwie przebierałam nogami i moim największym marzeniem było schować się pod kołdrę, zasnąć i obudzić w innym świecie, w którym nie ma druków, formularzy, konieczności zapamiętania terminów, płacenia rachunków, robienia zakupów. Nie nadawałam się do rozmów o niczym, żarcików czy śmiechów. Żadna ze mnie towarzyszka na miły wieczór, prędzej popsułabym wszystkim humor. Doszłam do wniosku, że lepiej będą bawić się beze mnie. Odłożyłam zaproszenie i powlokłam się do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Ubrana w dres i ukochany podkoszulek z Tygrysiem ułożyłam się wygodnie na materacu i włączyłam telewizor. Miałam ochotę na coś mało ambitnego – romantyczną komedię, amerykański serial rodzinny albo cokolwiek innego, co oderwie moje myśli od rzeczywistości, a nie będzie wymagało skupienia. Potrzebowałam tego, co jeszcze niedawno złośliwie nazywałam „odmóżdzeniem” i miałam w głębokiej pogardzie.

Zapewne w ten sposób spędziłabym cały wieczór, gdyby nie Czub. Nawet byłam zaskoczona, że wrócił tak wcześnie.

- Zjemy coś razem? – Stał w drzwiach z dwoma pełnymi zakupów reklamówkami.
- Masz ochotę na kolację? – Wyciągnął z kieszeni kurtki złotą świeczkę.
- Nie mam ochoty na nic – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.
- Nie namawiam. Ale pamiętaj, że proponowałem. Mam nawet marynowane grzybki.
- Wiedział doskonale, co lubię.
- Napadłeś na bank?
- Nie. Uczyłem jednego mało kumatego nastolatka matmy. To chyba porównywalne.
- Uczyłeś? Ty?

– Tak się złożyło. Nie było nikogo lepszego. Albo równie zdeterminowanego, nie wiem. W każdym razie akcja zakończyła się sukcesem i rodzice nie pożałowali dowodów wdzięczności.

Pierwszy raz słyszałam, żeby Czub kogoś uczył. A jeszcze matematyki? Normalnie pewnie wypytałabym go o szczegóły, ale nie tym razem.

– A to co? – Usłyszałam z przedpokoju. – Zaproszenie na wesele? Pójdziemy na imprezę z tortem, rzucaniem bukietem i wzruszająco nieporadnym pierwszym tańcem młodych?

Zrozumiałam, że znalazł liścik Liliiany. Rzeczywiście, koperta była elegancka i mogła sugerować właśnie taką zawartość.

– Nigdzie nie pójdziemy. To zaproszenie, ale nie na wesele, tylko na babski wieczór.
– O, to rozumiem, że jednoosobowe. – Tym razem głos Czuba dobiegał już z kuchni.
– Owszem.
– To o której wychodzisz?
– Nigdzie się nie wybieram.
– A może powinnaś pójść? – Stał w drzwiach pokoju z nożem w jednej ręce i cebulą w drugiej.

– Powtarzam: nigdzie nie idę. Koniec rozmowy.
Powinien odpuścić. Zawsze tak było. Ale tym razem coś mu chyba odbiło. Przysiadł obok mnie na materacu i zmierzył mnie spojrzeniem.

– Moim zdaniem potrzebujesz chwili oddechu, jakiejś rozrywki czy coś... ja się nie znam na kobietach w ogólności, ale szczerze mówiąc, ty nie wyglądasz najlepiej.
– Szczerze mówiąc – powiedziałam z przekąsem – to nie interesuje mnie twoje zdanie.

I bez niego wiedziałam, jak wyglądałam. Miałam przecież lustro.
– Jak nie chcesz się spotkać z tymi dziewczynami, to może kosmetyczka albo fryzjer, albo zakupy... Nie wiem, co tam kobiety robią, żeby się lepiej poczuć...

Mówię ci, aż mnie podrzuciło! Znamy się tyle lat, a on mi wyjeżdża z fryzjerem i kosmetyczką. Co ja jestem? Jakaś idiotka? Może za chwilę wyśle mnie jeszcze na shopping.

– Widzę, że nie jest dobrze. Serio. Nie odzywasz się, nie uśmiechasz... – Nie dawał za wygraną.

Odrzuciłam koc i zerwałam się z materaca.
– Wiesz co, Czub, przegiąłeś! Ja rozumiem dobre chęci, ale chyba wiem, czego mi potrzeba, co? Ale OK, osiągnąłeś to, co chciałeś. Wychodzę. Idę na spotkanie z koleżankami. – Wsunęłam stopy w puchate kapcie. – Ale żebyś wiedział, że robię to tylko dlatego, że już nie mogę słuchać twojego bezsensownego gadania. Nie wiem, kiedy wrócę, więc nie czekaj z kolacją.

I wyszłam. Tak jak stałam – w dresie, T-shircie i pomarańczowych kapciach.
– Dobry wieczór. – Lilianie nawet nie drgnęła powieka na widok mojego stroju. –

Fajnie, że wpadłaś.

– Cześć. Właściwie nie miałam zamiaru przychodzić. Ale facet mnie wyprowadził z równowagi... – wyjaśniałam, wchodząc do przestronnego salonu, w którym na skórzanej kanapie przy designerskim szklanym stoliku siedziały pozostałe sąsiadki.

– Najważniejsze, że przyszałaś. – Gospodyni dostawiła jeszcze jedną filiżankę.

– O, to jest jakiś facet? – Kto inny, jak nie Wiola zainteresowałaby się akurat tą częścią informacji?

– To niedyskretne – zauważyła półgłosem Róża, patrząc na nią z wyrzutem.

Z rozmachem usiadłam na fotelu i machnęłam ręką.

– Nie ma sprawy. Zresztą to nie facet w tym znaczeniu. Przyjaciel. Pomieszkuje u mnie, bo chwilowo nie stać go na wynajem – wyjaśniłam.

Dalej jakoś poszło. Zaczęłyśmy rozmawiać o cenach, o tym, że drogo, a potem zeszło oczywiście na mężczyzn. I muszę przyznać, że wbrew temu, co mi się wydawało, z każdą chwilą czułam, jak zmęczenie znika.

Nie rozumiem tego, ale dobrze mi było w ich towarzystwie. Uwierzysz? A przecież z pozoru ja do nich zupełnie nie pasuję. Normalnie nigdy bym nie podejrzewała, że możemy mieć jakiegokolwiek wspólne tematy.

Tymczasem gadałyśmy bez przerwy. Każda troszkę sobie ponarzekła, nawet Róża wspomniała o starej nauczycielce, która ją ciągle dołuje. Wiola opowiadała o teściowej, Liliana napomknęła o jakimś rodzinnym problemie, ale nie wdawała się w szczegóły.

– No, moje panie, teraz pora na wyjawienie wam powodów mojego zaproszenia. – Gospodyni sięgnęła do barku i wyjęła z niego butelkę szampana. – Dzisiaj są moje urodziny. Tylko błagam, nie pytajcie które. – Roześmiała się. – Normalnie nie świętuję tej okazji, ale wczoraj przyszło mi do głowy, że przyda mi się coś mało oficjalnego.

– No to ja się idealnie wpisałam w nieoficjalność. – Wskazałam na kapcie.

– Mogłaś uprzedzić. – Oczy Wioli pełne były wyrzutu. – Nie mamy prezentów. A ja tak uwielbiam myszkować po sklepach i wynajdywać niespodzianki!

– Prezenty są nieważne. – Liliana pokręciła głową. – Jeśli chcecie znać prawdę, to szukałam pretekstu, żeby was zaprosić. Niełatwo mi się do tego przyznać, ale te nasze, przypadkowe przecież spotkania sprawiły, że zdałam sobie sprawę z pewnej smutnej rzeczy. – Odstawiła butelkę i usiadła. – Otóż, moje drogie sąsiadki, okazuje się, że nie mam koleżanek. To znaczy, wróc, mam koleżanki, ale takie właśnie oficjalne. Często biznesowe. Z każdą łączy mnie jakiś interes, wspólny projekt, czy coś podobnego. Żebyście dobrze zrozumiały – lubię je naprawdę, to fajne kobiety, ale doszłam do wniosku, że brakuje mi kogoś, z kim mogłabym czasem pogadać tak po prostu, na luzie, naprawdę szczerze.

– Nie w szpilkach? – podsunęłam, bo chyba zrozumiałam, o czym mówi.

– Dokładnie tak. – Uśmiechnęła się i mrugnęła okiem. – W kapciach.

– To wypijmy za naszą kapciową grupę sąsiedzką – zaproponowała Wiola, która, jak wiadomo, wolała, gdy coś się działo. Dłuższe przemowy nie były w jej stylu. – Ja tylko

usta zamoczę, żeby troszkę bąbelków poczuć. Uwielbiam szampana!

No i poszło. Okazuje się, moja droga, że zostałam członkinią kobiecej grupy towarzyskiej. A co najlepsze – podoba mi się to. Bez przesady i hurraoptymizmu, z lekkim dystansem, ale mi się podoba.

Wiesz, trochę to takie jak w amerykańskich filmach, jakąś rezerwę mam do podobnych inicjatyw. Ale co mi w końcu szkodzi? Nigdy nie byłam w żadnym babskim kółku wzajemnej adoracji, w szkole śmieszyły mnie takie rzeczy. Te całuski na powitanie, wielkie tajemnice, szepty po kątach. Żenada. Tylko wtedy byłam nastolatką, a tutaj są przecież dorosłe kobiety, to może będzie inaczej, jak myślisz?

Co by jednak nie mówić, to wróciłam zrelaksowana i zadowolona. Powiem ci jeszcze, że w pewnej chwili, jak już nagadałyśmy się chyba o wszystkim, łącznie ze sposobami na pozbycie się przez Różę niemiłej koleżanki z pracy, Wiola zadała pytanie, którego się spodziewałam, ale na które nie chciałam za bardzo odpowiadać.

– Co u ciebie? Jak sobie radzisz?

– Nie radzę sobie – odpowiedziałam krótko i szczerze.

– Z czym? – Liliana, jak zawsze, chciała znać konkrety. Niestety, zapomniała, że nie ma do czynienia z drugą kobietą sukcesu, ale ze mną.

– Ze wszystkim.

Dziewczyny zamilkły i patrzyły na mnie wyczekująco. Najwyraźniej moja odpowiedź ich nie zadowoliła.

– Dajcie spokój, szkoda gadać. Spędzamy miło czas, jest wesoło, więc nie chcę wam tego psuć. Może zmienimy temat?

– Nam? – Liliana pokręciła głową i stuknęła czerwonym paznokciem w szklany blat stolika. – Słyszysz, co mówisz? Nam? A ty?

– Właśnie. – Wiola stanęła po jej stronie. – Przecież wszystkie mamy się dobrze bawić, tak postanowiłyśmy.

– Jeżeli Malwina nie chce o tym mówić... – wyraziła swoją wątpliwość Róża. – Może to dla niej zbyt trudne?

– Mówienie jest dla mnie trudne? – oburzyłam się. – Gdyby to był mój największy problem, to skakałabym pod sufit z radości. Proszę bardzo, jeśli tak bardzo chcecie, to opowiem wam o tym, jaka jestem beznadziejna.

I opowiedziałam im o wszystkim. I ty wiesz, co się stało? Myślałam, że co najwyżej pobiadolą trochę nad moim losem, a w duchu ucieszą się, że już skończyłam. Tymczasem wyglądało na to, że naprawdę się zaangażowały.

Liliana zaproponowała, żebym przyniosła jej papiery dotyczące firmy ojca i dała telefon do jego księgowej.

– Przejrzę to wszystko i postaram się zobaczyć, jak sprawy stoją. A potem powiem ci, co trzeba najpilniej zapłacić i rozliczyć.

– Pogadam z moim mężem – zadeklarowała Wiola. – Przecież on też działa w tej samej branży. Może da ci jakieś korepetycje z tego ich języka. No, żebyś przynajmniej

wiedziała, o czym do ciebie mówią. Bo ja to ci się nie dziwię. Jak on rozmawia z pracownikami, to jakby mówił w obcym języku. – Roześmiała się.

– Ze mnie to w tych sprawach nie będziesz miała pożytku – wyznała szczerze Róża. – Ale jakbyś chciała, to możemy czasami razem coś ugotować dla twojej mamy. To umiem. No i jeżeli nadal chcesz, to mogę się zgodzić na te zdjęcia. Jeśli oczywiście da się to zrobić, bo ja się nie znam... – Zaczerwieniła się, jakby powiedziała o czymś wstydlivym.

Widzisz, okazało się, że ta sąsiedzka grupa może się jednak do czegoś konkretnego przydać. Wróciłam do domu z poczuciem, że może wreszcie coś się zmieni na lepsze.

Czub jeszcze nie spał. Kiedy weszłam, spojrzał na mnie uważnie.

– Tylko nic nie mów! – Pogroziłam mu palcem. Co to, to nie. Nie pozwolę, żeby miał satysfakcję.



Dobrze, że jesteś. Przynajmniej mam komu opowiedzieć o tym, co się wczoraj stało. Nie, nie, z mamą w porządku, to znaczy bez zmian, o czymś innym chciałam pogadać. Czy ty myślisz, że kobieta i mężczyzna mogą się w ogóle dogadać? Co ty, nie w sensie związku pytam, tylko tak w ogóle.

Dotychczas uważałam, że przyjaźń damsko-męska jest możliwa. Przecież ja i Czub jesteśmy tego najlepszym przykładem. To znaczy chyba powinnam powiedzieć, że byliśmy. Do wczorajszego wieczora.

Masz rację, może rzeczywiście początek końca był wcześniej. Nie wiem, czy tego nie zauważyłam przez te wszystkie problemy, czy to jednak jemu coś nagle odbiło. Przecież było jak zwykle, jak zawsze. Opowiadałam ci o naszych zasadach. I one się sprawdzały, więc chyba były dobre. Nie rozumiem dlaczego dalej nie miałyby być tak samo. No ale widocznie nie mogło.

Wczoraj, po tym spotkaniu u Lilianny, wstałam w dużo lepszym humorze. Bez żadnego problemu obudziłam się, gdy tylko zadzwonił budzik. Czub jeszcze spał, więc cicho, żeby mu nie przeszkadzać, poszłam do łazienki. A tam, mówię ci, istny burdel! Mokry ręcznik na pralce, mydło w umywalce, brodzik nie opłukany, a w kącie zwinięte w kłębek jego bokserki. Dobrze, że w nocy się nie zaplątałam, kiedy szłam do toalety, bo wybiłabym wszystkie zęby. Od razu się wkurzyłam, ale jakoś opanowałam nerwy, bo wiedziałam, że sama nie lubię, jak mnie ktoś wrywa ze snu. A jedną z naszych zasad było też nierobienie drugiemu tego, czego nie chcielibyśmy, żeby nam robiono. No to powiesiłam ręcznik na kaloryferze, odłożyłam mydło do mydelniczki, a bokserki wrzuciłam do pralki.

Kiedy po południu wróciłam do domu, Czuba jeszcze nie było. Położyłam się, żeby poczytać, ale zasnęłam nad książką. Obudził mnie swąd spalenizny. Skoczyłam jak

oparzona i pobiegłam do kuchni.

– Coś się pali!

– Spokojnie, to tylko drobna awaria. – Czuba stał z patelnią w ręku i uśmiechał się, jakby zrobił dobry dowcip. – Zaraz przełożę kotlety, a ten węgiel odskrobie własnymi rękami.

– Człowieku, czy ty nie możesz być trochę mniej inwazyjny? – Byłam wściekła, bo gwałtowna pobudka to nie jest to, co lubię.

– O czym mówisz?

– O wszystkim.

– A tak konkretniej?

– Konkrety to powinnam ci zostawić rano w łazience do obejrzenia. Porozlewana woda, brudne gacie i osad brudu na brodziku. Przypominam ci, że nie mieszkasz sam w swojej norze. I mógłbyś czasami pomyśleć, że ktoś oprócz ciebie chciałby skorzystać z łazienki.

– Ktoś, czyli ty?

– Co głupio pytasz? Wiadomo, że ja.

– No to mów do mnie normalnie. I nie musisz się wydzierać, rozumiem przecież.

– Na pewno? Bo czasami mam wrażenie, że albo nie rozumiesz, albo masz po prostu w dupie to, co mówię.

– Odważna teza. – Odstawił patelnię na palnik i odwrócił się w moją stronę. – Zdradzisz, jak do tego doszłaś?

– Nie zdradzę. – Co miałam powiedzieć? Sama poczułam, że poszłam za daleko, ale powinien przecież zrozumieć, że ostatnio mam w życiu pod górkę. – Wracam do łóżka.

– Zawołam cię, jak będzie gotowe. Chwilę to pewnie jeszcze potrwa, bo to mój debiut kotletowy i do poziomu eksperckiego jeszcze wiele brakuje, ale mam nadzieję, że będzie nadawało się do zjedzenia.

Stanęłam jak wryta.

– Czy ja mam déjà vu? – Odwróciłam się i podeszłam do Czuba. – Czy czasami wczoraj już o tym nie rozmawialiśmy?

– O kotletach?

– Proszę cię, nie udawaj głupka. Mnie to nie śmieszy.

– Może nie udaję? Może taki właśnie jestem?

– No to do tej pory nieźle się ukrywałaś. Ale w sumie to by wiele wyjaśniało.

– Naprawdę? – Nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Spokojnie wyciągnął deskę do krojenia, a potem zajął się myciem pomidorów. – Co na przykład?

– Na przykład to, że nie rozumiesz, co do ciebie mówię.

Plask, plask, plask, plasterki pomidora upadały na drewno. I znowu – plask, plask, plask.

– Wolisz same pomidory czy mieszać z ogórkiem?

Wytrzymałabyś coś takiego? Powiedz, proszę? Dałabyś radę? Nie wiesz? Ja nie

dałam.

– Popatrz na mnie! – zażądałam. – Popatrz i powiedz mi, co robisz.

– Obiad. – Wzruszył ramionami, ale się nie odwrócił.

– A wczoraj chciałeś robić kolację. I powiedziałam wyraźnie, że nie mam ochoty.

– O dzisiejszym obiedzie nie wspomniałaś.

– To teraz wspominam. I rozciągam to na wszystkie obiady, kolacje i śniadania. Ze świeczkami i bez świeczek. Czy to jest jasne?

– Jasne.

– No to bardzo się cieszę. I nie wymyślaj kolejnych głupot. Mamy przecież jasny układ. I wiem doskonale, że sam byś czegoś takiego nie chciał.

– Mylisz się. Robię właśnie to, co chciałbym, żeby ktoś zrobił dla mnie.

– Co?! – Ręce mi opadły. Czegoś takiego się nie spodziewałam. – Chcesz mi powiedzieć, że chciałbyś, żebym gotowała ci domowe obiady albo przygotowywała kolacje? Rozkładała talerzyki i serwetki, zapalała lampiony?

– Czasami by nie zaszkodziło. Mogłyby też być kanapki i zupa z torebki.

– Nie uderzyłeś się w głowę czasami? Człowieku, przecież my nie jesteśmy jakąś parą z kreskówki Disneya, tylko przyjaciółmi. Czego ty ode mnie chcesz?

Powoli odłożył nóż na blat szafki. Odwrócił się, położył ręce na moich ramionach i spojrzał mi prosto w oczy.

– Czego chcesz? Może tego, żebyś mnie czasami zauważyła. A ty od dłuższego czasu traktujesz mnie jak mebel. Omijasz bez słowa, nie pamiętam, kiedy ostatni raz pogadaliśmy. Żyjesz w jakimś innym świecie, w którym nie ma już dla mnie miejsca. A skoro Czub jest niepotrzebny, to Czuba można olać, prawda? Czub się nie obrazi, Czub niczego nie czuje, Czub zrozumie, nie będzie chciał wyjaśnień. Tak rozumiesz przyjaźń? Trochę to egoistyczne, nie uważasz?

– Daj spokój. – Trochę się wystraszyłam, bo nigdy nie słyszałam u niego podobnego tonu. – Wiesz przecież, że mam masę rzeczy na głowie. I nie bardzo mam czas na zabawę i żarty.

– Do której kategorii mnie zaliczasz? Jestem zabawą czy żartem?

– Nie przesadzaj... Wiesz, że jesteś dla mnie ważny. – Nie kłamałam. Ale on nie wyglądał na przekonanego.

– Malwina... – westchnął.

– No co? Naprawdę, przecież wiesz.

– Tak? To powiedz, jak mam na imię.

Nie wiedziałam. Wyobrażasz to sobie? Szukałam w pamięci, ale nie mogłam znaleźć odpowiedzi. Czub to Czub. I już. A przecież musiał mieć jakieś imię, wiem. Tylko ja go nie znałam.

Nie musiałam nic mówić. Moje milczenie było wystarczająco wymowne. Czub pokiwał głową i rozłożył ręce.

– Sama widzisz.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Tak naprawdę nie jestem ci do niczego potrzebny. Lubisz mnie i to wszystko. Ale to za mało na przyjaźń. Tak uważam. Zresztą ostatnio chyba bardziej ci przeszkadzam niż pomagam. Doceniam to, że mnie przyjąłeś, ale chyba już zbyt długo korzystam z twojej gościny. Nie chcę być kolejnym kłopotem na twojej liście, ale też nie pasuje mi bycie niewidzialnym.

Chciałam zaprotestować, ale uciszył mnie ruchem ręki, zanim zdążyłam wypowiedzieć jakiegokolwiek słowo. Wyszedł z kuchni.

Poszłam za nim i w milczeniu patrzyłam, jak wrzuca swoje rzeczy do wojskowego worka. A potem jak sznurkuje głany. Wreszcie stanął przy drzwiach, gotowy do wyjścia.

– Cześć, Malwina. Trzymaj się – powiedział. Wyglądał jak zawsze, jak Czub po

prostu, ale czułam, jakbym miała przed sobą obcego człowieka, kogoś, kogo zupełnie nie znam i chyba nie znałam.

Nie odpowiedziałam. Kiedy wyszedł, zobaczyłam, że klucze zostawił na szafce.

I teraz powiedz mi, proszę, jak on mógł się tak zachować? Pięknie odpłacił mi się za lata przyjaźni, za to, że bez wahania go przyjąłem i nigdy nie wzięłam od niego ani grosza na rachunki. Traktowałam go prawie jak rodzinę, a on potrafił tylko mieć pretensje.

Czy to moja wina, że nie mam czasu? Też wolałabym siedzieć spokojnie w domu, dyskutować o sensie życia albo iść na jakiś wernisaż do BWA. Niestety, na razie się nie da. I Czub powinien to zrozumieć, gdyby był naprawdę moim przyjacielem. Okazuje się, że chyba nie był. Te pretensje, że niby nie mam dla niego czasu i go nie zauważam. I cała idea wspólnych obiadków – zgroza! Po prostu wyszedł z niego typowy facet, nie uważasz? Bo oni myślą, że jak mieszkają z kobietą, to od razu będzie zapewniona pełna obsługa – kucharka, praczka, sprzątaczką. Zapędził się trochę, tak myślę.

A jednak mi smutno. Nie sądziłam, że to się może tak skończyć. Głupio trochę. Ale co ja mogę zrobić? Przecież nie będę go szukać. Zresztą to nie ja się obraziłam, tylko on. A przecież ja mogłam to zrobić dużo wcześniej. Choćby wtedy, kiedy nie przyjechał do szpitala, nie domyślił się, że potrzebuję wsparcia. Mam rację? Nic nie mów, bo wiem, że mam.

Sama widzisz, że chyba nie da się dogadać z facetem. Nie da się i już.



Dzisiaj opowiem ci o czymś fajnym. Zdziwiona? Pewnie, bo od dłuższego czasu ciągle narzekam i pewnie masz już dosyć tych wszystkich moich problemów. I tak cię podziwiam, bo ja chyba nie miałabym cierpliwości tak wysłuchiwać. Już dawno uciekłabym gdzie pieprz rośnie. Kochana jesteś, naprawdę!

Co to za fajne rzeczy? OK, już mówię. Sama aż pękam z chęci podzielenia się tym z tobą.

Mówiłam, że Róża zgodziła się na sesję zdjęciową. Szkoda, że tak późno, bo złota jesień już się skończyła. Ale nie zamierzałam odpuścić. Przecież modelka była bardzo interesująca. Wiesz, że brakowało mi czasu, ale okazało się, że weekend mam wolny.

Z pomocą Liliany przedarłam się już przez całą firmową pocztę ojca, zrobiłyśmy spis rachunków, a moja blokowa bizneswoman dogadała się z księgową i zrobiły porządek w papierach. Udało się z pieniędzy, które były na koncie, zapłacić to, co najważniejsze i przynajmniej nie ma większych zaległości. Co dalej? Nie wiem, jeszcze o tym nie myślę.

Mama czuje się dużo lepiej. Powiedziałabym, że wróciła do siebie, ale jednak do

końca tak nie jest. Znam ją przecież doskonale i widzę, że często jest zamyślona. W każdym razie w poniedziałek ją wypisują. Opiekunka? Nie dałam rady się tym zająć. Zobaczymy. Na kilka dni z nią zamieszkać i sprawdzę, jak będzie. Może sobie poradzi? Co prawda obiecałam lekarzowi stałą opiekę, ale to było wtedy, gdy ją przywieźli do szpitala, a teraz przecież się poprawiło. Na tyle, że jak ci mówiłam, w poniedziałek wyjdzie do domu.

– Nie przychodź w weekend – powiedziała w piątek. – Odpocznij sobie, wyjdź gdzieś z przyjaciółmi. Należy ci się.

Sama widzisz, że jest dobrze. Wreszcie mnie zauważyła i powiedziała coś tak, jak moja mama. Na dodatek było to sensowne, więc się zgodziłam. I umówiłam się z Różą na niedzielę.

W sobotę przygotowywałam się do sesji. Przejrzałam sprzęt, wszystko sprawdziłam, wyczyściłam obiektywy. Trochę tego mam, bo tata wiedział, że zależy mi na tym i na każdą okazję dostawałam fotograficzny prezent. Bez okazji czasami też udawało mi się coś wyprosić.

Trudniejszą sprawą była stylizacja. Co prawda od razu zrezygnowałam z Dolin, bo przyroda już nie ta, co miesiąc temu, ale pomyślałam, że dobrym miejscem będzie dziedziniec Pałacu Biskupów i może Kadzielnia z tymi zimnymi skałami w kontraście do delikatnej urody Róży.

Ale wiesz, miejsce to jedno, modelka to drugie, a stylizacja modelki to trzecie. I to trzecie najbardziej mnie stresowało. Widziałam Różę zaledwie kilka razy, ale to wystarczyło, żeby określić jej styl. Gdybym miała użyć jednego słowa, powiedziałabym: pensjonarka. A ja widziałam w niej wróżkę, romantyczną i zwiewną. Wątpiłam, żeby miała w szafie cokolwiek, co odpowiadałoby tej wizji. Musiałam działać.

Wiesz, że nie mam teraz kasy i nie wiadomo, co będzie dalej. Nie mogłam szaleć. Ale przecież i tak nigdy nie wydawałam wiele na ciuchy. Nie dlatego, że nie lubię mieć fajnych rzeczy, tylko po prostu nie chcę wyglądać jak dziesiątki innych dziewczyn na ulicy. Cenię sobie oryginalność. Dlatego zamiast zostawiać setki w galeriach, wolę second-handy. Korzystasz? Nie? A dlaczego? Ja od dawna to robię. Oczywiście mam swoje ulubione, takie w których wszystko jest posegregowane, czasami właściwie nowe, no i, co oczywiste, higieniczne.

Ponieważ chciałam mieć duży wybór, wybrałam Vive Profit, do którego często zaglądam i już nie raz zdarzyło mi się kupić ekstraciuch. I tym razem się nie zawiodłam. Wyszłam z torbą pełną zwiewnych bluzeczek i szali, znalazłam nawet tiulową spódnicę i niesamowity kapelusz z szerokim rondem. Czyli wszystko, czego potrzebowałam. Przy okazji wzięłam jeszcze dla siebie sukienkę. Zobacz, niezła, prawda? Nie mogłam się powstrzymać, zresztą tych kilka złotych to żadna różnica, a już tak dawno nie sprawiłam sobie żadnej przyjemności. Jasne, że kiedyś możemy się wybrać razem. Nie widzę problemu.

Czy sesja się udała? Powiem tak: było wspaniale! Nie obeszło się oczywiście bez

pewnych problemów. O wszystko musiałam z Różą powalczyć.

– Możesz rozpuścić włosy?

– Nie wiedziałam, że to będzie konieczne... Wolałabym nie. Wiesz, nie są specjalnie piękne...

– Ależ są. Naturalny kolor, błyszczą, a to teraz rzadkość.

W końcu ją przekonałam. Potem były kolejne boje. O dekolt w bluzce, o zbyt prześwitujący materiał, o makijaż.

– Nigdy nie miałam takich wyraźnych kresek na powiekach. – Patrzyła w lustro tak jak przerażoną miną, jakbym wystylizowała ją na gotkę.

– Przecież są bardzo delikatne, mają tylko podkreślić oko. Na zdjęciach będzie wyglądało, jakbyś była zupełnie naturalna, obiecuję.

– Na pewno?

– Tak. A nawet gdyby było inaczej, to przecież nikt poza nami nie musi tego oglądać. Jesteśmy tu, żeby się dobrze bawić, więc rozluźnij się. Chciałabym, żebyś ty też miała z tego przyjemność. A jak zobaczysz efekty, to sama ocenisz.

W końcu jakoś mi się udało skruszyć trochę ten jej pancierz. Kiedy przestała się stresować i myśleć o obiektywie, zaczęło nam iść dużo lepiej. Spędziłyśmy na przebierankach i pstrykaniu prawie cztery godziny. Na szczęście zapobiegliwa Róża zabrała termos z herbatą, bo ja oczywiście nie pomyślałam, że możemy zmarznąć. Chwilami wiatr zawiewał mocniej, zwłaszcza na Kadzielni, ale ogrzewałyśmy ręce kubkiem i szale też nam pomogły.

Po sesji dałam torbę z ciuchami Róży.

– No co ty! Nie mogę tego przyjąć. – Cofnęła się i schowała ręce za plecy.

– Bierz i nie protestuj. Kupiłam pod ciebie. To nie moje kolory, w pastelach będę wyglądać jak śmierć. Za to ty w takiej palecie rozkwitasz.

– I tak nigdy tego nie założę. To nie mój styl, nie czułabym się dobrze.

– Jak zobaczysz zdjęcia, to zmienisz zdanie. – Byłam tego pewna, bo przecież widziałam już na aparacie pierwsze efekty naszej pracy. Planowałam posiedzieć nad nimi jeszcze wieczorem i wybrać najlepsze ujęcia, które jej pokażę.

To było naprawdę fajne popołudnie. Róży chyba też się podobało, bo kiedy wysiadałam z windy, powiedziała:

– Dawno się tak dobrze nie bawiłam.



Fajnie było, ale się skończyło. Ostatni raz byłam taka głupia, żeby pomyśleć, że znowu może być tak jak kiedyś. Żadne takie. I lepiej się z niczego nie cieszyć, bo zaraz się zwala na głowę dwa razy tyle powodów do zmartwienia.

Mów sobie, co chcesz, ale ja już jestem pewna, że sobie z tym wszystkim nie poradzę.

Staralam się, robiłam co mogłam, ale nic z tego. Wymiękam, dziękuję, przepraszam i dajcie mi wszyscy święty spokój. Przesadzam? Tak uważasz? Jasne, domyślam się. Wszyscy chyba tak sądzą, tylko że nikt nie jest na moim miejscu.

Nawet mi się gadać nie chce, ale jeżeli nalegasz, to proszę bardzo. Siądź wygodnie, weź sobie coś do picia, jeśli chcesz i jeśli coś jeszcze jest. Pojęcia nie mam, bo jestem tu pierwszy raz od tygodnia. Miałaś szczęście, że mnie zastałaś. Oczywiście, tak, właściwie znowu mieszkam u rodziców. To znaczy u mamy.

Wypisali ją ze szpitala zgodnie z planem, w poniedziałek. Zawiozłam ją do domu i miałam nadzieję, że będzie dobrze. Już w ciągu pierwszych minut mnie wkurzyła. Obeszła dom i stwierdziła, że potrzeba generalnych porządków, bo wszystko zarosło brudem pod jej nieobecność. Dobra, może nie wycierałam kurzu, ale przecież przez dwa tygodnie nie mogło się tak znowu nabrudzić. Zwłaszcza że nikt tam nie mieszkał. Mam rację? Ale matka swoje. Zacisnęłam zęby i milczałam, bo stwierdziłam, że może to nawet dobrze. Zajmie się sprzątaniami, będzie miała co robić, a jak się zmęczy, to szybciej i lepiej zaśnie. No to niech już będzie, że ja jestem ta zła.

Tylko okazało się, że te generalne porządki sprowadzają się w dużej mierze do wydawania poleceń.

– Zdejmiesz firanki i zwiniesz dywany – wyliczała mama. – Potem przyniesiesz tę drabinkę z piwnicy, żebyś mogła dosięgnąć do najwyższych półek w gabinecie i wytrzeć tam kurz. Przyda ci się też do...

– Mamo, ale ja nie mam czasu. Umówiłam się dzisiaj z mężem Wioli, akurat ma wolny dzień i jest w Kielcach, muszę to wykorzystać. Pojedzie ze mną na kilka spotkań z klientami taty i pomoże mi dostać nowe zamówienia. Wiesz, że sama nie dam rady.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – Mama była tak szczerze zdziwiona, jakbym powiedziała coś niedorzecznego. – Przecież tata zawsze mi pomagał. Zwłaszcza w tych cięższych pracach. Też prowadził firmę, ale potrafił to jakoś pogodzić, więc...

– A ja nie potrafię – przerwałam jej. – A taty już nie ma.

Od razu pożałowałam swoich słów, ale było za późno. Z mamy jakby ktoś spuścił powietrze. Usiadła w fotelu i kiwając głową, wpatrywała się w okno. Trudno, ja musiałam wyjść.

Kiedy wróciłam, mama była w sypialni. Siedziała na łóżku i czytała. Wyglądała na spokojną, ale kiedy usiadłam obok, odłożyła książkę, spojrzała na mnie i powiedziała:

– Nie poradzę sobie sama. Nie dam rady. Nie wiem, co robić.

Zrozumiałam, że teraz naprawdę zostałam bez pomocy. Do tamtej chwili wciąż miałam nadzieję, że mama jednak mnie wesprze i wspólnie pociągniemy ten wózek. Ta nadzieja prysła.

Uwierz mi, że przez te dni próbowałam. I może jeszcze trochę powalczyłabym, ale ostatecznie przerosło mnie to w Święto Zmarłych. Najpierw okazało się, że nie mamy wieńców ani zniczy. Przyznaję, nie pomyślałam. Mama też nie. Tak, słusznie się domyślasz, zawsze załatwiał to tata. Nic, zdecydowałam, że kupimy coś przed

omentarzem. Musiałyśmy tam jednak jakoś dojechać. Samochód taty stał tam, gdzie go zaparkował, czyli w garażu. Problem w tym, że nie mam prawa jazdy. Zawsze wolałam rower. A mama nie jeździła, bo... woził ją tata.

Chciałam zaproponować autobus, ale spojrzałam na mamę, jej elegancki płaszcz, jedwabną apaszkę, kapelusz i porzuciłam tę myśl. Jak miała jechać w zatłoczonym autobusie aż do Cedzyny? Przecież jej noga nie powstała w komunikacji publicznej od kilkudziesięciu lat. Przez chwilę pomyślałam o Czubie i jego garbusie, ale natychmiast odrzuciłam ten pomysł. Nie odezwał się od czasu wyprowadzki, a ja nie miałam zamiaru zrobić tego pierwsza. Pozostała taksówka. Kolejny zbyt ekstrawagancki w naszej sytuacji wydatek. Tylko co miałam zrobić? Sama powiedz. Przecież musiałyśmy tam pojechać.

Grób nadal pokryty był stertą wieńców i bukietów. Wszystkie już uschły i z daleka straszyły szarobrązowymi sterczącymi badyłami. Do głowy mi nie przyszło, że powinnam to posprzątać.

– Jeszcze nie ma pomnika – westchnęła mama.

Wyczułam, że chociaż nie powiedziała tego wprost, to miała do mnie pretensje. Nie zadbałam, nie pomyślałam, nie przewidziałam. Kolejna rzecz, której nie zrobiłam.

To chyba wtedy zrozumiałam, że ja się po prostu do tego nie nadaję. Do czego? Do tego wszystkiego, co nazywają normalnym życiem. W ogóle nie rozumiem, dlaczego mam się tym zajmować. Kto tak powiedział? Że powinnam? Bez przesady.

Są ludzie, którzy świetnie sobie radzą w tak zwanym normalnym życiu, w szarej rzeczywistości. Trochę im zazdroszczę. Zawsze byłam inna i nigdy tego nie ukrywałam. Nie jestem stworzona do codziennych spraw i czy to moja wina? Tata mnie rozumiał, chociaż czasami też nie był zadowolony, ale koniec końców zawsze udawało mi się mu wytłumaczyć, że nie robię tego specjalnie, tylko po prostu taka już jestem.

Nie potrafię się zmienić, wpasować w codzienny kierat. Nienawidzę gotowania, stałego rozkładu dnia, codziennych powtarzalnych czynności. Zresztą choćbym nawet się starała, tak jak teraz, to mi nie wychodzi. Nie potrafię z dnia na dzień przeistoczyć się we właścicielkę firmy, panią domu i strażniczkę rodziny. Nie nadaję się do tego. Nie, nie, nie! I jeszcze raz nie!

Gdybyś chciała się upierać, że jest inaczej, to nawet nie próbuj. Od razu wymienię ci wszystkie porażki z ostatnich dni.

Zapomniałam odpowiedzieć na e-mail i straciłam klienta. Zresztą nawet gdybym chciała, to i tak nie wiedziałabym, co napisać. Mąż Wioli jest w terenie, telefon ma wyłączony albo bez zasięgu, próbowałam wielokrotnie, aż wreszcie się poddałam. Z dziesięć razy mi powtarzał, o co w tym chodzi, ale mnie to za nic do głowy nie chce wejść. Zapominam te wszystkie budowlane nazwy chyba szybciej niż skończy je wymawiać. Doskonale wiem, że za chwilę podobnie będzie z kolejnymi zleceniami. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – nie poprowadzę dalej firmy ojca. Trudno.

Z czego będziemy żyły? Na razie o tym nie myślę, bo nie mam siły. Jest kilka lokat, sprawdziłam w banku, tylko były na tatę, więc trzeba przeprowadzić sprawę spadkową. Zostawiłam to prawnikowi, bo skąd mam wiedzieć, jak to załatwić? Dobrze, że chociaż konto mieli z mamą wspólne, to jeszcze coś tam jest. Potem dojdą pieniądze z polisy.

Ale o czym ty do mnie mówisz? Doskonale wiem, że kiedyś to się skończy. Tak, zdaję sobie sprawę, że utrzymanie domu kosztuje, że mieszkanie jest w kredycie. Wiem to wszystko bardzo dobrze, ale co mam zrobić? Ostrzegam, że jeśli usłyszę, że powinnam wziąć się w garść, to nie ręczę za siebie.

Mam dość. Wszyscy uwzięli się, żeby mnie jeszcze bardziej zdołować. Widzę, że ty patrzysz z dezaprobatą. Czub mnie olał, a pozostali z naszej paczki nawet się nie odezwali od pogrzebu. A matka sobie siadła i umyła ręce. Nikogo nie obchodzę.

Pomyśleć, że zawsze wierzyłam w ludzką życzliwość. Plotłam bzdury o solidarności, wsparciu potrzebujących, pomocy w trudnych chwilach. Wszystko to jedna wielka ściema. Jak naprawdę jesteś w biedzie, to nikogo nie ma. Nikt ci nie pomoże. Zostajesz sam.

Przekonałam się o tym na własnej skórze. Smutne to, ale cóż... Usiadłam wczoraj w swoim dawnym pokoju, mama spała u siebie, a ja rozmyślałam. I doszłam do wniosku, że nie podołam i muszę się z tym pogodzić. Nie można się kopać z koniem, prawda?

Czy ja muszę być dzielna, zaradna i bohaterska? Nie muszę, nikt mnie nie zmusi. Dlaczego jedni mogą się załamać, zostawić wszystko i mieć w nosie, a ja nie? Przecież mogę.

Muszę odpocząć, bo siły mi się wyczerpały. Mam całkowicie rozładowane baterie. Chcę tylko spać. Od śmierci taty nie mam czasu, żeby pomyśleć o sobie, odłożyłam wszystkie pasje, plany, zainteresowania. Dlaczego mam je poświęcić, zrezygnować ze swojego życia i zajmować się czymś, na czym się nie znam i czego nie lubię? Kto tak zdecydował i dlaczego nie zapytał mnie o zdanie?

Nie każdy nadaje się do walki. I ja najwyraźniej jestem jedną z takich osób. Nikogo nie powinno to dziwić, w końcu od zawsze słyszałam, że jestem roztargniona, zapominalska, niezorganizowana i takie tam. No to teraz będzie dowód ostateczny. Wielu się ucieszy, bo zyska potwierdzenie. I dobrze, niech chociaż ktoś ma jakąś radość z tej tragedii. Malwina się nie sprawdziła, nie poradziła sobie, nie nadaje się do niczego. Mogę to nawet w „Echu Dnia” ogłosić. Byle już mi wszyscy dali święty spokój.

Wróciłam do mieszkania i zamierzam spać tak długo, aż się wreszcie wyśpię. Może dzień, może dwa. A potem pójdę na spacer i do cukierni Ale Babeczka, bo jeszcze tam nie byłam, a słyszałam, że mają pyszne ciastka. Mam też ochotę porysować, kilka szkiców czeka na wykończenie.

To jest nieodpowiedzialne? Dobra, niech tak będzie. Tylko co to zmienia? Przecież ci powiedziałam, że wymiękam. Wypisuję się z tej zabawy, to nie moja bajka. Czub od lat

nie ma stałego zajęcia i jakoś żyje, to może i ja sobie poradzę. Mama? Przecież jest dorosła, prawda? To niech ona się weźmie w garść i coś zrobi. Czy ja jej bronie?

Już nic nie mów. I daj mi spokój, dobrze? Tak zdecydowałam i tak będzie, cokolwiek powiesz czy pomyślisz. Nie będę miała żalu, jeżeli przestaniesz ze mną rozmawiać. Nawet mnie to nie zaskoczy. Skoro wszyscy mnie zostawili, to dlaczego z tobą miałyby być inaczej?



– Już miałam dzwonić po policję i pogotowie! Dlaczego nie otwierasz? Najpierw myślałam, że jesteś u mamy albo coś załatwiasz, ale od wczoraj słyszę, że gra muzyka, a twój telefon mówi, że jesteś nieosiągalna.

Wiola wepchnęła mnie w głąb mieszkania jak taran, zamknęła drzwi, poszła do pokoju, żeby wyłączyć odtwarzacz CD, wróciła do przedpokoju, z którego siłą wyciągnęła mnie do kuchni, gdzie usadziła przy stole. Sama zasiadła po drugiej stronie i położyła ręce na brzuchu. Przez chwilę posapywała, a kiedy unormował jej się oddech, wróciła do przerwanej tyrady.

– Czy ty chcesz, żebym poroniła z nerwów?! Sumienia nie masz?! Przychodziłam od trzech dni, bo mój dobry małżonek postanowił zabrać Oskara do swojej mamusi na weekend. Babcia się stęskniła. Na szczęście wie, że ja za jego mamusią nie tęsknię wcale, więc zostawił mnie w domu i kazał odpoczywać. No to myślę sobie – jest okazja do spotkania. Róża i Liliana oczywiście się zgodziły, a do ciebie nie mogłam się dobić. Próbowałam o różnych porach, ale bez skutku. Wczoraj już się zaniepokoiłam, bo grało, a ty nie otwierałaś. Ale myślę – zasnęła, nie będę budzić. Wróciłam dzisiaj, stoję, słucham, gra to samo, a ty nie odpowiadasz. Ciśnienie mi skoczyło, już cię widziałam w wannie utopioną albo zatrutą czadem czy coś... Co ty wyprawiasz? – W przerwie na kolejne sapnięcie przyjrzała mi się uważnie. – Kiepsko wyglądasz. Jadłaś coś dzisiaj?

Nie odpowiedziałam.

– A wczoraj? – Milczenie zinterpretowała prawidłowo i pokiwała głową. – Kiedy ostatnio wychodziłaś?

– Jaki mamy dzień?

– Piątek.

– To trzy dni temu.

– Załamać się można! – Wiola pokręciła głową. – Jesteś zupełnie nieodpowiedzialna.

– Wiem. I właśnie to robię.

– Co? – Wyglądała na zdezorientowaną.

– Załamuję się.

– Na moje oko to ty raczej próbujesz się zabić. – Podniosła się z krzeselka. – Idź, załóż coś więcej niż bieliznę, umyj zęby i opłucz twarz, a potem zmieniamy lokal.

– Nigdzie nie idę – zaprotestowałam.

– Idziesz. Bo jak nie, to my tutaj przyjdziemy, przecież wiesz.

– Nie chcę was widzieć. Nikogo nie chcę widzieć.

Wiola rozejrzała się i od razu namierzyła na szafce klucze od mieszkania. Schowała je do kieszeni bluzy.

– Masz pół godziny. Albo przychodzisz, albo tutaj wywietrz, bo zaduch aż w nosie kręci.

Wiedziałam, że się ich nie pozbędę, więc narzuciłam sweter i legginsy, spięłam włosy i powlokłam się do Wioli. Stwierdziłam, że stamtąd przynajmniej będę mogła wyjść, kiedy zechcę.

Pozostałe dziewczyny już były. Liliana miała poważną minę i zaciśnięte w wąską kreskę usta. Patrzyła badawczo, jakby chciała przewiercić mnie na wylot. Róża dla odmiany wyglądała na spłoszoną i wystraszoną, wzrok wbiła w szary obrusik położony na blacie stolika z IKEI. Wiola dołączyła do nas, niosąc wysoką szklanekę z wodą, w której pływał plasterek cytryny. Zajęła drugi fotel, choć z trudem się w nim zmieściła.

Czekałam, aż zacznie się sąd nade mną. Bo przecież wiedziałam, co będzie dalej. Mało tego, byłam przekonana, że wyrok już zapadł i cokolwiek bym nie powiedziała, nie zdołam go zmienić. Na szczęście miałam to w nosie. Niech robią, co chcą, co to zmieni? Bardziej już mnie zdołować nie można.

Nie odzywałam się. One też milczały. Taka próba sił, kto kogo przetrzyma. Oczywiście pierwsza pękła Wiola.

– Co u twojej mamy?

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Wymieniły spojrzenia, w których nietrudno było wyczytać, że spodziewały się właśnie takiej odpowiedzi.

– A jak firma? – Chłodny ton Liliany mógłby może zestresować kogoś, kto ma coś do stracenia. Ja nie miałam

– Nie wiem – powtórzyłam spokojnie, z zupełną obojętnością.

Róża westchnęła tak głośno, że zabrzmiało to jak jęk.

– No to chyba wszystko wyjaśniłyśmy – powiedziałam, uśmiechając się ironicznie. To umiałam, nawet nauczycielki w szkole wyprowadzałam w ten sposób z równowagi. – Może porozmawiamy o czymś miłym i wesołym? Na przykład o lakierach do paznokci. To takie kobiece, wszystkie przyjaciółki w serialach o tym rozmawiają.

– Malwinko, my się o ciebie martwimy. – Wiola zrobiła zatroskaną minę.

– Nie mów do mnie, jak do swojego kilkuletniego syna.

– Kiedy to prawda – zapewniała. – Żal nam ciebie. Bardzo...

– Bardzo to ja wątpię w twoje słowa – odcięłam się ostro. – I nie potrzebuję waszej litości.

– Nikt się nad tobą nie lituje. Ale chcemy ci pomóc. – Liliana nie zmieniła tonu.

Chłodno i konkretnie, jakby rozmawiała z pracownicą.

– Doprawdy?

– Chyba dałyśmy ci dowody na potwierdzenie tych słów. I to nie raz. Niestety, widzimy, że nic się nie zmienia i to nas martwi.

– Mówisz jak na jakimś zebraniu albo szkoleniu. Tak rozmawiają przyjaciółki? – Nadal ironizowałam, bo wkurzało mnie to, co mówiły.

– A JAK rozmawiają przyjaciółki?

– Szczerze.

– Masz rację. – Liliana założyła nogę na nogę. – Powinniśmy pogadać szczerze.

– To kto zacznie? Są odważne?

– Może ty, skoro zaproponowałeś? – Liliana była twarda, ale Róża już kręciła się nerwowo na sofie, a Wiola popijała wodę drobnymi łykami.

– OK, nie ma problemu. Zacznę może od tego, że na przyjaciółki zawsze można liczyć, prawda? Zwłaszcza gdy ma się problemy.

Pokiwały głowami.

– A ja na was nie mogę. I w sumie na tym zakończymy tę dyskusję, bo chyba wszystko jasne.

– Niezupełnie – zaprzeczyła Liliana. – Może jakieś konkrety?

– Chcesz? Proszę bardzo. Trzy razy dzwoniłam do ciebie w zeszłym tygodniu, a ty dwa razy nie odebrałaś i nie oddzwoniłaś, a kiedy wreszcie udało mi się pogadać, to zbyłaś mnie. Powiedziałaś, że jesteś zajęta. To jest konkret? – Popatrzyłam na nią uważnie, bo chciałam zobaczyć, czy moje słowa zrobiły odpowiednie wrażenie. Byłam ciekawa, jak się wytłumaczy i czy jest jej chociaż trochę wstyd. – Tak było czy nie?

– Owszem, tak było. I mówiłam prawdę – jestem ostatnio bardzo zajęta.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie masz kilku minut?

– Malwina, chciałaś szczerości, więc ci powiem. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Sprawy firmy twojego ojca nie zajmują kilku minut. Poświęciłam wiele godzin na przeglądanie dokumentów. Prawdę mówiąc, w krótkim czasie narobiłaś takiego bałaganu, że aż mnie zaskoczyłaś. Coś kasujesz, odpisujesz bez namysłu – serio, było co robić. Ale chciałam ci pomóc i zrobiłam to. Dostałaś wszystko tak, że mogłaś spokojnie dalej działać sama. I co zrobiłaś od tamtej pory? Czy zdajesz sobie sprawę, że ja też prowadzę firmę i muszę o nią dbać?

– Łatwo ci mówić, bo masz doświadczenie. A przecież dobrze wiesz, że ja się nie znam na fakturach, księgowości i tym wszystkim. Nie znam się też na budowlance. Miał mi w tym pomóc twój mąż – zwróciłam się do Wioli – ale też się na mnie wypiął. I przez to straciłam kilka zamówień.

– Jesteś niesprawiedliwa. – Wiola położyła rękę na brzuchu i zrobiła z ust śmieszny dzióbek. Wyglądała jak niesłusznie skarcone dziecko, ale dla mnie to było żenujące. Dorosła kobieta, a zachowuje się jak jakaś małolata.

– Nie szantażuj mnie swoją ciążą. Mnie to nie rusza. Dobrze wiedział, że bez jego

pomocy nie dogadam się z klientami. Jak nie chciał pomagać, to mógł nie obiecywać...

– On ma też swoich klientów. – Wiola stanęła twardo po stronie męża. – I musi się nimi zająć. Zresztą przecież tłumaczył ci co i jak. Nawet sama słyszałam kilka razy.

– Tego się przecież nie da zapamiętać! – Byłam zła, że próbuje się wymigiwać i zrzucić całą winę na mnie.

– To trzeba było zapisać – odparowała Wiola. – Tylko tobie się nie chciało nawet dobrze posłuchać.

– Co?!

– A to. – Odstawiła szklanekę z wodą na stolik i wstała. Podeszła do mnie i ciężowy brzuch znalazł się dokładnie na wysokości mojej twarzy. Nie widziałam, jaką ma minę, ale po sapaniu rozpoznałam, że jest zdenerwowana. – Popatrz na mnie. Nieźle, prawda? Z każdym dniem jestem coraz większa i cięższa. A po domu biega Oskar, sama wiesz, jak z nim jest. Trudno mi czasami dojść do łazienki, bo puchną mi nogi, a co tu nawet wspominać o bieganiu za maluchem, który jest jak żywe srebro. Potrzebuję pomocy. I chciałabym, żeby mój mąż był jak najczęściej w domu. – Sapała coraz głośniej, robiła przerwy między słowami, ale nie zamierzała przerywać. – Z drugiej strony wiem przecież, że musi zarobić na nas wszystkich, bo ja nie pracuję, a zaraz będzie mnóstwo dodatkowych wydatków. I widzę, że on się stara. Ale mimo wszystko prosiłam go, żeby ci pomógł. Zgodził się, bo to fajny facet. Tylko ileż można? Przecież nie będzie za ciebie załatwiał wszystkich rozmów i spotkań. Miała być nauka, a nie wyręczanie cię we wszystkim. Może gdybyś go słuchała, to teraz nie byłoby problemu?

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Obie uważały, że wszystko jest w porządku. Nawet się nie zawstydziły, nie miały żadnego poczucia winy, że zostawiły mnie na lodzie. Ba, były przekonane, że mi pomogły. Nie mieściło mi się to w głowie, naprawdę.

– Ale Malwina straciła ojca, jest jej na pewno bardzo ciężko. – Głos Róży przerwał ciszę, która zapadła po ostatnich słowach Wioli.

Jedna, która cokolwiek rozumiała, a przynajmniej próbowała. Spojrzałam na nią z wdzięcznością.

– Właśnie – potwierdziłam. – Nie przyszło wam do głowy, że moje życie się zawaliło? Tak trudno to zrozumieć?

– Wyobraź sobie, że przyszło. – Liliana wstała i prawie siłą posadziła Wiolę z powrotem na fotelu, a potem dolała wody do szklanki i podała naczynie ciężarnej. – Spokojnie, nie powinnaś się denerwować – pouczyła ją i znowu popatrzyła na mnie. – Dlatego właśnie próbowałyśmy ci pomagać. Tylko ty nie chcesz pomocy.

– Co ty pleciesz! – Oburzyłam się. – Przecież dzwonię, kiedy czegoś nie wiem albo...

– Właśnie – przerwała mi. – O tym mówię. Nie chcesz pomocy, chcesz, żeby wszystko robić za ciebie. Nie masz najmniejszego zamiaru niczego się nauczyć, nawet nie próbujesz tego zrobić. Szukasz tylko kogoś, kto cię wyręczy. Idziesz po linii najmniejszego oporu i wymagasz, żeby inni byli na każde twoje zawołanie. Myślisz

tylko o sobie i swoich problemach, nie zastanawiasz się nad tym, co czują inni. Uważasz, że tylko ty masz problemy? Każdy je ma, moja droga. Wydaje ci się, że ja nie?

– Proszę cię! – Uznałam, że teraz to już przesadziła. – Jakie ty możesz mieć problemy? Pieniądzy ci chyba nie brakuje, żyjesz spokojnie, otwierasz kolejne sklepy...

– A Agnieszka? – wtrąciła Róża.

– Jaka Agnieszka? – zapytałam.

– Właśnie, to cała ty. – Liliana pokiwała głową. – Nawet nie pamiętasz, że mieszka u mnie kuzynka. Mówiłam o tym, kiedy byliście u mnie. Tylko ciebie to nie interesuje. Czy zapytałaś chociaż raz Wiołę, jak się czuje? Pomyślałaś, że może ciężko jej nosić zakupy, a męża nie ma w domu cały tydzień? Nie pomyślałaś, nie zapytałaś. A wiesz, jak Róża radzi sobie w pracy z nowymi obowiązkami? Nie wiesz, jasne. Każdy ma jakieś problemy, moja droga, nie tylko ty.

– Dobra, niech ci będzie, każdy coś ma – zgodziłam się. – Ale chyba są rzeczy ważne i ważniejsze, co?

– Dla ciebie liczą się tylko te twoje – wysapała Wiola.

Popatrzyłam na siedzące przede mną kobiety i zrozumiałam, że mamy zupełnie inne wyobrażenie o przyjaźni. Od początku wiedziałam, że do nich nie pasuję. Zamiast wspierać, wsiadły na mnie i zarzuciły pretensjami. Czego chciały? Czy miałam niańczyć jakąś kuzynkę albo nosić zakupy? Przecież nie wiem, w co ręce włożyć, tyle mam do zrobienia. W porządku, niech sobie myślą, co chcą. W dupie mam takie przyjaciółki, które nawet nie próbują mnie pocieszyć. Zresztą i tak jest mi już wszystko jedno, więc co za różnica.

Wstałam i bez słowa poszłam do drzwi. Kiedy wychodziłam, usłyszałam jeszcze za plecami głos Liliany:

– Ogarnij się, dziewczyno i zrób coś z sobą!

– I zajrzyj do mamy, na pewno tęskni – dodała Róża.



Weekend minął mi na spaniu i słuchaniu muzyki. Rozłożyłam sztalugi i nawet próbowałam coś namalować, ale nic dobrego z tego nie wychodziło. Snułam się więc po domu i tylko raz narzuciłam coś sensowniejszego, żeby zjechać do delikatesów. Za ostatnie pieniądze kupiłam pieczywo, serki topione i kisiel.

Powiem ci szczerze, że w pewnej chwili dopadły mnie wyrzuty sumienia. Głównie z powodu mamy. Nie widziałam jej od pięciu dni, nawet nie zadzwoniłam. Kilka razy brałam do ręki telefon, ale za każdym razem, co tu kryć, tchórzyłam. Jak miałabym zacząć rozmowę? Jakby nic się nie stało? A jeżeli sobie nie radzi?

Martwiłam się, ale z drugiej strony pomyślałam, że przecież telefon działa w obie

strony. Ona też mogła zadzwonić. Kiedyś wydzwaniała po kilka razy dziennie, a teraz nie może? Okazuje się, że własna matka nie jest zainteresowana moim losem, więc co ja się dziwię obcym ludziom, że się na mnie wypięli.

Komputer ojca leżał obok materaca jak wyrzut sumienia. Wiedziałam, że jeżeli go włączę, to znowu zostanę zasypana lawiną e-maili. Jak ojciec sobie z tym wszystkim radził? I dlaczego nie zatrudnił kogoś, kto teraz mógłby się zająć firmą? Przecież doskonale wiedział, że ja się do tego nie nadaję. Był taki dumny ze swojej pracy, a nie pomyślał, żeby ją zabezpieczyć? Sądził, że jest niezniszczalny?

Byłam na niego zła. I jednocześnie za nim tęskniłam. Gdyby żył, byłoby normalnie. Bardzo mi tej normalności brakowało. Czułam się opuszczona, zostawiona przez tego, który nigdy wcześniej mnie nie zawiódł. Naprawdę nie chciało mi się żyć. Jedno, co było dobre, to świadomość, że już nikt nie będzie mnie niepokoił.

Okazało się jednak, że i w tej sprawie się myliłam. W poniedziałek, chyba około południa, obudził mnie dzwonek do drzwi. Jak się domyślasz, nie zamierzałam otwierać. Odwróciłam się na drugi bok i schowałam głowę pod kołdrę. Ale najwyraźniej rzeczywistość, od której tak bardzo chciałam uciec, postanowiła nie dawać mi spokoju. Tym razem dobijała się do drzwi pod postacią Czuba.

– Malwina, otwieraj! Wiesz, że nie odpuszczę, znasz mnie!

Począpałam do drzwi.

– Idź sobie. Daj mi spokój – powiedziałam, nie otwierając. – Nie chcę cię widzieć!

– Ale ja ciebie chcę zobaczyć. – Upierał się, trzymając cały czas naciśnięty dzwonek. – I będę tak stał, dopóki mnie nie wpuścisz. Wiesz, że tak będzie.

Wiedziałam. W końcu znaliśmy się od lat i nie raz widziałam, że stać go na dużo więcej niż uprzykrzanie komuś życia ćwierkającym dzwonkiem. Przekręciłam zamek i wróciłam do łóżka.

– Długo to już trwa? – zapytał, siadając wprost na podłodze. Nawet się nie rozebrał. Na zewnątrz musiało być chłodno, skoro zdecydował się na swoją ukochaną czapkę w rastafariańskich kolorach. Fajnie, że nie musiałam wychodzić.

– Dawno postanowiłaś, że masz wszystko w dupie? – zapytał po raz drugi.

– Zawsze miałam.

– O, nie! Zawsze to nie musiałaś się niczym przejmować, a teraz nie chcesz. To różnica.

– Dla mnie żadna.

– Serio? To dlaczego nie jesteś taka, jak kiedyś?

– Weź, spadaj, dobrze. Irytujesz mnie.

– Bardzo mi z tego powodu wszystko jedno. – Szarpnął brzeg kołdry i ściągnął ją ze mnie. – Wstawaj, myj się i ubieraj.

– Nie chce mi się.

Wstał i miałam nadzieję, że sobie poszedł, bo słyszałam kroki w przedpokoju. Zamknęłam oczy, z nadzieją, że uda mi się znowu usnąć.

Strugi zimnej wody spadły mi na twarz zupełnie nieoczekiwanie. Wrzasnęłam i zerwałam się na równe nogi. Czub stał spokojnie z garnkiem, którego zawartość wylał przed chwilą na mnie i na łóżko.

– Zwariowałaś! Zjeżdżaj stąd!

– Ani mi się śni – odpowiedział spokojnie. – Musimy pogadać.

– Nie mam o czym z tobą gadać. Wynocha! – Wskazałam na drzwi.

– Nigdzie nie pójde, dopóki nie zrobię tego, po co przyszedłem.

– A po co przyszedłeś? – zapytałam, ocierając twarz z wody. – Żeby mi powiedzieć, jaka jestem beznadziejna? Dzięki, już to wiem.

– Nie. Po to, żeby ci powiedzieć, co masz zrobić. Bo widzę – rozejrzał się po pokoju – że sama sobie nie radzisz.

– A to ci odkrycie! – Byłam maksymalnie wściekła. – Od dawna próbuję o tym wszystkim powiedzieć i jakoś do tej pory nikogo to nie interesowało.

– No to w końcu zainteresowało. Powinnaś się cieszyć.

– Cieszę się jak cholera. Nie widać?

– Nie bardzo. Ale to nie ma znaczenia. Idę zrobić herbatę, a ty chyba jednak powinnaś zmienić ciuchy, co?

No to zmieniłam. Na kolejny podkoszulek. W kuchni Czub czekał z herbatą.

– Zadowolony? – zapytałam, zajmując miejsce po drugiej stronie stołu.

– No jakiś postęp jest. – Mrugnął do mnie okiem. Odruchowo wystawiłam język, a on się roześmiał.

– Teraz dużo lepiej – powiedział. – Byłem pewien, że pod tym kołtunem – wskazał na moją głowę – zostało tam w środku jeszcze trochę Malwiny.

– Naprawdę mnie wkurzyłeś. – Pokręciłam głową i upiłam mały łyk gorącego napoju.

– Na to liczyłem. Że się wkurzysz i to cię zmobilizuje. Zawsze najlepiej działałaś, kiedy ktoś cię zdenerwował. Lubisz robić na złość, co?

Pokiwałam głową. Miał rację. Mało co mnie w życiu tak motywowało, jak chęć pokazania komuś, kto mnie wkurzył, że nie ma racji.

– OK, no to wygrałeś. Dobrze mnie znasz.

– Jestem przecież twoim przyjacielem, nie? – Jego uśmiech zawsze mnie rozbrajał.

– Jak chcesz wiedzieć, to ostatnio miałam co do tego duże wątpliwości. Nie odzywałaś się od...

– A jak miałem się odezwać, skoro masz ciągle wyłączony telefon?

Telefon! Pobiegłam po aparat. Wygrzebałam go z pościeli, na szczęście nie był zalany, ale czarny ekran udawał słowa Czuba. Drżącymi rękami podłączyłam ładowarkę i uruchomiłam urządzenie. Popatrzyłam na listę nieodebranych połączeń i jęknęłam.

– Coś się stało? – Czub przyszedł za mną i przyglądał się moim poczynaniom.

– Siedemnaście nieodebranych od mamy – poinformowałam krótko.

– Chcesz mi powiedzieć, że mama nie wie, co się z tobą dzieje?

Pokiwałam głową. Było mi wstyd. Bardzo.

– To na co czekasz? Dzwon.

– A jeśli coś się stało? Ja... nie mam z nią kontaktu prawie od tygodnia. – Nie mogłam popatrzeć mu w oczy. Czekałam na ostre słowa i wiedziałam, że tym razem naprawdę mi się należą.

– Czyli zmiana planów – powiedział spokojnym głosem. – Myślałem, że najpierw tu ogarniesz, ale w tej sytuacji to wkładaj buty i jedziemy do mamy. Dobrze, że akurat miałem trochę kasy i nakarmiłem moją „żabę”.

W dziesięć minut byłam gotowa. Staralam się trzymać fason, ale chciało mi się płakać. A jeśli mamie coś się stało? Jeżeli mnie potrzebowała? A nawet jeśli nie, to na pewno się zamartwia, jak to ona. Niezła idiotka ze mnie, przyznasz, prawda? Przyznaj, nie pogniewam się, serio.

W każdym razie wsiadłam do garbusa i pojechaliśmy. Z drzeniem serca przekręcałam klucz w zamku. Nie wiedziałam, co zastanę.

Mama siedziała w salonie i oglądała powtórkę swojego ulubionego serialu. Na nasz widok uśmiechnęła się i wstała.

– Nareszcie jesteś – powiedziała. – Martwiłam się o ciebie, ale pomyślałam, że na pewno jesteś z przyjaciółmi, jak zawsze.

– Mamo! – Uścisnęłam ją. – U ciebie wszystko w porządku? Masz co jeść? Pieniądze? Bierzesz lekarstwa?

Pokiwała głową.

– Pieniądze mam, wypłaciłam z bankomatu. Przecież tata kiedyś zrobił mi tę kartę, ale nigdy z niej nie korzystałam. Leżała w kuchni. Żebyś wiedziała, jak się tego bałam.

– Machnęła ręką. – Na szczęście pani w banku wszystko mi pokazała i teraz już umiem.

– Poszłaś do banku? Sama? Nigdy tego nie robiłaś...

– Kiedyś wszystko było inaczej. – Popatrzyła mi w oczy. – Ale już nie będzie.

– OK, czyli zagrożenia życia nie ma – wtrącił się Czub. – Ale zakupy większe to się pewnie przydadzą. Mamy samochód, to możemy pojechać. Da nam pani listę czy wybierze się z nami?

– Skoro trafia się ktoś, kto mnie wyręczy, to wolałabym zostać w domu.

– W porządku. W takim razie pani pisze, a my kupujemy.

Zaliczyliśmy sklep i pocztę, bo w skrzynce było awizo. Potem wypiliśmy z mamą herbatę i wróciłam do siebie.

– Mam kilka spraw, umówiłem się wcześniej – powiedział Czub, zatrzymując samochód przed blokiem na Kwiatowej. – Mogę liczyć na to, że nie okręcisz się znowu kołdrą i że odbierzesz telefon, kiedy zadzwonię?

– Jasne – zapewniłam. – Nie chcę jutro kolejnego zimnego prysznica.

Wysiadłam i pomachałam mu. Uchylił okienko.

– Wieczorem dryndnę sprawdzić, czy mnie nie okłamałaś.

– Dzięki, Czub – powiedziałam. – Wielkie dzięki.

Uniósł rękę w pożegnalnym geście i odjechał.



Od razu zabrałam się za sprzątanie. Wiesz, bałam się, że nie starczy mi energii, że kiedy zostanę sama, to znowu odechce mi się wszystkiego. Wolałam wziąć byka za rogi. A wyznam ci, że był potężny. Przez ostatnie dni nie zwracałam uwagi na to, czy coś mi się rozlało, coś chlapnęło albo rozsypało. Roznosiłam to po całym mieszkaniu, pozwalałam zasychać plamom i zupełnie nie zwracałam uwagi nawet na mój ukochany parkiet. Teraz musiałam stoczyć walkę z całym tym brudem.

Szorowałam, myłam, zamiatałam i skrobałam. W duchu podziękowałam Czubowi, że zrobił mi poranny prysznic, bo dzięki temu nie zapomniałam o upraniu pościeli. Po czterech godzinach moje mieszkanko lśniło i myślę, że przeszłoby nie tylko test białej rękawiczki, ale nawet inspekcję mamy, przy której Perfekcyjna Pani Domu to pikuś.

Zmęczona, ale zadowolona, wyciągnęłam się na materacu ze szkicownikiem w rękę. Należał mi się odpoczynek. Uświadomiłam sobie, że ulubiony ołówek schowałam do torebki, żeby mieć go zawsze pod ręką. Widzisz, właśnie taka jestem. Chcę coś dobrze, a wychodzi jak zwykle. Trzeba było teraz wstać i go odnaleźć. Przez chwilę walczyłam ze sobą, już miałam zrezygnować, ale w końcu zdecydowałam, że jednak spróbuję coś stworzyć.

Grzebiąc w czeluściach torebki, natknęłam się na kopertę. Zupełnie o niej zapomniałam. Odebrałam list z poczty, a ponieważ spieszyliśmy się, nie otworzyłam od razu. Domyślasz się, że natychmiast wyleciało mi to z głowy. Gdyby nie przypadek, pewnie odnalazłabym go za tydzień lub dopiero podczas zmiany torebki. No nie patrz tak, kiedyś w takiej chwili znalazłam na dnie zamszowego worka łyżeczkę do herbaty i do dziś nie wiem, skąd się tam wzięła i w jakim celu ją schowałam.

W każdym razie wróciłam z kopertą na materac i rozdarłam biały papier. Przebiegłam wzrokiem treść listu i w pierwszej chwili nie wiedziałam, czy coś mi się nie śni. Przeczytałam po raz drugi, powoli i uważnie, a potem jeszcze raz – dla pewności. Kiedy dotarło do mnie, że naprawdę czytam to, co czytam, musiałam wziąć głęboki oddech. Chciałam krzyknąć z radości, ale natychmiast w głowie pojawiły się kolejne myśli. Przez kilka minut analizowałam wszystko, a potem po prostu się rozpłakałam.

– Zaraz przyjadę – powiedział Czub, kiedy godzinę później usłyszał w słuchawce moje łkanie.

I rzeczywiście, był w ciągu kwadransa.

– Co znowu? Bo przez telefon nic nie mogłem zrozumieć. Bełkotałaś, że umierasz, to się wystraszyłem... – Podał mi papierowy ręcznik. – Wydmuchaj nos i mów normalnie, co?

Zrobiłam, co kazał.

– Nie, że umieram – pociągnęłam nosem – ale że chcę umrzeć.

– Dobra, niech będzie. Chcesz umrzeć. Jest jakiś konkretny powód czy tak po prostu sobie wymyśliłaś? – Przeczesał palcami włosy, a to oznaczało, że jest poirytowany.

– Jest powód, nie myśl sobie. Całkiem poważny.

– No?

Wskazałam palcem. Podniósł zmiętą kartkę, wyprostował papier i przeczytał.

– Ty zrozumiałaś, co tam jest napisane? – zapytał.

– Bardzo dobrze zrozumiałam. Moje życie jest beznadziejne... – Rozryczałam się na nowo.

– Czy to, że wygrałaś międzynarodowy konkurs fotograficzny i dostałaś stypendium zagraniczne jest powodem tej beznadziejności? Weź, kobieto, uspokój się i zacznij logicznie myśleć, bo chyba łyż ci mózg zalały. To jakiś szok, czy co?

Otarłam oczy i podniosłam wzrok.

– Czy ty nie rozumiesz, że ja nie mogę pojechać?

– A kto tak powiedział?

– Teraz to ty zacznij myśleć, bałwanie. Wiesz, co mam na głowie. Jak pojedę? No, jak? – Schowałam twarz w dłoniach. Naprawdę chciałam umrzeć. Wyobraź sobie, że wreszcie spełnia się twoje marzenie, ktoś docenia twój talent, dostajesz szansę rozwoju i nie możesz z niej skorzystać. Jak byś się czuła? No właśnie. Tak było wtedy ze mną.

Poczułam, że Czub siada tuż przy moim boku. Odgarnął mi włosy i odsunął ręce od twarzy.

– Popatrz na mnie – powiedział. – Dlaczego jesteś taką pesymistką? Zamiast się cieszyć, to mazgaisz się jak dziecko.

– Pesymistką? Realistką chyba.

Pomyślałam, że teraz to już naprawdę koniec wszystkich moich marzeń.

Nieoczekiwanie poczułam dłoń Czuba na głowie. Gładził mnie po włosach, tak jak uspokaja się płaczące dziecko.

– Posłuchaj – powiedział. – Nie dramatyzuj, tylko postaraj się wszystko spokojnie rozważyć. Wygrałaś, a tego nikt ci nie odbierze. Odniosłaś sukces, a przecież bardzo tego chciałaś, tak?

– Tak – wybełkotałam w poduszkę.

– No. Co do stypendium, to ja tam nigdzie nie widziałem konkretnego terminu. Może za głupi jestem, ale sprawdź. Zresztą nawet jeżeli, to chyba w tych Niemczech też siedzą normalni ludzie. Napisz do nich, jak jest, opisz swoją sytuację i może pozwolą ci przesunąć termin.

– A jak nie?

– To wtedy będziemy się martwić. Na razie zrób założenie, że się uda. Ja wiem, znam cię, chciałabyś się dziś spakować i jechać. Ale tak się nie da, no nie?

– Nie da. Przecież wiesz.

– Dobra, wiem. Ale za pół roku może się da.

– Ciekawe jak?

– Normalnie. Od jutra zaczniesz załatwiać wszystko, co tam trzeba. Ja ci pomogę i zrobimy tak, żeby firma twojego taty znowu przyzwoicie funkcjonowała. A jak wszystko dobrze ustawisz, to za pół roku wyjedziesz, a tutaj samo już pójdzie. Albo będziesz doglądać przez neta i wydawać polecenia.

– Ja? – Odwróciłam się zdziwiona tym, co mówił.

– Przecież nie ja. Chyba ty odziedziczyłaś nieźle prosperujące przedsiębiorstwo budowlane. Mam rację? No to pora wziąć się do roboty, szefowo. – Wzruszył ramionami. – Ni ma wyjścia, trza zapierdalać.

– A ty mi pomożesz?

– Popróbujemy. Ja tam za pracą nigdy nie przepadałem, ale jak trzeba, to trzeba. Trochę w temacie jestem, bo w końcu politechnikę kończyłem, to co nieco mi się o uszy obilo. No i na budowach, można powiedzieć, odcisków się dorobiłem nie raz.

– Kończyłeś politechnikę?

– A co? Umknęło ci? Nieładnie! – Pogroził mi palcem. – Przyjaciel siedem lat studiował, a ty nie zauważyłaś? Niegrzeczna dziewczynka! Ale ci wybaczę, bo dziś jest twój dzień. Teraz skoczę do delikatesów i kupię jakieś winko. Wypijemy toast za twój sukces. Na przykład: zdrowie na budowie. Będzie bardzo à propos, nie sądzisz?

Musiałam przyznać mu rację, bo to, co mówił, brzmiało sensownie. Wypiliśmy razem wino, potem drugie. I zjedliśmy kanapki z żółtym serem. Potem zrobiłam się senna i zaczęłam ziewać.

– Chyba masz dość wrażeń jak na jeden dzień – zdecydował. – Kładź się spać.

– Znowu mówisz, co mam robić.

– A źle mówię?

– Dobrze.

– No to się kładź i śpij, histeryczko.

Czub położył się obok mnie, a ja wtuliłam się w jego ramię.

– Fajnie mieć przyjaciela – zdążyłam jeszcze powiedzieć i zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, był już poranek. Czub zniknął. Zostawił kartkę, że musi coś pozałatwiać, ale się odezwie. Nie dzwoniłam więc i nie pytałam. Zechce, to sam powie. Wiesz, jaki mamy układ, prawda?



Miałam cały dzień na rozmyślanie. Dzwoniłam do mamy, ale powiedziała, że niczego nie potrzebuje, a po południu zamierza przejrzeć zawartość szafy.

– Muszę sprawdzić, czy mam odpowiednie rzeczy. Rozumiesz?

Wiedziałam, że ma na myśli żałobę. Trochę się zaniepokoiłam.

– Może przyjechać i ci pomóc?

– Nie trzeba. Poradzę sobie. Jeśli dojdę do wniosku, że trzeba coś dokupić, to wtedy cię poproszę.

– Na pewno?

– Malwinko, ja wiem, co ty myślisz. Ale nie martw się o mnie. Muszę się przecież w końcu jakoś przyzwyczaić do życia bez taty.

Mówiła ze smutkiem, ale postanowiłam docenić jej starania i nie przeszkadzać. Każdy ma swój sposób na pozbieranie się, wiedziałam to po sobie. Widocznie mama wybrała taki. Chyba dobrze zrobiłam, że jej się nie narzucałam, co? Jak uważasz?

Skoro jednak mnie nie potrzebowała, to miałam cały dzień dla siebie. Trochę zaniepokoiłam się nieobecnością Czuba, bo myślałam, że od razu się za coś zabierzemy. Obiecywał, że pomoże i miałam nadzieję, że nie były to tylko puste słowa. Co prawda z jego obietnicami to różnie bywało, bo pomysły miewał dziwaczne i plany mu się zmieniały co chwilę, ale liczyłam, że jednak tym razem mnie nie zawiedzie.

Zastanawiałam się, co robić. Czułam chęć działania, ale kiedy myślałam o tych rzeczach, które zwykle mnie pociągały, czułam, że to nie to, czym powinnam się zająć. Miałaś kiedyś tak, że chciało ci się jeść, ale nie mogłaś stwierdzić, na co masz ochotę? No, to czułam coś podobnego. Kręciłam się po mieszkaniu, poskładałam ubrania, pozmywałam po wczorajszej nocnej posiadówce z Czubem, nawet poukładałam szkice i inne drobiazgi na biurku. Zajęło mi to trochę czasu, ale nie odpędziło upartych myśli. Zastanawiałam się, o co chodzi? Do chwili, gdy zatrzymałam wzrok na liście z informacją o wygranej w konkursie.

Usiadłam z kubkiem kawy i wpatrywałam się w tę kartkę. Dotarło do mnie, jak bardzo chciałabym wyjechać na stypendium. Dziwisz się? To przecież mój pierwszy, zupełnie samodzielny sukces. Dowód, że jestem coś warta, że potrafię coś robić dobrze, lepiej od innych. Tylko ja wiedziałam, ile włożyłam w to pracy. To wcale nie tak, że pstryknęłam kilka zdjęć i już. Ileż godzin spędziłam, oglądając albumy, wystawy fotograficzne, ile się naczytałam poradników. Korzystałam ze wszystkich warsztatów, na które natrafiłam, jeździłam na plenery i sesje, przyswajałam zasady kompozycji, biegałam się nad programami do obróbki zdjęć. Setki godzin, tysiące prób, nieudanych zdjęć, mnóstwo rozczarowań, chwil zwątpienia. A jednak nie zrezygnowałam. I wreszcie, po tak długim czasie, przyszła nagroda. A z nią poczucie satysfakcji. Bardzo miłe. Tak bardzo, że prawie zapomniałam o wszystkich niepowodzeniach po drodze. List z Niemiec był dowodem, że jeśli czegoś chcę, to potrafię. Umiem czekać, walczyć, pokonywać przeszkody.

Dopijałam kawę i co chwilę zerkałam na wyświetlacz telefonu. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że po prostu czekam na Czuba. Żeby już przyszedł i powiedział, co robić. Jak załatwić wszystko i wyjechać.

I w tym momencie coś się we mnie zmieniło. Czy uważasz, że człowiek może się

zmienić w jednej sekundzie? Bo ja już sama nie wiem. Może raczej ta chwila to moment końcowy, efekt wielu wydarzeń i myśli, w którym ostatni element układanki trafia na swoje miejsce? Bo przecież niemożliwe, żeby tak nagle doznać jakiegoś olśnienia – pyk i już! Sama nie wiem...

Tak czy inaczej, stało się. Jakbym wyszła ze swojej głowy i zobaczyła własne zachowanie z zewnątrz. I powiem ci, że nie był to miły widok. Nie będę opowiadać, co dostrzegłam, bo po pierwsze mi wstyd, a po drugie wiem, że przecież to wszystko widziałas. Pewnie nawet próbowałaś mi o tym powiedzieć, ale ci nie pozwoliłam. Bo nie chciałam ani słuchać, ani wiedzieć. Zresztą nie tylko ciebie nie słuchałam.

Przypomniała mi się wizyta u Wioli i słowa Lilianny: „Nie chcesz pomocy, chcesz, żeby wszystko robić za ciebie. Nie masz najmniejszego zamiaru niczego się nauczyć, nawet nie próbujesz tego zrobić. Szukasz tylko kogoś, kto cię wyręczy”. Tak, ona miała odwagę, żeby powiedzieć mi prosto w oczy całą prawdę. Przykrą, ale jednak prawdę.

Taka właśnie jestem, tak się zachowuję. Teraz, w stosunku do Czuba także. I na dodatek mam pretensje, kiedy ktoś nie robi tego, co chcę. Jak jakieś rozkapryszone dziecko. Obraziłam się na dziewczyny, na Czuba, nawet na mamę. Mama... Krytykowałam ją za to, że niczego sama nie potrafi załatwić, że nie podejmuje decyzji, nie angażuje się. A przecież jestem dokładnie taka sama. A może jeszcze gorsza?

„Ogarnij się, dziewczyno, i zrób coś z sobą!” – znowu usłyszałam w głowie głos Lilianny. Kolejną prawdę. I poczułam, że pora właśnie to zrobić.

Dlaczego czekam na Czuba? Owszem, są sprawy, których bez niego nie ruszę, ale zamiast snuć się bez sensu, mogłabym chociażby coś zaplanować.

Sięgnęłam po szkicownik, ale tym razem nie po to, żeby rysować. Na nowej kartce miał powstać plan działania. Konkretny, sensowny i pierwszy w moim życiu. Może trochę późno się zebrałam, w końcu już dwa lata temu zmieniłam kod na trójkę z przodu, ale lepiej późno niż wcale, nie sądzisz?

Trochę mnie od tego odrzucało, to muszę szczerze przyznać. Kiedy pomyślałam o księgowości, urzędach i projektach budowlanych, na chwilę znowu zwątpiłam. Ale rzut oka na list i postawiłam do pionu samą siebie. Tak, nie znam się na tym wszystkim, ale na robieniu zdjęć też się kiedyś nie znałam. Uczyłam się, żeby osiągnąć cel. Teraz moim celem stało się stypendium, więc skoro do tego muszę ogarnąć wszystkie te dziwne rzeczy – zrobię to. A że ich nie lubię? Trudno, może kiedyś polubię.

Kiedy Czub się wreszcie pojawił, pokazałam mu efekty swoich przemyśleń.

- A co to ma być?
- To najlepsze, co udało mi się wymyślić.
- Ogarnij się i zrób coś ze sobą. – Przeczytał nagłówek. – Nieźle się zaczyna. – Roześmiał się. – Ostro.
- Dalej jest jeszcze lepiej – zapewniłam.
- Punkt pierwszy, dowiedzieć się, co muszę ogarnąć i to ogarnąć. – Parsknął

śmiechem. – Długo nad tym myślałaś? – Popatrzył na mnie, rozbawiony.

– Nad tym najkrócej, bo jeszcze nie znam szczegółów. Zobacz na dopisek.

– Wszystko zapisywać, żeby się drugi raz nie prosić. – Zmrużył oczy, odczytując drobne literki. – Bardzo rozsądne. – Pokiwał głową i na nowo pochylił się nad kartką.

– Zrobić prawo jazdy, trzy: zapisać się na studia podyplomowe albo jakiś kurs... – Odłożył kartkę. – Co to ma być tak naprawdę?

– Zobacz na dole – poradziłam.

– Cel: pojechać na stypendium. I dopisek: poprowadzić firmę tak, żeby tata był ze mnie dumny. I dopisek malutki: Mieć dużo pieniędzy.

Usiadł, milczał przez chwilę, drapiąc się po zaroście na policzku. Czekałam, co powie.

– Naprawdę chcesz zrobić to wszystko? – zapytał, marszcząc brwi.

– Naprawdę – potwierdziłam.

– A te kolorowe kwiatuszki, listki i baloniki między zapiskami to co niby oznaczają?

– Miałam pastele pod ręką – powiedziałam poważnie, ale nie wytrzymałam i uśmiechnęłam się. – Przecież tak całkiem się nie zmienię. Trochę starej Malwiny chcę zostawić.

– Ufff, bo już się wystraszyłam. – Odwzajemnił uśmiech. A potem dodał: – Czy przewidujesz w tym wszystkim jakąś rolę dla mnie?

– Jasne, w całym punkcie pierwszym – zapewniłam. – Oczywiście jeśli zechcesz się zaangażować.

– Zechcę – powiedział. – A teraz ty się zaangażuj i zrób mi kawy, bo zgoniony jestem jak koń po westernie.



Zrobiłam mu tej kawy, bo miałam dobry humor. Posiedział ze dwie godziny, ustaliliśmy wstępnie, co będziemy robić, wyjaśnił mi kilka rzeczy, wiesz, tak prosto i łopatologicznie, a potem zapisał, co powinnam znaleźć w internecie i przeczytać na spokojnie.

– Jeżeli to nie problem, to zabrałbym laptopa twojego ojca. Wieczorem poczytałbym te e-maile, żeby się zorientować, z czym konkretnie mamy do czynienia. Może też powinienem się podszkolić...

– Jasne, bierz. Dla mnie to i tak na razie czarna magia. Wcześniej pomagał mi mąż Wioli, jak chcesz, to dam ci do niego numer, może coś ci więcej powie.

– Daj, przyda się. I będę leciał, bo naprawdę dzisiaj jestem zarobiony.

– A gdzie ty w ogóle teraz mieszkasz?

– W studenckim mieszkaniu, u kumpla.

– Wynajmujesz pokój?

– Za dużo powiedziane. – Uśmiechnął się z przekąsem. – Przyjęli mnie na materac w zamian za sprzątanie łazienki i zmywanie. Na razie daję radę, więc dobrze jest.

Zabrał, co chciał i poszedł. Pomyślałam, że jednak jestem szczęściarą. Tata kupił mi mieszkanie, zawsze miałam w domu luz i nigdy nie martwiłam się o pieniądze. Czub chyba nie miał łatwego życia. Przypominałam sobie, co opowiadał, ale niewiele tego było. Niechętnie o tym mówił, a ja nie wypytywałam. Słyszałam, że pochodzi gdzieś spod Częstochowy, że ma dwie siostry i matka wychowywała ich sama. Nie wiedziałam, co się stało z ojcem, dlaczego Czub wyjechał z domu ani z jakiego powodu wybrał Kielce. Kiedyś wspomniał, że tam nie pasował, ale co się pod tym kryło – nie miałam pojęcia.

Zrobiło mi się smutno, że tak niewiele wiedziałam o swoim najlepszym przyjacielu. A przecież on wiedział o mnie wszystko. Opowiadałam mu o każdym problemie, żaliłam się, kiedy ojciec nie chciał mi czegoś kupić. Żenada, prawda? Nie musisz odpowiadać, sama wiem, że tak jest.

W drodze do mamy odwiedziłam prawnika. Ale przedtem weszłam do Pelikana na Sienkiewicza i kupiłam sobie gruby zeszyt. Poprosiłam radcę, żeby jeszcze raz powiedział mi, co powinnam mu dostarczyć i wszystko skrupulatnie zapisałam.

Szłam „Sienkiewką” w stronę dworca PKP i byłam z siebie dumna. O tej porze deptak wyglądał zupełnie inaczej niż wieczorem. Zresztą listopadowy chłód też go odmienił. Ogródki kawiarniane dawno już znikły, a ludzie szli szybko, nie rozglądając się, skoncentrowani na własnych sprawach. Kupiłam kawę w mobilnej kawiarni na placu Artystów, popatrzyłam chwilę na brodzące w kałużach gołębie i grupki roześmianych nastolatków, którzy najwyraźniej zamiast szkoły woleli spacer, nawet przy tak kiepskiej aurze. Z przyzwyczajenia zerknęłam na plakaty przed galerią sztuki, ale tym razem nic mnie nie zainteresowało. Za to przyszło mi do głowy, że może kiedyś zawiśnie tu informacja o moim wernisażu i wystawie fotografii. Poczułam kolejny przypływ energii i chęć działania.

U mamy też poszło nieźle. Udało nam się odszukać kilka dokumentów, a przy okazji znalazłam umowę kredytową na moje mieszkanie. Był w niej zapis o ubezpieczeniu kredytu na wypadek śmierci kredytobiorcy. Może to oznacza, że nie trzeba będzie dalej go spłacać? Znasz się na tym? Ja też nie, ale postanowiłam się dowiedzieć. Zapakowałam dokument do papierowej teczki, a sprawę dopisałam do listy w zeszycie. Widzisz, jaka się zrobiłam skrupulatna! Nie śmieję się, proszę. Lepiej docień moje starania, bo nie wiesz, ile mnie kosztuje samo to, żeby nie zapomnieć o zapisywaniu.

Wyobraź sobie, że mamie smakowała moja zupa. A tak, ugotowałam. Jarzynową. Rano mnie naszło, podczas zakupów, więc zapytałam ekspedientkę, jak się to robi. Nie powiem, była zdziwiona, ale poradziła kupić gotową mrożonkę. Mówiła też o wywarze na kurczaku, ale to już mnie trochę przeraziło i kupiłam po prostu kostki rosółowe. Tak, bardzo zabawne, naprawdę jest się z czego śmiać. Przypominam, że ty też kiedyś uczyłaś się gotować i nie od razu ci wychodziło. No właśnie! A mnie wyszło, może lane

kluski były trochę za duże i za twarde, ale w każdym razie mama pochwaliła. Ona nie gotuje. Myślałam, że jej się nie chce, ale dzisiaj, kiedy zaproponowała, żebyśmy zjadły w salonie – zrozumiałam dlaczego. Ja też nie potrafiłabym zjeść w kuchni. Zawsze tam jedliśmy i każdy miał swoje miejsce. Teraz jedno zostałoby puste, a i tak obie widziałybyśmy tam tatę. No i przecież tam właśnie, wiesz... tam się to stało.

No to zjadłyśmy w salonie. Zostało jeszcze dla mamy na następny dzień. A ja postanowiłam, że wieczorem skoczę do Róży i poproszę o jakiś prosty przepis. Tak, zgadłaś, zapiszę go sobie.

Masz rację, sporo się u mnie dzieje. Ale dopiero teraz powiem ci najlepsze. Będiesz naprawdę zaskoczona. Tylko muszę po kolei. I usiądź wygodnie, bo na pewno przeżyjesz szok.

Czub zadzwonił i zapytał, czy znajdę dla niego pół godziny. Głos miał jakiś dziwny, więc się zaniepokoiłam.

– Coś się stało?

– Chciałbym, żebyś mi doradziła w pewnej sprawie.

– Ale...

– Tego się nie da załatwić przez telefon – przerwał mi. – Przyjdę, to ci powiem. To co, mogę?

– Tak... – odpowiedziałam niepewnie, bo takie zachowanie do niego nie pasowało. Nigdy się nie zapowiadał, po prostu wpadał i tyle. A jeszcze ten ton...

Czekałam z niecierpliwością, na szczęście niedługo. Otworzyłam, zanim jeszcze przebrzmiał pierwszy dzwonek. Najpierw zobaczyłam kilka papierowych toreb i gdyby nie czubki głąnów, to nie przypuszczałabym, że to Czub. Wniósł wszystko, rzucił na materac, a sam usadził się obok.

Spojrzałam pytająco.

– Poczekaj, złapię oddech. Dasz coś do picia?

Dałam. Wypił duszkiem dwie szklanki soku i głęboko odetchnął.

– Nie miałem pojęcia, że to takie męczące. Mam nadzieję, że nieprędko będę musiał tam wrócić. No, ale to już zależy od ciebie.

– Co? – zapytałam, żeby delikatnie mu przypomnieć, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Idź do łazienki – powiedział. Widząc moją minę, powtórzył: – No idź. Proszę. Zawołam cię zaraz. Tylko nie podglądaj.

Nadal niczego nie rozumiałam, ale postanowiłam dać mu szansę.

– Możesz wracać. Tylko obiecaj, że nie będziesz się śmiała. – Usłyszałam po kilku minutach wpatrywania się we własną twarz w łazienkowym lustrze.

Weszłam do pokoju i zobaczyłam Czuba... w bordowej marynarce i czarnej koszuli.

– I jak?

– Nieźle – stwierdziłam i nie skłamałam. Wyglądał dobrze. Nogawki nowych czarnych dżinsów nie były obcisłe i podwinięte, a marynarka podkreślała szerokie ramiona

stojącego przede mną... mężczyzny. Tak, nie chłopaka, nie kolegi, ale mężczyzny.

– No, to kamień z serca. – Ze świstem wypuścił powietrze. – Bo miałem większego stracha niż przed maturą.

– Ale możesz mi wytłumaczyć po co to wszystko?

– No jak to? Przecież mamy wyprostować sprawy firmy twojego ojca. Pomyślałem, że przecież nie spotkam się z klientami w glanach i flanelowej koszuli. Widziałem, że pracował z poważnymi firmami i nie miałem wyjścia. Nie, żebym skakał z tego powodu pod sufit, ale cóż... – Wzruszył ramionami.

Poczułam, że mam łzy w oczach. Wiedziałałam doskonale, co zrobić. I doceniałam to. Jak miałam pokazać, że rozumiem? Po prostu podeszłam i chciałam go przytulić, ale odsunął mnie.

– Powoli, powoli. Bo mi zalejesz łzami koszulę. Musisz teraz uprzedzać, że chcesz się mazać, żebym mógł się przebrać w T-shirt.

– To się przebierz – powiedziałam.

– Za chwilę. Mam jeszcze dwie koszule do zaprezentowania. Niestety, nie starczyło mi kasy na jakąś sensowną kurtkę, ale Bolek obiecał pożyczyć, póki nie złapię jakiejś fuchy. Coś jeszcze powinienem mieć, czy tak może być?

– Mógłbyś jeszcze zdjąć tę czapkę – powiedziałam, ocierając łzę.

– A, tak, zapomniałem.

I zdjął. A ja po raz kolejny nie wiedziałam, co powiedzieć. Jego stojące włosy, czub, od którego wziął swoją ksywę, leżały grzecznie zaczesane do tyłu.

– Czy mógłbyś się przebrać w T-shirt? – zapytałam. – Tylko szybko, bo długo się nie powstrzymam.

– Jasne. – Czub uśmiechnął się i zaczął rozpinać guziki koszuli.

Patrzyłam na niego i poczułam, że powinnam mu pomóc.

– Lepiej będzie bez T-shirtu. – Zdecydowałam, kiedy koszula opadła na podłogę.

Pokiwał głową.

Dalej to chyba nie będę opowiadać ze szczegółami. Na pewno się domyślasz i sobie dopowiesz. Ale jakbyś chciała wiedzieć, to było inaczej niż wcześniej. Nie wiem dlaczego, bo przecież znaliśmy się doskonale, a jednak tym razem miałam wrażenie, jakbym dopiero go odkrywała. I to było bardzo miłe.

– Mam do ciebie pytanie – powiedziałam, kiedy odpoczywałam na jego ramieniu. – Tylko obiecaj, że odpowiesz i nie będziesz się śmiał.

– Dobrze – zgodził się.

– Skoro nie ma już czuba, to może przypomnisz mi, jak masz na imię?

– Marek.

– Ładnie. Tylko trochę dziwnie, ale może się jakoś przyzwyczaję. – Uśmiechnęłam się.

Prawie zasypiałam, gdy przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Słuchaj, czy ty zamierzasz kupować jeszcze dużo ciuchów?

– Bo co? – wymruczał, bo też już chyba zasypiał.

– Bo nie wiem, ile półek powinnam ci zwolnić w szafie.

Zamiast odpowiedzi dostałam coś znacznie lepszego. Domyślasz się, prawda?

A do Róży tego wieczora nie poszłam. Może dlatego, że zapomniałam to zapisać w zeszycie? Ale jutro na pewno pójdę, bo chciałabym przygotować kolację dla Czuba, to znaczy dla Marka. W końcu mieliśmy robić dla siebie tylko to, na co sami mamy ochotę, prawda? Mówiłam ci o tym.



Ochłonęłaś już? Przyznam, że ja chyba jeszcze nie do końca. Czy jestem zadowolona z tego, co się stało? Masz wątpliwości? Marek chyba też nie był pewien, bo następnego dnia rano wymknął się do łazienki, przekonany, że jeszcze śpię i kiedy po wyjściu zobaczył moje zupełnie rozbudzone spojrzenie, zatrzymał się w pół kroku i zapytał:

– Nie zmieniłaś zdania?

– Właśnie się zastanawiam, co ja takiego wczoraj mówiłam... – Udałam powagę, chociaż przyszło mi to z trudem. – Zaskoczyłeś mnie tak bardzo, że miałam zamęt w głowie.

– Naprawdę nie pamiętasz? – Miał tak zakłopotaną minę, że nie wytrzymałam.

– Pamiętam. – Roześmiałam się. – Pamiętam, Marku. – Wystawiłam mu język. – Chociaż raz udało mi się ciebie nabrać. A zawsze się chwaliłeś, że doskonale mnie znasz. I co?

– Tamta Malwina, którą znałem, była moją przyjaciółką. A ta...

– No? – Spojrzałam pytająco.

– Właśnie nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

– Ta Malwina chciałaby nadal być twoją przyjaciółką. – Dostrzegłam lekkie zaciśnięcie szczęk, wiesz, jeden z tych drobiazgów, których nikt inny by nie zauważył. Ale ja na niego czekałam. Żeby zyskać pewność. A skoro ją miałam... – Też – dodałam szybko.

Tyle wystarczyło. Po co słowa, jeśli ludzie znają się tak dobrze, że wystarczy spojrzenie?

Napiliśmy się razem kawy i Czub poszedł, swoim zwyczajem nie mówiąc gdzie. Wiedziałam, że kiedy wróci, wszystko mi opowie, więc nie martwiłam się. Ja miałam tego dnia kilka spraw do załatwienia, więc też nie siedziałam w domu dłużej.

Wieczorem zostawiłam Marka sam na sam z laptopem i wybrałam się do Róży. Miałam nadzieję, że nie jest na mnie bardzo obrażona i uda mi się ją przeprosić. Jako dodatkowy argument niosłam pod pachą pudełeczko merci i słoik gruszek w occie, który podwędziłam ze spiżarni u mamy. Mówię ci, takich gruszek nigdy nie jadłaś. Jeszcze nikt się im nie oparł, więc liczyłam, że i Róża ulegnie.

Słyszałam, jak sprawdza przez wizjer, kto idzie i przez moment poczułam strach, że

może mnie nie wpuścić. Na szczęście zaraz zazgrzytał zamek. Teraz pójdzie już z górki – pomyślałam. Ale nie byłam przygotowana na to, co miało się wydarzyć za chwilę.

Róża miała zakłopotaną minę, więc od razu wyczułam, że coś się święci.

– Cześć – powiedziałam. Postanowiłam zastosować starą metodę mówienia szczerze i wprost. – Przyszłam cię przeprosić. – Wyciągnęłam przed siebie podarunki. – Wtedy, no, kiedy się ostatni raz widziałyśmy, nie byłam zbyt miła.

– Nie trzeba. – Pokiwała rękami w odmownym geście. – Nie gniewam się.

– Weź, proszę. To tylko słodki drobiazg ode mnie i mały smakołyk roboty mojej mamy. Przesyła z podziękowaniem, że mi o niej przypomniałaś. – Trochę nagięłam rzeczywistość, ale doszłam do wniosku, że to dobrze zabrzmie i przekona Różę.

Nie myliłam się. Przyjęła prezenty i cofnęła się.

– Może wejdiesz? Tylko...

Jeszcze nie całkiem chyba byłam nową Malwiną, bo nie pozwoliłam jej dokończyć. Wparowałam wprost do pokoju i... zobaczyłam Lilianę i Wiolę siedzące na turystycznych krzeselkach przy rozkładanym stoliku, na którym stał okrągły sernik oblany czekoladą i trzy filiżanki w różyczki.

– Próbowałam ci powiedzieć. – Usłyszałam za plecami głos Róży.

Nie trzeba było być mistrzem dedukcji, żeby domyślić się, że właśnie ma miejsce spotkanie sąsiedzkiego klubu. Spotkanie, na które nie zostałam zaproszona.

– Cześć – powiedziałam, bo co innego mogłam zrobić.

– Cześć – odpowiedziały i zapadła ciężka cisza.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam, ale sądziłam, że nie będziesz chciała przyjść. – Róża naprawdę była zakłopotana i widziałam, że nie bardzo wie, jak wybrnąć z tej krępującej sytuacji.

Jak myślisz, co zrobiłam? No, zastanów się. Masz jakiś pomysł? Przypominam, że jestem nową Malwiną, więc może być trudniej. Dobra, nie musisz myśleć, powiem ci.

Stwierdziłam, że jeśli nawarzyłam tego piwa, to powinnam je teraz wypić. Czyli wziąć na klatę.

– Nie musisz przeproszać – zwróciłam się do Róży. – Nie dziwię się, że tak zrobiłaś. I jeśli w ogóle mówimy o przeproszaniu, to raczej ja powinnam to zrobić. W sumie to cieszę się, że jesteście wszystkie. Jeżeli się zgodzicie, to wygłoszę samokrytyczne przemówienie i poproszę o łaskę. Nie, to nie ironia czy złośliwość. Mówię całkiem szczerze. Zgodzicie się mnie wysłuchać?

Popatrzyły po sobie, a ja czekałam na decyzję. Przyznam ci się, że dawno tak szybko nie biło mi serce.

– To może usiądziesz? – Werdykt wydała Liliana, kiedy zobaczyła skinienie głowy Wioli i lekki uśmiech Róży.

Przysunęłam do stolika krzesło stojące przy biurku.

– Jak widzisz, nie tylko ty masz kłopoty z miejscami siedzącymi. – Róża rozłożyła ręce w przepraszającym geście. – Wiola pożyczyła swój wakacyjny zestaw. – Wskazała

na stolik i krzeselka.

– Nie ma problemu.

Popatrzyłam na dziewczyny i poczułam, że brakowało mi tych wspólnych spotkań. Cieszyłam się, że mogę usiąść z nimi i pragnęłam, żeby tak było nadal.

– Przede wszystkim chcę, żebyście wiedziały, że jest mi wstyd. Zachowałam się okropnie, wiem, ale wszystko przemyślałam i bardzo was przepraszam. Mam nadzieję, że zechcecie mi wybaczyć – wypowiedziałam to wszystko na jednym oddechu, bo bałam się, że jeśli przerwę chociaż na sekundę, to któraś mi nie pozwoli dokończyć zdania.

– To za mało. – Liliana nie dała się tak łatwo zbyć. Mogłam przewidzieć, że nie odpuści, ale czy ja w ogóle planowałam tę sytuację? – Bo przepraszam to jedno, ale coś powinno z tego wyniknąć.

– Co ja mogę powiedzieć? Że to się więcej nie powtórzy?

– Powiedzieć możesz, ale jaką mamy gwarancję?

– Mnie było bardzo przykro po tym, co powiedziałaś – wtrąciła się Wiola. – Wiesz, jak to niefajnie być niesprawiedliwie ocenionym?

– Wiem – powiedziałam. – Mogę dać gwarancję na piśmie, ale przecież i tak nie będziecie mieć pewności. Musicie mi zaufać.

– Musimy? – Liliana założyła nogę na nogę, a w jej wzroku była gotowość do walki.

– Nie musicie, ale chciałabym was o to prosić. – Dawniej nie przepuściłabym okazji do zmierzenia się z nią, ale teraz nie dążyłam do konfrontacji. – Wiele się u mnie zmieniło, sporo przemyślałam...

Patrzyły wyczekująco, więc opowiedziałam o wszystkim po kolei. Czyli o tym, o czym ty też już wiesz. I jeszcze wspomniałam, że tego dnia Marek spotkał się z mężem Wioli, obgadali sprawy firmy i postanowili spróbować współpracy. Na razie luźnej, ale jeżeli wszystko dobrze będzie szło, to kto wie, czy obie firmy nie zacieśnią więzi.

– To prawda – potwierdziła Wiola. – Marcin dzwonił i mówił mi o tym. Był nawet zadowolony, bo te oferty się podobno uzupełniają, czy coś. Nie znam się na tym.

– Ja też się nie znam, ale się poznam – zapewniłam. – A na razie wystarczy, że Marek się zna. I w ogóle on się zmienił. Między nami zresztą chyba też już jest inaczej.

– A kto to jest Marek? – zainteresowała się Róża i natychmiast, swoim zwyczajem, zaczerwieniła się.

– Ten, co u ciebie pomieszkiwał? – domyśliła się Wiola.

– Ten sam. Ale już nie taki sam – opowiedziałam im całą historię przemiany Czuba i naszych relacji.

Potem jakoś poszło. Wypytywały o wszystko, Róża oczywiście nie zapomniała o mamie. Zeznawałam jak na policji, ale nie przeszkadzało mi to. Miło podzielić się nowinami z kimś, kogo to interesuje i naprawdę obchodzi.

Kiedy skończyłam, Liliana pokiwała z aprobatą głową i zwróciła się do Róży:

– Masz jeszcze jedną filizankę? Pewnie zaschło jej w gardle od tego gadania.

– Oczywiście. – Róża natychmiast podniosła się z krzeselka. – I może wreszcie spróbujecie sernika. Sama piekłam – dodała z dumą.

Zrozumiałam, że wybaczyły. Odzyskałam swoje miejsce w ich gronie i było mi z tym dobrze.

Delikatnie mówiąc – zasiedziałam się. Wiesz, jak to jest, kiedy spotkasz się z przyjaciółkami. Czas płynie przynajmniej trzy razy szybciej. Poza tym miałyśmy dużo do nadrobienia. Zwłaszcza ja. Musiałam przecież dowiedzieć się o tej Agnieszce, o postępach Oskara w rysowaniu i o starszej, złośliwej koleżance Róży.

Kiedy wróciłam do siebie, Marek jeszcze nie spał.

– Przepraszam, jakoś tak zeszło... – Było mi głupio. Przecież powiedziałam, że za chwilę wrócę.

– Nie ma problemu, i tak musiałem skończyć ten kosztorys. Powoli mi idzie, bo sporo się zmieniło od czasu, jak miałem z tym do czynienia. Ale wiesz, najtrudniejszy pierwszy krok. – Uśmiechnął się znad świecącego ekranu.

– Jadłeś już?

– Tak, ale zostawiłem ci kanapki w lodówce.

– To sernika nie chcesz? – zapytałam z chytrym uśmiechem. – Róża dała kawałek dla ciebie, ale jeśli...

– Dawaj natychmiast! – Odłożył laptopa na bok. – Zjem sernik, a potem na deser ciebie.

– Sernik to deser – zaprotestowałam.

– Nieprawda. Deser to coś najśłodsze. Więc szykuj się, mój deserze. – Już siedział na brzegu materaca i wcinał ciasto wprost z plastikowego pojemnika. – Masz pięć minut.

Nie muszę ci chyba mówić, że nie miałam nic przeciwko temu, żeby zostać jego deserem. No co chichoczesz! Co ja na to poradzę?



Wiesz, nie od razu chciałam o wszystkim mówić mamie. Tak, bałam się, jak to przyjmie i czy nie będzie się denerwowała. Ona zawsze przeżywa moje pomysły. A na dodatek później bez przerwy pyta, jak mi idzie, a to mnie raczej denerwuje niż motywuje. Chciałam poczekać, aż będą jakieś efekty. Poza tym ciągle nie miałam pewności, czy dam radę. Nie myśl sobie, że było mi łatwo. Każdy dzień przynosił konieczność walki z samą sobą.

Bo jak się człowiek przez ponad trzydzieści lat do czegoś przyzwyczaił, to potem niełatwo o zmianę. Nosiłam ten zeszyt w torebce jak jakiś skarb. Ale co z tego, że zapisywałam, skoro i tak zdarzało mi się o czymś zapomnieć. Strasznie to przeżywałam, ale Marek zawsze mnie stawiał do pionu. W końcu znalazłam system –

każdego wieczora przeglądałam zapiski z ostatnich siedmiu dni. Jeżeli czegoś nie załatwiłam – przepisywałam jeszcze raz na następny dzień. A na nowy rok postanowiłam kupić kalendarz, żeby móc planować. Widzisz, że walczę dzielnie? Przyznaj, proszę.

Studia podyplomowe przełożyłam na kolejny rok akademicki. Te, które wybrałam, nie zaczynały się do letniego semestru. A zdecydowałam się na projektowanie ogrodów, bo wydaje mi się, że jest w tym miejsce na trochę artystycznego szaleństwa, a jednocześnie wiąże się z budownictwem i będzie można rozszerzyć ofertę firmy. Tak, zaczynam myśleć o biznesie. Mnie samą też to chwilami dziwi, bo nigdy nie sądziłam, że tak może być. Ale to chyba nic złego, nie?

Od stycznia zaczynam naukę jazdy. Samochód taty nie będzie już stał w garażu. Zresztą już nie stoi, bo czasami korzysta z niego Marek. Jego „żaba” to przecież już zabytek i niestety często zawodzi.

Nie, mama nie ma nic przeciwko temu. Właśnie, bo ja zaczęłam i w końcu nie powiedziałam, jak z nią było.

No to tak: na początku grudnia, jeszcze przed mikołajkami, samo się zgadało przy obiedzie. Uwaga, przy obiedzie, który ja ugotowałam. Rosół, schabowy z ziemniakami i marchewka. Najpierw przeciwicyłam na Marku, było dobrze, więc zaserwowałam mamie.

Jadłyśmy sobie spokojnie, a w pewnym momencie mama mówi:

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

Zamarłam z kęsem w ustach.

– Myślisz, że ja nic nie widzę? – powiedziała mama. – Przecież jesteś moim dzieckiem.

– Nic nie mówiłaś... – Przełknęłam kotleta i otarłam serwetką usta.

– Wolałam nie pytać, bo ty tego nie lubisz. Ale jeśli chcesz, to chętnie posłucham.

Po raz pierwszy z ochotą zwierzyłam się mamie. Opowiedziałam jej o tym, co udało się już zrobić. O dwóch nowych zamówieniach i jednym wspólnym z firmą Marcina. I o moich planach. Przyznałam się nawet do wygranego stypendium, chociaż trochę się bałam, co mama powie na zagraniczny wyjazd. Na szczęście przyjęła to spokojnie.

Nie ukrywałam też, że czasami są problemy. Nie było mi łatwo odnaleźć się w terminologii budowlanej, czy szczegółach księgowych, ale za to podstawowe rzeczy rozumiałam i z urzędami szło mi coraz lepiej.

O wielu rzeczach mama wiedziała na bieżąco, bo sprawy spadkowe czy wypłatę polisy ubezpieczeniowej musiałyśmy załatwiać wspólnie. Ale cała reszta była dla niej nowością. Słuchała, chociaż nie wypytywała o szczegóły. Nie miałam pretensji. Już rozumiałam, że nigdy się tym nie zajmowała, bo to była domena ojca. Nie liczyłam, że coś się zmieni w tej kwestii. Ale taty zawsze wysłuchiwała, więc może teraz będzie słuchała mnie?

– Czy ten Marek to coś poważnego? – zapytała.

– Wiesz, mammo, nie bardzo wiem, co ci odpowiedzieć. Dobrze mi z nim. Kiedyś

uwazałam go po prostu za przyjaciela, a teraz... to chyba coś więcej. – Wzruszyłam ramionami. – To on mnie wyciągnął za uszy z tej beznadziei, w którą wpadłam. Chociaż nie byłam dla niego dobra. Tak to wygląda.

– Skoro tak to wygląda, to może przyjdziecie w niedzielę na obiad? Zrobię zrazy, a na deser upiekę jabłecznik. Co ty na to? – Pokiwałam głową na znak zgody. Skoro zdecydowała się ugotować, to przecież nie mogłabym odmówić. Nie wiedziałam co prawda, jak zareaguje na to Marek, ale miałam nadzieję, że się zgodzi.

– To dobrze. – Mama ucieszyła się. – Chętnie poznałabym bliżej mężczyznę, którego pokochała moja córka.

Pokochała? Zaskoczyły mnie te słowa. Nie zastanawiałam się nad tym, ale poczułam, że mama ma rację. Pokochałam Marka. Wiedziałaś o tym? I nic nie mówiłaś? Powinnam się obrazić.

Dopowiem ci tylko, że jeszcze bardziej zaskoczyło mnie to, co mama powiedziała, kiedy już od niej wychodziłam. Zatrzymała mnie na środku salonu. Położyła mi rękę na ramieniu, więc odwróciłam się w jej stronę.

– Chcę, żebyś wiedziała, że doceniam to, co robisz.

– Daj spokój, mamu. Robię to, co trzeba, żeby było nam dobrze.

– Właśnie. Zupełnie jak twój ojciec. – Oczy jej się zaszklily, więc chciałam jej przerwać, ale powstrzymała mnie gestem. – Jesteś do niego bardzo podobna. I myślę, że gdyby to wszystko widział, byłby z ciebie dumny. Tak jak ja teraz.

No i jak miałam wytrzymać? Łza sama mi poleciała. A to jeszcze nie był koniec. Mama podeszła do szklanego pudełeczka stojącego na komodzie i wyjęła z niego mały złoty kluczyk. Podała mi go i powiedziała:

– Ten zegar powinien znowu zacząć wybijać godziny. Może go nakręcisz?

Zrobiłam to, o co prosiła. Łzy kapały mi z oczu, ale dałam radę.

– A następnym razem jak będziesz chciała coś ze spiżarni, to po prostu powiedz – dodała mama, kiedy już stanęłyśmy razem przed tykającym równym rytmem zegarem. – Chyba pamiętasz, że mam policzone wszystkie słoiki i doskonale wiem, kiedy coś znika.

Śmiejące się i płaczące jednocześnie kobiety to musi być dziwny widok. Na szczęście byłyśmy same. A do domu wróciłam szczęśliwa, a oprócz grubego zeszytu miałam w torebce marynowane prawdziwki i śliwkowe powidła. Dobrze się domyślasz – dla mężczyzny, którego pokochałam.



No, już chyba wszystko ci opowiedziałam. Rzeczywiście, trochę się wydarzyło w ostatnim czasie. Kiedy pomyślę, że trzy miesiące temu z radością opuszczałam rodziców i cieszyłam się, że zaczynam samodzielne życie, to nad samą sobą mam

ochotę pokiwać głową z politowaniem. Wydawało mi się, że jestem dorosłą i dojrzałą kobietą, która świetnie sobie radzi, wszystko wie i nie potrzebuje pomocy. Powiem ci, że nadziwić się nie mogę swojej naiwności.

Samo życie pokazało mi, jak bardzo się myliłam. Zrozumiałam, że dojrzałości nie weryfikuje się numerem PESEL, ale tym, co robimy i jak potrafimy sprostać nieoczekiwanym i trudnym chwilom. Kiedy zaczynała się jesień, byłam jeszcze dzieckiem i trzydziestka na karku niczego nie zmieniała. Taka prawda. Musiałam dopiero zmierzyć się z prawdziwym życiem, bez ochronnego parasola taty, bez nieustannej troski mamy. Doświadczyć trudów prawdziwej codzienności, poczuć samotność i bezsilność, żeby znaleźć własną siłę, dostrzec i docenić tych, którzy są prawdziwymi przyjaciółmi.

Jak sobie radzę? Nie martw się, jest dobrze. Nie, jeszcze nie pokochałam tego, czym muszę się zajmować, ale przynajmniej mnie już to nie przeraża. A z Markiem czuję się pewniej. Staram się, chociaż nie wszystko jeszcze wychodzi. Trochę mi tęskno do tych czasów, kiedy mogłam spać pół dnia, a jedynym zmartwieniem było to, czy w sobotę będzie jakaś impreza. Jasne, nic straconego, wiem. Jak wszystko się już jakoś ułoży, to będzie czas i na zabawę. Na razie go brak. Cóż, muszę się z tym pogodzić, chociaż czasami mam chwilę słabości. Nawet bywa, że popłaczę w łazience, ale potem patrzę w lustro i mówię: „Ogarnij się, dziewczyno i zrób coś z sobą!”. I co? No jak to? Ogarniam się i robię, proste.

Ustaliłam z mamą, że wiosną sprzedamy dom i kupimy jej mieszkanie gdzieś bliżej Kwiatowej. Sama to zaproponowała. Powiedziała, że nie chce już dłużej tam mieszkać, bo wszystko przypomina jej tatę i w pustych pokojach czuje się samotna. Na początku zrobiło mi się smutno, bo w końcu to mój dom rodzinny, ale po namyśle doszłam do wniosku, że rodzina jest tam, gdzie są ludzie, a nie ściany czy przedmioty. Niech więc będzie tak, jak chce mama.

Pytasz o moje plany. Na razie bez wielkich zmian. Już dość mam rewolucji w życiu, chciałabym raczej spokoju i żeby wszystko toczyło się powoli. Zawsze twierdziłam coś innego? No widzisz, jak człowiek potrafi się zmienić!

Udało mi się ustalić, że na stypendium wyjadę najwcześniej za pół roku. Mam nadzieję do tego czasu postawić firmę na nogi. Ty wiesz, że po raz pierwszy w życiu czuję się za coś naprawdę odpowiedzialna? To nowe uczucie, czasami trochę stresuje, ale za to każdy, nawet mały sukces, daje radość i satysfakcję.

Mam za sobą ciężki czas, ale uważam, że tak w sumie to dałam radę. I pokazałam, innym, ale przede wszystkim sobie, jak wiele mogę. Zgodzisz się? Dzięki, to dla mnie dużo znaczy. I dziękuję, że byłaś przy mnie, nawet wtedy, kiedy popełniałam błędy.

Wiesz, wczoraj wyniosłam sztalugi do piwnicy. Nie, nie na zawsze. Taką przynajmniej mam nadzieję. A mój kochany holender znalazł miejsce u mamy w garażu. Wyczyściłam go pięknie i pożegnałam czule. Nie no, bez przesady! Oczywiście, że tylko na zimę. Bo wierzę, że wiosną znowu go wyciągnę i pojedę ścieżką

na Dolinach. Będę patrzyła, jak wszystko budzi się do życia i czuła wiatr we włosach. Bo mimo zmian nadal jestem przecież także dawną Malwiną. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza?

CZEŚĆ DRUGA

Liliana

Kupując mieszkanie w bloku prosto od developera, zakładałam, że „nowe” oznacza „bezproblemowe”. Okazuje się, że chyba nie dla wszystkich, bo ta awaria windy, która dla mnie była niedopuszczalna, została przez nich potraktowana jako drobna usterka na pierwszym etapie użytkowania. Owszem, przeprosili, ale nie widziałam, żeby jakoś ich specjalnie poruszył fakt, że przez tę niby usterkę nie dotarłam na biznesowe spotkanie. Dobrze, dobrze, wiem przecież, że to nie była służbowa kolacja, ale oni nie wiedzieli, prawda? I powinni przynajmniej okazać jakieś poczucie winy, nie uważasz? Zupełny brak profesjonalizmu. Czy oni mają świadomość, że niezadowolenie jednego klienta przekłada się na opinię o firmie? Uświadomiłam im to oczywiście i solennie obiecałam, że nie polecę ich mieszkań żadnemu znajomemu.

Byłabym jeszcze bardziej wściekła, ale muszę przyznać, że mimo tej niefortunnej sytuacji spędziłam przyjemny wieczór. Chociaż nic nie wskazywało na to. Kiedy winda utknęła między piętrami, pomyślałam, że gorsze towarzystwo nie mogło mi się trafić.

Najpierw ta, która chyba udaje hippiskę, bo jej stroje i zachowanie przywołują na myśl nastolatkę z lat sześćdziesiątych. Wiesz, że moja praca wymaga śledzenia trendów w modzie i oczywiście nieobcy mi styl boho, ale jak sama nazwa wskazuje, taki wizerunek wymaga stylizacji. A nakładanie na siebie ubrań z lumpeksu z pewnością nie ma z tym nic wspólnego. No co ty opowiadasz? Że ja też prowadzę outlety? Oczywiście, ale to zupełnie co innego. W mojej ofercie są rzeczy nowe – końcówki serii, czasami z drobnymi uszkodzeniami, ale nienoszone i nie sprzed kilku sezonów. Nie czujesz różnicy?

Oczywiście nie zamierzałam jej pouczać w kwestii ubioru, za to ledwie się powstrzymałam, żeby nie potraktować tej dziewczyny tak, jak na to zasługuje. Opowiadałam ci przecież o sytuacji z Kubusiem. To właśnie ona o mało nie rozjechała go rowerem. Sama widzisz, że ciężko o sympatię dla takiej osoby. Chociaż nie powiem, przy bliższym spotkaniu zyskuje. Okazała się całkiem rozgarniętą osobką, bo nawet ja trochę się zestresowałam, kiedy ta młodziutka nauczycielka zemdląła. Hippiska uratowała moją torebkę, a wcześniej zadbała o garsonkę. A wiesz, że ja cenię ludzi, którzy dobrze sobie radzą w nieoczekiwanych i trudnych sytuacjach.

Poczekaj, bo mi się tu jakiś bałagan wkrada do opowieści. Jeszcze dwa zdania

o Malwinie, czyli tej z roweru. Miłe było to, że zaprosiła nas do siebie i ugościła. Pominę fakt, że ja chyba spaliłabym się ze wstydu, gdyby u mnie w domu był taki bałagan. Poza tym nie miała na czym posadzić gości, już nie wspomnę o braku filiżanek do herbaty czy kieliszków do wina. Jej to najwyraźniej nie przeszkadzało, więc nie komentowałam. Znasz mnie, więc wiesz, że jestem osobą kulturalną i potrafię się zachować w każdej sytuacji.

Pewnie nie zabawiłabym długo u tej artystki, gdyby nie moje poczucie odpowiedzialności. Nie mogłam wyjść, zanim nie upewniłam się, że z Różą wszystko w porządku. Człowiek, który troszczy się o potrzebujące pomocy zwierzę, zasługuje na opiekę, tak uważam. Rozumiesz, że musiałam zostać. Wreszcie doszła do siebie, ale zbyt wiele nie powiedziała. Strasznie zahukana osóbką. Zastanawiam się, jak ona potrafi radzić sobie w życiu. Dawno nie spotkałam tak nieśmiałej kobiety. Owszem, jest w tym coś ujmującego, ale przydałoby się jej choć trochę pewności siebie. Powinna też wyeksponować nieco swoją kobiecość, bo potencjał ma. Dobry fryzjer, wizażystka, kilka odpowiednich ubrań, jakieś stylowe, przyciągające uwagę dodatki i mogłoby być całkiem niezłe. Bo wycucie ma, zauważyłam to przy rozmowie o sukniach ślubnych i bieliźnie. Jest w niej naturalna elegancja, a to dobra podstawa.

Za to Wiola, trzecia kobieta, z którą połączyła mnie awaria windy, to sztandarowy przykład złego gustu. Pomijam już to, że w dzisiejszych czasach ciężarna może bez problemu wyglądać kobieco i dobrze, bo przecież dawno już odeszło się w modzie od skrywania tego stanu pod workowatymi sukienkami. Najgorsze jest jej zamiłowanie do cekinów, falbanek, koronek i błyszczących materiałów. Samo w sobie nie musi to być złe, ale ona stosuje wszystko naraz. Sugerujesz, że widzę w niej same wady? Mylisz się, moja droga. Zauważyłam, że Wiola ma dobrą figurę i niezłą cerę, która jednak niknie pod grubą warstwą zbyt ciemnego pudru. Niemniej, poza wizerunkiem rzecz jasna, zrobiła na mnie dobre wrażenie. Co prawda jej bezpośredniość na początku mnie raziła, ale okazało się, że po prostu troszkę brak jej ogłady, bo te wszystkie pytania nie wynikają ze wścibstwa, którego, jak wiesz, nie znoszę, ale z życzliwej ciekawości i chęci nawiązania kontaktu.

Opowiadała trochę o sobie i w pewnej chwili nawet poczułam dla niej lekki podziw. Jej mąż, Marcin, cały tydzień pracuje poza domem, a ona jest sama z kilkuletnim synem. Oczywiście nie uważam ciąży za chorobę, ale potrafię zrozumieć, że czasami może być jej ciężko. Widząc ten brzuch, spuchnięte nogi i słysząc o tym, co przechodzi każdego dnia ze starszym synem, gratulowałam w myślach samej sobie. Dobrze, że nie zdecydowałam się na dziecko. To naprawdę nie dla mnie. W zupełności wystarczy mi Kubuś.

W ogóle ten wieczór był dla mnie nowym i niezwykle pouczającym doświadczeniem. Właściwie każda z nich okazała się na swój sposób sympatyczna. Czy mnie to zaskoczyło? Owszem. Nie sądziłam, że będę miała o czym z nimi rozmawiać, ale znalazłyśmy sporo wspólnych tematów. A kiedy teraz się nad tym zastanawiam,

uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna byłam na spotkaniu, gdzie ani słowem nie wspomniano o interesach, biznesie, problemach przedsiębiorców i wysokich podatkach. Żadna z tych kobiet nie ma firmy i pojęcia o prowadzeniu jej. Czułam się, jakbym weszła do całkiem innego świata.

W każdym razie mogę powiedzieć, że było miło. Przeszła mi złość na Malwinę, przestałam zgrzytać zębami na widok stroju Wioli, a ciągle rumieńce Róży zaczęły mnie w końcu jakby rozczulać, zamiast irytować. A że w ogólnym rozrachunku sąsiadki okazały się sympatyczne i wesołe, to nawet mnie udzielił się dobry nastrój. Czy wiesz, że dawno się tak nie uśmieiałam? Sama nie mam pojęcia, jak to się stało. W każdym razie czasami plan B okazuje się całkiem niezłym rozwiązaniem.



Tak, mam dużo obowiązków i naprawdę nie starcza mi czasu na leniuchowanie. Zresztą nie lubię leżeć beczynnie. Uważam, że samo nic się nie robi, a żeby coś mieć, trzeba się postarać i walczyć o swoje. A jeżeli komuś się wydaje, że mnie pieniądze spadają z nieba, to proszę bardzo, chętnie się z nim zamienię na kilka dni, niech zobaczy jak to łatwo. Nie, wcale się nie denerwuję, już się przyzwyczaiłam, że ludziom łatwiej krytykować i zazdrościć niż samemu wziąć się do pracy.

Nie da się rozwijać firmy tylko przez osiem godzin dziennie. Jestem w pracy właściwie cały czas. Często prawie mieszkam w samochodzie, bo przecież muszę zajrzeć do każdego sklepu, sprawdzić i skontrolować personel. Telefon już dawno stał się przedłużeniem mojej ręki i dzwoni prawie bez przerwy. Wyłączyć? Żartujesz! To nieprofesjonalne. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Janusz też czasami ma do mnie pretensje, że za dużo pracuję. Szczególnie wtedy, gdy wieczorem leżę w łóżku i odpisuję na e-maile albo przeglądam faktury. Wiem, że wolałby robić coś innego i nie powiem, że ja nie, ale są pewne priorytety. Najpierw obowiązki, a potem dopiero przyjemności. On pracuje w innej branży, zresztą ma ludzi, którym może powierzyć część obowiązków. Ja na razie nie znalazłam nikogo odpowiedniego, więc muszę kontrolować wszystko sama.

Czas na odpoczynek? Tak, wiem, że to ważne. Mam świadomość, że do sprostanania obowiązkowi muszę mieć siłę, więc tak układam sobie wszystko, żeby znaleźć wolną chwilę i zadbać o siebie. Doskonale zdaję sobie sprawę, że muszę dobrze wyglądać i przecież wiesz, że kosmetyczka i fryzjer to stałe punkty w moim terminarzu. A odpoczywać nie trzeba w pozycji horyzontalnej. Nie raz ci mówiłam, że aktywny wypoczynek jest najlepszy, tylko ciebie trudno namówić. A popatrz na mnie. Efekty mam niezłe, co? Figury to może mi pozazdrościć niejedna nastolatka, nie zaprzeczysz. Ale to samo nie przychodzi. Dokładnie tak, jak pieniądze. Na sukces trzeba zapracować.

Tak właśnie robię. Biegam i staram się, żeby treningi były regularne. Odkąd zamieszkałam na Kwiatowej i mam pod nosem Doliny, jest mi dużo łatwiej. A jogging nie przeszkadza mi w trzymaniu ręki na pulsie spraw zawodowych. Odkąd wymyślono słuchawki do telefonu, to naprawdę żaden problem, moja droga. Biegnę i rozmawiam.

Zawsze mówiłam, że najważniejsza jest dobra organizacja i planowanie. Życie z dnia na dzień do niczego dobrego nie prowadzi, a już na pewno nie pozwoli na osiągnięcie sukcesu. Mnie nikt niczego nie dał, musiałam sama zastanowić się, czego chcę, a potem, też bez niczyjej pomocy, to zdobyć. Do tego trzeba silnej woli, zdecydowania, a przede wszystkim wykorzystywać każdą minutę. Nie bez powodu mówią: czas to pieniądz. Ja się z tym zgadzam.

Tak sądzisz? Że jestem materialistką? Nieprawda. Moja droga, kupuję po prostu dobre rzeczy, a one mają swoją cenę. Ale nigdy nie przepłacam. Dobra jakość daje gwarancję dłuższej użyteczności. I owszem, czasami pozwalam sobie na pewne ekstrawagancje – designerskie dodatki albo bieliznę, którą uwielbiam. Robię to, bo uważam, że należy mi się nagroda. Sama widzisz, że pieniądze nie są dla mnie celem, ale środkiem do takiego życia, jakie chcę mieć. Jak się doświadczyło w życiu biedy, to się takie rzeczy rozumie. Przynajmniej ja zrozumiałam. Dlatego robię wszystko, żeby nie martwić się o przyszłość.

Czasami zazdroszczę ludziom ich beztroski. Na przykład kilka dni temu miałam godzinę między spotkaniami i postanowiłam wykorzystać ją na bieganie. Taki szybki trening, nadrobienie poranka, bo Kubuś marudził na spacerze i dłużej nam zeszło. Martwiłam się nawet, że może boli go brzusek, ale na szczęście okazało się, że wszystko w porządku. Mam doskonałą weterynarz, mogę do niej dzwonić o każdej porze, mówiłam ci kiedyś.

Ale nie o tym chciałam ci powiedzieć. Biegłam sobie w dość spokojnym tempie, a że pogoda była wspaniała, zastanawiałam się nad przystankiem na siłowni. Korzystasz? Polecam. Kiedy pierwsze pojawiły się w Kielcach, byłam przekonana, że ich żywot będzie krótki i zaraz zajmą się nimi odpowiednio okoliczni wandale. Tymczasem stoją sobie spokojnie już drugi rok. Korzystam więc, kiedy akurat mam ochotę na przerwę w bieganiu.

Podeszłam do steppera i wtedy właśnie zauważyłam Malwinę i Różę. Stały w cieniu drzew i rozmawiały. Wyglądało na to, że nigdzie im się nie spieszy. Po prostu koleżanki, które spotkały się przypadkiem i ucięły sobie pogawędkę. Przyszło mi do głowy, że to musi być miłe, ta beztroska właśnie. Szybko przeanalizowałam sytuację i stwierdziłam, że mam jeszcze dwadzieścia minut i w sumie nic się nie stanie, jeżeli zrezygnuję z drugiej części treningu. I tak przecież był nieplanowany, więc mogłam pozwolić sobie na drobne odstępstwo od planu. Widzisz więc, że i mnie stać czasami na niewielkie szaleństwo.

Jednak ledwie zrobiłam kilka kroków w ich stronę – zadzwonił telefon.

– Słucham?

– Pani Liliano, mamy problem z dostawą. – Joasia, ekspedientka w jednym z moich sklepów, raczej dobrze sobie radziła, więc jej telefon od razu lekko podniósł mi ciśnienie. – Mówią, że poprzednia faktura nie jest zapłacona.

– Oczywiście że jest. – Byłam pewna, bo nigdy nie zdarzyło mi się nie uregulować płatności w terminie.

– Mówię im, ale oni swoje. I nie chcą przywieźć towaru. To co ja mam zrobić? Zadzwoń pani do nich?

– Tak. – Nigdy nie wdaję się w zbędne dyskusje z personelem. – Załatwię to w ciągu dwudziestu minut. Do widzenia.

Już w trakcie rozmowy zmieniłam kierunek. Musiałam wrócić do domu i wysłać jak najszybciej potwierdzenie przelewu. A zaraz potem porozmawiać odpowiednio z dostawcą. Mam świadomość, że jestem dobrym klientem i oczekuję, że o takiego będą dbać. Poza tym zawsze płacę na czas i zamierzałam im o tym przypomnieć. Oraz o tym, żeby zrobili porządek w księgowości, bo inaczej będę zmuszona zmienić dostawcę, co w dzisiejszych czasach nie jest specjalnym problemem.

Rozumiesz teraz, że muszę być zawsze dostępna? Tego wymaga biznes. I nie mogę sobie pozwolić na miłe pogawędki na parkowej alejce we wrześniowe popołudnie, bo w tym czasie mogę stracić kilku klientów. Tak to wygląda, moja droga.

Wbiegając pod górkę, odwróciłam się, żeby zobaczyć, co robią moje sąsiadki. Róża szła wolnym krokiem w stronę domu, a Malwiny już nie było. Może jednak artyści też mają jakieś obowiązki?

Przy okazji przypomniało mi się, że jeszcze nie odwdzięczyłam się Róży za uratowanie Kubusia. Niby zaprosiłam ją na kawę, ale nie przyszła. Muszę szybko coś wymyślić, bo nie lubię mieć zobowiązań. Uważasz, że Róża niczego nie oczekuje? Że nie zrobiła nic wielkiego? Pozwolę sobie nie zgodzić się z tobą. Gdyby nie ona, Kubuś mógłby zaginąć albo zrobić sobie krzywdę. A ja nie wyobrażam sobie życia bez tego kochanego słodziaka.



Od kilku dni jestem tak poirytowana, że nie mogę sobie miejsca znaleźć. Interesy? Nie, skąd, w firmie wszystko w porządku. Wiadomo, że zawsze są jakieś drobne problemy, ale nad tym nauczyłam się już panować. Lata prowadzenia własnego biznesu dają sporą odporność i uczą szybkiej reakcji na nieprzewidziane wydarzenia.

Sprawa dotyczy Janusza. Czy się pokłóciliśmy? To za dużo powiedziane. Jesteśmy przecież dorosłymi ludźmi i potrafimy załatwiać pewne kwestie bez niepotrzebnych emocji. Zwykle udaje nam się osiągnąć porozumienie. Dyskutujemy, potrafimy pójść na kompromis i ustalamy wszystko na spokojnie.

A dwa dni temu po raz pierwszy miałam wrażenie, że nam się nie udało. Naprawdę

trudno go do czegoś przekonać, jeżeli tylko w grę wchodzi cokolwiek, co związane jest z jego dziećmi. Właśnie tym razem poszło o córkę.

– Czy ty znasz właściciela tego salonu, w którym kupowałaś swoją toyotę? – zapytał przy kolacji.

– Owszem, znam. Właściwie lepiej jego żonę, ale jego też miałam okazję poznać. Chyba w ubiegłym roku, podczas balu charytatywnego. A później spotkaliśmy się właśnie, kiedy kupowałam samochód. Muszę przyznać, że był bardzo elastyczny i nie mogę narzekać – dał mi świetne warunki.

– Właśnie o to chciałem zapytać. – Janusz dolał wina do kieliszków. – Bo wiadomo, że znajomi mogą liczyć na specjalne zniżki.

– Nie wspominałeś, że zamierzasz zmienić samochód. – Zdziwiłam się, bo jego auto miało niespełna trzy lata i wymiana na nowe byłaby, moim zdaniem, zupełnie zbędnym wydatkiem.

– Nie zamierzam. – Pokręcił przecząco głową. – Pyszne risotto. – Próbował uciąć temat, ale ja nie zamierzałam mu na to pozwolić.

– Chcesz mi powiedzieć, że sprawdzasz, czy nie przepłaciłam? Od kiedy to kontrolujemy nawzajem swoje finanse?

– Czy ja coś kontroluję?

– A nie? Jak mam rozumieć to wypytywanie o zniżki? – Czekałam na odpowiedź. Naprawdę zaczęłam przypuszczać, że przekroczył granice niepisanej umowy między nami.

Moje doświadczenia życiowe nauczyły mnie jednego – nie można ufać mężczyznom. Już raz zapłaciłam za brak rozsądku w tej kwestii i wyposażyłam mojego byłego męża na nową drogę życia. Drugi raz nie popełnię takiego błędu. Dlatego mam dwie zasady: nigdy już nie formalizować żadnego związku i oddzielać finanse od spraw osobistych. To, na co ciężko pracuję, jest moje i nikt nie będzie się wtrącał, w jak sposób i na co wydaję zarobione pieniądze.

Oczywiście Janusz o tym wie. Powiedziałam mu od razu, bo jestem zdania, że jeśli mamy być w związku, to powinniśmy znać zasady partnera i istotne dla niego sprawy. Deklarował, że jest tego samego zdania, ale już raz okazało się co innego. Dopiero po pół roku raczył mnie poinformować, że jest rozwodnikiem i ma dwoje dzieci – córkę i syna. Dzieci co prawda mieszkają z matką gdzieś pod Łodzią, ale Janusz jeździ do nich co drugi weekend.

Ależ nie, nie mam pretensji o kontakty z dziećmi. Każdy ma jakąś przeszłość. Jestem dojrzałą osobą i rozumiem to. Wychodzę z założenia, że nikogo na siłę nie ma sensu przy sobie zatrzymywać, więc nawet specjalnie mnie nie denerwuje, że podczas wyjazdów nocuje w domu byłej żony. Przecież gdyby mieli być ze sobą, to byliby do tej pory, prawda?

Jednak zawiódł mnie, bo nie od razu zdobył się na szczerść. Ukrywanie tego wszystkiego było dowodem braku zaufania z jego strony, ale też zachwiało nieco

moim. Cóż, postanowiłam uznać to potknięcie za niebyłe, bo w końcu każdy czasami popełnia błędy. Najważniejsze, żeby wyciągnął z nich wnioski. Wszystko wskazywało na to, że Janusz tak właśnie zrobił. A teraz te jego pytania sprawiły, że zaczęłam mieć wątpliwości.

– Wyjaśnisz mi to jakoś? – Spokojnie sięgnęłam po serwetkę i wytarłam usta.

– Po prostu zamierzam kupić Julii samochód. Zrobiła kurs, zdała egzamin, więc skoro ma prawo jazdy, powinna mieć czym jeździć. Marta nie da jej auta, bo potrzebuje do pracy, więc...

– Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to nie uważam tego za dobry pomysł. Nowa toyota dla osiemnastolatki? Czy to nie przesada?

Zauważyłam, że Janusz się spiął. Nie zdziwiło mnie to specjalnie, bo zawsze dość nerwowo reagował na jakiegokolwiek uwagi dotyczące jego postępowania wobec dzieci.

– Czyżbyś teraz ty próbowała mówić mi, co mam robić z pieniędzmi?

– Absolutnie nie. – Przyjęłam jego atak bez emocji. – Miałam na myśli raczej to, że moim zdaniem nowy samochód dla osoby, która dopiero co zrobiła prawo jazdy, nie jest optymalnym rozwiązaniem. Zanim stanie się bardziej doświadczonym kierowcą, trzeba liczyć się ze stłuczkami czy zarysowaniami. A to wiąże się z kosztami i znacznie obniża wartość samochodu.

– Stać mnie na to, bez obaw. – Janusz odłożył sztućce, wstał od stołu i podszedł do okna.

– Nie wątpię. – Wzruszyłam ramionami, chociaż nie mógł tego widzieć. – Ale nikt ci tych pieniędzy nie podarował. Pracujesz na nie ciężko każdego dnia. Potrafisz to, bo nie dostawałeś od razu tego, co chciałeś. Czyli na przykład nowego samochodu. – Doskonale pamiętałam, jak opowiadał o tym, że musiał sam zarobić na pierwsze auto. Pojechał na zbiory ogórków za granicę, żeby kupić kilkunastoletniego golfa. Uważam, że właśnie takie sytuacje kształtują człowieka, uczą go wytrwałości i hartują do mierzenia się z życiem.

– Wybacz, ale mam inne zdanie na ten temat. – Janusz był uparty jak osioł, kiedy chodziło o córkę. Julia – oczko w głowie tatusia. Nawet to rozumiałam, ale tego rodzaju decyzje mogły sprawić, że wyrosnie na rozpieszczoną panienkę o roszczeniowej postawie. Zdarzały mi się takie jako kandydatki do pracy i wiedziałam, że do niczego się nie nadają i trudno z nimi wytrzymać.

– Nie chcę, żeby moim dzieciom było tak ciężko, jak mnie. Jeśli mogę im pomóc, to będę to robił. Gdybyś... – przerwał, ale wiedziałam, co miał na myśli.

Ależ skąd, nie było mi przykro. Nie mam dzieci, bo sama tak zdecydowałam. A gdybym miała, to z pewnością przygotowałabym je do prawdziwego życia. Trzymanie dziecka pod kloszem do niczego dobrego nie prowadzi. W końcu i tak rzeczywistość je dopadnie i lepiej, żeby były przygotowane niż miały przeżyć szok.

– Zrobisz, co zechcesz – zakończyłam dyskusję i zaczęłam zbierać talerze. – Chodź, Kubusiu, dostaniesz swoją kolację.

Janusz stał przy oknie przez dłuższą chwilę. Miałam nadzieję, że przemyśli jeszcze raz swój pomysł. Ale chyba nie przemyślał, bo wczoraj przyniósł materiały z salonu samochodowego. Widziałam logo, kiedy wyjmował dokumenty z teczki. Nie skomentowałam tego.



Czasami się zastanawiam, czy ludzie naprawdę nie potrafią zapanować nad swoimi emocjami? Nie rozumiem, jak można się w ten sposób zachowywać. Uważam, że różne rzeczy się w życiu zdarzają, ale w każdej sytuacji warto pokazać klasę. A jej miarą jest między innymi zachowanie spokoju niezależnie od okoliczności. Czuję dumę, że opanowałam tę sztukę, szczególnie kiedy widzę u innych żenujące zachowania. Każdy przecież ma jakieś problemy, ale żeby zaraz epatować swoimi emocjami na prawo i lewo, to lekka przesada.

Właśnie wczoraj miałam taką sytuację. Szłam do garażu podziemnego, w myślach weryfikowałam sprawy, którymi tego dnia jeszcze powinnam się zająć. W drzwiach prawie zderzyłam się z Malwiną. Spojrzała na mnie, ale miałam wrażenie, że w ogóle nie ma kontaktu z realnym światem. Nie wiem, czy w pierwszej chwili w ogóle mnie nie poznała, pewnie gdybym poszła dalej, to nie pamiętałaby, że się widziałyśmy.

Zazwyczaj nie wtrącam się do życia innych ludzi, bo sama nie lubię, kiedy ktoś za bardzo interesuje się moim. Chciałam ją wyminąć, ale stała jak słup soli i tarasowała przejście.

– Coś się stało? – zapytałam, bo miałam nadzieję, że mój głos wytrąci ją z tego dziwnego stanu i ruszy się wreszcie. Nie miałam czasu na bezsensowne stanie w drzwiach.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała, ale wyczułam drżenie głosu. Wyglądała, jakby miała się rozplakać. Miałam nadzieję, że tak się nie stanie, bo naprawdę nie lubię pocieszania i wysłuchiwania żalów. Zrobiłam krok naprzód, dając do zrozumienia, że spieszy mi się i rozmowę uważam za skończoną.

Tymczasem ona stała twardo. Popatrzyła na mnie i zmarszczyła brwi. A potem, ni z tego, ni z owego, zaczęła na mnie krzyczeć:

– Dobra, jak pytasz, to ci powiem. Właśnie nie wszystko w porządku. I stało się. Zachowałam kamienną twarz, ale to najwyraźniej jeszcze bardziej ją rozżłościło.

– Ojciec mi umarł, wczoraj był pogrzeb, jestem z tym wszystkim sama i nie wiem, jak to ogarnę. Czuję się beznadziejnie, a nawet płakać nie mogę. To się stało. Ani mniej, ani więcej. – Wykrzyczała to wszystko, patrząc mi w oczy z taką nienawiścią, jakby to była moja wina.

A potem nagle zamilkła. Wyminęła mnie dwoma zamaszystymi krokami, zafurkotała jej falbaniasta spódnica i Malwina poszła.

W pierwszej chwili miałam ochotę zignorować całe zajście, w końcu mam swoje sprawy i szkoda mi nerwów na przejmowanie się niestabilnymi emocjonalnie osobami. Wsiadłam do samochodu i chciałam po drodze przemyśleć wybór lokalu na kolejny sklep, ale ciągle wracał do mnie obraz sąsiadki. I te jej słowa o samotności i o radzeniu sobie bez pomocy.

Starłam się zapomnieć, ale nie mogłam. Co by nie mówić, to widać było, że przeżywa śmierć ojca. Ale czyżby nie miała nikogo innego? Wiem doskonale, jak trudno w pierwszej chwili przyzwyczać się do radzenia sobie bez niczyjej pomocy. Myślałam, że już o tym nie pamiętam, ale wyobraź sobie, że słowa Malwiny coś we mnie poruszyły.

Nie miałam zamiaru oddawać się wspomnieniom. Po pierwsze: nie były miłe, a po drugie: czułam, że do niczego dobrego by to nie prowadziło. A że z doświadczenia wiem, że najlepszym lekarstwem na spadek nastroju jest działanie – postanowiłam coś zrobić.

Po raz kolejny okazało się, że moja zapobiegliwość do czegoś jednak może się przydać. Gdyby nie to, że po aferze z windą zapisałam numery telefonów wszystkich trzech sąsiadek, to teraz musiałabym chyba biegać po całym bloku i ich szukać. A tak, proszę bardzo, kilka minut i były namierzone. I co? Może uważasz, że nie warto być dobrze zorganizowanym?

Pewnie zauważyłaś, że nie lubię za dużo mówić. Wolę robić i widzieć efekty. Ustaliłam więc plan i o dwudziestej wszystkie trzy spotkałyśmy się przed drzwiami Malwiny.

Na początku nie otwierała. Udawała, że jej nie ma, ale nie ze mną te numery. Widziałam, jak wyglądała i nie sądziłam, żeby była w stanie gdziekolwiek iść. Poza tym jestem uparta i niełatwo mnie zniechęcić. A te cechy przydają się nie tylko w biznesie, ale przede wszystkim w życiu. Gdyby nie one, pewnie wiodłoby mi się teraz dużo gorzej.

Malwina nie wyglądała na twardą i upartą, więc miałam świadomość, że rzeczywiście może być jej niełatwo. A ludzie słabi mają różne pomysły, wiem coś o tym. Czułam, że nie powinnam teraz już zostawić tej sprawy. Zresztą ja zawsze kończę to, co zaczynam.

Wreszcie nas wpuściła. Powiem ci, że bałagan był jeszcze większy niż przy poprzedniej wizycie. A ona zajmowała się cięciem sukienki na drobne kawałki. Domyśliłam się, że to strój z pogrzebu, bo była czarna. W sumie lepsze to niż cięcie siebie, ale i tak wyszło, że naprawdę siadła psychicznie. Dobrze, że przyszłyśmy, bo nie wiadomo, co jeszcze mogłaby wymyślić.

Muszę przyznać, że załatwiłyśmy wszystko jak wzorowa ekipa ratunkowa. Wiola zmusiła Malwinę do zjedzenia czegoś konkretnego, Róża doskonale poradziła sobie ze sprzątnięciem. Patrzyłam na ich działania i byłam z siebie dumna. Jednak dobra organizacja to podstawa.

Moje ptysie były doskonałym zakończeniem wieczoru. Nie, nie pieczone przeze mnie, bez przesady! Kupione, ale w sprawdzonej cukierni. Miałam poczucie dobrze spełnionego obowiązku i doskonały humor. No i muszę przyznać, że po raz kolejny miło spędziłam z nimi czas. Nawet Malwinie nastrój się poprawił.

Pocieszanie oczywiście było. Ja nie jestem w tym najlepsza, ale też dodałam kilka słów od siebie. Poradziłam to, co sama powinnam była kiedyś usłyszeć, ale nie było nikogo, kto mógłby mi to powiedzieć. Wierzę, że da jej to do myślenia i jakoś pomoże.

Takie kobiece plotki i rozmowy o niczym mają jednak w sobie jakiś urok. Nie potrafię do końca zrozumieć, na czym to polega, ale po powrocie do domu czułam się lepiej niż po relaksacyjnym masażu pani Irenki, która dotychczas jako jedyna w czarodziejski sposób potrafiła zmniejszyć moje bóle ramion i karku.



Pewnie zauważyłaś, że niewiele rzeczy może mnie wyprowadzić z równowagi. To prawda, ale sporo czasu minęło, zanim udało mi się to osiągnąć. Można powiedzieć – lata praktyki i ćwiczeń. Chyba tylko dzięki temu telefon od Klaudii nie przyprawił mnie o zawał serca.

Kim jest Klaudia? To moja siostra stryjeczna. Nasi ojcowie byli braćmi. Stryj Hubert zmarł dość młodo, nie znam dokładnie przyczyny, bo byłam wtedy dzieckiem, ale podejrzewam, że musiał to być nowotwór. Pamiętam go z dzieciństwa, był wesoły i miły dla swojej żony. Często u nas bywali, a razem z nimi Klaudia, ich córka. Mimo to nie trzymałyśmy się zbyt blisko. Dziewczęca przyjaźń wymaga zdradzania wszystkich sekretów, a ja nie byłam skora do zwierzeń, więc Klaudia znalazła sobie inne koleżanki.

Nie miałyśmy kontaktu od wielu lat, więc tym bardziej byłam zaskoczona jej telefonem. Oczywiście nie dałam tego po sobie poznać.

– Miło cię słyszeć – powiedziała.

– W jakiej sprawie dzwonisz? – Wolałam od razu przejść do rzeczy. Moja droga, ja nie mam złudzeń. Jeżeli ktoś nie interesuje się twoim losem przez wiele lat, a potem nagle odzywa się i mówi, że mu miło, to na pewno czegoś chce.

– Dawno się nie widziałyśmy.

– To prawda. – Nie zamierzałam ułatwiać jej zadania.

– Pomyślałam, że pora to nadrobić. Odszukałam twój numer. Dobrze, że wróciłaś do panińskiego nazwiska, bo było łatwiej – trajkotała i śmiała się nienaturalnie głośno, co tylko potwierdzało moje przypuszczenia. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze będzie rozciągać tę dymną zasłonę, zanim powie, o co tak naprawdę chodzi.

– Twój tata na pewno się cieszy, bo oni obaj zawsze byli bardzo przywiązani do nazwiska. Pewnie żalowali, że nie mają synów, którzy przedłużą ród. No to teraz

przynajmniej twój jest zadowolony.

– Nie sędzę – skwitowałam krótko, bo akurat zdanie mojego ojca zupełnie mnie nie interesowało. – Co u ciebie? – zapytałam, bo nie miałam czasu na dłuższe gadanie, a czułam, że zanim Klaudia się zdecyduje, może powiedzieć jeszcze więcej rzeczy, które mnie zirytują.

– A wiesz, stara bieda. Jakoś wiążemy koniec z końcem, ale szafu nie ma. Dzieci rosną, to i potrzeby coraz większe. Wiesz, jak to jest.

– Nie, nie wiem.

– Słuchaj, tak przez telefon to wszystkiego nie obgadamy. Powinnyśmy nadrobić te lata. Dlatego pomyślałam, że mogłabym cię odwiedzić. Przyjechałabym z Agnieszką, moją najstarszą, pogadałybyśmy na spokojnie przy jakimś winku, co? Dobry pomysł?

Wcale tak nie uważałam.

– Klaudio, ja jestem bardzo zajęta i właściwie nie mam czasu na życie towarzyskie...

– Tym bardziej przyda ci się chwila oddechu – przerwała mi i zrozumiałam, że się jej nie pozbędę. Zaplanowała przyjazd i nic tego nie zmieni.

– Kiedy przyjedziecie? – zapytałam, bo co innego mogłam zrobić.

– Co powiesz na piątek?

– Który? – Sięgnęłam po kalendarz, ale nie zdążyłam nawet go otworzyć.

– Najbliższy. Już się nie mogę doczekać! Nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłam.

Przyslij mi adres SMS-em, dobrze? Buziaczki, kochana!

I w ten sposób miałam zorganizowany rodzinny weekend. Nie ukrywam, że byłam zła. Dałam się wmanewrować w sytuację, która mi nie odpowiadała. Gdyby dzwonił ktoś obcy, to zbyłabym go bez problemu i skrupułów, nawet za cenę ochłodzenia kontaktów. Ale Klaudia to w końcu kuzynka, więc się zawahałam. I właśnie o to wahanie miałam do siebie pretensje. Bo już dawno wiedziałam, że z rodziną dobrze wychodzi się najwyżej na zdjęciach. Tak się mówi, prawda? Całkowicie się z tym zgadzam. A ty nie?

Gdybym wtedy wiedziała, co będzie dalej, to z pewnością nie miałabym żadnych oporów i za nic nie dopuściłabym do tego przyjazdu. Tylko że mądry Polak po szkodzie. Teraz już za późno.

Klaudia i jej córka pojawiły się w piątek około siedemnastej. Janusza nie było, poszedł na weekend do swojego starego mieszkania. Nie miałam zamiaru zdradzać, że ze mną mieszka, bo wiedziałam, że kuzynka wróci do domu i będzie o wszystkim opowiadać. Nie dało się tego uniknąć, trudno, ale im mniej będzie wiedziała, tym lepiej.

Po pierwszej wymianie grzecznościowych formułek mogłyśmy usiąść do obiadu. Zamówiłam wszystko w Monte Carlo i przywiozłam gotowe, bo nie miałam ochoty na spędzanie połowy dnia przy garach. Oczywiście o tym też nie zamierzałam informować Klaudivi.

Agneszka okazała się kopia matki z lat młodości. Wyglądała zupełnie jak Klaudia

w czasach, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Wszystko w niej – każdy ruch, spojrzenie, sposób w jaki odgarniała włosy z czoła – przypominało mi tamte dni. Jeśli myślisz, że mnie to ucieszyło, to się mylisz. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść.

Już sam fakt, że musiałam z nimi rozmawiać przez cały wieczór, był męczący. Szczęście w nieszczęściu było takie, że wystarczyło zadać kilka pytań, a Klaudia chętnie opowiadała. Znasz pewnie takich ludzi – najbardziej lubią mówić o sobie, a szczególnie o swoich problemach. Potrzebują tylko słuchacza, który od czasu do czasu potakuje.

Kuzynka perorowała bezustannie i chętnie dolewała sobie wina. Za to jej córka nie powiedziała ani słowa. Siedziała naburmuszona i sprawiała wrażenie znudzonej, jakby została zmuszona do przyjazdu i robiła łaskę, że w ogóle zaszczyca nas swoją obecnością. Gdyby była moim dzieckiem, pogadałabym z nią na ten temat, ale najwyraźniej Klaudia uważała to za normalne, bo zupełnie nie zwracała uwagi na mało grzeczne zachowanie córki.

W końcu dziewczyna szturchnęła matkę i mruknęła:

– Jestem zmęczona.

– Lilianko, kochana, gdzie mała może się położyć?

Nie znosiłam, gdy ktoś zdrabniał moje imię. Lilianka może być małą dziewczynką albo jakąś słodką idiotką. Ja byłam Lilianą, ale nie chciało mi się roztrząsać tego z kuzynką. Miałam nadzieję, że następnego dnia wyjadą i znowu będę miała spokój na długie lata, a może, jeśli szczęście mi dopisze, nawet na zawsze.

Niestety tym razem los nie był dla mnie łaskawy. Kiedy nastolatka znikła w pokoju gościnnym, Klaudia przysunęła się bliżej mnie i powiedziała:

– Dobrze, że wreszcie poszła. Czekałam na to, bo muszę z tobą pogadać w cztery oczy.

Już wiedziałam, że coś się kroi, ale nawet przez myśl mi nie przeszło to, co miałam za chwilę usłyszeć.

– Bo widzisz, Lilianko, mam do ciebie ogromną prośbę.

– Chcesz pożyczyć pieniądze? Ile? – zapytałam wprost. I nawet byłam szczęśliwa, że wreszcie poznałam prawdziwy powód ich wizyty. Którego zresztą się spodziewałam.

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko Klaudia. – Chodzi o Agnieszkę.

Spojrzałam pytająco.

– Lilianko, my mamy z nią ogromny problem. Z ręką na sercu ci powiem, że nigdy nie było z nią łatwo. Wyjechałaś, to nie wiesz, ale od małego dziwnie się zachowywała. Takie dziecko inne niż wszystkie – skryta, małomówna, ale nerwowa jak nie wiadomo co. Nachodziliśmy się po psychologach, poradniach i nawet przez jakiś czas było lepiej. Dopóki nie poszła do średniej szkoły.

Dolałam sobie wina i zastanawiałam się, w jaki sposób może mnie to dotyczyć. Nic sensownego nie przychodziło mi do głowy, więc powiedziałam:

– Nie bardzo wiem, jak mogłabym wam pomóc.

– Wiedziałam, że cię to poruszy. – Ucieszyła się Klaudia. – Chociaż Jurek mówił... zresztą nieważne. Byłam pewna, że rodzina to rodzina i nawet lata rozłąki tego nie zmieniają. W końcu razem dorastałyśmy, pamiętasz?

Wolałabym zapomnieć, ale o tym nie mogła wiedzieć. Moje milczenie uznała za potwierdzenie i wyraźnie się rozluźniła.

– Chodzi o to, że coś ją znowu opętało. Dostała się do liceum, ale zamiast się uczyć, zaczęła wychodzić z jakimiś podejrzanymi ludźmi. Wiesz, alkohol, imprezy, o narkotykach nie wiem, ale mam nadzieję, że nie. W każdym razie nie książki były jej w głowie. Na półroczcie miała sześć jedynek. Jurek się wściekł, w domu awantura za awanturą. Horror, mówię ci!

– Do czego zmierzasz? – przerwałam jej, bo nadal nie wiedziałam, o co chodzi.

– OK, to powiem od razu. Agnieszka nie zdała do drugiej klasy, ale rozumu nie nabrała. Nadal jest to samo. Wychowawczynie powiedziały, że trzeba ją odciąć od tego towarzystwa, zanim się całkiem zmarnuje. Wymyśliłam szkołę w innym mieście, ale internat nie wchodzi w grę, bo przecież jej nie upilnują. Nikogo innego nie mamy, prócz ciebie, bo cała Jurka rodzina jest na miejscu. Dlatego przyjechałam. Jesteś dla nas ostatnią deską ratunku.

Mało mnie wzruszały łzy w jej oczach.

– Czy ja dobrze zrozumiałam? Sugerujesz, że Agnieszka miałaby u mnie zamieszkać? – Miałam nadzieję, że zaprzeczy, ale pokiwała głową.

– Masz silny charakter, na pewno udałoby ci się przemówić jej do rozumu. Może stałabyś się dla niej wzorem, w końcu jesteś taka... no, dobrze sobie radzisz...

– Nie zgadzam się. – Rodzina, nie rodzina, ale nie pozwolę sobie wcisnąć zbuntowanej nastolatki, którą tego dnia widziałam po raz pierwszy w życiu.

– Lilianko, proszę...

– Nie ma mowy.

Popatrzyła na mnie, ale musiała wyczytać z moich oczu, że nie zmienię zdania, bo bez słowa poszła do pokoju, gdzie spała już jej córka.

Położyłam się z poczuciem zwycięstwa. Byłam dumna, że nie poddałam się presji i obroniłam swoje życie przed kolejną ingerencją rodziny. Jak niewiele wspólnego miało moje wrażenie z rzeczywistością, zrozumiałam dopiero, kiedy wyszłam rano z sypialni i zobaczyłam Agnieszkę jedzącą śniadanie w kuchni.

– Dzień dobry. Mama jeszcze śpi? – zapytałam.

– Mama przecież pojechała. Miała pociąg po piątej – odpowiedziała z ustami pełnymi kanapki.

Dzwoniłam dziesiątki razy, ale telefon Klaudii był wyłączony.

– Pakuj się – wydałam krótkie polecenie. – Odwiozę cię do domu.

– I tak ucieknę.

– Co?

– To, co słyszałaś – burknęła.

Usiadłam naprzeciwko niej.

– Dobra, pogadajmy szczerze. Dlaczego chcesz u mnie być?

– Nie chcę.

– No to cię odwiozę.

– Ja tam nie wrócę.

– Dlaczego?

Cisza. Zapytałam kilka razy, ale bez skutku. Patrzyłam na jej drobne ramiona, na zaciętą minę, na to spojrzenie, w którym było coś takiego... taka sama determinacja, jaką widziałam w lustrze kilkadziesiąt lat temu.

– Dobra, zostaniesz. Na próbę. Tylko pamiętaj: będziesz robić to, co mówię. Jedna wpadka i wracasz do rodziców. Jasne?

Nie odpowiedziała. Nie interesowało mnie to. Dałam jej szansę, ale jeśli z niej nie skorzysta, bez żalu ją odstawię do Klaudii. I tak zrobiłam więcej, niż powinnam.

– Idę na spacer z Kubusiem, a ty posprzątaj po śniadaniu.



Już po południu zrozumiałam, że Klaudia bardzo szczegółowo obmyśliła swój plan podrzucenia mi córki. Musiała się trochę napracować i chociaż nadal uważam, że to było zagranie bardzo nie fair, muszę przyznać, że przegrałam, bo nie doceniłam przeciwnika. Dla mnie Klaudia była nadal małą dziewczynką, która z przejęciem opowiada o szkolnych problemach koleżanek i uważa to za najpoważniejsze sprawy na świecie. Wtedy uznałam ją za głupią i naiwną, bo sama poznałam już życie z innej strony. Nadal postrzegałam ją przez pryzmat tamtych wspomnień i nie spodziewałam się, że stać ją na zdecydowane działania, a nawet na uknuć podstęp. Trudno, musiałam uznać swoją porażkę.

Najpierw po raz kolejny rozmówiłam się z Agnieszką.

– Musimy ustalić jasne zasady. Przede wszystkim powinnaś wiedzieć, że nie mieszkam sama. Jest w moim życiu mężczyzna i jutro go poznasz.

– Mama nic nie mówiła. – Dziewczyna wyglądała na obrażoną. Nie zamierzałam tolerować jej fochów.

– Bo nie wiedziała. Zresztą mam swoje życie i chyba nie sądzisz, że twój przyjazd to zmieni. Oczekuję, że będziesz dla niego miła. – Chciała coś powiedzieć, ale nie dopuściłam do tego. – Bez dyskusji.

Poinformowałam ją, że będzie mieszkać w pokoju gościnnym, dałam jasne wytyczne dotyczące moich oczekiwań. Nakreśliłam w przybliżeniu, jak wygląda nasz plan dnia i poprosiłam, żeby zastanowiła się nad swoimi obowiązkami.

– Oczywiście to, że utrzymujesz porządek w pokoju i sprzątasz po sobie, uznaję za naturalne. Raz w tygodniu przychodzi pani Tereska i robi grubsze sprzątnięcie, ale na

bieżąc każdy pilnuje sam. Nie lubię bałaganu, ani w domu, ani w życiu. Resztę ustalimy, kiedy załatwimy ci szkołę i będziesz miała plan zajęć.

– Szkołę już mama załatwiła. Nie wiesz? – powiedziała to z nutą satysfakcji w głosie. Najwyraźniej zorientowała się w sytuacji. Nie ukrywałam więc dłużej prawdy.

– Nie zechciała mnie o tym poinformować. Zapewne o wielu innych rzeczach także. Może w takim razie ty mnie uświadomisz? Nie musimy się kochać, ale skoro mamy mieszkać razem, to chyba lepiej, żeby było przynajmniej neutralnie. A jeśli ci to nie odpowiada, to wiesz, że masz alternatywę. Ja też, więc jeżeli zaczniesz ze mną walczyć, to skorzystam z niej bez skrępowań.

Nie była chyba głupia, bo zastanowiła się przez chwilę i pokiwała głową. I okazało się, że będzie chodziła do „Ściegienego” – liceum, które mieściło się chyba najbliżej Kwiatowej. Zgodzili się ją przyjąć, ale każdy z nauczycieli miał sprawdzić stan jej wiedzy, który, jak się szczerze przyznała, jest bliski zeru. Najgorzej było z angielskim, bo zapisano ją do klasy kontynuującej naukę języka, a ona w gimnazjum miała niemiecki.

– Rozumiem, że potrzebne będą korepetycje?

– Może i tak, ale raczej nie ma opcji. Ojciec nie da kasy. – Wydeła usta. – Jest trójka rodzeństwa, a mama nie pracuje, mówiła ci wczoraj.

Może i mówiła, ale nie słuchałam, bo nie miałam pojęcia, że może mnie to w jakikolwiek sposób dotyczyć. Gdybym nie była osobą kulturalną i opanowaną, to klęłabym szpetnie. Też masz podobne odczucia? Zostałam wmanewrowana w opiekę nad nastoletnią dziewczyną z jakimiś problemami emocjonalnymi. Nie mogłam się skontaktować z jej rodzicami, ale z tym akurat poradzę sobie bez problemu, tylko na razie miałam pilniejsze kwestie do ustalenia. Nie takich odnajdywałam, gdy byli mi winni pieniądze. Tylko teraz okazało się, że jeszcze będę załatwiać korepetycje, a na dodatek zapewne za nie płacić. Na razie to przemilczałam, bo najpierw musiałam porozmawiać z Januszem.

Jesteś ciekawa, jak zareagował? Delikatnie mówiąc, nie był specjalnie szczęśliwy. Dziwisz się? Ja nie byłam zaskoczona.

– Nie przewidywałam w swoim życiu wychowywania dzieci – powiedział. – A już tym bardziej cudzych.

– Ja też nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– To pakuj młodą do samochodu i odwieź tam, skąd przyjechała.

– A jeśli naprawdę ucieknie? Nie powiedziała wprost, ale wydaje mi się, że już to robiła.

– A odkąd ty się przejmujesz zbuntowanymi nastolatkami? Zawsze powtarzasz, że każdy powinien uczyć się na własnych błędach. No to, zgodnie z tą teorią, niech ucieknie i sama się przekona, że może być niewesoło.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że taka nauka może ją bardzo drogo kosztować? Może nawet więcej niż jest warta – zdenerwowałam się. – Mężczyzna nie ma pojęcia, co

może się przytrafić młodej dziewczynie, jeśli znajdzie się w złym miejscu o nieodpowiedniej porze.

Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Powinnam była ugryźć się w język, ale jakoś tak samo poszło i już nie mogłam cofnąć słów. Janusz spojrział na mnie uważnie, dokładnie tak jak ty teraz. Skąd wiem? Wiem i już. Zresztą każdy rozsądny człowiek potrafi to sobie wyobrazić.

– Rozmawiałam z nią i wygląda na mądrą dziewczynę. Pomyślałam, że warto dać jej szansę. Niech zawalczy o swoje życie. – Chciałam zagadać poprzednie słowa. – Dla rodziny chyba można zrobić wyjątek?

– Jaka ty się nagle rodzinna zrobiłaś – powiedział z przekąsem Janusz.

– Nie bardziej niż ty. – Nie miałam zamiaru tolerować jego złośliwości. Zresztą to było moje mieszkanie i moja decyzja. Nie musiał jej akceptować, jeśli będzie wolał zostać u siebie – uszanuję jego wybór. Ale na pewno nie pozwolę się szantażować emocjonalnie.

– Dobrze, jeżeli się uparłaś... – Machnął ręką. – Spróbujemy. Ale niczego nie obiecuję. Jeśli nie wyjdzie, to albo wróci do domu, albo znowu zamieszkamy osobno. I żebyś wiedziała, że nie skaczę z radości.

– W porządku. Wiem i doceniam.

Tę sprawę mogłam uznać za załatwioną. Pozostały korepetycje. Zastanawiałam się, czy znam jakiegoś dobrego anglistę i przyszła mi do głowy Róża. Nie uważasz, że to idealne rozwiązanie? Byłoby blisko, mogłabym mieć na bieżąco kontrolę nad postępami Agnieszki, no i pewnie byłoby taniej niż u jakiegoś nauczyciela, gdzie chodzą dzieci moich znajomych, którzy płacą jak za zboże, byle mieć problem z głowy i poczucie, że robią wszystko, co mogą.

Od razu wieczorem zeszłam do Róży. Oczywiście uprzedziłam telefonicznie o wizycie, bo nie uznaję zaskakiwania innych w prywatnych mieszkaniach. Byłabyś zadowolona, gdyby ktoś nachodził cię nieoczekiwanie w sobotni wieczór? Nie wiem, co o tym myślisz, ale mnie by to nie cieszyło.

– Czy ty udzielasz prywatnych lekcji? – zapytałam, kiedy już usiadłyśmy przy niewielkim stoliku z filiżankami kawy.

Rozejrzałam się dyskretnie po niewielkim pokoju, kiedy gospodyni poszła do kuchni. Widać było, że właścicielka żyje skromnie i nie ma dużych wymagań. Proste, niemal ascetyczne wnętrza, ale regał z książkami, kolorowy pled na łóżku i puchaty dywanik nieco je ocieplały. Górne światło było wyłączone, a wnętrza oświetlała tylko stojąca za fotelem lampa. Wzory na abażurze rzucały cienie na sufit, a ciepłe światło dodawało wnętrzu przytulności. A do tego dwa brytyjczyki – piękne koty, leżące niczym sfinksy na łóżku.

Z ulgą zagłębiłam się w wygodny fotel i wyciągnęłam przed siebie nogi. Dopiero tutaj odczułam, jak bardzo zmęczył mnie mijający dzień. I jak potrzebowałam chwili wytchnienia. A u Róży poczułam się tak... bezpiecznie i domowo. Jeden z kocurów

zeskoczył z łóżka, odbił się z gracją od podłogi i miękko wylądował na moich kolanach. Pozwolił się pogłaskać, a futro miał naprawdę jedwabiste.

Nie mogłam jednak pozwolić sobie na całkowite rozluźnienie. Dlatego, kiedy tylko wróciła, od razu przeszłam do konkretów. Wyglądała na zaskoczoną i lekko zmieszaną.

– Tak, mam kilku uczniów... Dlaczego pytasz?

– Bo chciałam wykupić u ciebie korepetycje.

– Ty?

– Przepraszam, źle się wyraziłam. – Machnęłam ręką. – A raczej niezbyt precyzyjnie. Ja chcę wykupić, ale nie dla siebie. Uczennica ma siedemnaście lat i powtarza klasę. Na dodatek nie uczyła się wcześniej angielskiego, a wylądowała w klasie z zaawansowanym. – Przemilczałam szczegóły dotyczące jej zachowania w ostatnim czasie, bo nie chciałam wystraszyć Róży. I tak widziałam, że wierci się na biurowym krześle, które dosunęła z drugiej strony miniaturowego stoliczka.

– Bardzo ci dziękuję, że o mnie pomyślałaś, ale ja uczę raczej młodsze dzieci. Nawet gimnazjalistom, poza pracą w szkole oczywiście, niezbyt chętnie pomagam. Nie mam żadnego doświadczenia w pracy z nastolatkami.

– Chodzi o kompetencje językowe?

– Och, nie! – zaprotestowała. – Raczej o osobowościowe, jeśli wiesz, co mam na myśli.
– Zaczerwieniła się.

– No to nie widzę problemu. Powiem Agnieszce jasno, że ma być grzeczna, a uwierz, że znajdę argumenty, żeby ją do tego przekonać. Naprawdę bardzo mi zależy, żebyś to była ty.

Czułam, że Róża się zgodzi. Nie była silna, naprawdę nie trzeba specjalisty od psychologii, żeby to zauważyć.

– Jeżeli ci zależy... Podaj mi, proszę, numer telefonu do rodziców. Zadzwonię, żeby ustalić termin i adres.

– Nie ma takiej potrzeby. Termin wyznacz sama, byle po południu, a uczennica zejdzie do ciebie albo ty wjedziesz do mnie.

Opowiedziałam jej tyle, ile było trzeba. Nie wypytywała o więcej. Za to ją właśnie polubiłam. Jest dyskretna i dobrze wychowana.

Posiedziałam jeszcze chwilę w ciepłym świetle lampy, pogłaskałam kota, dopiłam kawę pachnącą karmelem i wróciłam do siebie.



Wiesz, moja droga, sądziłam, że jestem dosyć zajęta osobą, ale okazało się, że chyba mam jeszcze sporo rezerw. Tak, masz rację, to żart oczywiście. Tylko taki trochę zaprawiony ironią. Bo w moim terminarzu musiałam jeszcze znaleźć czas na kilka

rzeczy.

Jak się domyślasz, przede wszystkim trzeba było zająć się Agnieszką. Przez pierwsze dni odwoziłam ją do szkoły, pokazywałam miasto – najważniejsze punkty, trochę zabytków. Przy okazji sama odkryłam, że wiele się zmieniło. W nawale codziennych obowiązków nie zwracałam na to uwagi. Dopiero teraz zauważyłam wiele odnowionych elewacji, zupełnie nową odsłonę ulicy Zamkowej, gdzie po remontach związanych z otwarciem muzeum w miejscu opuszczonego i zaniedbanego budynku więzienia stworzono interesującą przestrzeń. Odkryłam też Instytut Dizajnu, gdzie odbywają się bezpłatne warsztaty artystyczne. Mnie nie bardzo po drodze z takimi rzeczami, ale Agnieszka bardzo się zainteresowała i nawet ma brać udział w zajęciach malowania talerzy, czy coś takiego. Nie protestowałam, bo skoro chce, niech próbuje.

Udało mi się też dodzwonić do męża Klaudii.

– Posłuchaj, cwaniaczku. – Nie zamierzałam być miła. Nigdy go nie widziałam, ale nie chciałam tego zmieniać. – Podrzuciliście mi córkę jak jakieś śmierdzące jajo. Takie są fakty. Nie zapomnij jednak, że utrzymanie dziecka kosztuje. Prześlę ci numer konta i lepiej, żebyś dokonywał wpłat regularnie. Innych kontaktów z wami nie potrzebuję, więc przekaz swojej żonie, że może już włączyć telefon. I lojalnie uprzedzam, że jeżeli Agnieszka zacznie sprawiać problemy, będziecie ją mieć z powrotem.

Nawet nie dyskutował. Tym lepiej dla niego, bo prawnika to akurat mam doskonałego.

Na razie nie było źle. Młoda chodziła na lekcje, wychowawczynie nie dzwoniła, więc uznałam, że dziewczyna robi to, co do niej należy. Nie była specjalnie rozmowna, ale to uważałam raczej za zaletę, bo nie miałam ochoty na rozmowy o szkole. Problemy nastolatek nigdy mnie nie interesowały. Nawet wtedy, gdy sama byłam w jej wieku.

Janusz też jakoś odnajdywał się w nowej sytuacji, chociaż on i Agnieszka raczej starali się nie wchodzić sobie w drogę. Raz tylko wypowiedział się na jej temat.

– Mogłabyś ją jakoś ubrać – stwierdził, kiedy wyszła do szkoły. – Nie sądzisz, że wygląda jak skrzyżowanie Lolity z jakąś początkującą dominą z podrzędnej agencji?

Nigdy nie słyszałam z jego ust takich porównań, ale w duchu przyznałam mu rację. Myślisz, że nie zauważyłam wcześniej, jak wygląda? Oczywiście, że tak. Spódnice ledwie zakrywające pośladki, dekolty odsłaniające bieliznę, a do tego paski z ćwiekami, skórzane obroże i szpilki z lakierowanej skóry. Zgroza, kwintesencja złego gustu i kiepska parodia kilku stylów.

Dlaczego jej o tym nie powiedziałam? Chyba nie sądzisz, że mogłabym mieć jakieś obawy. Jakie? Że się obrazi? To naprawdę mnie nie wzrusza. Nie zrobiłam tego z zupełnie innego powodu. Po prostu dużo bardziej cenię sobie spokój. Zresztą, czy ja odpowiadam za to, jak ona wygląda? To nie moje dziecko, więc i nie mój problem. Mnie nikt nie uczył, jak powinnam się ubierać. Sama zrozumiałam, że od tego jak mnie widzą, wiele zależy. Jeśli Agnieszka jest mądra, też zrozumie. Jeśli nie – poniesie tego konsekwencje. I tak też powiedziałam Januszowi.

– Jak tam chcesz. – Wzruszył ramionami. – Ale moim zdaniem to trochę zbyt wyzywające.

Mnie to raczej odrzucało, ale nie chciało mi się z nim dyskutować.

Kolejną rzeczą, na którą musiałam znaleźć czas, była pomoc Malwinie. Zaczęło się od tego, że miałam urodziny. Właściwie nie przywiązuję do tego specjalnej wagi, bo nie lubię, kiedy ktoś liczy mi lata. Ile ich mam? No wiesz! Dobrze, powiem ci, w końcu to żadna tajemnica, skończyłam czterdzieści pięć. Ale nie w tym rzecz. Cała ta otoczka – fałszywe uśmiechy, nieszczerze życzenia, nietrafione prezenty – to nie dla mnie. Obchodzę imieniny, bo tego nie ukryję, ale robię zwykle przyjęcie w jakiejś eleganckiej restauracji. Trzy godziny i spokój, a wszyscy zadowoleni. Teraz też nie zamierzałam specjalnie świętować kolejnego roku na życiowym koncercie. Liczyłam, że spędzę ten dzień z Januszem, może zrobimy wspólną kolację, a potem będą miłe chwile w sypialni. Agnieszce dałam pieniądze na kino w ramach integracji z koleżankami z nowej klasy. Kiedy Janusz powiedział, że wyjeżdża do dzieci, poczułam się rozczarowana. Wiem, że to był ten tydzień, w którym wypadały odwiedziny, ale powinien też uwzględniać fakt, że jest ze mną w związku.

W tej sytuacji wieczór urodzinowy zapowiadał się jak wiele innych podobnych. Wiedziałam, że znajdę sobie jakieś zajęcie, ale w pewnej chwili poczułam coś w rodzaju buntu. Dlaczego miałam siedzieć w pustym mieszkaniu? I przede wszystkim dlaczego miało to zależeć od decyzji Janusza? Ponieważ nie chciałam zdradzać znajomym daty urodzin, pomyślałam o swoich sąsiadkach. Taka niezobowiązująca domówka, rewanż za dwa poprzednie wieczory. Nawet nie muszę się przyznawać, że jest jakaś okazja.

Przyszły wszystkie, chociaż Malwina się spóźniła i dołączyła do nas ubrana w podkoszulek i kapturkę. Mimo to wieczór był bardzo sympatyczny. Nigdy wcześniej nie spędzałam czasu w ten sposób, ale bardzo mi się to spodobało. Do tego stopnia, że przyznałam się do urodzin. I muszę ci powiedzieć, że chyba polubiłam te kobiety, chociaż to wbrew wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi.

I właśnie tamtego wieczora, w chwili słabości i dobrego humoru, zobowiązałam się, że przejrzę dokumenty z firmy ojca Malwiny. Trochę się tego nazbierało, ale muszę uczciwie przyznać, że nieźle sobie radził. I dopóki żył, wszystko było w jak najlepszym porządku. Od razu widać, że znał się na prowadzeniu firmy i nie zaniedbywał niczego. Jasne zestawienia, prognozy przychodów, plany inwestycyjne – wszystko przejrzyste, sensownie i realistycznie. Wyznam ci, że nawet mi to zaimponowało. Był jeszcze skrupulatniejszy ode mnie. Nawet postanowiłam wzorować się na nim w kilku sprawach, między innymi dotyczących planowania i rozwoju. Oczywiście dostosowując to do swojej branży.

Zupełnie inaczej sprawa przedstawiała się z sytuacją bieżącą. Malwina właściwie niczego nie ruszyła. Jedyne, co zdołała zrobić, to bałagan. W dokumentach, korespondencji e-mailowej i rachunkach. Kilka dni zajęło mi rozeznanie się w tym, bo

budownictwo jest mi zupełnie obce, ale faktury i zasady współpracy są przecież zawsze takie same. Rzecz jasna, poradziłam sobie, chyba w to nie wątpisz? Skoro obiecałam, to zrobiłam. Takie mam zasady.

Rozmawiałam z Malwiną kilka razy i starałam się przekazać jej wszystko, co sama zauważyłam. Dałam wskazówki dotyczące dalszego działania, wypisałam, co i w jakiej kolejności powinna zrobić. Skontaktowałam się nawet z biurem rachunkowym jej ojca i ustaliłam z księgową, jak współpraca przebiegała do tej pory, żeby móc przekazać to Malwinie.

Miałam nadzieję, że na tym moja rola się zakończy, bo zrobiłam nawet więcej, niż wymagała doraźna pomoc. Niestety, okazało się, że Malwina należy do osób, które nie znają umiaru. Kilka telefonów dziennie może jeszcze jakoś bym zniosła, ale zaczynało mnie irytować, że wciąż pyta o to samo.

Tak, wiem, że nigdy wcześniej nie miała do czynienia z biznesem. Jestem rozsądną osobą i realnie patrzę na sytuację. Liczyłam się z tym, że będzie się uczyła od podstaw. Tyle że u mnie nawet ekspedientka po kilku tygodniach lepiej się orientuje niż Malwina. I nie zawraca mi głowy wciąż tym samym. Chętnie tłumaczę, ale raz. A Malwina zachowywała się tak, jakby w ogóle nie słuchała tego, co do niej mówię.

Nie patrz tak na mnie, bardzo cię proszę. Doskonale wiem, o czym myślisz. Tragedia, ciężkie przeżycia, wiele problemów jednocześnie. Zgoda, ale odnosiłam wrażenie, że ta kobieta po prostu nie chce się niczego nauczyć i wykorzystuje moją deklarację pomocy dużo bardziej niż to w rzeczywistości potrzebne. A ja nie lubię być wykorzystywana i nie pozwolę na takie traktowanie. To nie jest żaden brak empatii, moja droga. To po prostu obiektywna ocena. Dla mnie sprawa jest prosta – albo ktoś chce skorzystać z pomocy i rozwijać się, albo nie. A Malwina prezentowała tę drugą postawę.

Zresztą, żebyś nie myślała, że przesadzam, to powiem ci, że nie tylko ja byłam tego zdania. Podobne odczucia miała Wiola.

Spotkałam ją, kiedy spacerowałam z Kubusiem. Wracała z zakupów. Wyglądała na zmęczoną. Nic dziwnego, skoro niosła dwie torby, plastikowy rowerek na czterech kółkach i ciągnęła za sobą Oskara, który trajkotał bez przerwy piskliwym głosem niezadowolonego dzieciaka. Istne szaleństwo, nie rozumiem, jak kobiety mogą w ten sposób ułożyć sobie życie.

– Cześć – przywitała mnie z uśmiechem. – Super masz płaszczyk!
– Dziękuję. Jeśli ci się podoba, to prześlę ci SMS-em adres sklepu.
– Daj spokój! – Pokręciła głową. – Popatrz na mnie i powiedz, tak z ręką na sercu: czy myślisz, że istnieje rozmiar, w który mogłabym się zmieścić? Poza tym domyślam się, że sporo kosztował, a wiesz, u nas z kasą to jest tak sobie.

Jej bezpośredniość nadal mnie trochę zaskakiwała. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, bo rzeczywiście brzuch miała coraz większy, a z kolei o cenach nie lubiłam dyskutować. Dla mnie jakoś była ważniejsza i zawsze wolałam mieć jedną porządną rzecz niż kilka byle jakich. Na szczęście nie czekała na moją opinię, tylko mówiła dalej:

– Marcina to już prawie nie widuję. Pracuje bez przerwy. Niby dobrze, że interes się kręci, ale mnie się już kończy cierpliwość. Oskar, proszę cię, nie szarp, bo mi rękę urwiesz. Już idziemy, chwileczkę, muszę porozmawiać z ciocią Lilianą!

Ciocia Lilianą! Szczerze nie znoszę tego zwyczaju nazywania „ciociami” każdej znajomej. A co ty o tym sądzisz? Bo Wiola nie uznała za stosowne zapytać mnie o zgodę i po prostu mianowała ciocią tego ruchliwego dzieciaka.

– Miałam nadzieję, że trochę więcej będzie w domu – kontynuowała tymczasem Wiola – bo przecież miał pomóc Malwinie. Taki miałam plan, kiedy to zaproponowałam. Ale okazało się, że przez to ma jeszcze więcej zajęć. Ciągłe jeździ do jej klientów, a potem jeszcze dzwoni i prostuje to, co ona namieszała. Wkurza mnie to już trochę. Jakby miał mało swoich spraw. A ty – popatrzyła na mnie, odkładając torby wprost na chodnik – też masz z nią takie przejścia? Czy tylko Marcin dał się zrobić po uszy? Bo wiesz, on jest dobry chłop i czasami nie potrafi odmówić, a potem z tego tylko problemy.

Przyznałam, że mam podobnie. Oczywiście bez wdawania się w szczegóły. I stwierdziłam, że najlepiej byłoby powiedzieć jej o tym wprost.

– No to trzeba coś z tym zrobić – zdecydowała Wiola. – Tak nie może być. Ja rozumiem pomoc, zawsze miałam dobre serce, ale teraz to mi bardziej brzuch ciąży niż wyrzuty sumienia. I faceta wolałabym mieć dla siebie niż się nim dzielić. Tylko może nie tak prosto z mostu, lepiej jakoś delikatnie, przy okazji...

Sama widzisz, że nie tylko mnie zaczynała przeszkadzać ta sąsiedzka pomoc. Był najwyższy czas, żeby coś z tym zrobić, tylko na razie nie wiedziałam jak. Oczywiście coś wymyślę, znasz mnie i wiesz, że zawsze znajduję rozwiązanie.



Zastanawiasz się, co u mnie? Dziękuję, bardzo to miłe. Zwłaszcza że sama jestem w ciągłym niedoczasie i nie mam jak spokojnie się nad tym zastanowić. Oczywiście udaje mi się panować nad bieżącymi sprawami, ale zdarzają się chwile, kiedy czuję, że potrzeba mi odpoczynku.

Sądzisz, że powinnam dać sobie wolne? Tylko kto wtedy zajmie się tym, co do mnie należy? Nauczyłam się, że w życiu trzeba liczyć tylko na siebie, bo to jedyna osoba, której można być pewnym. Dlatego nie pozwalałam sobie na uleganie słabościom. Im prędzej zrozumie się, że bez ciężkiej pracy nie ma sukcesu, tym lepiej. Powiem ci, że nawet Agnieszka powoli to chyba rozumie.

Kilka dni temu, wieczorem, przyszła do salonu. Siedziałam jeszcze nad fakturami z poprzedniego miesiąca, bo miałam następnego dnia przekazać je księgowej. W pierwszej chwili nawet nie zauważyłam, że weszła.

– Ciociu, mam do ciebie sprawę – oznajmiła, siadając na kanapie.

Podniosłam głowę znad monitora. Nadal zaskakiwało mnie, gdy słyszałam słowo „ciocia”. Potrzebowałam kilku sekund, żebym zrozumiała, że zwraca się do mnie.

– Mogę przyjść później. – Chyba zauważyła, że jestem lekko dezorientowana.

– I tak już mi przerwałaś, więc mów – zdecydowałam.

– Potrzebuję trochę pieniędzy.

– Dostałaś przecież kieszonkowe. – Przypomniałam jej, bo dobrze wiedziała, że kwota, którą przeznaczyłam na jej osobiste wydatki, miała starczyć na cały miesiąc.

– Tak, ale to niewiele. Nie starczy mi na wszystko. – Wydeła usta i wyglądała jak obrażona Barbie.

– Ja mam inne zdanie na ten temat. Zresztą wszystko to chyba masz, więc może wyjaśnisz mi konkretnie, czego ci brakuje?

– Ciociu...

– Coś mi się wydaje, że nie potrafisz powiedzieć. To może ja ci podpowiem, w czym rzecz. Tak się składa, że na świecie jest bardzo dużo rzeczy, które mogą się człowiekowi podobać. Wiem, bo też tak mam. Niestety, co na pewno zauważyłaś, nie da się mieć ich wszystkich. Trzeba wybierać, kierując się swoimi zasobami. Mówiąc prościej: masz określony zasób pieniędzy i więcej wydać nie możesz, więc musisz dopasować swoje potrzeby i pragnienia do tej kwoty. To wszystko. Chyba rozumiesz?

Nie chciałam jej mówić, że kwota, którą przesłał Jurek, wystarczyłaby może na jej wyżywienie, ale na kieszonkowe już na pewno nie. Nie mówiąc o korepetycjach, bilecie miesięcznym i czymkolwiek innym. Jednak jeżeli miała zamiar dalej ze mną dyskutować, pozna tę niezbyt przyjemną dla niej prawdę. Trudno, życie to nie jest bajka.

– Rozumiem. Nie jestem głupia. Nie musisz mi tego mówić.

– Sądziłam, że muszę. Wnioskując z tego, z czym przyszłaś...

– Ale nie wiesz jeszcze, z czym przyszłam.

– Jak to nie? Chciałaś, żebym dała ci pieniądze.

– Nieprawda. – Pokręciła głową. – Powiedziałam, że potrzebuję.

– A to jakaś różnica? Miałaś na myśli pożyczkę? A z czego oddasz, jeśli nie zarabiasz? Myśl logicznie, Agnieszko.

– Właśnie chciałam zacząć.

– Myśleć? – Powoli miałam dosyć tej rozmowy. Faktury czekały, a czas płynął.

– Nie, zarabiać. I o tym chciałam pogadać. – Wyprostowała się, a w jej oczach po raz pierwszy zobaczyłam jakiś błysk. Spojrzałam uważniej, z zaciekawieniem, bo to było coś nowego w tej niczym specjalnie niezainteresowanej dziewczynie.

– Chciałabym zacząć pracować.

– Ty chyba chodzisz do szkoły? A może się mylę?

– No wiem przecież. Nie myślałam o pracy na cały etat, wiadomo. Ale kilka godzin dziennie albo co drugi dzień, to dałabym radę. – Popatrzyła na mnie, wzięła głęboki wdech i dokończyła: – Nie znalazłoby się u ciebie jakieś miejsce? Masz tyle sklepów, to

może potrzebujesz kogoś do sprzedawania? – wyrzuciła to z siebie i z napięciem czekała na odpowiedź.

– Mowy nie ma – odpowiedziałam bez zastanowienia.

– Dlaczego?

Argumentów było co najmniej kilka. Przede wszystkim taki, że nie zatrudniam nikogo znajomego. Ani rodzin znajomych i znajomych znajomych. Nie ma nic gorszego. Pracownik ma być osobą obcą. Kropka. A poza tym moje ekspedientki muszą być dobrze zorganizowane i dyspozycyjne. Płacę nieźle, ale wymagam. Od wszystkich jednakowo. I one o tym wiedzą. Zatrudnienie Agnieszki zburzyłoby cały wypracowany porządek.

– Właśnie: dlaczego? – Nieoczekiwanie do rozmowy wtrącił się Janusz, który do tej pory sprawiał wrażenie zatopionego w lekturze.

Zgromiłam go wzrokiem. Nie powinien się wtrącać, to były moje sprawy. Tymczasem on udawał, że nie widzi, jak na niego patrzę.

– To chyba godne pochwały, że dziewczyna chce zarabiać na swoje przyjemności – mówił dalej jak gdyby nigdy nic. – I chyba nawet zgadza się z twoimi poglądami na wychowywanie młodych dziewcząt.

Wiedziałam doskonale, do czego to aluzja. Powinnam zareagować ostro, ale pomyślałam, że w sumie ma rację. Przecież sama kiedyś sugerowałam, że jego córka powinna poznać trud zarabiania, żeby bardziej cenić to, co robi dla niej ojciec.

Agnieszka spojrzała na Janusza z wdzięcznością. I to chyba ostatecznie mnie przekonało. Dotychczas nie udało im się nawiązać bliższej relacji, praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Chwilami trochę mi ciążyło to napięcie między nimi, więc jeżeli teraz miałyby się coś zmienić, to gotowa byłam na małe ustępstwo.

– W porządku. Zastanowię się nad tym – stwierdziłam, ale widząc, że Agnieszka szykuje się, żeby coś powiedzieć, powstrzymałam ją gestem. – Od razu zastrzegam, że moje sklepy nie wchodzą w grę. Pomyślę o czymś innym i dam ci znać. Tylko żeby było jasne – zavalisz szkołę, koniec z dorabianiem. Odpowiada ci taki układ?

– Tak, ciociu. – Wstała i chyba chciała mnie pocałować, ale od razu to zastopowałam. Ckliwe scenki rodzinne to nie ze mną.

– Dobrze, rozumiem, że wszystko omówione. W takim razie wracam do pracy.



Czasami łapię się na tym, że nie zauważam upływu czasu. Dni mijają tak szybko, całe tygodnie nikną w przeszłości, a ja nawet nie wiem kiedy. Trudno celebrować każdy dzień, gdy ma się mnóstwo obowiązków. A u mnie ostatnio wiele się działo.

Wszystko ci oczywiście opowiem, tylko po kolei, żebyś miała pełny ogląd sytuacji. Zacznę może od tego, że zastanawiałam się, jak powiedzieć Malwinie o tym, co myślę

o jej zachowaniu. Tym bardziej, że problem nie dotyczył tylko mnie, chociaż akurat to nie było główną motywacją. Dla mnie istotne jest to, co mnie przeszkadza, rozwiązuję własne problemy. Od nikogo nie oczekuję pomocy, ale i też nie czuję się zobowiązana do załatwiania spraw innych. Ale jeżeli problemy są wspólne, to czemu nie? Zresztą polubiłam Wiołę, jest sympatyczna i szczerą. No i trochę mi jej żal, chociaż oczywiście nie zmieniałam zdania i nadal uważam, że sama sobie tak ułożyła życie.

W każdym razie po namyśle doszłam do wniosku, że trzeba Malwinie wprost powiedzieć, że zbyt wiele od nas wymaga i że nasza pomoc już się kończy. Zadzwoiłam do Wioli, żeby to z nią ustalić, ale ona mnie nie poparła.

– Nie wiem, czy powinniśmy tak z grubej rury. Malwina jest w sumie w porządku. No i ten ojciec... Głupio tak ją zdołować i odrzucić. Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Moim zdaniem przyda się jej terapia wstrząsowa. Bo wygląda na to, że wszyscy się z nią obchodzą jak z jajkiem, a ona to bez skrpułów wykorzystuje.

– Dobra, masz trochę racji, ale może nie tak na maksa z tym wszystkim, co?

– Co w takim razie proponujesz?

– Zrobię spotkanie u mnie. W końcu to już się chyba stało naszym sąsiedzkiem zwyczajem, nie? – Roześmiała się. – Jak to było: klub kapciowy? No. To będzie zebranie. Pogadamy z nią, powiemy delikatnie, że musimy jakoś to inaczej ogarnąć i wspólnie ustalimy. Może być?

Zgodziłam się, bo nie było innego wyjścia. Spotkałyśmy się u Wioli, ale w sumie i tak wyszło na moje.

Najpierw był problem z wyciągnięciem Malwiny z domu. Wiola znalazła ją w opłakanym stanie. Wyglądało na to, że w ogóle wszystko zostawiła i nie miała zamiaru robić absolutnie nic. Totalna nieodpowiedzialność. Kiedy pomyślałam, że poświęcałam swój czas, a ona bez słowa podziękowania wypięła się na mnie, to miałam ochotę na samą siebie porządnie nakrzyczeć. Tyle razy obiecywałam sobie, że nie będę pracować na innych. Malwina była przecież młodą kobietą, która co prawda przeżyła trudne chwile, ale miała dwie ręce, sprawną głowę i gdyby tylko zechciała, mogłaby wiele zdziałać. Tylko po prostu nie miała chęci do pracy i wykręcała się od niej, jak mogła.

W końcu przyszła, ale żeby chociaż okazała minimalną wdzięczność. Skąd! Zaatakowała nas i zarzuciła pretensjami. Czy możesz to sobie wyobrazić? Przez chwilę starałam się zachować spokój, ale doszłam do wniosku, że nie widzę powodu, dla którego jej wolno wylewać swoje wyimaginowane żale, a ja mam milczeć. Nie była jakąś świętą krową, chociaż chyba za taką się uważała. Ktoś jednak powinien ją wreszcie wyprowadzić z błędu. I to dla jej własnego dobra.

Zrobiłam to więc. Zwłaszcza że sama sprowokowała konfrontację, żądając szczerości. Powiedziałam, co myślę. Sądziłam, że będę jedyną odważną, ale nieoczekiwanie Wiola mnie poparła. Widziałam, że puściły jej nerwy, nawet w pewnej chwili lekko się zaniepokoiłam, bo miała problemy z oddychaniem, a w jej stanie to

zapewne niewskazane. Na szczęście do niczego niedobrego nie doszło. Poza tym, że Malwina się obraziła i wyszła. Trudno. Albo zrozumie, albo nasza sąsiedzka grupa się uszczupli.

Poza tym niezbyt sympatycznym akcentem, reszta wieczoru była całkiem udana. Przy okazji załatwiłam też Agnieszce dodatkową pracę. Będzie pomagała Wioli – zrobi większe zakupy, pobawi się z Oskarem, może coś posprząta. Nie zarobi wiele, ale na początek wystarczy. Zobaczymy, jak sobie poradzi. Wiola bardzo się ucieszyła z mojej propozycji.

– Będę miała chociaż do kogo gębę otworzyć, bo niedługo ludzkiego języka zapomnę. Cały czas tylko z Oskarem. A jak dziewczyna młoda, to wspólne tematy się znajdują.

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby rozmawiały, o czym zechcą, ale poprosiłam Wiołę, żeby nie była wobec Agnieszki zbyt mało wymagająca.

– Zależy mi na tym, żeby naprawdę poczuła, że zarabianie pieniędzy wymaga wysiłku.

– Jasne, kumam – odpowiedziała w swoim stylu. – I zgadzam się. Jak ktoś się nie napracuje, to się szacunku dla pieniędzy nie nauczy. Ja tam wiem, jak to jest liczyć się z każdym groszem i na każdy zdrowo harować. I że życie to nie bajka. Nie pozwolę, żeby siedziała beczynn timer. A jak jest dziecko, to coś do zrobienia zawsze się znajdzie, bez obaw.

Zobaczyłam Wiołę w innym świetle. Do tej pory wydawała mi się miłą, ale niezbyt mądrą osobą, skoncentrowaną głównie na zakupach i pieluchach. Teraz zrozumiałam, że wie, co to ciężka praca i swoje w życiu przeszła. Nie pytałam o szczegóły, ale zobaczyłam to w jej oczach. Pewnych rzeczy nie ukryje się nawet za uśmiechem i pozorną beztroską.



Po tym spotkaniu zrobiło się trochę spokojniej. Sytuacja w domu zaczynała się powoli normować. Przyzwyczajaliśmy się do swoich rozkładów zajęć, Agnieszka lepiej poznała miasto i coraz rzadziej musiałam ją podwozić czy po nią jeździć. Mogłam znowu swobodniej planować sprawy zawodowe.

Dziewczyna chodziła na lekcje do Róży i była z tych zajęć bardzo zadowolona. Ponieważ jednak lubię mieć ogląd sytuacji z każdej strony, odwiedziłam sąsiadkę, żeby zapytać, czy nie pojawiły się problemy z zachowaniem mojej podopiecznej. Nie miałam złudzeń i wiedziałam, że nastolatki nie są wzorem prawdomówności.

Róża przyjęła mnie w swoim mieszkaniu, częstując tą samą pachnącą kawą. Kocury leżały rozłożone na wielkim łóżku i zupełnie nie zwracały na mnie uwagi.

– Zdradzisz mi, gdzie ją kupujesz? – zapytałam, bo chętnie cieszyłabym się tym smakiem także u siebie.

– To nic specjalnego. – Pokręciła głową i zrobiła przeproszącą minę. – Po prostu zwyczajna kawa rozpuszczalna. Jest w Tesco.

Przyznam, że byłam zdziwiona. Nawet do głowy by mi nie przyszło kupienie kawy w supermarkecie. Na dodatek rozpuszczalnej. Wolałam sypaną, najlepiej włoską i parzoną w dobrym ekspresie.

– Będę musiała sprawdzić. Pokażesz mi potem opakowanie?

– Oczywiście. Jest w szklanych słoiczkach, które potem można wykorzystać w kuchni. Wystarczy ozdobić kokardką i już jest coś ładnego, a właściwie za darmo. – Spojrzała na mnie i zawstydziała się. – Ale co ja ci opowiadam. Nie przyszłaś przecież, żeby rozmawiać o słoiczkach po kawie. Pewnie chcesz zrezygnować z lekcji dla Agnieszki?

– Dlaczego? – Zaskoczyła mnie tym stwierdzeniem.

– Nie wiem. Tak pomyślałam. Może dlatego, że rodzice moich uczniów zwykle rozmawiają ze mną tylko wtedy, kiedy przestaję być potrzebna.

– Nie jestem rodzicem. – Uśmiechnęłam się.

– O, przepraszam! Nie chciałam...

– Nie uraziłaś mnie. Chciałam tylko powiedzieć, że może dlatego zachowuję się inaczej. Po prostu przyszłam, żeby się dowiedzieć, czy Agnieszka nie sprawia kłopotów.

– Właściwie nie... – Róża odwróciła wzrok i zaczęła wpatrywać się w swoją filiżankę.

– Czyli jednak nie wszystko jest w porządku? – Wyczułam, że chce coś powiedzieć, ale nie ma odwagi.

– Jeśli chodzi o samą naukę, to absolutnie nie mam zastrzeżeń. Jak również do jej zachowania podczas zajęć.

– Mówisz jak nauczycielka. – Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Bo jestem nauczycielką. – Odwzajemniła się tym samym i wzruszyła ramionami. – Chyba takie, jak to nazywają, zboczenie zawodowe. Chociaż ja nie lubię tego określenia.

– A możesz mi normalnie powiedzieć, o co chodzi? Jeżeli powinnam coś zrobić, to chętnie zrobię, ale muszę wiedzieć w czym rzecz.

– Wydaje mi się, że ona ma jakiś problem. Taki, nie wiem jak to dobrze ująć... natury emocjonalnej.

– Coś mówiła?

– Nie. A ja nie pytam, bo nie chcę być niedyskretna. Ale widzę czasami jej zamyślenie albo wyraz twarzy. To nic konkretnego – zastrzegła – raczej przecucie niż pewność, więc oczywiście nie musisz tego brać do serca.

– Myślisz, że powinnam z nią porozmawiać?

– Sama nie wiem, co ci radzić. A jeśli się mylę? Może w ogóle niepotrzebnie zawracałam ci głowę. – Nerwowo zagryzła wargę. – Nie chciałabym jednak niczego zaniedbać.

Ustaliliśmy w końcu, że po prostu będziemy Agnieszkę obserwować. Nie powiem, żeby spostrzeżenia Róży mnie ucieszyły, ale z drugiej strony wiedziałam przecież, że z dziewczyną były kłopoty, więc coś mogło się wydarzyć. Tylko dlaczego ja mam się nad tym zastanawiać? Od czegoś są rodzice. Dopóki robiła, co do niej należy, postanowiłam nie angażować się zbyt. Wystarczy, że będziemy miały na nią oko.

Posiedziałam jeszcze chwilę w wygodnym fotelu, a Róża poleciła mi kilka książek. Nawet mnie trochę zawstydziła, bo zdałam sobie sprawę, że od dawna nie miałam czasu na lekturę czegoś innego niż aktualizacje przepisów, „Gazeta Prawna” i kilka miesięczników modowych. Moja sąsiadka okazała się czytającą i kulturalną osobą i naprawdę mi tym zaimponowała. Postanowiłam, że powinnam od czasu do czasu spotkać się z nią i nadrobić swoje braki, bo zupełnie zaniedbałam własny rozwój w tej sferze.

Zresztą nawet Janusz zgodził się ze mną w kwestii Agnieszki. Poruszyłam z nim ten temat, bo chciałam sprawdzić, czy czegoś nie zauważył.

– Nie znam się na nastolatkach. – Nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego sprawą.

– Ale masz dzieci, więc może widzisz coś, czego ja nie zauważam.

– Co innego swoje, a co innego obce. Zresztą sama wiesz, że niewiele z nią rozmawiam.

– W porządku, rozumiem. Ale gdybyś coś zauważył, to mnie poinformuj.

– Jasne – obiecał.

Na razie na tym się skończyło. I miałam nadzieję, że tak pozostanie. Zbliżał się okres przedświąteczny, a to nie tylko czas dobrych zarobków, ale przede wszystkim dodatkowej pracy. Musiałam zadbać o atrakcyjny towar, zabezpieczyć większe dostawy, a to tylko kilka rzeczy, którymi należało się zająć. Nie bardzo więc mogłam sobie pozwolić na niańczenie Agnieszki. Tym bardziej, że na razie wszystko było bardziej w sferze domysłów niż faktów.



Pozostała jeszcze sprawa Malwiny. Bo nie myśl, że wszystko skończyło się na spotkaniu u Wioli. Absolutnie nie.

Chyba ośmieliłam trochę Różę tą naszą rozmową, bo zdecydowała się zorganizować u siebie nieco większe spotkanie. Miałyśmy być we trzy, bo Malwiny nie było sensu zapraszać. Chociaż Róża nawet zastanawiała się, czy nie wypadałoby tego zrobić, ale Wiola machnęła ręką.

– Daj sobie spokój. Nie odezwała się ani słowem, więc chyba przestała nas lubić. Mam nadzieję, że znalazła sobie inne przyjaciółki, ale jeśli nie, to trudno. Ja tam nie zamierzam się narzucać, zwłaszcza gdy ktoś nie docenia moich starań i jeszcze ma

pretensje.

Lepiej nie mogła tego ująć. Zgadzałam się z nią i Róża nam uległa.

Miałyśmy przyjęcie, można powiedzieć, turystyczne. Ponieważ Róża bardzo się martwiła, że nie posiada stołu i w jej kawalerce jest tylko jeden fotel oraz biurkowe krzesło, postanowiłyśmy jej pomóc. Wiola wykazała się kreatywnością i poczuciem humoru, bo zaproponowała swój letni komplet piknikowy – krzeselka i turystyczny stolik. Muszę ci powiedzieć, że rozbawił mnie ten pomysł, a Róża, chociaż na początku odnosiła się do tej koncepcji z rezerwą, to widząc nasze zadowolenie, także się rozluźniła. Naprawdę nie wiem, jak to się dzieje, ale ja z tymi kobietami czuję się zupełnie inaczej niż ze wszystkimi innymi ludźmi. Jakoś tak luźniej i swobodniej.

Turystyczne spotkanie Róża postanowiła uczynić bardziej eleganckim i upiekła wspomniały sernik wiedeński. Oczywiście zamówiłam „swoją” kawę. Nie ciasto jednak stało się punktem kulminacyjnym, a pojawienie się Malwiny. Przypadki w życiu bywają naprawdę niesamowite. Właśnie dlatego uważam, że zawsze należy mieć plan awaryjny. Tym razem wyjątkowo go nie miałam. Zresztą i tak nie zdałby się na nic, bo decyzję musiałyśmy podjąć razem i to bez dłuższego zastanowienia.

Już bez niedomówień i owijania w bawełnę: Malwina przyszła przeprosić. Co prawda Różę, ale że miała nas hurtem, za jednym zamachem przeprosiła wszystkie. Nie pozwoliłam jej tak łatwo uzyskać przebaczenia. Musiałam sprawdzić, czy to szczerze słowa, czy tylko chce nam zamydlić oczy. Znałam wiele takich osób, które udawały żal, ale szybko popełniały te same błędy.

W efekcie Malwina została z nami. Powiem ci, że zaszła w niej ogromna zmiana. Zupełnie inna osoba, aż wydaje się to niewiarygodne! Nie wiem, jak to się stało, ale wreszcie wzięła się za siebie i swoje życie. Wygląda na to, że przejrzała na oczy i zdała sobie sprawę, że trzeba kiedyś dorosnąć. I tak życie było dla niej łaskawe, bo dało jej ponad trzy dekady dziecięcej beztroski. Powinna uważać się za szczęściarę, naprawdę! Chyba się ze mną zgodzisz?

W każdym razie jakoś wygrzebała się z tego marazmu, zaczęła konkretnie działać i miała całkiem sensowne plany na przyszłość. Twierdzi, że pomaga jej przyjaciel i to on wsparł ją w najtrudniejszym momencie. Mam nadzieję, że i moje słowa jakoś w niej zostały i pomogły w procesie zmiany. No i lepiej byłoby, gdyby za bardzo nie liczyła na mężczyznę, bo z nimi to różnie bywa. Ale nie powiedziałam jej tego, na razie ma chyba dość pouczeń. Na szczęście wygląda na to, że wreszcie odnalazła w sobie siłę, więc jakby co, to sobie i sama poradzi. Widzę w niej potencjał. No i w sumie cieszę się, że nasze grono znowu jest w komplecie. Bo zdałam sobie sprawę, że jakoś mi brakowało tej rudej artystki. Sama się sobie dziwię, ale tak właśnie uważam.

Wioletta

Siadaj, jak ci wygodnie i nie zwracaj uwagi na bałagan. U mnie tak ciągle, nie nadążam ze sprzątaniami. Oskar ma chyba jakiś dodatkowy gen, który mu daje niewyczerpaną energię. Bo ja już innego wyjaśnienia nie znajduję. Jak superbohaterowie z kreskówki – każdy ma jakąś moc. A on najpewniej dostał moc rozrzucania zabawek. Świra można dostać!

Jak mi się mieszka? Pewnie, że lepiej niż z teściową. Nawet nie ma porównania. Jestem tu panią i nikt mi nie patrzy na ręce. Mogłam urządzić, jak chciałam, wreszcie nie ma wszędzie poduszek z koronką i serwetek w beznadziejne wzorki. Marcin się postarał, nie powiem. Trochę więcej kasy poszło niż planowaliśmy, ale za to jak mnie któraś z dziewczyn odwiedzi, to im oko zbieleje. Najbardziej mi się podobają te „makarony w oknach”, marzyłam o takich zamiast firanek. A w kuchni mam rolety. Tego to już teściowa w życiu nie przeboleje. Ile się najęczała, że jak to tak żyć bez zasłonek i zazdrostki. Śmiech, mówię ci!

Trochę się stresowałam na początku, bo taki nowoczesny blok to i pewnie sami bogaci ludzie będą mieszkać. Nas ten kredyt to prawie zarzyna, ale Marcin się zawziął, więc pewnie jakoś damy radę. Gorzej, że mi ta druga ciąża wyskoczyła. Nie no, pewnie że nie spadła z księżycy, co, ja nie wiem, skąd się biorą dzieci? Śmiejesz się? Ja teraz też, ale jak się dowiedziałam, to poryczałam się strasznie. Myślałam, że trzeba będzie na wsi zostać. Dramat i masakra! Dobrze, że małżonek szanowny mnie kocha i nie lubi, kiedy płaczę. Zawziął się i umowę podpisał. Ręce urobie po łokcie – tak powiedział – tylko nie rycz. To przestałam płakać i pomyślałam, że przecież u nas mówią, że jak Pan Bóg dał dzieci, to da i na dzieci. Czyli jakoś musi być, nie? Nie ma co rąk załamywać.

Oskar, ja cię proszę, synku, zostaw to w spokoju! Daj mi porozmawiać chwilę, dobrze?

Sama widzisz, co się dzieje. Ani na moment nie odpuści, chyba że zaśnie. Dobra, o czym ja to...? A, o tych sąsiadach. Bałam się, że będą chodzić nadęci i ważni, a ja to lubię sobie czasami pogadać. Tylko że nie miałam wcześniej za bardzo okazji rozmawiać z takimi poważnymi ludźmi. Nie wiedziałam, czy będę umiała. No i czy zechcą mnie w ogóle słuchać.

W mieście to zupełnie inaczej niż u nas. Tylko nie myśl, że ja całkiem dzika jestem. Bez przesady. Bywałam w Kielcach czasami, zwłaszcza na zakupach. Mówię ci, uwielbiam galerie. Mogłabym cały dzień chodzić i patrzeć na te piękne rzeczy. Podoba mi się ten ruch, ludzie stale chodzą, jedzą, rozmawiają. I promocje są czasami fajne, za darmo robią makijaż albo paznokcie. Pamiętam, że kiedyś na taką degustację trafiłam. Sery były – francuskie czy tam włoskie, nie pamiętam, ale na pewno zagraniczne. Spróbowałam, ale ohydne, że aż szok! Teraz przynajmniej wiem, że mi nie smakuje i pieniędzy na darmo nie wydam. I tak ci powiem, że nie rozumiem tych zachwyków. Ale próbowałam i się liczy. Jak mi jakaś koleżanka wyskoczy z serem, to przynajmniej będę wiedziała, co powiedzieć. Przecież kłamać nie będę, bo próbowałam, nie?

A, znowu mi temat uciekł, ale się nie gniewaj, bo ja tak zawsze mam. Zaczynam o jednym, a zaraz przeskakuję na coś innego. Jakby co, to na przyszłość mnie prostuj. Przypominaj znaczy, że nie o tym miałam mówić.

Dziecko, jeszcze chwilę, zaraz skończę i się z tobą pobawię. Powkładaj klocki do pudełka, dobrze? Mama za trzy minutki do ciebie przyjdzie.

Dobra, do rzeczy, bo mały za chwilę straci cierpliwość i będzie ryczał. To on potrafi doskonale, mówię ci.

Wyobraź sobie, że zupełnie nie miałam racji. Mieszkają tu bardzo fajni ludzie, a przynajmniej trzy babeczki to na pewno. Poznałam je przypadkiem. Taki czad, że szok! Nie zgadłabyś za Chiny, jak to się stało. Wyobraź sobie, że zacięłyśmy się w windzie. Dasz wiarę? Taki superblok, a tu winda staje i rób, co chcesz. Nic nie działa. Ja pierniczę, po prostu.

Tylko nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Patrzą, a tu jedna z tych, co ze mną jechały, to ta sama, która mi kiedyś w sklepie pomogła. Słabo mi się zrobiło z upału, to mnie odprowadziła do domu i jeszcze Oskarkiem się zajęła. A że jej wtedy nie zdążyłam podziękować, to zagadałam. Przynajmniej miałam pretekst. No i przełamalam pierwsze lody, bo ta, którą znałam wcześniej, ma na imię Malwina, to ona chyba nie bardzo się lubi z drugą, Lilianą. Nie wiem, o co chodzi, ale krzywo na siebie patrzyły.

Ta Liliana to taka elegancka, jakby wyszła z telewizji. Ciuchy miała na sobie, tak lekko licząc, za parę tysięcy w sumie. Szał! No i figura jak u modelki. A kiedy usiadła, to widać było pończochy. Ale jakie! Zresztą sama się przyznała, że nie z bazarów. Też bym chciała, żeby mnie na takie było stać. Ale najpierw to muszę przestać rodzić, nie? Schudnę, trochę się odkujemy i kto wie? Może kiedyś...

Co, znowu mnie poniosło? Sorry, sorry. O tej windzie mówię przecież. Jeszcze trzecia tam była, Róża. Ona nic nie mówiła, ale patrzą, a taka blada się robi, jak papier. Czułam, co się święci, nie raz w kościele widziałam takie rzeczy. Poradziłam, żeby siadła, ale zanim cokolwiek zdążyłam zrobić, to już zemdląca. Całe szczęście, że prąd włączyli i winda ruszyła.

Wylądowałyśmy u Malwiny. Okazuje się, że ona jest artystką. Maluje chyba, bo te takie drewniane stojaki na obrazy u niej były i rysunki na biurku. Zerknęłam i nawet mi się podobały. Mogłam się domyślić, bo jak Oskara pilnowała, to dała mu kredki. Bardzo fajna dziewczyna. Miła i normalna.

Bo Liliana to troszkę zarozumiała chyba jest. Chociaż potem się jakoś wyluzowała, szczególnie jak gadałyśmy o bieliznie. Takie tematy to każda kobieta lubi, nie? Ty też? Bo ja mogłabym o tym cały dzień. I o sukniach ślubnych też. Zdziwiłam się trochę, bo one wolą takie skromne sukienki, a ja to marzę o takiej jak księżniczka. Nie no, pewnie że ślubną już miałam, ale tak w ogóle mówię, rozumiesz?

Malwina wino wyjęła, umie się znaleźć. Tylko kieliszków nie miała, ale co tam, przecież ja też na dorobku, to wiem, że nie wszystko od razu. Zresztą i tak pić nie mogę. Ale humor mi raczej dopisuje i jak jest dobre towarzystwo, to umiem się bawić nawet bez alkoholu. A tam było fajne. Zresztą wiadomo, że jak się cztery baby zejdą, to albo się pokłócą na śmierć, albo zaprzyjaźnią. I tutaj miał miejsce ten drugi przypadek.

Jak mi się podobało? Bardzo, serio mówię. Brakowało mi takich pogaduszek. Nie musiałam się za bardzo spieszyć, bo Marcin został z Oskarem, to posiedziałam, ile się dało. Co prawda miałam iść do galerii i trochę mi było żal, ale tylko na początku. Bo najważniejsze, że wreszcie kogoś poznałam i w razie czego to będzie można o coś poprosić albo na herbatę wpaść.

Oskar, tak się nie robi! Nie pamiętasz, jak wepchnąłeś styropian do nosa i musiałeś jechać do szpitala? Chcesz znowu? A taty nie ma. Obiecywałeś, że już tak nigdy nie zrobisz i co?

Bardzo cię przepraszam, ale widzisz, co się dzieje. Naprawdę muszę się nim zająć. Ale jeszcze pogadamy, obiecuję. Teraz ci tylko w dwóch zdaniach dokończę o tych sąsiadkach. Tak sobie myślę, że będzie dobrze, bo wyglądają na całkiem cool. Tak się mówi? Ja też nie wiem, ale u nas to tak często słyszałam. Po ludzku? Nabijasz się ze mnie? Dobra, niech ci będzie. Umieję się z siebie śmiać. No to po ludzku: miłe kobiety i wesoły wieczór. Humor mi poprawiły tak, że nawet Marcin się dziwił, że nic nie kupiłam, a taka zadowolona jestem. Bo facet nigdy tak nie zrozumie kobiety jak druga kobieta, nie?



Co cię będę oszukiwać – czasami to już nie wyrabiam na zakrętach. Czy wiesz, jak wygląda mój dzień? A, gadać mi się o tym nie chce. Ani chwili czasu dla siebie. Nawet jeśli Oskar zajmie się czymś, to w tym czasie trzeba poskładać zabawki, coś ugotować, wywiesić pranie i inne takie. I niech mi ktoś powie, że jak kobieta wychowuje dziecko i nie pracuje, to ma luz. Już bym chyba wolała do pracy iść, przynajmniej przez osiem

godzin mogłabym nie słyszeć ciągłego wołania: „mamo!”.

Tylko sobie nie myśl, że nie kocham swojego synka. Uwielbiam go, ale to znaczy, że nie mogę być zmęczona? Chcę być dobrą mamą, przecież czytam w internecie wszystko, co znajdę. Nie wiem, ale jakoś to prosto wygląda napisane, a w życiu ciężko zrealizować. Albo ja taka tępa jestem.

Czasami płakać mi się chce. Przecież Oskar nawet do łazienki za mną chodzi. Zresztą już chyba wolę, bo mam na niego oko. Jak tylko znika mi z pola widzenia albo robi się cicho, to zaraz się boję, że coś wymyślił i będą kłopoty.

Wcześniej szło trochę lepiej, bo przynajmniej nie byłam w ciąży. A teraz każdego dnia czuję się coraz cięższa. Jak jakaś słonica. Jasne, tak to jest, wiem, w końcu byłam już w ciąży, ale teraz jakoś gorzej to znoszę. No tylko popatrz! Wyglądam okropnie. Żadne ciuchy już na mnie nie wchodzi, oprócz legginsów i szerokich bluzek. Tylko mi nie mów, że ciężarne też są sexy. Nie wmówisz mi tego, w końcu lustro mam. Patrz, moje kostki są tej samej grubości, co kolana. I to jest fajne? Widziałaś modelkę z nogami jak słupy? No, ja też nie, więc ustalmy, że wyglądam okropnie i już.

Najgorsze jest to uziemienie w domu. Myślałam sobie, że jak już zamieszkać w Kielcach, to nadrobię wszystkie zaległości. Co by nie mówić, to z Oskarem do sklepu można pójść, bo lubi galerię. Zresztą zawsze mogłabym go zostawić w tej bawialni z kulkami, nie? Moje koleżanki tak robią, a same idą na kawę albo lody. Dlaczego ja nie mogę? Bo siły nie mam. Dłużej pochodzę, to zaraz mnie zadyszka łapie, a jak trochę za ciepło się robi, to mi słabo. Zresztą ja im się nie pokażę w takim stanie, zwariowałaś?!

Siedzę w czterech ścianach, a spaceruję to mam do piaskownicy i do spożywczego. Masakra! Czasem mi się wydaje, że niedługo będę mówić jak mój Oskarek. No, tak po dziecięcemu. Dobrze, że jest telewizja, bo od czasu do czasu puszcze jakąś bajkę i ogląda, a ja mogę przysiąc na moment. Tyle że wtedy zasypiam. Mówię ci, melodię do spania to mam taką, że chyba na stojąco mogłabym uciąć sobie drzemkę. Kiedyś bawiłam się z Oskarem i nagle słyszę:

– Mamo, nie śpij!

Otwieram oczy, a tu się okazuje, że mnie zmorzyło z resorakiem w rękę. Na podłodze. Nieźle, co?

Oskar, natychmiast przestań się tłuc! Odłóż to, bo zwariuję! Głowa mi pęknie!

Że krzyczę? Tu ci przyznam rację. Sama widzę, że cierpliwości mam coraz mniej. Praktycznie cały czas jestem podenerwowana. Nie czuję się fajnie, jak tak się rozedre na niego, ale zdarza się, że nad tym nie panuję. Może to te hormony?

A Marcina prawie w ogóle nie ma w domu. Nie powiem, jak wraca, to stara się zająć Oskarem, jedziemy razem po większe zakupy. Widzę, że robi, co może, ale mnie jest facet potrzebny na co dzień, a nie w weekendy. Dobra, pracuje, ale czy ja to leżę? Ostatnio tak na niego nawrzeszczałam, że szok!

– Wiolusiu, może ty się zdecyduj, czego chcesz? – powiedział, jak mu tak wygarnęłam.

– Bo nie można mieć wszystkiego na raz.

– Wszystkiego?

– Chciałaś mieszkanie w mieście – masz. Tylko samo się nie spłaci, prawda? A jak będę siedział z tobą, to bank je zabierze i wrócimy do mojej mamy. Zresztą, co ja ci będę tłumaczył, przecież to wiesz – powiedział i poszedł do pokoju, usypiać Oskara.

A ja się poryczałam. Bo on do mnie mówił, jak ja do dziecka. Jakbym była jakąś debilką. Co, ja nie wiem o tym kredycie i że on ciężko pracuje? Ale co mogę poradzić na to, że mi źle? Czasami człowiekowi potrzeba, żeby mu ktoś herbaty zrobił albo przytulił. Nie mówię już o tym, że syn się prawie bez ojca wychowuje, a czytałam, że to niedobrze.

Mogłoby być łatwiej, jakby teściowa kawałek pola sprzedała i nam pożyczyła trochę grosza. Tak planowaliśmy, bo w końcu i tak kiedyś to Marcina będzie. Ale nie, zaparła się i już. Może dać, powiedziała, ale jak zostaniemy i będziemy na nim robić. A ja na to, że mowy nie ma!

Już się w życiu naharowałam, nie myśl sobie. Wiem, co to gospodarka i praca na polu też mi dziwna nie jest. Trzeba było, to robiłam. I tylko mnie to trzymało, że sobie obiecałam uciec do miasta, jak tylko trafi się okazja. To było moje marzenie.

Spełniło się? Niby tak, ale nie do końca. Chodzę z małym po alejkach nad Silnicą i widzę, jak ojcowie uczą synów jeździć na rowerze albo całe rodziny spacerują. A ja ciągle sama z tym dzieciakiem. Myślałam, że jak odpadnie gospodarka, to będziemy mieć czas dla siebie. Ja Marcina kocham, ale czasami to jestem na niego zła, że mnie tak samą zostawia.

Nawet jak jest, to inaczej się zachowuje, niż myślałam. No tak, pomaga i tak dalej, przecież ci mówiłam, ale mnie nie o to chodzi. To co? O wieczory, rozumiesz?

Oj, dobra, powiem wprost. Ja się boję, że już mu się nie podobam. Samej sobie się nie podobam, a co tu mówić o mężczyźnie. Faceci lubią zadbane, fajne laski, najlepiej z długimi nogami i dużym biustem. Z tego wszystkiego, to ja tylko cycki teraz duże mam, ale nic poza tym. Nawet już do lustra mi się nie chce patrzeć.

Marcin wieczorami to od razu zasypia. Zapytałam go wprost, ale się wymiguje i mówi, że jest zmęczony. Czy ty słyszałaś o mężczyźnie, który jest zbyt zmęczony na łóżkowe sprawy? Bo ja nie. A on się upiera. Ściemnia, na sto procent!

Czy mnie brakuje seksu? Może nie jakoś bardzo, bo niby można w ciąży, sprawdziłam, ale tak szczerze, to trochę się boję. Tyle że nie musielibyśmy przecież iść na całość, nie? Wystarczyłoby mi trochę przytulania czy jakby mnie popieścił. Ale on nic. W ogóle nic. To co ja mam sobie myśleć? Chyba jasne, że go nie pociągam.

Oskarku, zbieraj zabawki, zaraz idziemy na spacer. Tak, nakarmimy kaczki, mam już dwie bułeczki odłożone.

Dobrze, że chociaż pogoda jeszcze dopisuje, bo przynajmniej go trochę na tych spacerach zmęczone. Nie wiem, co będzie, jak przyjdzie zima i całe dni tylko w domu trzeba będzie siedzieć. Chociaż z drugiej strony, to przynajmniej może mi nogi

odpoczną.

Tak, pewnie, powiedz mi to, co Marcin. Sama nie wiem, czego chcę? Może i tak. Najwidoczniej jestem... no, czytałam o tym... a, niestabilna emocjonalnie. Podobno kobiety w ciąży tak mają. To co ja poradzę?

Jejku, myślisz, że nie chciałabym mieć dobrego humoru? Nawet się staram, chociaż czasami łapię doła. Ale sobie tłumaczę, że miałam gorzej i przeżyłam, to teraz też jakoś dam radę. Tylko jakby Marcin częściej był w domu. Chociaż trochę częściej. To naprawdę tak dużo?

Dobra, dosyć biadolenia. Zabieram małego i potoczę się nad Silnicę. Tylko powiedz, kto mnie potem pod górę wtoczy? Może ten, jak mu tam, Syzyf spróbuje? To byłaby robota w sam raz dla niego. Dobrze, nie?



Czy ty wiesz, co się stało u Malwiny? Mówię ci, aż mnie zmroziło, jak Liliana zadzwoniła. Wyobraź sobie, że Malwinie umarł ojciec. Nagle, pewnie zawał albo wylew, bo co innego. Pamiętam, jak z moim dziadkiem było – usiadł, żeby dziennik obejrzeć i już nie wstał. Przynajmniej śmierć miał lekką, nie męczył się. Mam nadzieję, że ten ojciec Malwiny też. Bo nic gorszego niż cierpieć, na przykład jak cię rak dopadnie.

A, miałam mówić o sąsiadce, a nie o dziadku. Już, już. To jak powiedziałam, zadzwoniła Liliana i mówi, że się właśnie dowiedziała i że może coś trzeba zrobić, bo Malwina wyglądała na załamana. Nic dziwnego, taka tragedia! Od razu powiedziałam, że musimy do niej iść i jakoś pocieszyć, czy co. To umówiliśmy się na wieczór.

Pomyślałam, że w takiej sytuacji na pewno głowy nie ma do niczego i głodna chodzi. Zresztą na zmartwienia dieta nie pomaga. A jak człowiek dobrze zje, od razu nabiera siły i ma większą chęć do życia. Mnie ile razy coś się nie udało, to zaraz ciasto upiekłam albo chociaż lepszy obiad. Wiesz, u nas się nie przelewało, ale jajko i trochę mąki zawsze się znalazło. Pamiętam jak młodszy brat, Piotrek, dwóję z matmy dostał, to nasmażyłam placków ziemniaczanych z cukrem i przestawał się smucić. Mnie gotowanie nie przeszkadza, nawet lubię to robić. Nie umiem jeszcze żadnych wyszukanych potraw, ale chcę się nauczyć. Zbieram przepisy z gazet i z programów o gotowaniu. Jak się trochę odkujemy, to będę kupować łososa i szparagi albo coś innego w tym guście i spróbuję zrobić. Marcin też się będzie cieszył, bo lubi zjeść, jak to mężczyzna.

W każdym razie zapakowałam Malwinie leniwe, bo akurat więcej zrobiłam. Miałam Oskarowi podsmażyć jeszcze na kolację, ale pomyślałam, że najwyżej zje kanapki. Jemu nie ubędzie, a sąsiadce w potrzebie trzeba pomóc. Zadzwoniłam do Olki, mojej koleżanki, i poprosiłam, żeby podjechała posiedzieć godzinę z Oskarem, bo przecież nie wypada w takiej sytuacji dziecka do ludzi ciągnąć. Trochę się Olka opierała, ale jej

powiedziałam:

– Kobieto, dziewczynie ojciec umarł. Mam odpuścić? A jakby tobie się tak zdarzyło, to co?

Trzeba czasami trochę myśleć, nie?

Przed drzwiami Malwiny to się wystraszyłam, bo nie chciała otworzyć. Zaraz mi się przypomniał taki film o gościu, który się powiesił z rozpaczy. Tylko że to z miłości było, ale przecież różnicy dużej nie ma. Na szczęście w końcu otworzyła. Ale mówię ci, rozpacz! Od razu widać, że załamana.

W mieszkaniu gorzej niż u mnie po zabawie z Oskarem. A ona w tym bałaganie siedziała i cięła na kawałki sukienkę. Kurczę, widok niesamowity! Dobrze, że przyszliśmy, bo naprawdę mogło jej coś głupiego do głowy przyjść i następna tragedia gotowa.

Próbowała mi wciskać kit, że jadła, ale nie ze mną takie numery. Ja życie znam i wystarczyło na nią popatrzeć. Zresztą do lodówki też zajrzałam, nie ze wścibstwa, ale żeby zobaczyć, jak się sprawy mają. A tam tylko światło w tej lodówce, więcej nic. Znalazłam patelnię, dobrze, że była, bo Malwina, jak to artystka, raczej do kuchni to za często nie zagląda. Zresztą może ją stać, żeby jeść na mieście.

Ja też czasami chciałabym pójść do restauracji i zjeść. Żeby mi podali, a potem sprzątnęli. Kiedyś tak będzie, mam nadzieję. Zresztą teraz, jak już jesteśmy w mieście, to chyba łatwiej pójdzie. U nas to tylko pizzeria i pijalnia piwa. A, tak, znowu? Gaduła to ze mnie jest, nie? Nie dziw się, jak mam okazję, to nie wiem, o czym najpierw opowiadać.

W każdym razie nie dałam się nabrać. Odsmażyłam leniwe i wiesz, że wszystko zjadła? Czyli miałam rację. Mądra ze mnie Wiola, co? No!

W tym czasie Róża ogarnęła mieszkanie. Ta to jest pracowita, naprawdę. Cicha taka, nic nie mówi i na delikatną wygląda, ale się roboty nie boi. Spodobała mi się. Wiesz, że nawet pranie za Malwinę dokończyła?

Potem wzięliśmy naszą artystkę w obroty. Żeby wiedziała, że nie została sama w kłopotcie. Takie wsparcie jest najważniejsze. Opowiedziała o wszystkim, jak na spowiedzi. I dobrze, bo sama wiem, że czasami człowiek musi się wyzalić, bo jak się gniecie w sobie, to ciężko jest.

Strasznie mi żal Malwiny. Ona bardzo kochała swojego ojca, zresztą z tego, co mówiła, to on był bardzo dobrym człowiekiem. Gdybym miała takiego, to też płakałabym po jego śmierci. Ja swojego prawie nie pamiętam, ale na pewno porządny nie był, skoro zostawił mamę z trójką dzieci i zniknął. Ojczym też nie lepiej – kolejną trójkę zrobił i potem to już tylko pił. Że ciężko było? Pewnie, że tak, ale nie ma co do tego wracać. Obiecałam sobie, że się z tego wyrwę i się wyrwałam. Dobra, ale nie o mnie miało być, tylko o Malwinie.

Słuchałam, co mówi o tacie, o mamie, o sobie i zachciało mi się płakać. Widać było, że cierpi. To co miałam robić? Przytuliłam ją. Żeby pokazać, że ją rozumiem i że

chciałabym jakoś pomóc. Pewnie śmiesznie to wyglądało, bo ja teraz taka mocno w przód rozbudowana jestem, ale jakoś mnie nawet objęła. Płakała, bo czułam, że mi zmoczyła bluzkę, ale nic się nie odezwałam, bo co tam bluzka, nie? Niech się dziewczyna wypłacze, pomyślałam, to jej będzie lżej.

Potem Liliana przyniosła ptysie. Ona zawsze potrafi się znaleźć. Chciałabym kiedyś być taka jak ona – w eleganckim kostiumie i na szpilkach kupować ptysie w cukierni. Mega, co? Ale do Malwiny przyszła tak normalnie ubrana, w baleriny i zwykłą sukienkę, wiesz taką dresową. Tylko że ta jej zwykła sukienka to kosztuje pewnie kilka ładnych stów. Stać ją. Nie powiem, zazdroszczę, ale i tak lubię Lilianę. Prowadzi firmę, ma kasę, a jest przecież taka normalna. Może czasami udaje zimną i wyniosłą, ale właśnie udaje, bo przecież jeśli się tak przejęła sytuacją Malwiny, to musi mieć dobre serce, nie? Jakby była nieczuła, to olałaby sprawę i tyle. Sama zjadłaby te ptysie u siebie w apartamencie. A jednak przyszła i z nami była.

Powiem więcej – pocieszała Malwinę i tłumaczyła jej, że z czasem będzie lepiej. Zgadza się z nią, bo wszystko mija, nawet najdłuższa żmija. Czyli każde zmartwienie z czasem staje się mniejsze, wiadomo. Dlatego ją poparłam.

Teraz specjalnie trochę odbiegnę od tematu, ale muszę ci powiedzieć, że coś zauważyłam. O Lilianę chodzi. Bo jak mówiła do Malwiny, to powiedziała coś takiego, że czas leczy rany, czy jakoś podobnie. I że czasem się wydaje, że stało się najgorsze, a potem się okazuje, że można to pokonać i jest dobrze. Dokładnie ci nie powtórzę, ale sens był taki. I że wie to z doświadczenia. Nie uważasz, że ona musiała jakieś straszne rzeczy przeżyć? Tak czuję. Myślisz, że mam rację? Patrz, teraz taka bogata i elegancka, a kiedyś może nie było jej za dobrze. Ciekawa jestem, o co mogło chodzić, ale przecież nie wypada pytać, nie?

Po tym wszystkim to już nie było siły, Malwina musiała się uśmiechnąć. Ucieszyłam się, że dałyśmy radę. Już ci to powiedziałam, ale powtórzę: nie ma to jak babskie spotkanie. Przecież się mówi nawet, że gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. A tym razem same się wysłałyśmy i to z dobrym skutkiem. Jakbyś zobaczyła, to przyznałabyś mi rację. Mieszkanie wysprzątane, obiadek był, nawet z deserem. Samopomoc sąsiadka na wysokim poziomie.

Potem jakiś czas się nie widziałyśmy i nawet myślałam od czasu do czasu, że szkoda byłoby stracić kontakt. Ale wiesz, jak to jest, zawsze coś mi wypadało i jak tylko chciałam zadzwonić, to coś się działo, a potem zapominałam. I tak schodziło. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłam, kiedy znalazłam w drzwiach zaproszenie od Liliany. Oczywiście poszłam.

Bardzo byłam ciekawa tego apartamentu na najwyższym piętrze. Wiadomo, że tam są najdroższe mieszkania. I powiem ci, że aż mnie zatkało. Chciałabym kiedyś mieć takie mieszkanie. Jak z jakiegoś ekskluzywnego miesięcznika. Mogliby tu przyjść i robić zdjęcia bez żadnego przygotowania. A ona się zachowuje, jakby to było normalne. Wcale się nie wywyższa, nawet się razem z nami śmiała, jak wymyślałyśmy

sposoby na pozbycie się złośliwej koleżanki Róży.

Było super. Liliana przyznała się, że ma urodziny, więc postawiła szampana. Tak w ogóle, to Malwina się spóźniła i przyszła w kapciach. Wyobrażasz sobie? Do Liliany w kapciach! Szok! No ale udało mi się to obrócić w żart i powiedziałam, że możemy założyć sąsiedzki klub kapciowy. Zgodziły się, uwierzysz? Nawet Liliana nie protestowała. Dawno nie byłam taka ucieszona. Nie ma to jak babskie spotkanie. A one wszystkie są naprawdę fajne. Nawet jak Malwina pękła i pożałowała, że nadal ma problemy z firmą i z matką, to wszystkie stanęłyśmy po raz kolejny na wysokości zadania. Bo od czego są sąsiadki-przyjaciółki?

Liliana zaproponowała, że może Malwinie pomóc w jakichś sprawach związanych z firmą. Na tym to ja się akurat wcale nie znam, ale z opowieści Malwiny zrozumiałam, że jej ojciec w budowlance robił. I przyszło mi do głowy, że...

Widziałaś Oskara? Kurczę, gdzie on jest? Poczekaj moment. Mam nadzieję, że niczego nie zmalował! Szok! Wiesz, co się stało? Spokojnie, wyobraź sobie, że zasnął. Oglądał bajkę i go zmogło na kanapie. OK, nakryłam go kocykiem i niech śpi, przynajmniej ci w spokoju dokończę. Co ja mówiłam? A, już wiem.

Pomyślałam sobie, że przecież Marcin też w tej branży działa. I co z tego wynika? A widzisz, nie wiesz. Za to ja od razu rozkminiłam, że jakby pomógł trochę Malwinie, to byłyby dwie korzyści. Raz, że dziewczynie trzeba wsparcia, bo musi stanąć na nogi, a dwa, że ona jest tutaj, to i Marcin musiałby być, żeby jej pomóc. Logiczne, nie? No widzisz!

Od razu powiedziałam o Marcinie i zdecydowałam za niego. Co prawda tego nie lubi, ale zaryzykowałam. Znam go, też ma serce na dłoni i nikomu nie odmówi w potrzebie. Kiedyś całą niedzielę u wujka drewno ciął i grosza nie wziął, bo powiedział, że starszy człowiek i pomoc trzeba. Pewnie i teraz nie będzie się wykręcał. Posiedzi trochę w domu, nie będzie wyjścia. Takie dwa w jednym, co?

Teraz tylko jakoś Marcinowi muszę powiedzieć, że Malwina będzie do niego dzwonić. Żeby nie był zaskoczony.

Po tym wieczorze to i ja się trochę lepiej poczułam. Dzisiaj rano nawet się nie wkurzyłam, jak mały mi lakierem do paznokci ścianę wymazał. I to tym z brokatem, co go najbardziej lubię. Ale machnęłam ręką, bo jak sobie pomyślę, że może Marcin trochę częściej będzie miał na niego oko i mu do rozumu przemówi, to nawet mi się krzyżeć nie chce.

Jednak dobrze kogoś poznać w nowym miejscu. Zawsze na coś się to przyda, ty komuś coś i ktoś potem tobie. Jak ze mną i Malwiną – ona mnie do domu doholowała z tego sklepu, to ja jej teraz Marcina wypożyczę. No, ale tylko do tych firmowych rzeczy, nie myśl sobie! Co się śmiejesz? Szczerze mówię, nie?



Przez ostatnie dni czuję się jak nowo narodzona. Możesz mi wierzyć albo nie, ale znalazłam coś niesamowitego. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam, więc pamiętaj, że to tajemnica. I obiecaj, że zostanie między nami. Obiecujesz? Dobra, poczekaj moment.

Synku, idź się pobawić do swojego pokoiku. Mam cioci coś do powiedzenia. Nie, nie mogę przy tobie. Kochanie, nie o wszystkim dzieci muszą słuchać. Wiesz dobrze, że niektóre sprawy są tylko dla dorosłych. Nie krzyw się, bo ci tak zostanie. No, maszeruj już!

OK, teraz pogadamy. Kupiłam mu nowy dźwig, to ma zajęcie. Pewnie się znudzi za kilka dni, ale na razie mam trochę spokoju. I dobrze.

Jak ci powiem, że uwielbiam internet, to się raczej nie zdziwisz. Kto nie lubi, nie? Wszystko tam jest. Najczęściej oglądam ciuchy i buty, ale też dużo czytam. Jak mi coś potrzeba – do domu, czy nie wiem, jak zrobić, to zaraz włączam laptopa i znajduję. Lepsze niż encyklopedia. I obrazki są, co?

Czasami, przyznam ci się, to były chwile, że mnie internet wkurzał. Bo jak oglądałam, to mi było smutno, że nie mogę mieć. Kiedyś też próbowałam się makijażu nauczyć z takiego poradnika na YouTube, ale nie dałam rady. Wszystko tak szybko pokazują, że nie można załapać, nawet jak się zatrzymuje. Trochę też ściemniają. Pamiętam, jak zamówiłam sukienkę, co na zdjęciu wyglądała super, a przyszła szmata taka, że lepsze mam ścierki w kuchni. Uważać trzeba. Ale generalnie lubię i korzystam. Nawet w telefonie mam. Ty też? Mnie się przydaje na spacerach, jak Oskar się z jakimś dzieciakiem bawi w piaskownicy, to się nie nudzę, tylko zawsze coś znajdę ciekawego.

O czym ci chciałam powiedzieć? Właśnie do tego zmierzam. Bo to w internecie jest. Tylko po kolei. Najpierw było tak, że chciałam znaleźć krem na rozstępy. A właściwie przeciw rozstępom. Strasznie się boję, że mi się zrobią, bo ten brzuch mam coraz większy. Przy Oskarze tak nie było, a teraz to istny horror. I co zrobię, jak urodzę, a ta skóra zostanie? Albo właśnie rozstępy będą. Ohydnie to wygląda, wstydziłabym się Marcinowi pokazać. Postanowiłam przeciwdziałać, póki czas. Wpisałam w przeglądarkę „seksowne po ciąży”, czy tam coś podobnego, a tu mi wyskoczyły same strony erotyczne. Najpierw chciałam wykasować, ale potem coś mnie podkusiło i zaczęłam trochę oglądać i czytać. Czy ty wiesz, że dla wielu facetów kobieta w ciąży jest bardzo podniecająca? Ja to pojęcia o tym nie miałam. Ci goście to specjalnie szukają kobiet z brzuchami, bo to im się podoba. No mówię ci, szok przeżyłam! Żebyś wiedziała, jak się tym zachwycają!

Nie lubię pornosów, nie myśl sobie, nie podnieca mnie to. Mam koleżanki, co lubią, ale sama sprawdziłam, że ja nie. Tylko tutaj było zupełnie coś innego. Nie chodziło o filmy, po co mi to. Najbardziej podobało mi się, jak czytałam, co faceci piszą o ciężarnych. No, jak je opisują. Naprawdę pięknie czasami. Były też takie bardziej,

wiesz, świńskie teksty, ale i tak wychodziło na to, że się podobają. W końcu to wyłączyłam, ale mi spokoju nie dawało.

Wieczorem wyszłam spod prysznic i jak się wycierałam, to spojrzałam w lustro. Powiem ci, że dawno tego nie robiłam, bo nic fajnego w oglądaniu, jak ci kilogramów przybywa, nie poznajesz swoich kolan, a ręce masz jak sześćdziesięcioletnia ciotka – takie obwisłe flaki. Przesadzam? Może jak ktoś w ciąży tyje piętnaście kilogramów, to tak nie widać, ale mnie już dwadzieścia przybyło, a gdzie do końca? Jak chcesz znać prawdę, to patrzeć na siebie nie mogłam. Wolałam się odwracać.

A przedwczoraj popatrzyłam. I przypomniałam sobie o tych stronach w internecie. I o kobietach ze zdjęć. Stawały w prowokujących pozach, wcale się nie wstydziły. Toteż postanowiłam spróbować. Obejrzałam się ze wszystkich stron i doszłam do wniosku, że w sumie mogłabym się komuś spodobać, nawet taka jak jestem teraz. Jakbym się umalowała i założyła pończochy... Dobra, pończoch nie miałam i nie zamierzałam kupować, bo potem mi się do niczego nie przydadzą. Ale makijaż to mogę zrobić, nie?

Lepiej się poczułam. Jakaś taka piękniejsza. I atrakcyjna. Przyznam ci się, że nawet się zastanawiałam, czy nie napisać do któregoś z tych facetów. Bo ci nie mówiłam, ale tam było też forum do zawierania znajomości. Fajnie byłoby, jakby się tak ktoś mną troszkę pozachwycał. Tak, Marcin mówi, że mu się podobam, ale wiesz, kobieta czuje prawdę. Kiedyś jak mówił takie rzeczy, to w głosie było czuć, co ma na myśli. A teraz to tylko tak, żeby mi nie było przykro. A takiemu z internetu to naprawdę bym się podobała. No ale jak dłużej pomyślałam, to doszłam do wniosku, że nie będę tam pisała. Bo musiałabym pewnie zrobić zdjęcie, a nie będę fotek obcym facetom wysyłać. Taka głupia to nie jestem.

Ale poczekaj! Jeszcze nie koniec. Wymyśliłam coś innego. Przecież dopóki się twarzy nie pokaże, to w internecie nikt nie wie, jak naprawdę wyglądasz. Możesz napisać, co chcesz i nie da się sprawdzić. Tym tropem poszłam.

Teraz dopiero słuchaj, bo będzie prawdziwa bomba! Zarejestrowałam się na portalu randkowym. Takim do zawierania znajomości. Zrobiłam sobie profil, oczywiście nieprawdziwy. Jestem tam Milutka30, czujesz? Jaja jak nie wiem co! Mam już chyba z trzydziestu znajomych. Nawet byś nie pomyślała, ilu facetów do mnie pisze! Wybrałam kilku i sobie z nimi koresponduję. Bajerkę to ja zawsze miałam dobrą, więc idzie nieźle. Wymyślam na potęgę, a oni to wszystko biorą. Myślisz, że nie wierzą? E, chyba wierzą. A, co mnie to w sumie obchodzi. Ważne, że wreszcie się nie nudzę.

Codziennie mam kilkanaście wiadomości. A każdy pisze same miłe rzeczy. Okazuje się, że potrafię zainteresować facetów, nawet jak mnie nie widzą. To naprawdę fajne. Jak czytasz, że jesteś miła i inteligentna, to ci się od razu więcej chce. Przynajmniej ze mną tak jest. Wczoraj zrobiłam sobie maseczkę, dzisiaj powalczę z pedicure'em, pod warunkiem, że dam radę jeszcze dosięgnąć do stóp. A nawet jak nie, to pomaluję na świeżo paznokcie u rąk, bo na kolejną wizytę u kosmetyczki jeszcze trochę muszę poczekać, a już odrosły i słabo wyglądają.

Nie patrz tak na mnie! Czy ja robię coś złego? Przecież nie. Fajnie jest poczuć znowu, że mogę się komuś podobać. Już nie pamiętam, kiedy obejrzał się za mną na ulicy jakiś mężczyzna. Tak, możesz sobie gadać, że to głupie, ale co ja poradzę, że lubię. Gwizdy i chamskie zaczepki to nie, ale zauważyć, że się podobasz, to przyjemne. Przynajmniej dla mnie.

Czy to w porządku wobec Marcina? Myślisz, że mi to do głowy nie przyszło? Owszem, przyszło, ale przecież ja mu krzywdy nie robię. Nie zamierzam go zdradzać, nikt nie wie, że Milutka30 to ja. I się nie dowie. Nie myśl sobie, ja z tymi gośćmi z portalu o seksie nie rozmawiam. Może trochę czasami flirtuję, ale nie wprost i nic konkretnego. Tylko żeby było miło. Jak chcesz wiedzieć, to wolałabym tak rozmawiać z Marcinem, ale z nim się nie da. Poza tym go nie ma. A jak nawet gadamy przez Skype'a, to widzę, że dla niego jestem żoną, ale nie kobietą. Pyta o zakupy, o dziecko. I wszystko mu jedno, jak wyglądam. Niczego nie zauważy. A tamci wypytyują o to, co lubię, jak się czuję. Jeden to zapamiętał, że podobają mi się żółte róże i codziennie mi wysyła zdjęcie z takimi różami. A Marcina zapytaj, jaki jest mój ulubiony kwiat – ciekawe co powie?

No to co komu szkodzi, że sobie popiszę z kilkoma osobami. Łatwiej mi dzięki temu i weselej. Dla dziecka jestem miłsza, zresztą dla męża też. Taka odskocznia od codzienności. Każdy może mieć przecież jakieś hobby, nie?



Dobra, niech będzie, że jestem zołza, ale w niedzielę już naprawdę nie wytrzymałam. Powiem ci zaraz, o co chodzi i na pewno przyznasz mi rację. Bo każdy na moim miejscu miałby dość.

Jakby to powiedzieć, żeby nie było, że koloryzuję. Po prostu? No dobra, będzie po prostu. Pożarłam się z Marcinem. Bo powiedzieć, że pokłóciłam, to za mało. Tak mnie wkurzył, że nie dałam rady się powstrzymać.

Przyjechał na weekend i miałam nadzieję, że mnie jakoś odciąży, bo chciałam mieć chociaż z godzinkę albo dwie dla siebie. Planowałam, że skoczę na paznokcie. Robisz sobie? Nie wiem jak ty, ale ja jestem fanką „żeli”. Pierwszy raz mnie koleżanka namówiła chyba trzy lata temu. Nie bardzo chciałam, bo mnie się nigdy żaden lakier dłużej niż dwa dni nie utrzymał. Wiadomo, trzeba było różne rzeczy robić, to zawsze się albo paznokieć ułamał, albo lakier odchodził. Przyzwyczyłam się i malowałam przed samym wyjściem na dyskotekę albo do knajpy. Żeby było na świeżo i jakoś wyglądało. Nie wierzyłam, że może być coś takiego, co utrzyma mi się na palcach chociaż kilka dni. Tylko że Jolka tak mi głowę truła, bo skończyła kurs i na wszystkich chciała próbować. I to było odkrycie! Okazało się, że kilka dni to mało. Miałam superpazurki przez kilka tygodni. Bez problemu, czujesz? Teraz już sobie nie

wyobrażam, żeby nie robić. Dłonie są wizytówką kobiety, nie? Wolę sobie odmówić czegoś innego, ale paznokcie muszę mieć i koniec. A jakby nie patrzeć, bardzo drogie to nie jest. Można jakoś wygospodarować tę kwotę, a miło popatrzeć na swoje ładne dłonie, zgodzisz się?

I tak jak ci mówię – planowałam pazurki. Tłumaczę Marcinowi, że się umówiłam, dosłownie dwa kroki od domu znalazłam świetną dziewczynę, która robi i na dodatek zgodziła się przyjść w sobotę po południu.

– Myślałem, że pojedziemy na zakupy. A potem może gdzieś na spacer z Oskarem. – Już po minie Marcina poznałam, że mu to nie pasuje.

– To pójdziesz z nim na spacer sam. Ja codziennie to robię.

– Rzadko mamy okazję być całą rodziną...

– OK, nie ma sprawy. – Zgodziłam się, bo w sumie mnie też tego brakowało. – To przełożymy spacer na niedzielę, co?

– W niedzielę mi nie pasuje. – Pokręcił głową. – Nie możesz tych pazurków zrobić za tydzień?

Już byłam wkurzona. Przecież doskonale wiedział, że to dla mnie ważne. Od lat to robię i chyba powinien się przyzwyczaić. A jeszcze teraz, kiedy mam tak mało czasu dla siebie. Naprawdę znowu musiałam z czegoś zrezygnować? Czy to, że mam dziecko, oznacza, że jestem w więzieniu i nie mogę nigdzie wyjść sama albo zrobić czegoś, co lubię?

– A możesz mi powiedzieć, co tak ważnego masz do zrobienia w niedzielę? – fuknęłam, bo nie potrafiłam ukryć swojej złości. – Może będziesz cały dzień spał?

– A wiesz, że bardzo by mi się to przydało – odpowiedział i usłyszałam, że też jest podenerwowany. – Tylko że nie mogę. Umówiłem się z twoją nową koleżanką, żeby po raz kolejny wytłumaczyć jej to samo, co wyjaśniałem już tysiąc razy.

– No to zadzwoń i powiedz, że nie możesz. – Wzruszyłam ramionami. – Jak już jej mówiłeś, to niech teraz sama robi.

Usiadł na fotelu, założył nogę na nogę i nerwowo poruszał stopą. Robił tak zawsze, kiedy był wkurzony.

– Nie mogę, bo już się umówiłem. Wiesz, że nie lubię takich sytuacji.

– Ty nie możesz, a ja mogę? Ja wszystko mogę? Ganiać za dzieckiem całe dnie, zakładać mu treпки co piętnaście minut, chociaż trudno mi się schylić przez ten brzuch. I jeszcze gotować, sprzątać, układać wieże z klocków. Wszystko mogę! – Nie potrafiłam nad sobą zapanować i krzyczałam coraz głośniej. – Nie, przepraszam, nie wszystko. Nie mogę iść do kosmetyczki, nie mogę wyglądać jak człowiek! Bo ty zaplanowałeś już wszystko. I to oczywiście nie pytając mnie o zdanie.

Marcin poruszał stopą w coraz szybszym tempie, ale ja nie zwracałam już na to uwagi.

– Nie ma cię cały tydzień, a teraz jeszcze nie będzie w weekendy? Co ja jestem? Niewolnica jakaś czy co?! Kupiłeś mnie sobie za to mieszkanie?! A może zapomniałeś,

że masz żonę? Bo ja chyba niedługo zapomnę, że mam męża. A dziecko zapomni, jak wygląda jego ojciec. Hełoł, jesteście tutaj. Masz rodzinę, a nie tylko firmę, a może się mylę?!

Marcin gwałtownie wstał.

– Dość! Przestań natychmiast!

– Nie próbuj mnie uciszać! Nie będę tego wszystkiego dłużej znosić! – Moje wkurzenie było coraz większe. Próbowałem na mnie krzyczeć, czujesz?

– To nie znoś! Rób, co chcesz! Przypomnę ci tylko, że masz to na własne życzenie. Chciałaś szybko mieszkanie – masz. Chciałaś się wyprowadzić od mojej mamy – wyprowadziłaś się. A teraz chciałaś, żebym pomagał Malwinie, więc pomagam. To może zastanów się, zanim kolejny raz będziesz jeszcze czegoś ode mnie chciała, co? Nie jestem maszynką do pracy i zarabiania kasy! A może ja też chciałbym kiedyś odpocząć? Cały tydzień haruję, w weekendy robię, co mogę, żeby ci ulżyć. A tobie jeszcze źle?! Weź się, kobieto, trochę zastanów, dobrze? Ja rozumiem, że ciąża i te inne kobiece sprawy, ale zaczynasz przeginać.

– Ja?!

– Tak, ty. Zastanów się lepiej nad tym, bo może nie tylko ty masz dość, wiesz?

I poszedł do pokoju Oskara.

Nie odezwałem się do niego przez cały weekend. Sam zrobił zakupy i zabrał małego do bawialni. A ja poszłam na paznokcie. Po raz pierwszy się tak pokłóciliśmy. Weź mi powiedz, co o tym myślisz, bo mnie się zdaje, że to jednak on trochę przesadził. Dobra, nie zapanowałam nad sobą, ale w końcu czy ja dużo chciałam? Dwie godziny to tak wiele? Proszę cię!

Z drugiej strony byłem też wkurzona na Malwinę. Myślałam, że to jakoś inaczej będzie wyglądało. A okazało się, że ona zawraca mu głowę o byle co i jeszcze zwała na niego swoją robotę. Trochę to nie w porządku, nie sądzisz? A weekendy to już przesada. Przecież wie, że mamy dzieciaka i że mnie jest ciężko. Coś trzeba będzie z tym zrobić. Pomoc pomocą, ale bez jaj – ile można?

Myślałam o tym przez kolejne dni. Złość na Marcina już mi przeszła, bo wiesz, ja taka jestem, że łatwo się denerwuję, ale potem mi mija. Nie potrafię długo się obrażać. Za to Marcin się zaciął i jak dzwonił, to był taki jakiś oficjalny, jak nie on. Tylko pytał, jak się czuję i czy z Oskarem w porządku. W sumie, to mógłby odpuścić, bo ja próbowałam zagadnąć, pokazać, że już nie jestem obrażona. A on nic. Jakby mu wcale nie zależało. Może mu wygodniej tak rzadko dzwonić? Albo miałam rację i już mu tak bardzo na mnie nie zależy? Przecież kłótnie się zdarzają, normalne. Tylko potem trzeba się jakoś pogodzić, nie? Ja próbuję, ale on jakoś nie chce czy co?

Dobrze, że mogę czasami sobie popisać na tym portalu, co ci mówiłam. Bo inaczej to pewnie załapałabym totalnego doła. A tak jakoś dawałam radę. Nie, żebym nie chciała się z Marcinem pogodzić, bo chciałam. Ale jak on nie, to ja się prosić nie będę. Są inni,

co potrafią być mili dla kobiety. I wolą, jak ma charakter, a nie takie ciepłe kluchy. Tak, żebyś wiedziała, tak mi właśnie jeden napisał.

Przestań! Kocham Marcina, już ci mówiłam. Tylko nie musiał się tak wydzierać. Przecież wiem, że ta sprawa z Malwiną to moja wina, ale żeby się prawie przez nią nie odzywać? Bez przesady!

I żebyś wiedziała, że mi zależy i rozumiem swój błąd, to ci powiem, że rozmawiałam o tym z Lilianą. Spotkałyśmy się przypadkiem, przed blokiem. Jakoś się zgadało i okazuje się, że ją też Malwina zamęcza swoimi sprawami. To samo mówiła, co Marcin – że ta nasza artystka niczego nie zapamiętuje. Trudno uwierzyć, nie? Przecież nie wygląda na głupią.

Nawet myślałam, żeby do niej zadzwonić, ale w końcu doszłam do wniosku, że to bez sensu. Bo co ja jej powiem? Żeby przestała zawracać głowę Marcinowi? Głupio tak. A poza tym przecież jakby nie musiała, toby tego nie robiła. A zostawić ją bez pomocy, to trochę nie w porządku. Sama wiem, jak to jest mieć wszystko na głowie i jak nie ma na kogo liczyć. No i w końcu zrezygnowałam, bo nie wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Liliana chce jej wprost powiedzieć, że przesadza, ale mnie jakoś tak niezręcznie. Ciągłe mi się przypomina taka zapłakana. I jak się do mnie przytulała. Żal mi jej, serio. Tak, jestem pewna, że pogadać trzeba, ale może jakoś delikatnie? A Liliana jest taka zdecydowana. Troszkę jej tego zazdroszczę, czasami chciałabym tak umieć – zero emocji, spokój, wie, czego chce. Ja jakoś nie potrafię. Może się nauczę, jak dzieci odchowam. Bo przy Oskarze to nie masz szans, żeby spokój zachować. Szczyt możliwości to nad nim zapanować. Sama zresztą widzisz, jak to wygląda.

A, miałam o Malwinie mówić! Chociaż właściwie już wszystko powiedziałam. Liliana jest mocno wkurzona, chociaż oczywiście stara się tego nie okazywać. Pogadałyśmy tylko chwilę, bo Oskar już zaczynał pokazywać rogi. W każdym razie ustaliłyśmy, że się tym zajmiemy. Na razie bez konkretów, ale jak znam Lilianę, to na pewno coś wymyśli. Żeby tylko za bardzo nie wsiadła na Malwinę, bo jakby nie patrzeć, to dziewczyna w żałobie. Nic, zobaczymy, co z tego wyniknie. Najważniejsze, że może uda się Marcina z tego wyplątać. Ucieszyłby się na pewno.

Oskar, synu, czy ty możesz nie przerywać, jak mama rozmawia? Tyle razy ci mówiłam, że grzeczny chłopiec tak nie robi. Zaraz skończymy i pokażesz cioci nowy samochód.



Normalnie jestem taka podekscytowana, że nie mogę usiedzieć na miejscu! Mówię ci, ale się porobiło! Nigdy nie podejrzewałam, że mogę się czymś tak przejmować. To znaczy, czymś fajnym. Bo ogólnie ja się przejmuję wszystkim, a właściwie to martwię.

Tak sobie właśnie uświadomiłam przy okazji. Że zawsze musiałam się o coś martwić – najpierw o mamę, że jej ciężko, o rodzeństwo, żeby wszystko było jak należy, a potem o Marcina i Oskara. Ciągłe się przejmuję – czy kredyt spłacimy, czy maleństwo przyjdzie zdrowe na świat, czy młody zje kotleta, bo mu mięso nie bardzo podchodzi.

A nigdy tak bardzo się nie cieszyłam, jak się przejmuję. Nawet z tego mieszkania. Niby radość, ale razem z tym problem – bo trzeba zacisnąć pasa i spłacić. Nowy ciuch – ale można było kombinezon na zimę dla Oskara kupić. I tak w kółko. A tu mam radochę i żadnych problemów.

To było tak: zajrzałam na portal i zobaczyłam, że mam nową wiadomość. Patrząc na nick, ale nie znam gościa. Zaciekawilo mnie, bo każda nowa znajomość to na początku jest taka fajna niepewność – czy się dogadamy, czy polubimy, jaki jest. No wiesz, tak samo jak w rzeczywistości. Widzisz kogoś pierwszy raz i też ci zależy, żeby dobrze wypaść, nie?

Otwieram tę wiadomość, a tam po angielsku napisane. Kurczę, załamalam się. Bo ja owszem, miałam angielski w liceum, ale nikt się specjalnie nie przejmował – ani nauczycielka, ani my. Coś tam trzeba było zaliczyć, wiadomo, ale albo na pamięć, albo ci, co chodzili na kursy, to podpowiedzieli. Skończyło się tak, że niby jakieś podstawy mam, ale tyle lat minęło, że nawet z tego dużo zapomniałam.

Próbowałam tłumaczyć z takim programem z przeglądarki i sens zrozumiałam, chociaż momentami straszne bzdury tam wychodzą. No, ale mam przecież swój rozum i dałam radę sens ogarnąć. Ten facet, co pisał, jest ze Stanów Zjednoczonych. Szuka przyjaznej duszy i chciałby poznać Polkę, bo podobno są miłe i dobre. Mnie wybrał, bo widział, że mam wielu znajomych i pomyślał, że jeśli mnie ludzie lubią, to muszę być sympatyczna. I chciałby ze mną pisać, żeby mnie lepiej poznać. Fajnie, nie?

Bardzo chciałam mu odpisać, ale wiedziałam, że nie dam rady. Już widzę, jakby mi ten internetowy tłumacz to przełożył. Gość pomyślałby, że jestem jakąś analfaberką. A znowu po polsku odpisać, to głupio, bo ten angielski wypadaloby znać. Jak to: po co mi to? Normalnie, żeby poznać nowego człowieka. Może czegoś się o świecie dowiem? Nigdy nie znałam nikogo ze Stanów. A jestem bardzo ciekawa, jak tam się żyje. Przecież porozmawiać to nic straszego.

Cały dzień myślałam, jak sobie poradzić, aż wreszcie przypomniało mi się, że przecież Róża jest nauczycielką angielskiego. Wzięłam Oskara i poszłam do niej.

– Idziemy do tej cici, która ma kotki – powiedziałam. – Ale musisz być bardzo grzeczny, bo jak one się zdenerwują, to ciocia też. I będziemy musieli wracać.

Obiecał, że będzie się dobrze zachowywał i muszę powiedzieć, że pierwszy raz widziałam go takiego. Siedział na podłodze i prawie się nie ruszał. Jakby go te koty zahipnotyzowały. Tylko gapił się na nie i nic nie mówił. Takie oczy miał wielkie i widziałam, że jest bardzo przejęty.

A kocury piękne. Nie to, co dachowce u teściowej. Te są takie szare, ale jakby trochę błękitne. I mają superpuchatą sierść. Chodzą tak dostojnie, przyglądają się z daleka.

Jakby były królami kotów normalnie. Mega!

Jak zobaczyłam, że Oskar siedzi spokojnie, to od razu powiedziałam Róży, o co mi chodzi.

– Kochana, proszę cię, przetłumacz mi kilka zdań na angielski. Zależy mi.

Wysłuchała mnie i zgodziła się, chociaż widziałam, że nie bardzo jej się to podoba. Powiedziałam, co chcę odpisać i zapisała mi wszystko na kartce.

A, jeszcze jeden news ci sprzedam. Kiedy brała notes, żeby mi napisać tę odpowiedź, to wypadły na podłogę zdjęcia. Ale jakie! Była na nich Róża, chociaż ledwie poznałam. Mówię ci, piękna jak nie wiem co. Taka jakaś inna niż na co dzień. Jakby się cofnęła w czasie i była jakąś szlachcianką czy księżniczką. Cudo!

Zapytałam od razu, bo wiesz, że u mnie to niedługo. Róża się trochę zawstydziała, jak to ona, ale powiedziała, że to Malwina jej zrobiła te zdjęcia.

– Wyszłaś niesamowicie. – Pochwaliłam, bo tak było. – Powinnaś zawsze włosy rozpuszczać. I trochę się podmalować, jak na tych zdjęciach. Bardzo sexy to wygląda.

– Daj spokój. – Speszyła się. – Nie czuję się dobrze w takiej... stylizacji. I co by uczniowie powiedzieli!

– Zakochaliby się w swojej nauczycielce. – Roześmiałam się, ale jakoś nie podzielała mojej radości. Szybko schowała zdjęcia. Dziwię się, bo jakbym takie miała, to chyba wytapetowałabym nimi ściany. Obiecałam, że jak urodzę i trochę dojdę do siebie, to poproszę Malwinę o taką sesję. Nawet zapłacę, bo warto. To jednak artystka, serio!

Wypiłyśmy herbatę i stwierdziłam, że pora wracać do domu. Oskar musiał zjeść kolację.

– A będę mogła jeszcze kiedyś wpaść? – zapytałam, bo przecież wiedziałam, że jeśli tamten odpisze, to znowu będę w potrzebie. – Albo mogłabym ci e-mailem pisać. To zawsze krótko będzie. Odwdzięczę się jakoś – prosiłam, chociaż nie bardzo wiedziałam, co mogłabym dla niej zrobić.

– Wolałabym tego nie robić. – Złożyła ręce na kolanach jak uczennica. – I, jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że powinnaś się zastanowić.

– Niby nad czym?

– Po pierwsze nawet nie wiesz, czy on jest tym, za kogo się podaje. Powinnaś być ostrożniejsza, nawet dzieci w gimnazjum o tym wiedzą. Pomyśl – mówiła do mnie takim tonem, jakbym była jej uczennicą – sama się ukrywasz, to dlaczego ktoś inny nie może robić tego samego?

– Nawet jeśli, to co? – Byłam trochę zła, że chce zepsuć mi przyjemność. – Przecież nie zamierzam się z nim umawiać.

– Może i tak. Ale mimo to, myślę, że to trochę nie fair wobec twojego męża. Coś, jakby... – zawahała się, ale dokończyła: – ...zdrada.

– Nie przesadzaj, dobrze? Jaka zdrada? Rozmowa przez internet? Daj spokój!

– Czasami od rozmowy się zaczyna...

– A w moim przypadku też się kończy. Zresztą, nie ma o czym mówić. Jak nie

chcesz, to nie. Nie ma sprawy.

– A jak Marcin się dowie? Będzie mu przykro.

– Nie dowie się. No bo ty mu chyba nie powiesz? – Trochę się zaniepokoiłam. – W ogóle nikomu nie mów, dobra? Jakby co, to przed resztą dziewczyn też mnie nie zdradź. Obiecujesz?

Obiecała. I w końcu zgodziła się nawet, że jeszcze kilka razy mi pomoże. Ale czuję, że to długo nie potrwa. I wiesz, co wymyśliłam? Że muszę sobie przypomnieć ten angielski. Nawet już ściągnęłam próbną lekcję z internetu i okazuje się, że sporo pamiętam. Powinnam dać sobie radę. Co prawda taki kurs kosztuje, ale można wpłacać w ratach. Jakoś to rozpracuję, żeby się Marcin nie zorientował. Myślisz, że to dobry plan? Uda się?

A teraz czekam, czy ten Amerykanin odpisze. Ciągłe zaglądam na portal. Bardzo jestem ciekawa, czy moja odpowiedź go zainteresuje. To byłoby naprawdę coś!



Trochę się wydarzyło ostatnio, bardzo dużo nawet. Wszystko ci opowiem, bo jest o czym, serio. Sytuacja zmieniała się jak w serialu, ciągle nowe rzeczy i to zupełnie niespodziewane.

Najpierw zadzwoniła Liliana i stanowczo stwierdziła, że trzeba pogadać z Malwiną. Tak coś przeczuwałam, że długo nie wytrzyma. Tylko ja nadal nie byłam przekonana, czy tak prosto w oczy wywalić prawdę to dobry pomysł. Ale wiesz, czułam, że jeśli czegoś nie zrobię, to Liliana jednak nie wytrzyma.

Tak się złożyło, że Marcin miał zabrać Oskara do teściowej na weekend. Ja? No co ty, mowy nie ma! Zresztą między nami nadal było niezbyt fajnie. Niby rozmawialiśmy, ale cały czas, od tej kłótni, jakoś tak sztywno i jakby z obowiązku. Męczyło mnie to, ale nie miałam zamiaru dłużej się prosić o zgodę. Tyle razy próbowałam zagadać normalnie i żadnego skutku. I gotowałam pod Marcina, jak przyjeżdżał, i proponowałam wspólne zabawy. Godził się, ale prawie nic do mnie nie mówił, tylko do Oskara. No to miało prawo mi się znudzić. Zresztą on też mógłby powiedzieć coś miłego, nie? No właśnie. Więc jak powiedział, że chce jechać z synkiem do babci, od razu uprzedziłam, że ja się nigdzie nie wybieram. Nie mógł zaprotestować, zresztą wie, że jego matki to mam naprawdę dość na długo.

Kiedy zadzwoniła Liliana, już wiedziałam, że będę sama przez cały weekend, więc szybko zaproponowałam, żeby się u mnie spotkać. Bo wiesz, stwierdziłam, że lepiej jak będziemy rozmawiać z Malwiną we trzy, niż jakby Liliana miała sama to zrobić. Ja tam nie chciałam być z nią sam na sam w takiej sytuacji. I właśnie dlatego zwołałam zebranie klubu kapciowego w moim mieszkaniu.

Posprzątałam, przygotowałam wszystko, chociaż wiedziałam, że apartament to nie

jest. Ale z drugiej strony przynajmniej porządek był, nie to, co u Malwiny. I zrobiłam dwie sałatki, podałam wędlinę, nawet schab sama upiekłam. A na koniec miałam zaplanowany deser – tiramisu, na które znalazłam przepis w internecie. To teraz modne, wszędzie się słyszy, więc miałam nadzieję, że dziewczyny docenią.

Przyszły wszystkie, oprócz Malwiny. Już dwa dni wcześniej próbowałam się do niej dodzwonić, ale nie odbierała. Byłam pod drzwiami, też nie otworzyła. Zostawiłam karteczkę, żeby się skontaktowała i też nic. Mogłyśmy posiedzieć bez niej, ale rozumiesz, to spotkanie było głównie po to, żeby z nią pogadać. No to po nią poszłam. Zdenerwowałam się, bo nie otwierała, ale wreszcie udało mi się do niej dobić i prawie siłą ściągnąć do mnie.

Powiem ci, że nie wyglądała dobrze. Od razu wiedziałam, że jest w kiepskiej formie. Nawet sobie pomyślałam, że może lepiej dać jej spokój, bo dziewczyna ledwie się na nogach trzyma. Widać, że nie daje rady. Pewnie jakoś bym Lilianę powstrzymała, ale sama Malwina sprowokowała burzę. A tam burzę, tajfun!

Mówię ci, my do niej z sercem, tłumaczymy, że się martwimy, a ona na to, że ma to gdzieś. I zaczęła o szczerości. No to Lilianę aż podrzuciło. I się zaczęło.

Malwina pojechała po bandzie. I do mnie, i do Liliany miała pretensje. Czujesz? A jak powiedziała, że Marcin się na nią wypiął, to myślałam, że coś mi się stanie. Normalnie dostałam jakiegoś ścisku w klatce piersiowej. Przypomniał mi się tamten weekend, kłótnia z Marcinem, to wszystko co jest teraz i nie mogłam złapać tchu. Myślałam, że zemdleję, jak wtedy w sklepie. Na szczęście Liliana podała mi wodę.

I ja się nad Malwiną litowałam! Żal mi jej było, a tu proszę – żadnej wdzięczności, a jeszcze pretensje. Wygarnęłam jej trochę, mimo że oddechu mi brakowało. Ulżyłam sobie, chociaż tego nie planowałam. I wcale nie żałowałam, bo sama się prosiła. Rozumiem, że można mieć ciężko, bo też miałam, ale jakiś rozsądek to jednak trzeba zachować. I szanować ludzi, którzy chcą pomóc, nie? Doceniać trochę, bo wcale to nie jest takie oczywiste. A ta miała trzy chętnie i jeszcze jej źle. Ile ja bym nieraz oddała za to, żeby mi ktoś chociaż raz zakupy do domu przyniósł. No mówię ci, naprawdę mnie wkurzyła.

Liliana dodała swoje. Tylko Róża jeszcze próbowała jej bronić, ale Malwina wcale nie wyglądała na wdzięczną za to. Obraziła się i po prostu wyszła. Tego to się naprawdę nie spodziewałam, serio.

Za to jakaś korzyść jednak z tego spotkania wynikła. Bo kiedy Malwina wyszła i ja już doszłam do siebie, Liliana zaproponowała mi całkiem fajną rzecz. Wiesz o tej jej kuzynce, Agnieszce? No, to swoją drogą też ciekawa sprawa. Nie wiem dokładnie, jak to było, ale z tego, co Liliana mówiła, to rodzice dziewczyny nawet jej nie uprzedzili, że chcą, żeby córka zamieszkała z Lilianą. Taka rodzinna wizyta, a wyjeżdża o jedną osobę mniej. Cyrk po prostu! Nie wiem, jak im się udało przechytryć Lilianę, że nie odwiozła tej małej do domu, ale to nie moja sprawa. W każdym razie ta Agnieszka chodzi tutaj do szkoły i nawet bierze u Róży korepetycje z angielskiego.

A teraz okazało się, że chce sama zarabiać. Nie wiem, czy to przypadkiem nie pomysł Liliany na wychowanie dziewczyny, ale nawet jakby, to uważam, że bardzo dobry. Trzeba wiedzieć, co to praca i że pieniądze na drzewach nie rosną. Potem się bardziej szanuje to, co się ma. Wiadomo, że Lilianę stać na utrzymanie kuzynki, ale jak Agnieszka sama zarobi, to inaczej będzie wydawać. Dwa razy każdy grosz obróci, zanim się zdecyduje. Co, ja nie pamiętam, jak u mnie było? Pracowałam przy truskawkach po czternaście godzin, żeby na buty markowe zarobić, a jak dostałam wypłatę i pomyślałam o tych godzinach na polu, w słońcu, to wszystko odłożyłam, bo mi żal było w sklepie zostawić. To, że potem i tak poszło na życie, to już inna historia. Nie bardzo lubię wspominać tamte czasy, więc wystarczy.

Bo miałam ci mówić o Agnieszce. Postanowiłyśmy, że będzie do mnie przychodzić i pomagać mi w domu. Z nieba mi to spadło, nie ukrywam. Miałam już kiedyś taki pomysł, ale głupio mi było Marcinowi powiedzieć. Bo to dodatkowe pieniądze, a poza tym wyszłoby na to, że sobie nie radzę. I bałam się, że mi swoją mamę przywiezie. A tak to powiem, że pomoc sąsiedzka i że niedrogo, to może jakoś przełknie.

Od razu się ucieszyłam, bo to oznaczało, że będę miała trochę oddechu. Dlaczego tak mi się przyglądasz? O dobra, na portal też, bo lubię to i już. Ale zaczęłam ten kurs angielskiego, chyba ci wspominałam? No, właśnie. Zapisalam się. Policzyłam sobie, że jak nie będę kupować w tym sklepie naprzeciwko bloku, tylko wiesz, w Lewiatanie, i jak Oskarowi wytłumaczę, że batonik będzie co dwa dni, a nie codziennie, to zaoszczędzę tyle, że na raty wystarczy. Bałam się tylko, że czasu zabraknie, a tu proszę – rozwiązanie samo przyszło. No i bardzo dobrze.

Nie zauważyłaś, że Oskara nie ma? No właśnie, tak cicho jest, prawda? Poszedł z Agnieszką na spacer. Ma dziewczyna podejście do dzieci, muszę przyznać. A może po prostu więcej cierpliwości? I siły. Mały zadowolony, bo nowa ciocia się nie denerwuje, opowiada mu bajki o zwierzętach i lubi budować garaże z klocków. Czyli wszystko na razie idzie dobrze.

Co z Malwiną? Właśnie miałam ci opowiedzieć. Bo od spotkania u mnie przestała się odzywać. To było do przewidzenia. Ja też nie miałam zamiaru dzwonić, bo mnie wkurzyła zdrowo. Nie powiem, czasami się zastanawiałam, co u niej słychać i czy w końcu sobie jakoś poradziła, ale przecież narzucać się nie będę. A jeszcze po czymś takim. Zgodzisz się, nie?

Aż tu, wyobraź sobie, kilka dni temu zadzwonił Marcin. Nie no, dzwoni, oczywiście. Jak między nami? Do tamtego dnia właśnie cały czas było niezbyt dobrze. I o to też miałam żal do Malwiny. W sumie to przez nią tak się porobiło. Wiadomo, że to też nasza wina, że się nie dogadujemy, ale dopóki jej nie pomagał, to jeszcze było dobrze. Przecież ci o tym mówiłam. I złość mnie brała, jak myślałam, że mnie się małżeństwo sypie, a ona jeszcze jakieś pretensje ma. Nawet żałowałam chwilami, że jej o tym nie powiedziałam. Może to by ją jakoś obudziło.

Ale przerwałaś mi. OK, wiem, chciałaś wiedzieć, rozumiem. Teraz już mówię, co było

dalej. Zadzwoił i od razu wiedziałam, że ma coś dobrego do powiedzenia.

– U ciebie w porządku? – zapytał, ale czułam, że to tylko taki wstęp.

– Tak, wszystko OK. A u ciebie?

– Przed chwilą dzwonił do mnie gość, przedstawił się jako Marek Król, przyjaciel Malwiny. Ty wiesz coś o tym?

– Nie – odpowiedziałam krótko. Bo wiesz, ja Marcinowi nic nie mówiłam o tej aferze u nas. Wściekłby się jeszcze bardziej, zresztą mało rozmawialiśmy ostatnio i nie było okazji.

– To ci koleżanka nie powiedziała, że ma pomocnika? Bo nie wiem, co o tym myśleć...

– Ale coś nie w porządku? – Trochę mnie te wypytywania zbiły z tropu i nawet się wystraszyłam, że przez Malwinę będą kolejne problemy. A już naprawdę nie miałam ochoty na jakieś cyrki bez sensu.

– Przeciwnie. Bardzo w porządku. – Marcin był wyraźnie zadowolony, więc odetchnęłam z ulgą. – Powiem ci, że koleś bardzo konkretny i wygląda na to, że nawet z grubsza wie, o czym mówi. Twierdzi, że przejął sprawy firmy i chce się spotkać, żeby ustalić kilka spraw. Myślisz, że powinienem z nim gadać?

– Nie wiem, sam zdecyduj. Ale jak mówi, że Malwina wie, a on jest kumaty, to chyba dobrze?

– Pewnie, że dobrze. Nawet myślałem, co z tymi jej klientami, bo nie odzywała się ostatnio. Przejąć ich byłoby mi głupio, ale z drugiej strony całkiem stracić, jakby ona miała odpuścić, to też żal... A tak to przynajmniej nie będę miał wyrzutów sumienia.

– No to się spotkaj.

I wiesz, że Marcin spotkał się w końcu z tym Markiem i nie tylko, że przekazał mu sprawy Malwiny, to jeszcze się dogadali co do jakiejś współpracy. Ja się na tym nie znam, ale Marcin potem jeszcze raz dzwonił i mówił, że jak to wypali, to może być całkiem dobrze. I że tamten gość, ten od Malwiny, to ma głowę na karku i dobre pomysły. Marcin był naprawdę bardzo zadowolony i zupełnie inny niż przez ten ostatni czas.

Akurat miałyśmy się spotkać u Róży, więc pomyślałam, że powiem dziewczynom o tym. Niby Malwina była obrażona i wszystkie nas olała, ale wydawało mi się, że dobrze, żeby wiedziały, że u niej się jakoś układa.

Nie zdążyłam, bo powiem ci, że sama Malwina była szybsza. Naprawdę! Wyobraź sobie, że przyszła do Róży. Nie no, o spotkaniu nie wiedziała. Przypadek, czujesz? Życie to jednak jest niesamowite. Akurat siedziałyśmy przy kawie, jak zapukała.

Okazało się, że przyszła przeprosić Różę. Wparowała do pokoju, a tu – ups! Siedzimy wszystkie. Nieźle, co? Ale muszę przyznać, że zachowała się bardzo OK. Nie uciekła, czy coś, tylko od razu nas przeprosiła. Z początku nie wiedziałam, jak zareagować, ale na szczęście Liliana wzięła ją w obroty. Mówię ci, urządziła takie przesłuchanie, że szok. Ale Malwina dała radę. Odpowiadała jak na spowiedzi. Powiedziała, co się z nią działo i wyszło na to, że jednak wie, jak się beznadziejnie zachowała. No i widać było,

że naprawdę rozumiała i że jest jej głupio. A najważniejsze, że przeprosiny szczere.

Okazało się, że ten Marek to faktycznie jej przyjaciel, chociaż mnie się wydaje, że to coś więcej. Nawet jak jeszcze nie teraz, to lada chwila. Bo po tym, co opowiadała, to widać, że on w niej po uszy zakochany. Żaden przyjaciel tak by nie robił i tyle nie wytrzymał. Tylko zakochany facet może robić takie rzeczy. Marcin też na początku był gotów za mną w ogień skoczyć. A Malwina jakby nie widziała, co ten Marek dla niej robi. No, ale jak o nim mówi, to też już jakiś błysk w oku ma, więc wiesz, jeszcze chwila i będzie z nich para. Bardzo dobrze zresztą, bo zawsze co mężczyzna, to mężczyzna. I nikt mi nie wmówi, że artystka to miłości nie potrzebuje. Każdy potrzebuje.

Zdecydowałyśmy, że trzeba jej wybaczyć. I dać szansę. W końcu każdy czasami błądzi, nie? Ważne, że się pozbierała, ma jakiś plan i wreszcie mówi do rzeczy. Zobaczymy, co będzie dalej, ale ja tam jej życzę jak najlepiej. A poza tym brakowało jej w naszej kapciowej grupie.

Róża

Czasami się zastanawiam, dlaczego właśnie mnie musi się zawsze przydarzać coś niestosownego. Powiedz mi, proszę, czy ja mam pecha, czy może po prostu nie potrafię się właściwie zachować? W jaki sposób niektórzy sobie radzą, nie zwracają uwagi na innych, nawet na własne zachowanie, a ja staram się, żeby wszystko było jak najlepiej, a wychodzi tak, że wstyd mówić.

Ostatnio po raz kolejny musiałam wstydzić się za samą siebie. A wszystko na dodatek w miejscu publicznym, bo przecież windę można za takie miejsce uznać, tak sądzę. W ogóle nie lubię jeździć windą, bardzo niechętnie wsiadam do kabiny. Skąd we mnie ten lęk? Sama nie wiem, ale od dziecka nie lubiłam. Tak samo jak karuzeli w wesołym miasteczku. Raz mama mnie tam zabrała i nawet nie chciałam wsiąść. Patrzyłam z przerażeniem na ludzi, którzy cieszyli się, zawieszeni wysoko nad ziemią w małych krzeselkach diabelskiego młyna i na tych piszczących podczas obrotów dużej karuzeli. Podejrzewam, że to lęk wysokości.

Tamtego dnia wsiadłam do windy tylko dlatego, że się spieszyłam. Nigdy się nie spóźniam, ale akurat Bosman, który ma problemy z aklimatyzacją w nowym mieszkaniu, chciał skoczyć z łóżka na biurko i źle wymierzył odległość. Spadł na podłogę i zaczął przeraźliwie miauczeć. Bałam się, że coś sobie uszkodził, a uciekł pod łóżko i ciężko było nakłonić go do wyjścia. Na szczęście nic mu się nie stało, ale straciłam kilka minut i po wyjściu z domu każda chwila była cenna. A że usłyszałam nadjeżdżającą windę, odruchowo nacisnęłam guzik.

I akurat wtedy musiała się zaciąć. Sama przyznaj – to ewidentny przejaw mojego pecha. Nie dosyć, że groziło mi spóźnienie, to jeszcze w windzie oprócz mnie jechały trzy kobiety, które spotkałam już wcześniej. Dwie z nich poznałam, kiedy kłóciły się o pieska, a z trzecią zamieniłam kiedyś kilka słów. Właściwie z jej synkiem, któremu obiecałam, że będzie mógł zobaczyć moje koty. A teraz musiałam akurat spotkać je wszystkie w windzie. Nie wiedziałam, jak się zachować. Przyszło mi do głowy, że może powinnam zagadnąć, bo przecież ludzie tak robią. Tylko że ja nie potrafię. Nie mam śmiałości zaczepiać kogoś, kogo widziałam zaledwie przez chwilę. Nie chciałabym się nikomu narzucać. Dlatego powiedziałam tylko ogólne „dzień dobry” i starałam się stanąć tak, żeby nie patrzeć im w oczy. Miałam nadzieję, że szybko zjedziemy na dół

i każda rozejdzie się w swoją stronę.

Niestety, jak wspomniałam, winda się popsuła. I nie wyglądało na to, że szybko miałyby się coś zmienić. Światła przygasły, wszystko trzeszczało, a w kabinie było coraz mniej powietrza. Czytałam, że w takich chwilach należy mało mówić, starać się zwolnić oddech, żeby zużywać jak najmniej tlenu. Moje towarzyszki najwyraźniej o tym nie wiedziały, bo rozpoczęły dyskusję. Może powinnam je uświadomić, ale jakie miałam prawo pouczać obce kobiety? Stałam więc, milcząc, i nawet nie bardzo wiedziałam, o czym rozmawiają, bo skupiałam się na tym, żeby wolniej oddychać.

Naprawdę zazdroszczę ludziom, którzy potrafią swobodnie zachować się w każdej sytuacji. Na przykład ta kobieta, która wystraszyła wtedy pieska – ile w niej energii i swobody. Bez żadnego skrupowania usiadła na podłodze windy i wyglądała na zupełnie zadowoloną. Zresztą ta druga, bardzo elegancka, ubrana ze smakiem i klasą, też po chwili zdjęła buty. To akurat nieco mnie zaskoczyło, bo nie wyobrażam sobie, że mogłabym się tak zachować. Chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiała – jestem daleka od krytyki, bo uważam, że każdy ma prawo zachowywać się tak, jak uważa za stosowne. Po prostu po takiej kobiecie nie spodziewałam się podobnego zachowania.

Ta trzecia, mama chłopca, który mnie kiedyś zaczepił, chciała chyba nawiązać ze mną rozmowę. Niestety, czułam się coraz gorzej. Może to przez ten brak tlenu, a na dodatek byłam już mocno zdenerwowana. Powinnam zadzwonić do rodziców mojego ucznia i poinformować o całej sytuacji, ale jak miałam to zrobić? W tej windzie? To wszystko zupełnie mnie rozbiło. Zaczęło mi się kręcić w głowie, potem zobaczyłam ciemne plamki przed oczami, a dalej już niczego nie pamiętam. Po prostu zemdlałam. Czy możesz to sobie wyobrazić? Taki wstyd!

Ocknęłam się, kiedy wynosiły mnie z windy. Nie wiem, jak długo to wszystko trwało, zresztą byłam zszokowana całą sytuacją i czułam się strasznie zdezorientowana. Pamiętam, że zostałam wprowadzona do mieszkania i ułożona na materacu. Kręciło mi się w głowie, kilka razy próbowałam wstać, ale nie dałam rady, więc leżałam dalej. Później chyba zasnęłam.

W końcu doszłam do siebie i kiedy zrozumiałam całą sytuację, zapragnęłam jak najszybciej wyjść i wrócić do domu. Najchętniej wymknęłabym się ukradkiem, ale nie wypadało przecież. Musiałam podziękować za pomoc.

Okazało się, że kobiety z windy siedziały w kuchni. Zaskoczyły mnie bardzo, bo wyglądało na to, że autentycznie się ucieszyły na mój widok. Nie pozwoliły mi odejść, nalegały, żebym została. Sprawiały wrażenie mocno już zaprzyjaźnionych. Naprawdę nie rozumiem, jak ludzie potrafią tak szybko się zaznajamiać. Mnie potrzeba znacznie więcej czasu, żeby się przyzwyczaić. Nie miałam jednak wyboru. Chociaż kiedy usłyszałam, że rozmawiają o sukniach ślubnych, miałam ochotę uciec. Dlaczego akurat o tym? Czy ja zawsze muszę trafić na coś, co przypomina mi o rzeczach, o których chciałabym zapomnieć?

Cóż, nie pozwoliły mi na powrót do domu. Nie umiałam się im przeciwstawić, bo

wszystkie są takie bezpośrednie i zdecydowane. Zresztą kultura wymagała, żeby zostać. Miałam wobec nich dług wdzięczności, w końcu pomogły mi w tej żenującej sytuacji, a na dodatek były tak miłe, że nawet o tym nie wspominały.

Spędziłam u Malwiny, to ta jeżdżąca na rowerze, kilka godzin i muszę szczerze przyznać, że było niezwykle sympatycznie. Rozmawiałyśmy o modzie, na której ja się co prawda nie znam, ale ku mojemu zdziwieniu kilka moich uwag spotkało się z ciepłym przyjęciem. Nawet Liliana, ta elegancka bizneswoman, zgodziła się z moim zdaniem w kwestii prostoty i umiaru. Było mi bardzo miło, a po wypiciu kieliszka, a raczej kubka, wina poczułam się dużo lepiej i trochę swobodniej.

To było dla mnie nowe doświadczenie. Nigdy wcześniej nie brałam udziału w kobiecych spotkaniach, bo jakoś nie miałam zbyt wielu koleżanek. Zwykle spędzałam czas z mamą i najlepiej czułam się w swoim pokoju, z książką. Wydawało mi się, że nie znajdę wspólnych tematów z innymi kobietami, bo przecież nigdy nie miałam przyjaciółki. Okazało się jednak, że nie jest tak źle i jakoś sobie poradziłam. Nie wiem, czy to nie będzie zbyt wielkie słowo, ale chyba mogę powiedzieć, że mam trzy nowe znajome. I to mieszkające w tym samym bloku. Opowiedziałam o tym Kapitanowi i Bosmanowi, ale nie byli specjalnie zainteresowani. Nie śmieję się, zawsze im o wszystkim opowiadam. Przynajmniej niczego nie skrytykują. Mam nadzieję, że ty też nie pomyślisz o mnie źle. Wiem, że trochę się zblamowałam tym zemdleniem, ale jak się tak nad tym zastanawiam, to może jednak przyniosło mi to więcej dobrego niż złego. Jak sądzisz?

I z tego wszystkiego całkiem zapomniałam, że nie zadzwoniłam do rodziców ucznia. Musiałam to zrobić następnego dnia. Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu. I zrobię wszystko, aby ostatni.



Gdybym miała ocenić, czy lubię swoją pracę, to trudno byłoby mi odpowiedzieć jednoznacznie. Zawód wybrałam świadomie, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Od dziecka lubiłam bawić się w szkołę, zawsze uczyłam swoje lalki. Uwielbiałam panią wychowawczynię w najmłodszych klasach, w starszych zawsze miałam do nauczycieli szacunek. Imponowali mi swoją wiedzą i tym, że chcą się nią dzielić.

Mama wpoila mi zasadę, że nauczyciel ma rację. Nie było mowy, żeby dyskutować z ich decyzjami czy podważać autorytet. I nigdy tego nie robiłam. Później, gdy byłam starsza, oczywiście zrozumiałam, że nauczyciele są takimi samymi ludźmi jak inni, ale i tak daleka byłam od krytyki. Starłam się tłumaczyć sobie, że ich wymagania mają głębszy sens, że dzięki temu więcej się nauczę. A że jestem osobą zdyscyplinowaną, nie miałam problemów.

Kiedy skończyłam liceum i zastanawiałam się nad wyborem studiów, pomyślałam, że mogłabym w przyszłości stać po drugiej stronie klasy. Myślałam, dość naiwnie, że będę pokazywać dzieciom świat, uczyć rzeczy ważnych, kształtować ich charaktery i umysły. Oczywiście miałam też inne motywacje, bardziej praktyczne – długie wakacje, ferie zimowe, czy krótszy czas spędzany w pracy. Wydawało mi się, że dzięki temu będę mogła się rozwijać, czytać, doskonalić. Mama mówiła, że kobieta powinna mieć taką pracę, żeby mogła pogodzić ją z domowymi obowiązkami. Wtedy jeszcze wydawało mi się, że w przyszłości założę własną rodzinę, urodzę dzieci, więc tym bardziej zawód nauczycielki wydawał mi się dobrym rozwiązaniem.

Dlaczego akurat angielski? O tym nie chciałabym mówić. Nie jest to temat, do którego lubię wracać. Tak po prostu ułożyło się życie. Co prawda zaczęłam polonistykę, a dopiero potem, od trzeciego roku, drugi fakultet, ale ostatecznie okazało się, że polonistów jest wielu, a anglistów brakuje. I tak właśnie spontaniczna decyzja pomogła mi znaleźć pracę. To chyba jedyny przypadek w moim życiu, kiedy o czymś zdecydowałam bez dłuższego zastanowienia i nie skończyło się to dla mnie porażką.

Miałam nadzieję, że będę pracować raczej z młodszymi uczniami, ale życie pisze własne scenariusze. Był wolny etat w gimnazjum, więc nie wybrzydzałam, bo przecież trzeba zarabiać na życie. I to jest właśnie ten aspekt mojej pracy, który sprawia, że nie mogę jednoznacznie powiedzieć, że lubię to, co robię.

Moje wyobrażenia o pracy były bardzo idealistyczne, mam tego świadomość. Zakładałam też, że wszyscy uczniowie będą tacy jak ja w ich wieku. Nie wiem, czy naprawdę jestem jakimś odmieńcem, dzieckiem wychowywanym w innej rzeczywistości, czy to świat tak się zmienia. W każdym razie trudno mi odnaleźć się w szkole.

Każdego dnia odczuwam, że nauczyciel nie jest nikim ważnym. Nawet przeciwnie – odnoszę wrażenie, że stał się takim chłopcem do bicia dla wszystkich – począwszy od dyrekcji, a na uczniach skończywszy. Dla młodych ludzi nie jesteśmy żadnym autorytetem. Nie są zainteresowani pogłębianiem wiedzy, unikają jakiegokolwiek wysiłku, a każde większe wymaganie z mojej strony powoduje natychmiastowy protest nie tylko samych uczniów, ale i ich rodziców.

Chcesz, żebym szczerze ci powiedziała, co czuję? Dobrze, chociaż głośno nigdy się do tego nie przyznam. Boję się chodzić do pracy. Każdego dnia czuję się tak, jakbym szła na wojnę, a wejście do klasy przypomina mi stawanie przed plutonem egzekucyjnym. Wiem, że oceniają wszystko, a moje kompetencje akurat najmniej ich interesują. Dużo chętniej komentowany jest mój wygląd, wyraz twarzy, ton głosu. Zazdroszczę nauczycielom, którzy potrafią ostro odpowiedzieć, stłumić chamskie odzywki, nie dopuścić do lekceważenia ich. Mnie to nie wychodzi, jestem bezradna wobec uczniowskiej bezczelności, wyzywającej postawy i totalnej abnegacji. Od rana myślę tylko o chwili, kiedy wyjdę ze szkoły i będę mogła wrócić do swojego domu. Dużo lepiej czuję się w towarzystwie książek i moich kotów, i nic nie mogę na to poradzić. Sama

już nie wiem, czasami mam wątpliwości, czy w ogóle nadaję się do tego zawodu.

Tym bardziej byłam zaskoczona, kiedy wezwała mnie do siebie pani dyrektor. Samym wezwaniem to może nawet nie, bo podejrzewałam, że kolejny rodzic miał jakieś uwagi do ilości zadawanej pracy domowej lub oceny z klasówki. Właściwie to od dawna wymagam już tylko minimum, byle zrealizować program. Odłożyłam na bok swoje ambicje i pomysły na lekcje czy poszerzanie słownictwa. Z początku miałam o to pretensje do samej siebie, ale w końcu doszłam do wniosku, że nie rzuca się pereł przed wieprze, prawda? Nie miałam siły walczyć, więc skoro nie chcą, wolę spokój. Jednak i tak zawsze znalazł się ktoś niezadowolony. Pocieszało mnie to, że podobne sytuacje spotykały właściwie każdego nauczyciela.

Tym razem jednak pani dyrektor wezwała mnie w zupełnie innej sprawie.

– Witam pani Rózo! – Uśmiechała się, ale i tak siedziałam spięta, bo jej władcza postawa i pewność siebie zawsze mnie stresowały. – Zna pani sytuację w II c?

Tak, znałam sytuację. Wychowawczynią tej klasy była pani Alicja – bardzo surowa matematyczka, prezentująca jeszcze starą szkołę nauczycielską. Wymagała bezwzględności posłuszeństwa, trzymała dyscyplinę i nie chciała słyszeć o zmniejszaniu wymagań. Jej postawa zawodowa zasługiwała w moich oczach na szacunek, nawet trochę mi imponowała, jednak przyznam ci się w sekrecie, że nie lubiłam tej koleżanki. W pokoju nauczycielskim zachowywała się tak samo jak w klasie i w jej obecności czułam się jak wiecznie nieprzygotowana uczennica. Poza tym miałam wrażenie, że pani Alicja także nie darzy mnie sympatią. Nie przepuściła żadnej okazji, żeby wytknąć mi błędy, zauważała każde potknięcie i chyba uważała, że jestem kiepskim pedagogiem. Często było mi przykro, nawet kilka razy jej uwagi doprowadziły mnie do płaczu. Nie byłam z tego powodu dumna, raczej uważałam, że to tylko potwierdza jej opinię o mnie.

Niestety uczniowie II c, a zwłaszcza ich rodzice, nie cenili doświadczenia pani Alicji. Od dawna zabiegali o zmianę nauczyciela matematyki, co więcej, nie chcieli też, żeby pani Alicja była wychowawczynią klasy. Do tej pory ich petycji, osobistych i pisemnych, nie uwzględniano. A nieoficjalna wojna między panią Alicją a II c trwała.

– Doskonale – kontynuowała pani dyrektor. – W takim razie powiem krótko: podjęłam decyzję o zmianie wychowawstwa w tej klasie. Od przyszłego tygodnia pani, pani Rózo, zastąpi koleżankę Nawrocką.

– Ale... ja jeszcze nigdy nie miałam wychowawstwa – zaprotestowałam nieśmiało. Zaskoczyła mnie ta decyzja, zwłaszcza że w tej klasie jakimś zbiegiem okoliczności nastąpiła dziwna kumulacja uczniów sprawiających różnorodne problemy i w głębi duszy uważałam, że właśnie pani Alicja jest jedyną osobą zdolną nad nimi zapanować. – Nie wiem, czy sobie poradzę.

– Kiedyś trzeba zacząć, droga koleżanko. Klasa jest już w połowie nauki, więc będzie łatwiej. Zna ich pani zresztą, przecież uczy pani w tej klasie.

Właśnie, znałam ich doskonale. Byli jedną z tych grup, do których chodziłam

z największą niechęcią i obawą. A teraz miałabym być ich wychowawczynią?

– Nie wiem, co na to powiedzą rodzice. – Chwyciłam się ostatniej deski ratunku.

– To właśnie oni zaproponowali to rozwiązanie, więc nie będzie problemu. – Pani dyrektor machnęła ręką. – Wierzę, że sobie pani poradzi. Życzę sukcesów. – Uniosła się z krzesła, co było sygnałem, że rozmowa jest zakończona.

Co miałam robić? Żałowałam, że nie umiem stanowczo zaprotestować. Czułam, że nie spełnię się w roli wychowawcy II c. Szłam do pokoju nauczycielskiego i wyrzucałam sobie w myślach własną nieporadność i brak stanowczości. Dlaczego nie potrafię się bronić? Powinnam głośno wyrażać swoje zdanie, sprecyzować obawy i starać się o zmianę decyzji. Tymczasem, jak głupie cielę, przyjmowałam wszystko, nawet kiedy wiedziałam, że będą z tego same problemy.

– Koleżanka, widzę, już gotowa do przejęcia nowych obowiązków – fuknęła pani Alicja na mój widok. Najwyraźniej wiedziała, skąd wracam i czego dotyczyła rozmowa.

– Jestem nieco zaskoczona...

– Radzę szybko wziąć się w garść. Zaskoczona to koleżanka dopiero będzie, kiedy uczniowie się dowiedzą. – Pani Alicja popijała herbatę ze swojej szklanki umieszczonej w metalowym koszyczku. Piła zawsze bardzo mocną, nie słodziła. – Wyobrażam sobie, jakie powitanie koleżance przygotowują. Prawdę mówiąc, współczuję.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Stałam na środku pokoju niczym skarcona uczennica.

– Prawdę mówiąc, to jestem zdziwiona tą decyzją. – Odstawiła szklankę i poprawiała fryzurę palcami, na których miała kilka złotych pierścionków o dużych oczkach z koralami i bursztynami. – Bo w moim odczuciu pani zupełnie nie nadaje się na wychowawcę, a już dla tej klasy w szczególności.

Gotowa byłam przyznać jej rację. Zwłaszcza że właśnie tak czułam. Tyle że nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Na szczęście pani Alicja nie oczekiwała odpowiedzi. Skierowała się do drzwi, co było znakiem, że dokładnie za minutę stanie przed drzwiami sali lekcyjnej, idealnie w tym samym momencie, w którym rozlegnie się dzwonek. A to z kolei znaczyło, że ja oczywiście się spóźnię. I to był kolejny dowód potwierdzający jej słowa – nie nadawałam się do tej pracy, byłam beznadziejną nauczycielką. Z trudem powstrzymałam łzy, wzięłam dziennik I b, z którą teraz miałam mieć lekcję, i pomyślałam, że chciałabym jak najszybciej znaleźć się w domu.

Jutro mam pierwszą lekcję z II c. Pierwszą jako ich wychowawczyni. A po południu zebranie z rodzicami. Nawet nie chcę o tym myśleć. Naprawdę mam wielkie obawy. Na dodatek, jeśli mi się nie uda, a to raczej pewne, będę musiała jeszcze wysłuchać komentarzy pani Alicji. Może powinnam zmienić pracę?



Jak poszło? Właściwie nie mogę jeszcze tego ocenić, chociaż spodziewałam się, że może być znacznie gorzej. Z duszą na ramieniu przekraczałam próg sali. A tymczasem młodzież przywitała mnie bardzo życzliwie. Planowałam, że postaram się być konkretna i bardziej surowa, ale spotkało mnie tyle ciepłych słów... Uczniowie dziękowali nawet, że się zgodziłam być ich wychowawczynią. Na szczęście nie wiedzieli, że nie miałam nic do gadania i gdybym mogła, na pewno nie stałabym teraz przed nimi. Denerwuję się tylko, że nie potrafię ich skutecznie uciszyć i zachować dyscypliny, ale mam nadzieję, że może jakoś z czasem się porozumiemy w tej kwestii.

No i zawsze martwi mnie to, że chyba nie potrafię odróżnić, kiedy mówią szczerze, a kiedy robią sobie ze mnie żarty. Podejrzewam, że po pierwszej radości, pewnie właśnie szczerzej, ale wynikającej raczej z faktu, że udało im się osiągnąć cel i pozbyli się pani Alicji, przyjdzie pora na sprawdzenie granic. Tyle się o tym naczytałam w pismach fachowych, nawet zapisałam się raz na warsztaty z asertywności, ale mam ogromną trudność z wprowadzaniem teorii w życie. Naprawdę chciałabym zaufać młodzieży, stworzyć z nimi partnerską relację. Niestety, nie potrafię i mam tego świadomość. Próbowałam, ale zawsze okazywało się, że ich życzliwość jest pozorna i tylko czekają na sposobność, żeby mnie ośmieszyć albo oszukać.

Dlatego tym razem także zachowałam daleko idącą ostrożność. I wiem, że muszę być czujna. Nie jestem aż tak naiwna, żeby sądzić, że grupa, która dotychczas sprawiała masę problemów wychowawczych, nagle się zmieniła. Czekam więc, kiedy pokażą swoje prawdziwe oblicze.

Na razie jednak coś zupełnie innego zaprzęta moje myśli. I podzielę się tym z tobą, jeżeli zechcesz posłuchać.

Niedawno, chyba z tydzień temu, wracałam ze szkoły do domu, a że pogoda była naprawdę piękna, nie spieszyłam się za bardzo. Lubię przyrodę i kiedy tylko mam okazję, chętnie spaceruję wśród zieleni. Cenię Kielce właśnie za to, że jest tu sporo drzew, skwerów i kwiatów, a przyroda pięknie współistnieje z miejską infrastrukturą. Uważam za duży błąd kilka ostatnich inwestycji, jak choćby likwidację skweru na Rynku i zastąpienie go wybetonowanym placem, na którym w upalne dni nie można znaleźć ani kawałka cienia. Dawniej chętnie siadywałam na ławeczkach przy fontannie, ale teraz wolę Doliny.

Właśnie tam, prawie przy samym bloku, natknęłam się na Malwinę. Miałam nadzieję, że po prostu się miniemy, bo liczyłam na chwilę relaksu po szkolnym dniu, a poza tym obawiałam się, czy znowu nie palnę czegoś głupiego, jak to mi się często zdarza. Moje nadzieje okazały się płonne – zaczęła mnie i na dodatek złożyła zaskakującą propozycję. Wyobraź sobie, że wpadła na pomysł fotografowania mnie. Ja miałabym pozować do zdjęć? Było to tak irracjonalne, że nie musiałam się ani chwili zastanawiać. Od razu odmówiłam. Nie lubię być fotografowana, na żadnym zdjęciu, nawet z czasów dzieciństwa, nigdy nie wyszłam dobrze. Zawsze wyglądałam albo jakbym się czegoś bała, albo jak zmokła kura.

Marzena nie przestawała mnie jednak namawiać. I gdyby nie to, że ktoś uparcie próbował się do niej dodzwonić, pewnie w końcu uległabym jej. Była tak nieustępliwa, a ja, chociaż w duchu przeklinam swój brak stanowczości, zwykle przegrywam w konfrontacji z takimi zdecydowanymi osobami. Postanowiłam więc skorzystać z okazji i po cichutku odejść, ale rozmawiała tak głośno, że usłyszałam, czego dotyczy konwersacja. Zwykle nie wtrącam się do cudzych spraw, mama zawsze powtarzała mi, że to bardzo niekulturalne, ale zrozumiałam, że chodzi o jej ojca i że miał zawał. Serce mi na moment stanęło, poczułam, jakbym cofnęła się w czasie o kilka miesięcy.

Od razu zapytałam, czy mogę jej jakoś pomóc, ale odmówiła i natychmiast pobiegła w górę zbocza, wprost po trawniku. Patrzyłam za nią przez moment i bardzo jej współczułam. Doskonale wiedziałam, co czuła i miałam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Niestety, życie to nie jest bajka. I rzadko zdarzają się happy endy. Dlatego wolę książki, zwłaszcza te, w których można liczyć na szczęśliwe zakończenie. A w rzeczywistości bywa zwykle zupełnie inaczej. Jestem pesymistką? Nie, raczej realistką. Nauczyłam się, że nie ma co liczyć na szczęście czy prezenty od losu. Lepiej być przygotowanym na najgorsze. Uważasz, że się mylę? Chciałabym. Zresztą może to mnie akurat pisany taki los? Chociaż, o czym się zaraz przekonasz, także innym bywa ciężko. Nawet takim beztróskim i wesołym artystkom jak Malwina.

Jej ojciec zmarł. Lekarzom nie udało się go uratować. Powiedziała mi o tym Liliana. Byłam zdziwiona, słysząc jej głos w słuchawce. Sądziłam początkowo, że to matka któregoś z uczniów chce odwołać korepetycje. Owszem, dałam Lilianie swój numer, prosiła o to, ale byłam pewna, że to po prostu grzecznościowy gest. Bo po co taka osoba miałaby do mnie dzwonić? Na pewno ma wielu bardziej interesujących znajomych.

Oczywiście nie odmówiłam jej prośbie. A chciała, żebyśmy wspólnie odwiedziły Malwinę. Nie, skądże, nie tylko ja i ona. Jeszcze ta Wioletta, która jest w ciąży. Chodziło o to, żeby okazać jej sąsiedzkie wsparcie w trudnej chwili. Nie dziwisz się chyba, że nawet nie próbowałam się wykręcać. W takich momentach człowiek powinien zachować się właśnie po ludzku. Co prawda niezbyt dobrze czułam się w podobnych sytuacjach, bo nigdy nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć, jak przekazać wyrazy współczucia, żeby nie było to żenujące i płytkie. Wyszłam jednak z założenia, że w tym wypadku moje samopoczucie jest mniej ważne, bo chodzi przecież o osobę, która poniosła ogromną stratę. Jeżeli więc mogłam w jakikolwiek sposób być przydatna, nie wypadało odmówić.

I rzeczywiście, okazało się, że Malwina wymaga pomocy. Zastałyśmy ją pogrążoną w wielkiej rozpacz. Niech ci wystarczy choćby to, że kiedy przyszłyśmy, właśnie cięła na kawałki żałobną sukienkę. Jakież to symboliczne, prawda? Od razu widać, że ma artystyczną duszę i ogromną wrażliwość. W taki sposób, zupełnie spontanicznie, okazała swoją niezgodę na odejście ojca, swój sprzeciw wobec śmierci. Naprawdę

byłam poruszona tym widokiem.

Poza tym reszta także nie wyglądała dobrze. Mieszkanie sprawiało wrażenie, jakby przeszedł przez nie średniej wielkości tajfun. Miałam świadomość, że Malwina zapewne nie przywiązuje takiej wagi do porządku jak ja, bo akurat na tym punkcie jestem wręcz przewrażliwiona i nie lubię wokół siebie chaosu, ale to, co zobaczyłam, jednoznacznie wskazywało na słabą formę psychiczną Malwiny. Co tu owijać w bawełnę – zaryzykowałabym nawet, że zupełny brak zainteresowania otoczeniem mógł wskazywać na początkowe stadium depresji.

Postanowiłam, że skoro nie bardzo potrafię znaleźć słowa, żeby wyrazić współczucie dla jej sytuacji, wezmę się za to, na czym się znam. Zająłam się więc porządkami. Trochę mnie zaskoczyło odkrycie nieposegregowanego prania wrzuconego do miednicy z zimną wodą, ale w końcu co ja tam wiem o artystycznej naturze. Ważne, że nie zafarbowało i udało się uratować wszystko, nawet jasną bieliznę.

Podobało mi się to wspólne działanie. Każda z nas zrobiła coś dla Malwiny. Zawsze byłam zdania, że czyny są ważniejsze niż słowa. Wiele razy w życiu przekonałam się, że ludzie potrafią pięknie mówić, ale niewiele z tego potem wynika. Dużo bardziej pomocne jest zrobienie czegoś konkretnego. I tak było w tym wypadku. Patrzyłam na Malwinę, która zjadła obiad i nawet kilka razy się uśmiechnęła, i rosło mi serce. Jak to dobrze, że Liliana nas powiadomiła. Wiedziałam przecież, jak trudno jest samemu poradzić sobie ze śmiercią najbliższej osoby. Bardzo Malwinie współczułam, chociaż może nie umiałam tego wyrazić. W każdym razie byłam zadowolona, że zostawiamy ją w lepszej formie. Chociaż miałam świadomość, że jeszcze wiele przed nią. I choć Liliana bardzo ładnie i prawdziwie powiedziała o czasie, który łagodzi ból i leczy rany, to zdawałam sobie sprawę, że Malwina ten czas ma jeszcze przed sobą.

Wróciłam do siebie i położyłam się do łóżka. Kapitan i Bosman wyczuli mój nastrój, kochane kocury. Leżałam z nimi cały wieczór. Nie miałam ochoty ani na kolację, ani na czytanie. Wspominałam mamę. Odeszła tak samo jak ojciec Malwiny, jej serce nie miało siły dłużej bić i nic nie dało się na to poradzić. Nie byłam na to przygotowana, zresztą kto jest gotowy na pożegnanie z najbliższymi? Nikt i nigdy.

Malwina miała przynajmniej sąsiadki, które przyszły z pomocą. Może niewielką, ale w takich chwilach nawet drobny gest może być ratunkiem przed utonięciem w studni rozpacz. Ja nie miałam tyle szczęścia. W jednej chwili zostałam zupełnie sama i musiałam stawić czoła nie tylko osobistej tragedii, ale i dalszemu życiu.

Chociaż minęło już kilka miesięcy, nadal w moim świecie ziele pustką ogromna przestrzeń, którą do tej pory wypełniała mama. Zrobiłam wszystko, co potrafiłam, żeby się ratować, uciec od tego, co przypominałoby mi takie życie, jakie już nigdy nie wróci. Ale całkiem nie da się odciąć od tego ogromnego smutku, od prawdziwej rozpacz – tak wielkiej, że z czasem brakuje łez, a ona nie zmniejsza się ani trochę.

Naprawdę doskonale rozumiałam Malwinę. Może powinnam jej to powiedzieć, może gdyby wiedziała, że ktoś czuje podobnie, byłoby jej łatwiej? Nie wiem, bo mnie nie miał

kto tak powiedzieć.

I wiesz, tamtego wieczora pomyślałam, że człowiek nie powinien być sam. Oczywiście, można sobie poradzić bez pomocy innych, jestem tego przykładem, ale jednak są takie momenty, w których sama świadomość, że jesteśmy dla kogoś ważni, że ktoś choćby o nas myśli, bywa wartością największą. Wtedy też po raz pierwszy ucieszyłam się z poznania tych trzech kobiet. Bo może dla ciebie to nic wielkiego, ale dla mnie sam fakt, że wiedzą o moim istnieniu, dawał coś w rodzaju poczucia, że naprawdę istnieję. Bo odkąd mama umarła, czasami miałam wrażenie, że gdybym nagle znikła, nikt by tego nie zauważył. Czy wiesz, jak ciężko żyć z taką myślą?



Jak to się dzieje, że zawsze kiedy spotka mnie coś dobrego, to zaraz, jakby dla równowagi, muszę doświadczyć przykrości. Czyżby wisiało nade mną jakieś fatum? Co za siła dba tak skrupulatnie o to, żeby nie było mi za dobrze?

Wczoraj znowu miałam lekcje w tych samych godzinach, co pani Alicja. Od czasu, kiedy przejęłam po niej klasę, starałam się unikać spotkań w pokoju nauczycielskim. Wzięłam nawet kilka dyżurów na korytarzu w zastępstwie chorej koleżanki, chociaż przebywanie w tym hałasie, jaki panował na przerwach, zawsze przypłacam migreną. Wolałam jednak to, niż jej uszczypliwe komentarze.

Niestety, od rana wiedziałam, że nie uniknę spotkania. I doskonale też zdawałam sobie sprawę z tego, co mnie czeka. Poprzedniego dnia dwóch chłopców z mojej już teraz klasy poturbowało pierwszoklasistę w szkolnej szatni. Już w ubiegłym tygodniu miałam problemy z jednym z nich, bo pani woźna przyłapała go na paleniu w toalecie. Wtedy odbyłam z nim rozmowę i udzieliłam nagany. Wszystko zgodnie ze szkolnym regulaminem kar. Zgodziłam się nie wzywać rodziców, bo bardzo o to prosił i obiecywał, że nie będzie więcej sprawiał problemów. Już wtedy pani Alicja mnie skrytykowała.

– Nie sądzi koleżanka, że to trochę zbyt łagodna kara dla tego łobuza? – zapytała z przekąsem.

– Zgodna z regulaminem obowiązującym w naszej placówce. – Próbowałam się bronić, bo w końcu przecież zrobiłam to, co należy do moich obowiązków.

– Ten regulamin stworzono dla uczniów, a nie dla młodocianych przestępców. Ale widzę, że koleżanka nie dostrzega tej różnicy. – Uśmiechnęła się pogardliwie.

– Obiecał poprawę i ja mu wierzę.

– Nie słyszała koleżanka powiedzenia, że z terrorystami się nie dyskutuje? Tylko czekać, co wymyśli za chwilę, wspomni pani moje słowa.

Miała rację, przypomniałam je sobie, kiedy tylko pani dyrektor poinformowała mnie o całej sprawie. Rodzice pokrzywdzonego ucznia domagali się surowej kary dla

napastników. Twierdzili, że moi wychowankowie chcieli od ich syna pieniędzy i grozili, że zabiorą mu telefon. Byłam zszokowana tym, co usłyszałam. Nie, oczywiście, że wiem, co się dzieje w szkołach. Czy sądzisz, że żyję w jakimś innym świecie? Przecież mam telewizor, czytam prasę i zaglądam do internetu. Mnie nie może się pomieścić w głowie bardziej to, że chłopak coś obiecuje, daje słowo honoru, a za kilka dni robi jeszcze gorsze rzeczy. Uznaję prawo młodzieży do popełniania błędów, ale martwi mnie, że się na nich nie uczą. No i właśnie ten honor, to coś, z czym trudno mi się pogodzić. Może uznasz mnie za osobę nieprzystosowaną do współczesnych czasów, ale gdybym złamała dane słowo, to nie umiałabym spojrzeć sobie w oczy w lustrze. I właśnie to mnie boli – że nie potrafię w żaden sposób przekazać młodzieży tych wartości, w które sama wierzę. To moja porażka. A Kuba, ten chłopiec z II c, był tego żywym dowodem. Moje słowa niczego w nim nie zmieniły, nie umiałam do niego przemówić. Smuciło mnie to bardzo.

A jeszcze to spotkanie z panią Alicją. Zaczęła od razu, jeszcze dobrze nie zamknęłam za sobą drzwi od pokoju nauczycielskiego.

– No i widzę, że jednak miałam rację. – Posłała mi triumfalny uśmiech znad szklanki z herbatą. – To co teraz? Jeszcze jedna pogadanka? Podobno ja jestem starej daty, ale wygląda na to, że to jednak pani stosuje mocno przestarzałe metody wychowawcze.

Widziałam pełne współczucia spojrzenia kilku innych nauczycielek, które akurat były w pokoju i słyszały rozmowę. Usiadłam nad dziennikiem, udając, że coś w nim piszę. Pomyślałam, że jeśli przemilczę jej uwagi, to może znudzi się i przestanie. Niestety.

– Do mnie przynajmniej mieli szacunek. – Zastukała ostrym, pokrytym czerwonym lakierem paznokciem w blat stolika. – I podczas lekcji panowała cisza. Czego nie można powiedzieć o pani zajęciach, pani Rózo. Z daleka słysząc, że brakuje pani doświadczenia i autorytetu.

Miałam łzy w oczach. Usłyszeć coś takiego od starszej koleżanki, i to w obecności innych nauczycieli, to prawdziwa porażka. Najchętniej schowałabym się pod stół. Ręce mi drżały tak, że nie mogłam utrzymać długopisu.

– Myślę, że pani przesadza. – Usłyszałam męski głos. – Moim zdaniem Róza jest świetnym pedagogiem. Lubi ją młodzież i, jak sądzę, także koleżanki i koledzy. – Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że to Bartek, nauczyciel wychowania fizycznego, stanął w mojej obronie. A co jeszcze bardziej zaskakujące, obecne koleżanki kiwały głowami na znak poparcia.

– Autorytet nauczyciela buduje się na dobrym kontakcie z uczniami, a nie na strachu. Tak właśnie robi Róza. Niestety nie o wszystkich można powiedzieć to samo. – Swoją przemowę zakończył szerokim uśmiechem. Następnie zwrócił się do mnie: – Rózo, mogę cię prosić na słowo? Kuba jest w szkolnej drużynie siatkówki, więc chciałbym z tobą ustalić wspólny front działania w jego sprawie.

Prawie wybiegłam z pokoju nauczycielskiego. Na korytarzu musiałam oprzeć się

o ścianę, bo tak trzęsy mi się nogi.

– Dziękuję – powiedziałam, bo naprawdę byłam mu wdzięczna.

– Nie ma sprawy. Powiedziałem po prostu, co myślę. Zresztą nie mogłem już patrzeć, jak się nad tobą znęca. Powinnaś się jej postawić.

– Łatwo powiedzieć...

– I tak samo łatwo zrobić. Widziałaś przecież. Ona jest silna tylko pozornie. Musisz spróbować.

– Nie wiem, czy potrafię...

– Jak chcesz, to ci pomogę. Możemy pogadać o tym przy kawie. Do której pracujesz?

Spanikowałam. Miałabym iść na kawę po pracy z kolegą-nauczycielem? Czy to wypada? Może to nieetyczne? I co będzie, jeżeli ktoś nas zobaczy?

– Sprawy zawodowe wolałabym załatwić w szkole – palnęłam, niewiele myśląc. Od razu pożałowałam, ale było już za późno. Bartek natychmiast przestał się uśmiechać.

– Jak chcesz. W każdym razie pamiętaj, że na mnie zawsze możesz liczyć – powiedział już bardziej oficjalnym tonem.

– Dziękuję – wyjąkałam i w duchu podziękowałam losowi za dzwonek, który przerwał tę krępującą sytuację.

Bo sama powiedz, czy ja nie jestem po prostu głupia? Nie umiem nawet rozmawiać z ludźmi, a na widok mężczyzny zupełnie tracę jakąkolwiek zdolność sensownego myślenia i robię z siebie idiotkę. Człowiek chciał mi pomóc, a ja potraktowałam go jak natręta. Wstyd mi i teraz oprócz pani Alicji, będę musiała unikać także jego. Na szczęście wuefiści rzadko zagląдают do pokoju nauczycielskiego. Zwykle siedzą w swoim pokoiku przy sali gimnastycznej, a ja nie mam żadnego powodu, żeby tam schodzić.



Wyznam ci, że byłam już bliska stwierdzenia, że odstraszałam od siebie ludzi. Niezbyt to przyjemna konkluzja, tak jak wizja samotnej przyszłości. Kocham swoje koty, ale spędzanie wieczorów do końca życia wyłącznie w ich towarzystwie nie było szczególnie radosną perspektywą, chyba się ze mną zgodzisz?

Byłam też przekonana, że sąsiadki o mnie zapomniały i nawet się temu specjalnie nie dziwiłam. Bo co ja mogę wniesić? Kiepska ze mnie towarzyszka, nie potrafię się bawić. Prawie się pogodziłam z tym, że postanowiły mnie wykluczyć ze swojego grona, kiedy nieoczekiwanie znalazłam w drzwiach bardzo eleganckie zaproszenie. Od razu domyśliłam się, kto je zostawił. Nie myliłam się – Liliana zapraszała na wieczór u siebie.

Przygotowania kosztowały mnie trochę nerwów, bo nie miałam pojęcia, jak powinnam się ubrać. Nie chciałam być przesadnie oficjalna, ale nadmierny luz też

chyba nie byłby na miejscu. Nigdy nie spotykałam się z koleżankami poza domem, nie odwiedzałam właściwie nikogo, więc zupełnie nie miałam doświadczenia. A gospodyni też zwykle chodziła ubrana z klasą, choć podczas wizyty u Malwiny miała na sobie zwyczajną dresową sukienkę. Rozumiesz moje dylematy, prawda?

W końcu zdecydowałam się na coś pośredniego – koszulową bluzkę i wąską szarą spódnicę. Miałam nadzieję, że nie będę odstawać od reszty, zresztą nie miałam też wielkiego wyboru, bo moja szafa należy do raczej ubogich i dość monottonnych. Nigdy nie potrzebowałam ubrań na żadną okazję oprócz wyjścia do pracy, a wiadomo, że w szkole obowiązuje raczej klasyczny styl. Co prawda niektóre koleżanki pozwalają sobie na wiele swobody w tej kwestii, ale ja jestem raczej konserwatywna, jeśli chodzi o wizerunek nauczyciela i uważam, że pedagog powinien wzbudzać zainteresowanie uczniów nauką, a nie swoim wyglądem.

Szłam do Liliany z ogromną ciekawością. Oczywiście nie lubię być niedyskretna czy wścibska, ale nigdy nie byłam w apartamencie. Widywałam takie mieszkania jedynie w telewizji, więc nie dziwi się, że chciałam sprawdzić, jak taki lokal wygląda naprawdę. Zastanawiałam się też, co słyhać u Malwiny, bo często o niej myślałam. Miałam nadzieję, że jakoś sobie radzi. Przychodziło mi nawet kilka razy do głowy, żeby do niej zadzwonić albo zastukać, ale nie chciałam się w żaden sposób narzucać. Każdy inaczej przeżywa żalobę i nie wypada tego zakłócać.

Już myślałam, że Malwina nie przyjdzie, ale na szczęście wreszcie się pojawiła. Spóźniła się dużo więcej niż wypada, ale sytuacja, w której jest, chyba ją trochę usprawiedliwia. Też tak uważasz? Kiedy ją zobaczyłam – ulżyło mi podwójnie, bo wyobraź sobie, że przyszła w kapciach. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to jednak trochę przesadziła, bo chociaż to sąsiedzka wizyta, to jednak wcześniej ustalona i gospodyni należy się przecież szacunek.

Później jednak, kiedy opowiedziała, jak bardzo jest jej trudno, przestałam mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia. Czy wiesz, że jej matka nie może pogodzić się ze śmiercią męża i nawet z powodu załamania nerwowego znalazła się w szpitalu? A biedna Malwina nie ma stałej pracy. I na dodatek musi zająć się przedsiębiorstwem ojca. Nie sądzisz, że to naprawdę zbyt wiele jak na jedną osobę? Gdybym ja stanęła w obliczu tylu problemów naraz, też chyba nie dałabym rady.

Na szczęście dziewczyny zaoferowały jej pomoc. Też bardzo chciałam dać coś od siebie, ale przecież ja się tak naprawdę na niczym nie znam. Całe życie co roku powtarzam te same lekcje, uczę czasów, odmian i słówek. A poza tym? Nikt nie powiedział mojej mamie, że córkę trzeba wychowywać do biznesu, więc zrobiła to, co mogła – pokazała mi, jak być gospodynią i chyba dobrą żoną. Mówię „chyba”, bo tego akurat nie dane mi będzie zapewne sprawdzić. Co więc mogłam zaproponować Malwinie? Smutno mi się zrobiło, ale tak bardzo chciałam być pomocna, że w przypiływie emocji zaoferowałam się do tych zdjęć, które mi kiedyś proponowała. Nie sądziłam, że to ją w ogóle zainteresuje.

Tymczasem zupełnie niedługo, nie pamiętam dokładnie, bo już zdążyłam wyrzucić z pamięci to swoje kolejne nietrafione wystąpienie, odezwała się i musiałam spełnić obietnicę. Domyślasz się, że absolutnie nie miałam ochoty na takie eksperymenty, ale słowo się rzekło...

Na domiar złego Malwina przygotowała na tę sesję ubrania według własnej wizji. Zupełnie inne niż to, co preferuję. Miałam mnóstwo oporów przed zakładaniem półprzezroczystych bluzek, przez które widać bieliznę, czy oplatania chust wprost na ciele. Malwina jednak walczyła jak lwica o swoją artystyczną wizję i w końcu stwierdziłam, że przecież jeśli ma jej to pomóc w trudnych chwilach, to postaram się dostosować, nawet jeżeli to wymaga zgody na dużo mocniejszy makijaż, w którym wcale nie czułam się sobą.

Malwina była bardzo zadowolona z sesji i w sumie dla mnie to było najważniejsze. Mogłabym wcale nie oglądać tych zdjęć, szczególnie że, jak ci już chyba wspominałam, byłam przekonana, że nie wyjdę na nich korzystnie. Przecież mam w domu lustro i nawet Malwina, chociaż ma duży dar przekonywania, nie wmówi mi, że jestem ładna.

Dlatego kiedy przyniosła zdjęcia, nawet nie chciałam na nie spojrzeć. Podziękowałam oczywiście, ale odłożyłam kopertę na półkę z książkami. Gdyby Bosman nie strącił jej na podłogę, pewnie całkiem bym o nich zapomniała. Skoro jednak kot narozrabiał, musiałam posprzątać ten bałagan i siłą rzeczy spojrzałam na efekty sesji. Muszę ci powiedzieć, że w pierwszej chwili nie poznałam samej siebie. Gdyby nie fakt, że znałam stylizację i miejsca, to powiedziałabym, że to jakaś całkiem ładna kobieta. Może nie piękność, ale z pewnością powyżej przeciętnej. Nawet się zawstydziłam tej myśli, bo przecież świadczyła o braku skromności.

Długo oglądałam każde ze zdjęć i trzeba powiedzieć, że Malwina ma prawdziwy talent. Żeby stworzyć takie obrazy, potrzeba chyba niezwykłych umiejętności. Poszłam nawet do łazienki i patrzyłam na przemian to na fotografię, to na swoje odbicie. Niestety, rzeczywistość nie była dla mnie łaskawa. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i odróżnić sztukę od życia. Tak jak książki, zdjęcia tworzą fantazję, nierealny świat, który istnieje wyłącznie w wyobraźni artysty. Bywa piękny, ale nie wolno zapomnieć, że nie jest prawdziwy. Tak samo jak ze mną. W wizji Malwiny byłam ładną kobietą, zamyśloną i wpatrzoną w dal, o uduchowionym wyrazie twarzy. Taką, jaką chciałabym być. Ale lustro mówiło mi prawdę – widziałam w nim tylko coraz starszą kobietą o bladej cerze, wąskich ustach i włosach nijakiego koloru. Taka była prawda i musiałam ją zaakceptować.

Ale zdjęcia, na pamiątkę, schowałam. Może kiedyś do nich zajrzę, żeby pomarzyć sobie i przypomnieć, że kiedyś, przez krótką chwilę, znalazłam się w pięknej bajce czyjejś wyobraźni.



Liliana odwiedziła mnie zupełnie niespodziewanie. Szczerze powiedziawszy, to gdyby przyszedł ktokolwiek inny, też nie byłabym na to przygotowana. Jednak nie sądziłam, że mogłabym w jakikolwiek sposób pomóc akurat jej.

Podalam to, co miałam, czyli wyłącznie kawę. Co za szczęście, że w przypiływie sentymentów zostawiłam sobie porcelanowy serwis mamy, taki delikatny, w malutkie czerwone różyczki. Przynajmniej to było u mnie w dobrym gatunku i miałam nadzieję, że Liliana zauważy. Nic nie powiedziała, ale jestem pewna, że osoby takie jak ona zwracają uwagę na każdy szczegół.

Nie kazała mi długo czekać, prawie od razu powiedziała, z czym przyszła. O tym, że zamieszkała u niej kuzynka, już wiedziałam. Przecież wspomniała o dziewczynie podczas naszego ostatniego spotkania. Jednak dopiero teraz Liliana uchyliła nieco rąbka tajemnicy i poznałam kulisy całej sprawy. Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, bo nie chciałabym być niedyskretna, ale w każdym razie moja sąsiadka okazała się kobietą o wielkim i dobrym sercu. W to zresztą nie wątpiłam od pierwszego naszego spotkania. Pomijając fakt, że nie raz udowodniła, że nie uchyla się od pomocy innym, to przecież ma pieska, o którego dba jak o własne dziecko. A ludzie, którzy kochają zwierzęta, nie mogą być źli. O tym jestem głęboko przekonana. Poza tym Kapitan od razu wskoczył jej na kolana, a to bardzo mądre zwierzę. Najwyraźniej poczuł, że jest godna zaufania.

Okazało się, że Agnieszka, ta młoda kuzynka Liliany, ma zaległości w nauce związane z różnicami programowymi. Rzecz dotyczyła między innymi angielskiego. Miałam trochę obiekcji, bo wiesz, że wolę młodszych uczniów, ale skoro prosiła mnie o to Liliana, to nie wypadało odmówić. Zresztą miałam wobec niej jeszcze dług wdzięczności w związku z tym nieprzyjemnym zajściem w windzie.

Ostatecznie ustaliłyśmy dwie lekcje w tygodniu na początek, a w miarę nadrabiania zaległości ewentualne ograniczenie do jednej. Zadeklarowałam, że przedstawię plan postępów, kiedy tylko ocenię poziom zaawansowania i potrzeby dziewczyny, ale Liliana dała mi wolną rękę. Zrobiło mi się miło, że tak mi ufa.

Moje obawy o to, czy poradzę sobie z nastolatką, okazały się w tym przypadku bezzasadne. Dziewczyna była naprawdę bardzo spokojna. Życzyłabym sobie wszystkich takich uczniów. Przychodziła punktualnie, zawsze miała odrobione zadania domowe, widziałam, że się stara. Gdyby jeszcze wyglądała inaczej, byłoby idealnie. Ja wiem, że teraz jest moda na kolczyki we wszystkich możliwych miejscach, ale ona w jednym uchu miała chyba z sześć. I jeszcze te spódnice, które ledwie zakrywają bieliznę – nie wiem, jak te dziewczyny się nie wstydzą. Chyba jestem już stara, ale odkrywanie prawie wszystkiego uważam za nieeleganckie, a wręcz wulgarne. Oczywiście nie powiedziałam o tym Agnieszce, bo to nie moja rola, ale

dziwiłam się, że Liliana na to nie reaguje. Przecież musiał ją drażnić taki wygląd młodej dziewczyny.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Agnieszkę, to właśnie przez jej strój byłam przekonana, że nie uda mi się z nią pracować. Spodziewałam się wygadanej nastolatki, która wszystko wie lepiej i nie bardzo ceni sobie wiedzę. Tymczasem rzeczywistość była zupełnie odmienna. Powiem więcej – Agnieszka, oprócz merytorycznych wypowiedzi związanych z nauką, nie dawała się wciągnąć w żadną rozmowę. Czasami pytałam o coś, nawet w odniesieniu do czytanki czy ćwiczenia, ale odpowiadała półsłówkami. Prawdę mówiąc, wydawało mi się to trochę dziwne. Nie znam się na nastolatkach, ale te, z którymi miałam do czynienia, były zupełnie inne. Zrobiłyby wszystko, żeby zmylić nauczyciela, wykorzystywałyby każdą okazję do rozmowy o wszystkim innym niż temat lekcji. A Agnieszka nie skorzystała z żadnej szansy, przeciwnie, sprawiała wrażenie, jakby wołała, żebym o nic nie pytała.

Może przesłabym nad tym do porządku dziennego, gdyby nie to, że kilka razy widziałam w spojrzeniu Agnieszki coś takiego, co trudno określić, ale mnie kojarzyło się ze smutkiem. I bólem. Nic konkretnego, ułamek sekundy, ale lata pracy w szkole wyczuliły mnie na każdy gest i każdą zmianę wyrazu twarzy ucznia. Trochę mnie to zaniepokoiło, jednak nie wiedziałam, czy w ogóle powinnam coś robić. A jeśli tylko mi się wydawało? Może każdy nastolatek miewa takie chwile w okresie dojrzewania?

Niestety, miałam wrażenie, że jednak coś jest na rzeczy. Kilka razy wyrwało jej się, chyba spontanicznie, jakieś zdanie, które mnie zastanawiało. Na przykład kiedyś, gdy rozmawialiśmy o kotach. To był właściwie jedyny temat, na który chciała rozmawiać – zwierzęta. Widać było, że je lubi. Często podczas lekcji zerkała na Kapitana i Bosmana. Zapytałam ją o to.

– Tak, uwielbiam koty. – Pokiwała głową. – Są niezależne, nikogo nie potrzebują i nie pozwalają sobą rządzić. Też taka będę.

– Mylisz się – odpowiedziałam. – Każde stworzenie potrzebuje drugiego. Nikt nie może żyć całkiem sam. Nawet kot.

Popatrzyła na mnie najpierw smutno, a potem nagle w jej oczach zobaczyłam złość.

– Ja będę.

To mnie zaniepokoiło. I jeszcze kilka podobnych deklaracji. Wyczułam, że ma jakiś problem. Nie wiem sama, czy to intuicja, czy pedagogiczne doświadczenie, ale coś mi podpowiadało, że Agnieszka potrzebuje pomocy. Tylko jak dotrzeć do tej milczącej dziewczyny? Nie miałam pojęcia. Zresztą doskonale zdawałam sobie sprawę, że nie jestem dobra w rozmowach z młodymi ludźmi. Nie umiałam mówić ich językiem, trafić do ich głów, a już tym bardziej serc. Obawiałam się, że mogłabym narobić więcej szkody niż pożytku, nieumiejętnie ingerując w jej osobiste sprawy. W końcu nie byłam psychologiem, nie znałam się na tym.

A jednak dręczyła mnie ta sprawa i postanowiłam, że powinnam powiedzieć o swoich spostrzeżeniach Lilianie. W końcu została jej opiekunką, odpowiadała za nią. Byłabym

nie w porządku, gdybym ukrywała przed nią cokolwiek, co dotyczy jej podopiecznej. Nawet gdyby okazało się, że jestem przewrażliwiona, to lepsze chyba to, niż zlekceważenie czegoś ważnego.

Nie mogłam się zdecydować, co i jak powinnam ostatecznie zrobić, na szczęście problem rozwiązał się sam, bo Liliana odwiedziła mnie po raz kolejny, żeby zapytać o postępy kuzynki. Zebrałam się na odwagę i opowiedziałam o swoich obawach. Niestety, nie potrafiłam doradzić Lilianie, co powinna zrobić. Byłabym przecież nieprofesjonalna, gdybym rozstrzygała problemy wychowawcze, z którymi nie mam żadnego doświadczenia. Przyznałam się do tego, bo co innego mogłam zrobić. Mam tylko nadzieję, że nie straciłam przez to w oczach Liliany. Zresztą nawet jeżeli tak się stanie, to najważniejsze, że będzie baczniej obserwować dziewczynę. Tyle się słyszy ostatnio o tych młodzieńczych depresjach i słabej psychice. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby przez moje zaniedbanie coś się stało Agnieszce. Lepiej być uznaną za przewrażliwioną niż potem żyć z wyrzutami sumienia. Chyba się ze mną zgodzisz?



Przeprowadzając się na Kwiatową, nawet nie podejrzewałam, jak bardzo zmieni się moje życie. Tak, masz rację, właśnie dlatego zdecydowałam się na nowe mieszkanie, żeby coś zmienić. Nie narzekam przecież, skądże! Po prostu nie sądziłam, że sprawy potoczą się w takim kierunku. Planowałam raczej odcięcie się od przeszłości, o tym, co będzie, myślałam niewiele. A już na pewno nie było w tych wizjach zmian dotyczących życia towarzyskiego.

Nie, nie przesadzajmy, zapewne dla wielu osób nie byłoby to niczym spektakularnym, ale dla mnie zyskanie w tak krótkim czasie aż trzech nowych znajomych, udział w sąsiedzkich kobiecych spotkaniach i spontaniczne wizyty, to naprawdę duża nowość. Czasami przed zaśnięciem zastanawiam się nad tym i trudno mi uwierzyć, że naprawdę uczestniczę w takich wydarzeniach.

Wczoraj na przykład odwiedziła mnie Wioletta. Przyszła ze swoim synkiem. Kiedy zobaczyłam dziecko, miałam mieszane uczucia, zwłaszcza że od progu oznajmił bez żadnego skrępowania, że przyszedł odwiedzić kotki. Moje kocury nie są przyzwyczajone do ludzi, co pewnie cię specjalnie nie zdziwi, i nie chciałam zafundować im zbyt dużego stresu. Tym bardziej, że Oskarek jest dość żywiołowym dzieckiem.

– Nie wiem, czy kotki mają ochotę na zabawę. – Starłam się jakoś go zniechęcić, ale bezskutecznie.

– My tylko na chwileczkę – zadeklarowała Wioletta. – Mam do ciebie drobną prośbę, a nie miałam go z kim zostawić.

Wpuściłam ich, chociaż z duszą na ramieniu. Miałam nadzieję, że Kapitan i Bosman

po prostu się schowają, ale one zupełnie nie zwróciły uwagi na gości. Za to chłopiec osłupiał na ich widok. Usiadł wprost na podłodze i zupełnie zamilkł. Moje koty go zaczarowały. Przepiękny widok – mały chłopiec z szeroko otwartymi oczami i dwa rozciągnięte nieopodal kocury. Żałowałam, że nie ma Malwiny, na pewno potrafiłaby zrobić cudowne ujęcie.

Zrobiłam Wiolecce herbatę i czekałam, aż wyłoży mi swoją prośbę. Miałam kilka pomysłów, z których jeszcze przed chwilą najstraszniejszym wydał mi się ten dotyczący zaopiekowania się jej synkiem. Teraz już mniej się bałam, bo pozostałe mogły dotyczyć albo mojej pracy, albo obowiązków domowych, czyli mogłam założyć, że im sprostam.

W pewnym sensie miałam rację. Wioletta poprosiła o tłumaczenie krótkiego tekstu. Sama nie wiem, czy powinnam o tym wspominać, bo nawet obiecałam jej, że nikomu nie powiem, ale jestem mocno podenerwowana i zniesmaczona sytuacją, więc uchylę rąbka tajemnicy. Ale tylko tyle, ile niezbędne, żebyś zrozumiała, o co chodzi.

Nie wiem, co ty myślisz o internetowych portalach randkowych, ale dla mnie to nie do przyjęcia. W ogóle nie rozumiem, jak można poznać kogoś za pośrednictwem sieci, bez kontaktu osobistego. Nie potrafię sobie wyobrazić, że miałabym rozmawiać z kimś, kogo nigdy nie widziałam. A już o zwierzaniu się to mowy być nie może. Pomijam już fakt, że nawet dzieci w szkole podstawowej wiedzą, że w kontaktach internetowych należy zachować daleko idącą ostrożność, bo nigdy nie wiadomo, kto tak naprawdę jest po drugiej stronie. Dlatego nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby szukać partnera w ten sposób.

A tu Wioletta oznajmiła mi bez żadnego skrupowania, że ma konto na takim portalu i nawiązała za jego pośrednictwem wiele znajomości. Na dodatek sama występuje tam pod pseudonimem. Chociaż może to akurat lepiej, bo przecież ona ma męża. Wydawało mi się zresztą, że są udaną parą i żyją szczęśliwie. Skąd więc taki pomysł? Nigdy bym się tego po niej nie spodziewała.

Wyobraź sobie, że napisał do niej jakiś mężczyzna, podając się za Amerykanina i właśnie to było powodem jej wizyty. Chciała, żebym przetłumaczyła jej odpowiedź. Zrobiłam to, ale dałam jej wyraźnie do zrozumienia, że nie podoba mi się takie zachowanie. Owszem, jest moją znajomą i lubię ją, ale przecież mogę wyrazić swoją opinię, prawda? A jest ona taka, że podobne działania uważam za zdradę partnera.

Wioletta, jak się domyślasz, nie zgodziła się ze mną. Na pewno ma mnie za zupełnie nienowoczesną osobę. Cóż, niech myśli, co chce. Mam pewne zasady, których nie łamię. I nie podoba mi się, gdy ktoś dla zabawy robi rzeczy, które mogą skrzywdzić jego partnera. A fakt, że partner o tym nie wie, niczego moim zdaniem nie zmienia. Bo uczciwym się jest albo nie, to nie zabawa.

Nie patrz tak na mnie. Domyślam się, że jesteś zaskoczona, ale naprawdę się zdenerwowałam. Nawet teraz, kiedy o tym opowiadam, nie mogę powstrzymać emocji. Wiem, że nieczęsto mi się to zdarza, ale będę szczerą – Wioletta zupełnie nieświadomie

dotknęła tego kawałka mojej przeszłości, który chciałabym zapamiętać na zawsze. I nie pytaj mnie o nic więcej, bo nie powiem ani słowa.

Do tej pory sądziłam, że udało mi się z tym wygrać, że nie zostało nic, oprócz niewielkiego pakunku, który wrzuciłam w najdalszy kąt szafy. Łudziłam się, że to tylko sentymentalna paczuszka, że już nigdy nie zaboli, że znikło w mrokach niepamięci. Niestety, najwidoczniej nie znam samej siebie. Albo rana nadal jest świeża, chociaż minęło już tyle lat. Nieważne, nie chcę o tym mówić. Pragnęłam tylko, żebyś wiedziała, dlaczego tak trudno mi przejść do porządku dziennego nad tym, co robi Wioletta.

Pomogłam jej w tłumaczeniu, ale obiecałam sobie, że to był pierwszy i ostatni raz. Nie mogę brać udziału w zdradzie, bo za taką uważam zawieranie znajomości za plecami partnera. Zresztą, gdyby było naprawdę tak, jak deklarowała Wioletta, że ci mężczyźni nie są żadnym zagrożeniem dla ich związku, to dlaczego nie powiedziała o tym swojemu mężowi? Dlaczego to ukrywała? Musiała czuć, że to, co robi, nie jest w porządku.

I nawet jeżeli uznasz, że przesadzam, to ja zdania nie zmienię. Pomyśl sama – czy chciałabyś być na miejscu Marcina? Co poczuje, jeżeli się dowie? Możesz to sobie wyobrazić?

Tamten wieczór przepłakałam. Nie jestem dumna z tego, ale nie mogłam powstrzymać łez. Wszystko wróciło, wspomnienia i ten ból. A myśli ciągle krążyły wokół pakunku w szafie. Wreszcie postanowiłam, że wyrzucę go ostatecznie przy okazji najbliższych większych porządków. Może wtedy uda mi się całkowicie zamknąć drzwi do przeszłości?



Przez ostatnie tygodnie często myślałam o Malwinie. Może to dziwne, ale czuję, że jest mi bardzo bliska, chociaż właściwie, nie licząc sesji zdjęciowej, nie miałyśmy okazji bliżej się poznać. Jednak jej sytuacja przypomina mi moją sprzed kilku miesięcy i ile razy wspominałam mamę, tyle razy zastanawiałam się, jak radzi sobie Malwina.

Dlatego kiedy Wioletta zaprosiła mnie na spotkanie, miałam nadzieję, że dowiem się czegoś nowego i liczyłam na dobre wieści. Dziewczyny obiecały przecież pomoc, więc sądziłam, że udało się jakoś poukładać najtrudniejsze sprawy. Byłam bardzo zdziwiona, kiedy Wioletta zdradziła mi, że zamierzają z Lilianą ograniczyć wsparcie dla Malwiny. Osobiście uważam, że są w życiu chwile, kiedy własne sprawy należy odłożyć na bok, poświęcić się dla dobra drugiego człowieka. Nie mogłam pojąć, jak biznes może być ważniejszy niż cierpiący człowiek obok nas. Wiedziałam, że nie dam rady nakłonić dziewczyn do zmiany decyzji, miałam tylko nadzieję, że zrobią to w miarę delikatnie, żeby zbyt jej nie zranić.

Nie ukrywam, że przed spotkaniem u Wioli byłam mocno podenerwowana. Nie lubię takich przykrych sytuacji, konfrontacje nie leżą w mojej naturze i staram się ich unikać, a w tym przypadku na dodatek wcale nie byłam przekonana, że to dobre rozwiązanie.

Ciężko mi o tym opowiadać, bo skończyło się dość nieprzyjemnie. Malwina zareagowała emocjonalnie, co mnie wcale nie dziwi. Czy tak trudno sobie wyobrazić, że po śmierci bliskiej osoby naprawdę trudno się pozbierać? Zawsze staram się patrzeć na wszystko obiektywnie, więc i tym razem próbowałam zrozumieć racje Liliany i Wioli, ale sposób, w jaki potraktowały Malwinę, wydał mi się po prostu nieludzki. Wygarnęły jej wszystko wprost, nie starały się nawet być delikatne. Może i miały trochę racji, może rzeczywiście Malwina nadmiernie wykorzystywała ich pomoc, może i była w tym nieco egoistyczna, ale przecież jej zawałił się świat! I choćby przez wzgląd na jej niezbyt dobry stan psychiczny, dziewczyny mogłyby postarać się być trochę bardziej wyrozumiałe. Dlatego wcale mnie nie zdziwiło, że Malwina obraziła się i wyszła.

Przez kilka wieczorów nie mogłam sobie z tym poradzić. Myślałam o zachowaniu dziewczyn, ale przede wszystkim o swoim. Bo przecież nie zrobiłam nic, chociaż nie podobało mi się to, co widziałam. Miałam pretensje do samej siebie, że znowu nie potrafiłam zareagować, że siedziałam w milczeniu i tylko się przyglądałam. Nie chciałam uczestniczyć w robieniu przykrości Malwinie, ale przecież bierność to nic innego, jak pewnego rodzaju zgoda. Powiedz mi, czy nie mam racji? Czułam, że powinnam była coś powiedzieć, może nawet stanąć po stronie Malwiny. Dlaczego tego nie zrobiłam? Co ze mną jest nie tak, że nie potrafię się przeciwstawić, nawet jeśli czuję, że tak należy zrobić?

Nie szukaj dla mnie usprawiedliwienia, bo już dawno doszłam do wniosku, że go nie ma. I stwierdziłam, że jak mogę wymagać i oczekiwać od moich uczniów, żeby zachowywali się honorowo i uczciwie, skoro sama tego nie potrafię i w trudnych sytuacjach chowam głowę w piasek? Zawsze uważałam, że należy najwięcej wymagać od siebie, a tymczasem jestem zwyczajnym tchórzem, który w obawie przed ostrymi słowami rezygnuje z obrony ważnych wartości i drugiego człowieka.

Nie były to miłe konkluzje i naprawdę źle się czułam ze świadomością niezbyt chlubnej roli, jaką odegrałam podczas wizyty u Wioletty. Tak mnie to męczyło, że nie mogłam spać. Aż pewnej nocy przyśniła mi się mama. W tym śnie byłam małą dziewczynką, leżałam na wersalce i trzymałam głowę na jej kolanach. A ona głaskała mnie po policzku i powtarzała:

– W każdym człowieku jest dobro, trzeba je tylko znaleźć. W sobie też. Musisz w to wierzyć.

Obudziłam się zapłakana. I wtedy właśnie podjęłam decyzję, że nie mogę tak zostawić Malwiny. Nawet jeżeli zrobiła błąd, to przecież należy jej się szansa. Postanowiłam porozmawiać o tym z Lilianą i Wiolettą, przynajmniej spróbować je

przekonać. W tym celu zaprosiłam dziewczyny do siebie. Nie były zdziwione, bo przecież spotykałyśmy się już u każdej z nich, więc zapewne potraktowały to jako naturalny rewanz. A ja przygotowywałam się do poważnej rozmowy. Z nerwów, żeby się czymś zająć, upiekłam sernik według przepisu mojej mamy. Pieczenie zawsze mi pomagało w trudnych chwilach, więc miałam nadzieję, że i tym razem będzie podobnie.

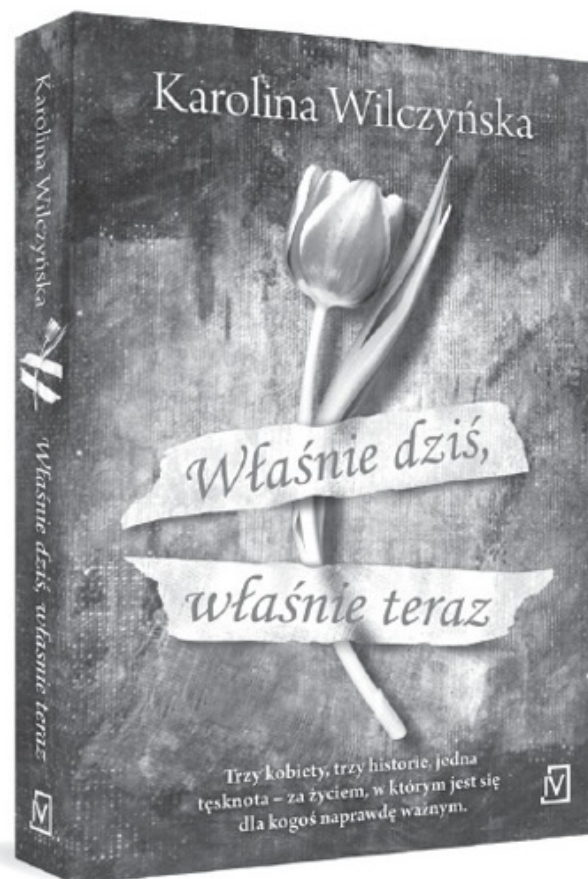
Niestety, kiedy usiadły i podałam kawę, cała odwaga gdzieś znikła. Czułam, że nie dam rady nawet zacząć tej rozmowy. Wszystkie argumenty, które przygotowywałam wieczorami, cała przemowa uleciała mi z głowy. Chciało mi się płakać i najchętniej uciekłabym gdzie pieprz rośnie.

Wtedy wydarzyło się coś niesamowitego. Po raz pierwszy w życiu los okazał się dla mnie łaskawy. Najpierw jednak przeżyłam ogromny stres. Trudno w to uwierzyć, ale niespodziewanie przyszła Malwina. Wpuściłam ją, ale byłam kompletnie dezorientowana i nie miałam pojęcia, jak się w tej sytuacji zachować. Bałam się, że dziewczyny pomyślą, że zrobiłam to celowo. A Malwina stwierdzi, że nie zaprosiłam jej, bo nie chcę już podtrzymywać naszej znajomości. Wszystko wyglądało nie tak, jak chciałam, przyznasz sama?

Na szczęście wydarzenia potoczyły się nawet lepiej, niż mogłam to sobie wymarzyć. Malwina przeprosiła nas wszystkie, a dziewczyny jej wybaczyły. Rozmowa była długa, bo Liliana nie jest z tych, co łatwo zmieniają zdanie, ale nawet ona musiała w końcu skapitulować.

Z radością patrzyłam na nowe koleżanki, które, znowu w komplecie, dyskutowały i śmiały się, zjadając mój sernik. Może nie byłam zadowolona z siebie, ale chyba mogłam uznać, że w jakimś stopniu przyczyniłam się do tego, że znowu siedziałyśmy razem. Zdałam sobie sprawę, że trzy miesiące temu jeszcze się nie znałyśmy, a teraz te kobiety zajmowały ważne miejsce w moim życiu i zależało mi, aby tak pozostało.

Wygląda na to, że przeprowadzka przyniosła mi coś więcej niż tylko nowe mieszkanie. Co będzie dalej? Czy Malwinie uda się zrealizować swoje plany? Czy Liliana nawiąże lepszy kontakt z Agnieszką? A Wioletta? Nie zagubi się w wirtualnym świecie? I co ze mną? Cóż, nikt nie wie, co przyniesie los. Czas pokaże. Już nie mogę się doczekać. A ty?

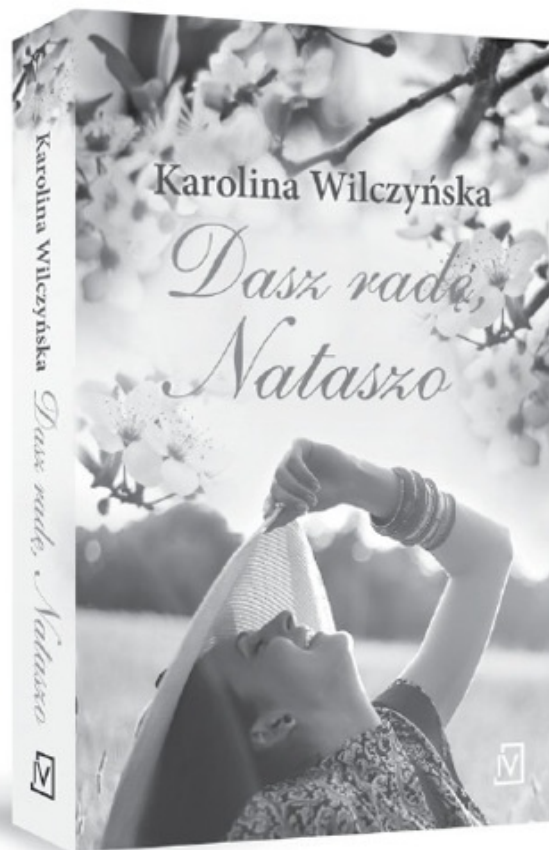


*Trzy kobiety, trzy historie, jedna tęsknota
– za życiem, w którym jest się dla kogoś
naprawdę ważnym.*

Sabina od lat samotnie opiekuje się niedołączonym ojcem, z którym łączy ją toksyczna relacja. Siedemdziesięcioletnia Bronisława ledwo wiąże koniec z końcem, utrzymując siebie i dorosłego syna, alkoholika. Elegancka Sonia prowadzi idealne życie w pięknym domu, z kochającym mężem i córką. Idealne do czasu pierwszego kryzysu...

Nieszczęśliwy wypadek skruszy dotychczasowy porządek i splecie ich losy... Każdej z kobiet przyjdzie zmierzyć się z innymi problemami i każda będzie musiała stawić czoło prawdzie, nie zawsze przyjemnej. Prawdzie o sobie samej i o najbliższych. Bo czasami życie musi nami mocno potrząsnąć, żebyśmy odnaleźli jego sens.

Właśnie dziś, właśnie teraz przekornie pokazuje, że tragedia nie zawsze zapowiada koniec, lecz czasami początek czegoś naprawdę wyjątkowego.



Natasza miała wszystko: kochającego męża, piękny dom, spektakularną karierę i własną agencję reklamową. Życie Nataszy wielu osobom mogłoby wydać się perfekcyjne i takie właśnie było... Do czasu.

Jeszcze raz, Nataszo oraz *Dasz radę, Nataszo* to kojące opowieści o kobiecie, która kochała zbyt mocno. Czy Natasza odnajdzie utracone szczęście i spokój? Sprawdź, za co pokochały ją polskie czytelniczki!

Każdy związek to nieustanne pole walki. A walka staje się bezpardonowa, kiedy małżeństwo po 18 latach przechodzi do historii. Czy Natasza, bohaterka książki odnajdzie siebie, czy zatraci się w rozpamiętywaniu, wspomnianiu tego, co było złe? Na te pytania odpowiada znakomita książka Karoliny Wilczyńskiej.

Ałbena Grabowska



Stacja Jagodno to seria ciepłych, mądrych opowieści osadzonych w przepięknej scenerii Gór Świętokrzyskich. Tu spotykają się przeciwieństwa: wieś i miasto, kobiety i mężczyźni, starość i młodość, tradycja i nowoczesność. To porywające historie, przepelnione prawdziwymi emocjami. Opowiadają o wszystkim: o miłości, trudnych relacjach rodzinnych i poszukiwaniu własnego miejsca na ziemi. Każda z czytelniczek odnajdzie w bohaterkach Jagodna cząstkę siebie.

Stacja Jagodno – saga, którą pokochały tysiące Polek!

SPIS TREŚCI

DOŚĆ DŁUGI PROLOG...

...czyli jak to się wszystko zaczęło

CZEŚĆ PIERWSZA

Malwina

CZEŚĆ DRUGA

Liliana

Wioletta

Róża

Polecamy